Migotania

Gazeta literacka

Nr 4 (81) 2023 kwartalnik

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

„Codzienność to dobry czas na znikanie"

Marta Fox

Polecamy:

- Alicia Elsbeth Stallings, wiersze
- Bogusław Żyłko, Trzeźwy głos o trzeźwym głosie z Rosji
- Marta Fox, wiersze
- Małgorzata Dorna (Wendrychowska), On, Ona i Pies, fragm. dramatu
- Maria Jentys-Borelowska, Zapiski z „szarego domu", cz. II
- Ewa Song, Biedna Mała C., fragm. prozy
- Czesław Sobkowiak, Odpowiedź Kazimierzowi Brakonieckiemu
- Marek Wawrzkiewicz, Szymborska: odkrywanie oczywistości, esej

Marta Fox

Sprawiedliwość

Im częściej myślę o śmierci
tym mniej o Bogu
jakby ze strachu że mi już
w niczym nie pomoże
i bez nadziei że jednak mógłby

Ani życie nie było sprawiedliwe
ani Bóg
Nikt jednak tej sprawiedliwości
nie obiecywał
poza naiwnymi poetami
i prawdą jest
że ratowali tym
do jutra

2020

Katarzyna Gościniewicz

W numerze prezentujemy prace Katarzyny Gościniewicz
Plakat artystyczny Katarzyna Gościniewicz
Plakat poetycki: Zbigniew Joachimiak

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2023

FELIETON

Wit Romanowski

AI. NOWY PRZEWRÓT KOPERNIKAŃSKI

Niektórzy lubią zapach napalmu o świcie. Ja lubię dzień zaczynać od dobrej muzyki. Włączam radio. I słyszę głos Elvisa Presleya. Słyszę typową dla niego melodię. Ale jakąś nową, do tej pory mi nieznaną. Lecz to na pewno Presley! Nie ma wątpliwości! Widać, jednak nie do końca znam dyskografię Króla Rockandrolla…

Niedługo potem w TVN słyszę „ostatnią piosenkę The Beatles" – „Now & then". Do ścieżki dźwiękowej misternie wypreparowanej ze starej kasety nagranej na początku lat 70.–tych przez Johna Lennona swoje głosy dodali Paul McCartney, Ringo Starr i nieżyjący (podobnie jak Lennon) John Harrison. W ten sposób powstał **nowy utwór** legendarnego zespołu, **który nie istnieje** od ponad pół wieku.

Stało się to możliwe dzięki zastosowaniu AI (nie mylić z *Amnesty International*) – dzięki *Artificial Intelligence*, sztucznej inteligencji, która dzięki postępowi, który ostatnio uczyniła, była w stanie starannie oddzielić głos Johna Lennona od jego gry na nieco rozstrojonym pianinie. Nieznana piosenka Presleya z pierwszego akapitu, też powstała dzięki AI. Sztucznej inteligencji przekazano kilkadziesiąt piosenek Króla, a AI po pewnym czasie ze swych trzewi wypluła całkiem nowy utwór Presleya, w stu procentach utrzymany w jego stylistyce i… śpiewany przez niego samego!

To tylko dwa bardzo niewinne przykłady zastosowania prącej do przodu jak burza sztucznej inteligencji (choć w pierwszym z opisywanych przypadków ta niewinność nie do końca jest pewna; należałoby zastanowić się nad konsekwencjami tego rodzaju praktyki dla nie nadążającej za rozwojem AI ochrony praw autorskich). Inne zastosowania AI niosą ze sobą następstwa znacznie większego kalibru – tym poważniejsze, że – jak się wydaje – niemożliwe do uniknięcia.

Skutki pojawienia się AI w swoim wymiarze będą co najmniej tożsame z konsekwencjami przewrotu kopernikańskiego. Nie ma w tym przesady. Tak jak Kopernik zdetronizował pozycję Ziemi we Wszechświecie jako centralnego ciała niebieskiego, wokół którego miało kręcić się Słońce, tak samo AI z czasem (nie za długim) zdetronizuje nas, ludzkość.

Choć nieco ukryta w gąszczu wielu innych rozważań, wielce interesująca diagnoza na ten temat pojawiła się już kilka la temu w dwóch jakże ważnych księgach, które wyszły spod ręki izraelskiego socjologa i politologa – Yuvala Noaha Hararіego: w jego *Sapiens. Od zwierząt do bogów* i *Homo Deus. Krótka historia jutra*. To niezwykły dyptyk. Na pewno może uchodzić za najbardziej wszechstronną, a jednocześnie najbardziej zrozumiałą „teorię wszystkiego", obejmującą całą historię ludzkości.

Jaka jest zasadnicza myśl, którą Harari tam przedstawia?

Rozważając skąd przychodzimy?, dokąd zmierzamy? i jakie siły decydują o naszym życiu i rozwoju?, Harari stwierdza, że rozwój ludzkości „był potrzebny" tylko do tego, by powstała sztuczna inteligencja. Przez setki tysięcy lat człowiek ewolucji służył jedynie do tego, by w pewnym momencie mogła wykluć się AI. Człowiek przez tysiące lat był (i wciąż jest) wehikułem, który kolejne elementy sztucznej inteligencji (począwszy od gładzonych kamieni i koła, po półprzewodniki) miał dowieźć do czasów współczesnych, by tu i teraz (akurat za naszego życia!) złożyć je w nową jakościową całość.

Odtąd ludzkość będzie stawać się coraz „mniej przydatna". Na sile – rok za rokiem – nieuchronnie będzie zyskiwać AI. Będzie stawać się coraz bardziej niezawodna, coraz bardziej wydajna, coraz bardziej autonomiczna i górująca nad swymi twórcami, którzy w coraz większym stopniu będą popadali w zapomnienie i na tym nowym etapie ewolucji, coraz bardziej będą po prostu przeszkadzali.

Na naszych oczach człowiek przestaje być miarą wszystkiego, czym chlubiliśmy się od Renesnasu. Cyborgi, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, coraz bardziej będą nad nami górować. Zyskają umiejętność samodzielnego rozmnażania się, uczenia się i samodoskonalenia. Nie będziemy im już do niczego potrzebni. Nie będziemy ich w stanie dogonić, bo zaraz będziemy dostawać zadyszki (i niekoniecznie chodzi tu tylko o wyścigi na bieżni). Tym bardziej nie będziemy mogli się im przeciwstawić. W najlepszym razie trafimy do jakiegoś rezerwatu, gdzie – jako gatunek – powoli będziemy dożywać swych dni, obserwując z zazdrością, jak cyborgi coraz śmielej wybiegają poza Ziemię i Układ Słoneczny.

Ludzkość zostanie tak zdetronizowana w procesie rozwoju, jak kiedyś za sprawą Kopernika – na korzyść Słońca – została zdetronizowana Ziemia. W wyścigu z AI nie mamy szans, choć byśmy nie wiadomo jak się starali i zawierali w tej sprawie między sobą niezliczone porozumienia. Nie uda się. Nie ma na to szans. Nie należy mieć złudzeń, choć pewnie niewielu przyzna to publicznie i głośno. Ten proces można co najwyżej starć się w jakimś stopniu opóźnić, ale w ostatecznym rozrachunku kolejnemu skokowi w ewolucji, który właśnie przed nami się wyłania, nie będziemy w stanie się przeciwstawić.

Wit Romanowski

ZMARŁ PAWEŁ HUELLE

Młody wciąż pisarz odszedł w cienie staregо Gdańska. W tym roku kończył 66 lat. Cieszyłbym się, gdyby tam, gdzie teraz jest można nadal było pisać, bo Paweł umiał to robić doskonale. W powszechnej świadomości to wybitny prozaik.

Znałem go od zawsze, czyli od czasów, gdy w latach `70 o `80 postanowiliśmy zwojować świat literacki i zbudować nowy ranking na najwybitniejszych pisarzy trójmiejskich i polskich. Pawłowi udało się to znakomicie. Gdy odwiedzał mnie w Gdańsku, często ze Zbigniewem Żakiewiczem i Olkiem Jurewiczem, ostro się spieraliśmy o literaturę wzmacniani sporymi dawkami alkoholu, ale nie każdy wie, że wtedy „ścigaliśmy" się w poezji, bo pisał wiersze i był rozpoznawany w Gdańsku jako poeta, a potem dopiero prozaik.

Nieco młodszy ode mnie bardzo szybko dojrzał literacko. Zajął się na całego prozą i szybko znała go cała Polska a i kraje sąsiednie. Szczególnie doceniony były w Niemczech. Dla wielu stał się rodzajem polskiego Güntera Grassa. ale to bardzo powierzchowne skojarzenie. Dzisiaj bardzo wielu pisarzy podejmuje kulturowe wątki pogranicza polsko-niemieckiego, ale ujęcie tematu jakie zaproponował Paweł było odmienne. Przed Pawłem większość tekstów literackich cechowała się ckliwością peerelelowską z wątkami np. ziem odzyskanych. Pisarstwo Huellego, przywróciło dramatyzm tamtych czasów i ziem. W tym sensie można mówić o wspólnocie z Grassem, bo obaj uznali, że perspektywa dziecięca jest najmniej skłamana i pozwala ujść pułapkom ckliwości i moralizatorstwa. Potrzebę oryginalności widać było już w jego wierszach z lat `70, być może te poetyckie doświadczenia pomogły mu konstruować jakże poetyckie wątki w późniejszych powieściach.

Paweł nie był łatwym człowiekiem w kontaktach. Pozornie ciepły, dostępny, a właśnie jednak zawsze jakoś zamknięty. Nie było mu z tym dobrze. Za mało go znałem w ostatnich 30 latach by to stanowczo stwierdzić, ale łatwiej dawał sobie radę z literaturą niż z życiem. Chorował. Mechanizm życia mocno się wyniszczał. Ucieszyłem się, gdy przed kilkoma laty Gdynia ofiarowała mu możliwość redakcji pisma literackiego Bliza, to było lepsze zatrudnienie niż te, jak to jeszcze dawnie było, gdy objął kierownictwo regionalnej TVP. Wiem to na pewno, bo kilka razy się wtedy z nim spotkałem i nie robił wrażenie spełnionego. Ostatecznie szybko stamtąd się wyrwał. Gdy wyszły pierwsze numery Blizy pomyślałem, cóż Pawle, znowu się „ścigamy", teraz redagując pisma literackie. Gdyby usłyszał wówczas te moje myśli, pewnie by się uśmiechną w ten specyficzny dla niego miły sposób.

Zacząłem pisać te kilka wspomnień w sposób banalny, powtarzając wytarte sformułowanie o tym, że tam będzie pisał nadal. Przepraszam Pawle za tę łatwiznę retoryczną, powinienem był pamiętać, że byłeś świetnym i odważnym pisarzem, który nigdy by tak nie napisał do swojego kolegi. Wiem, wiem. Nic już nie napiszesz. Taka jest smutna prawda. Ale trwać będziesz w pamięci tych, którzy Ciebie pamiętają. Ktoś ważny kiedyś mi powiedział, że tak ostatecznie się umiera, gdy umiera ostania osoba w której byłeś pamięci. A dobry pisarz jeszcze trochę dłużej, bo będzie żył w umysłach swoich czytelników. Każda linijka z Twoich dzieł literackich pochodzi z umysłu pisarza, z jego mózgu, z jego ducha. Jest jego trwaniem

Zbigniew Joachimiak

Spis treści

Wit Romanowski, Nowy przewrót kopernikański, FELIETON.....str.2
Zmarł Paweł Huelle.....str.2
Czesław Sobkowiak, Odpowiedź Kazimierzowi Brakonieckiemu, POEZJA.....str.4
Maria Jentys-Borelowska, Zapiski z „Szarego Domu", PROZA.....str.6
Marta Fox, wiersze.....str.10
Bogusław Żyłko, Trzeźwy głos o trzeźwym głosie z Rosji, ESEJ.....str.12
Nadieżda Aleksandrowna Teffi, Gilotyna, PROZA.....str.14
Krystyna Śmiechowicz, Królowa rosyjskiej satyry, ESEJ.....str.15
Anna Krasuska, wiersze str.16
Andrzej C. Leszczyński, Poza słowami, ESEJ str.17
Aleksandra Waitsi Wakru, wiersze greckie str.20
Małgorzata Dorna (Wendrychowska), On, Ona i Pies (frag. aktu II i III).....str.22
Czesław Karkowski, W sprawie poezji regionalnej, ESEJ str.28
Alicia Elsbeth Stallings, wiersze str.30
Aleks Rafalski, Skrzydła, które one maja, PROZA.....str.33
Anna Jachim, Wpływ języka na sposób myślenia..., ESEJ.....str.34
Dariusz Pawlicki, O pomijanym / zatajanym jednym ze źródeł..., ESEJ.....str.35
Charles Bukowski, poezja amerykańska str.36
Maria Fraszewska, Popkultura i jej problem, czy nasz?, ESEJ.....str.37
Stanisław Piskor, Pogłosy, poezja str.40
Stanisław Piskor, (Auto) Eksplikacja pogłosów str.41
Elżbieta Musiał, Psychika słowa wg Mueller, czyli studium przypadku...str.42
Can Jigt Tuncman, wiersze tureckie.....str.44
Marek Wawrzkiewicz, Szymborska: Odkrywanie oczywistości, ESEJ...str.45
Dariusz Pawlicki, Muzyka kosmosu, ESEJ.....str.47
Dorota Czerwińska, wiersze.....str.50
Paweł Kuszczyński, Wołanie o powrót sprawdzonych wartości, ESEJ....str.51
Mariusz Zimoński, wiersze.....str.53

KSIĄŻKI KWARTAŁU:
Władysław Zawistowski. Trudna sztuka (otrzymywania) dedykacji.....str.54
Andrzej Wołosewicz, Książka-Pomnik.....str.56
Eugeniusz Kurzawa, Dedykacja dla Waśkiewicza.....str.58
Zbigniew Joachimiak, Cienie, czyli poemat Katarzyny Korczak.....str.59

Jan Stanisław Smalewski, Komu potrzebna jest poezja? WYZNANIA.....str.61
Andrzej Walter, Ósmy dzień Adrianny Karosz, OMÓWIENIA.....str.62
Roman Warszewski, Bocznica, REPORTAŻ. str.63
Jolanta Stelmasiak, miniatury poetyckie str.64
Przemysław Kulczak, Nowość, PROZA.....str.65
Małgorzata A. Bobak-Końcowa, wiersze.....str.66
Marek Piechocki, wiersze.....str.67
Marian Bednarek, PROZY str.68
Jan Stanisław Smalewski, POEZJA.....str.70
Waldemar Jagliński, Niebieskie wody, PROZA.....str.72
Agnieszka Moroz, KSIĄŻKI NA HACZYKU, mini recenzje.....str.74
RECENZJE:
Nadrzej Fijałkowski, Sutra Serca –
albo laicyzacja z chińską charakterystyką ...
Elżbieta Musiał, Navigare
Andrzej Walter, Wojna to stan umysłu
Zbigniew Kresowaty, Poetyka tańcząca w chmurach
Mateusza Wabik, Inflacja przemilczeń
Mateusz Wabik, Funeralne pisanie
Tadej Karabowicz, Nadzieja i moc ocalenia
Mateusz Wabik, Wielki modelarz
Mateusz Wabik, Protesty społeczne na smutno i wesoło
Zbigniew Kresowaty, Cienie strukturą wyrysu..., PIÓREM MALARZA

Roman Warszewski, Jedwabne tu i teraz, PODRÓŻE.....str.90
Roman Warszewski, Rodowód. Pisarka.....str.91

Leszek Szaruga, WYPRASOWANIE (45) str.94
MIGOTANIA JESZCZE WIECEJ
Krzysztof Szymoniak, Spotkanie z diabłem? ESEJ REPORTAŻOWY...str.95
Michał Skrętek, O dawnej krytyce słów kilka ...krytycznie, ESEJ....str.97
Czesław Sobkowiak, wiersze.....str.98
Stanisław Nowycki, wiersze.....str.100
Waldemar Jagliński, Presbyterium, PROZA.....str.101
Adam Bujarski, wiersze.....str.102
Andrzej Talarek, Księga psalmów dzisiejszych (II).....str.103
Jacek Jaszczyk, wiersze.....str.104
Ewa Song, Biedna Mała C. str.105

Katarzyna Gościniewicz

Czesław Sobkowiak

ODPOWIEDŹ KAZIMIERZOWI BRAKONIECKIEMU

1.

Wiele by jeszcze zrobić dostrzec i sprzeciwić się całym sobą
Powiedzieć jak jest naprawdę i niech nikt nie przeinacza życia
Tylko dlatego że tkwi za biurkiem i ma spojrzenie urzędnicze
Które w twój ból sprawiedliwie nic a nic nie wnika
Idzie wieczór ciemny myśli są zatrzymane pusto na kartkach
Które miały opowiadać nie samym sobie co jest no i cóż z tego
Nie wróci nic z tych nadziei za które piliśmy młode wino
I nie było potrzebne nawet słowo „kocham" gdy bzy kwitły fioletem
Jeden przez drugiego wspinaliśmy się wysoko nad przepaście

2.

Na ławkach w lekarskich poczekalniach mamy ustalone miejsca
W oczach pchających wózki pełne towarów w sobotnie popołudnia
Zupełny brak zrozumienia bo liczą nie wiadomo na co
Że jest dobrze i będzie lepiej dopóki utrzymają się złudzenia
Niekiedy idę do kogoś z pytaniem czy potrzebna jest poezja
Zza uchylonymi drzwiami widać gest ręki który wiele wyjaśnia
Więc tyle życia udało mi się podnieść ile upada w zimnym pokoju
Tak zimnym że czasami patrzę i ja na siebie obojętnie

3.

Zostało zmęczenie a ekstaza poezji skończyła się i żal przemyka
Motyla nie udało się pochwycić ani światła w słoneczniku zatrzymać
Nisko jest i gorzko pachną butwiejące liście orzecha więc żyję
W tym co znika staram się mieszkać dosyć nadaremnie
Nie można narzekać przed zimą chwilami świeci złoto klonów
Rzeczy nadal są na dawnym miejscu i człowiek na progu domu
Trzeba powoli wracać do kamieni do drzew i ziemi taki uparty czas
Do blasku rzeki żeby samemu sobie w pełni dać odpowiedź
W tym miejscu każdy dzień wypada otwierać po ludzką ta samą miarą

4

O marzeniu powiesz że miało rację ale dni wybrały co innego
Jakieś zguby wzięły się z zaprzeczenia zwykłych mądrości
Jakieś moce uniosły swój brak rozwagi więc pisze się chaos
Chaos szkodzi bo odbiera prostym rzeczom powagę
Kobieta mówi że promień jest potrzebny jej oczom i ogrodowi
Zostało zmęczenie od słuchania pieśni kolejnych obietnic
Jeszcze tylko nie zapomnieć o czymś co ciału wyznacza cenę
Teraz o zmierzchu rodzą się dziwne myśli sny niedoczytane
Ale jakie są ich kształty po prostu i na koniec nie wiem
Nie nadążam więc mój krok komu potrzebny
Mniej gwiazd świeci prosto w oczy
Co ze światłami że zeszły na ziemię i mnożą ciemności
I jest wnętrze człowieka jakby owdowiałe
Które ktoś śmiało zabija ostrym narzędziem
I ludzie o tym mają bardzo różne osądy

Wyjdę na śnieg i popatrzę że biało
Przeczytam co napisała biel do mnie płatkami
Może z tego będzie nie tylko wiersz
Albo blisko czułość i poznam czyjeś ramię
Kilka słów poza tym do kogoś wyślę mailem
Chodzi o to by nie rozstawać się z samym sobą
I nie tam iść gdzie zajmują się tylko kłótniami

Katarzyna Gościniewicz

Maria Jentys-Borelowska

ZAPISKI Z „SZAREGO DOMU"

(fragment powieści)

Niedziela 20 lutego 1910 roku. Pierwsza wiadomość, jaką usłyszałam od doktora Aleksandra von Talheima, gdy wczesnym rankiem przestąpiłam próg „szarego domku", była niczym promień słońca, który niespodziewanie przebił się przez ciemne chmury niepokoju:

- Noc przeszła bez ataku dusznicy, pani Maryniu! To pierwsza taka noc od dawna. I puls normalny. Nie twierdzę, że niebezpieczeństwo zostało definitywnie zażegnane, *angina pectoris* w stadium tak zaawansowanym jest nieprzewidywalna, myślę jednak, że na razie możemy być dobrej myśli. Ostatnie dwa tygodnie raczej nie skłaniały do optymizmu.

Ujęłam obie dłonie doktora mocnym, gorącym uściskiem, a on uśmiechnął się i rzekł: „A może to pani przyjazd sprawił cud? Tak bardzo czekała na swoją Marynię". Podniósł moją rękę do ust i ucałował ją, po czym sięgnął po torbę lekarską i ruszył do drzwi. Po nocnym dyżurze u Orzeszkowej spieszył do pracy w szpitalu. Mimo zmęczenia był w dobrym humorze: pacjentka żyła i miała się lepiej! Darzył pisarkę przyjaźnią i czcią. Był przecież, jak ona, „z rodu aniołów": pracował społecznie w Czerwonym Krzyżu Sióstr Miłosierdzia, działał w Towarzystwie Opieki nad Dziećmi, był prezesem grodzieńskiego Towarzystwa Miłośników Sceny, Muzyki i Śpiewu, Sztuki Dramatycznej i Muzycznej „Muza" i jednocześnie jego aktorem (niezapomniany Harfiarz w *Lilli Wenedzie* Słowackiego to właśnie on!). Bywał w jej domu i jako lekarz, i jako społecznik, i jako animator życia kulturalno-oświatowego w naszej zacofanej mieścinie. Nazywała go poufale Talmą.

Przywitawszy się z Zosią i Wandą, które krzątały się po kuchni i jadalni, pospieszyłam do Elizy. Leżała na spiętrzonych poduszkach skrajnie wycieńczona, z twarzą bielszą niż koronki jej czepca, lecz spokojna, łagodnie uśmiechnięta. Na mój widok rozpromieniła się i leciutko uniosła rękę, by dać znać, że nie śpi.

- Maryniu moja złota, jesteś! Widzisz, przeżyłam! I żyję! Moi lekarze obronili mnie! Jakże oni walczyli o mnie! Wiesz, pierwszą reakcją moją po tym ataku sercowym, gdy już przyszłam do przytomności, było zdumienie na widok trzech lekarzy, którzy koło mego łóżka toczyli bój o moje życie. Żebyś ty widziała te ich ruchy, ciche, prędkie, odżywiające mnie tlenem i zastrzykami, ich wytężoną wolę, uwagę, czynność, troskę i troskliwość! To była walka, to był bój wiedzy i nauki ludzkiej i triumf tej nauki!

Umilkła, dysząc ciężko, a ja, przywarłszy ustami do jej ręki, całowałam ją i płakałam, płakałam, płakałam. Po długiej chwili chora wyszeptała:

- Napisz, Maryniu, do pana Tadeusza Bochwica… w moim imieniu. Bo on, biedak, czeka na listy ode mnie, a ja nie mogę nic… sama wiesz. Napisz, moja droga, że zaledwie do świata żyjących powracać zaczynam, bardzo powoli, bez pewności, czy uda mi się to raz jeszcze… Leżę wciąż bardzo słaba, ani pisać, ani rozmawiać mi nie wolno… Napiszesz, Pocieszko moja?

- Przecież wiesz, Najdroższa, że zrobię dla ciebie wszystko. A teraz nic już nie mów! Odpocznij! Zaśnij! Nazbyt się wzruszyłaś. Ja usiądę opodal i poczytam sobie.

Drzwi salonu otworzyły się cicho i wszedł doktor Jan Rydzewski. Czwarty z miejscowych lekarzy, pełniących przy Orzeszkowej, od początku jej obłożnej choroby, dobrowolne, bezpłatne dyżury. Ukłonił mi się, po czym podszedł do śpiącej, delikatnie ujął jej dłoń i zbadał puls. Głosem ściszonym do szeptu zakomunikował: „W normie", a potem, pochyliwszy się nade mną, rzekł mi nieomal do ucha:

- Proszę dopilnować, pani Mario, aby przez tydzień… przynajmniej przez tydzień, potem zobaczymy… nikt poza domownikami oraz lekarzami do tego pokoju nie wchodził. Chora jest w tej chwili bardziej bezbronna niż niemowlę, byle bakteria mogłaby ją zabić. Nie mniej groźne są dla niej długie rozmowy, a każde większe wzruszenie to prawie pewny atak dusznicy. Dlatego postanowiliśmy chronić naszą podopieczną przed gośćmi jako potencjalnymi, bezwiednymi „zabójcami". My, jej lekarze i strażnicy: Talheim, Szumkowski, Dąbrowski, Zamkowski i ja. Dopilnuje pani, by zakaz był egzekwowany? Możemy na pani polegać, pani Mario?

- To oczywiste. Zaraz poinstruuję Zosię i Wandzię, jak również służbę.

Rada byłam z tej decyzji lekarzy, bo w „szarym domku" nie dawało się już żyć: co chwilę ktoś pukał do drzwi i pytał o zdrowie Najznamienitszej Obywatelki Grodna, telefon dzwonił od rana do nocy, kilkanaście razy dziennie przybiegał goniec z poczty z telegramami i listami, a dziennikarze trzymali nas w istnym oblężeniu i byli tak bezczelni, że dobijali się nawet do okien. Gdy zakręcono telefon, u drzwi wejściowych postawiono „strażnika", który uprzejmym, lecz stanowczym słowem odprawiał intruzów, a przyjaciół powiadomiono (telefonicznie lub listowne) o chwilowym wstrzymaniu wizyt, zrobiło się trochę spokojniej. Zwłaszcza że ulica, przy której stał „szary domek", na polecenie gubernatora (a tak!) została wymoszczona słomą w celu wyciszenia turkotu pojazdów zdążających do stacji kolejowej!

Do obiadu i potem, po półgodzinnej drzemce, do kolacji czuwałam nad snem chorej, aż w końcu doktor Jakimowicz, który przyszedł na nocny dyżur, bardzo stanowczo nakazał mi opuścić mój „posterunek" i udać się na spoczynek. Pożegnałam go uprzejmie i wyszłam z salonu, ale zamiast posłusznie wypełnić polecenie doktora, poszłam do gabinetu Elizy.

W nocy z niedzieli na poniedziałek 21 lutego 1910 roku.

Chociaż byłam bardzo zmęczona wielogodzinnym czuwaniem nad chorą i marzyło mi się miękkie i ciepłe łóżko, poszłam tam, gdyż wiedziałam, że na jej biurku urosła wielka sterta listów, którymi wreszcie ktoś musi się zająć. A kto, jak nie ja. Rozsiadłam się więc w jej fotelu i zanurzyłam w tej stercie ręce. Przeważającą jej część stanowiły listy pochodzące od Tadeusza Bochwica. Pisał do Elizy codziennie, wiedział bowiem, że ich łaknie jak przysłowiowa kania dżdżu, a gdy z końcem stycznia przestały doń docierać błękitne „mewy" z Grodna - tak Eliza nazywała swoje listy do tego człowieka - zwrócił się z gorącą prośbą o „słowo otuchy" do mnie. Na szczęście po połowie lutego mogłam go słowem takim z czystym sumieniem obdarzyć. Skreśliłam zatem do pana Tadeusza kilka zdań, informujących, że doraźne zagrożenie minęło, lecz chora jest tak słaba, że pióra w ręku nie utrzyma przez pół minuty, grodzieńskie „mewy" więc nieprędko znów do Florianowa polecą. Niechże jednak „Drogi Pan" nie wątpi - dodałam w jej imieniu - że Pańscy codzienni „gońcy" są dla niej „smugami światła w ciemnicy". Włożyłam kartkę do koperty, na kopercie wykaligrafowałam adres: *Jaśnie Wielmożny Pan Tadeusz Bochwic, majątek Florianów koło Lachowicz, powiat nowogródzki, gubernia mińska* i, przywoławszy służącą, poleciłam jej nadanie przesyłki jeszcze dzisiaj, i to pocztą ekspresową.

Gdy dziewczyna zamknęła za sobą drzwi gabinetu, wzięłam z kolei do ręki list od Tadeusza Garbowskiego, przeczytałam kilka zdań, z których się składał, i - odpłynęłam. Fala wspomnień, nim zdałam sobie sprawę z jej zniewalającej mocy, porwała mnie i uniosła do odległego o półtora tysiąca kilometrów Wiesbaden, pięknego, zielonego, słonecznego niemieckiego kurortu, w którym dziesięć lat wcześniej, pod koniec czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, miałam szczęście być przy narodzinach ważnej, choć trudnej, pełnej zgrzytów i napięć więzi między wielką pisarką a wybitnym uczonym, filozofem i poetą. Więzi, której owocem jest ich wspólna powieść *Ad astra*. Jak wiadomo, *ad astra* to część łacińskiej frazy *per aspera ad astra*, co znaczy przez ciernie (cierpienie) do gwiazd. Trudno więc o trafniejszy tytuł dla historii kobiety, która wyrzeka się Miłości (tak, tak, przez duże M!) w imię ideału Dobra, oraz mężczyzny, który rzuca wyzwanie śmierci, by posiąść Prawdę (którą w ostatecznym rozrachunku okazuje się Miłość). *Ad astra* to epistolarny dialog dwóch wzniosłych dusz, dialog, w którym ja, od lat towarzysząca pisarce w jej życiu codziennym, odnajduję nieznaną mi i nawet nieprzeczuwaną Orzeszkową. W listach Seweryny Zdrojowskiej do Tadeusza Rodowskiego widzę tajnię serca Elizy, bez żadnych osłon i kamuflaży. To samo dotyczy listów Rodowskiego do panny Zdrojowskiej: są głosem samego Garbowskiego. A dramat

Katarzyna Gościniewicz

bohatera *Ad astra* to jego własny dramat! Skąd to wiem? Ano wiem.

Darzę profesora Garbowskiego uczuciem, jakim się darzy kogoś bliskiego, godnego przyjaźni czy nawet braterskiej miłości. Bo przecież to on wzniecił twórczy ogień w duszy Elizy, kiedy po śmierci męża pogrążyła się w żałobie i zaczęła gasnąć, stygnąć, obumierać. To on ją ożywił i zwrócił ku... gwiazdom! Jakżebym więc mogła go nie kochać?! (Wiem, że patos tych słów może razić lub śmieszyć, lecz przecież nie ma w nich przesady: i Orzeszkowa, i Garbowski byli ludźmi Idei, trzymając się mocno ziemi, myślami wybiegali poza ziemskie horyzonty.)

(Jakże złudna wobec więzi z Garbowskim, a przy tym jak żałosna, a nawet gorsząca była jej miłość do trzydziestoletniego, o ćwierć wieku młodszego, nad wyraz urodziwego oficera, który zaczął bywać w jej domu po śmierci Nahorskiego, a od stycznia dziewięćdziesiątego ósmego stał się nieomal domownikiem i lektorem! Blisko sześćdziesięcioletnia wdowa chwyciła się tej miłości niczym tonący, który chwyta się przysłowiowej brzytwy, i omal nie utonęła. Nie zdradziła się wprawdzie żadnym słowem ani gestem ze swego niewczesnego zauroczenia, ale i tak wszyscy wiedzieli, co się święci, i kiwali głowami: jedni z dezaprobatą, inni ze zdumieniem, a niektórzy z niepokojem i współczuciem. Ja należałam do tych ostatnich - po pierwsze, wiedziałam, ile cierpienia sprawia biedaczce ten niewczesny afekt, po wtóre, zdawałam sobie sprawę, że żadna złośliwość, i nie tylko złośliwość, nie zostanie jej oszczędzona, jeżeli tajemnica nieszczęśliwego serca dostanie się do publicznej wiadomości! Wielka Pisarka i Pierwsza Obywatelka była wszak nieustannie „na widelcu" tak zwanej opinii publicznej, czyli plotkarzy, zawistników oraz pismaków z brukowej prasy. Na szczęście, duma, godność i dyskrecja zdołały ją ustrzec przed ludzką podłością.)

A jak doszło do tego, że pod szyldem znanej wszystkim Elizy Orzeszkowej i nieznanego nikomu Juliusza Romskiego w roku tysiąc dziewięćset czwartym ukazał się głośny dziś utwór?

Otóż wbrew powszechnym domysłom to nie Orzeszkowa, rozdwoiwszy się na *animę* i *animusa*, stworzyła *Ad astra*. Na pomysł tej osobliwej epistolarnej historii wpadł Tadeusz Garbowski, ukrywający się pod pseudonimem Juliusza Romskiego profesor Wszechnicy Jagiellońskiej. (Używszy bezrefleksyjnie idiomu „wpadł na pomysł", poczułam niesmak, gdyż wydało mi się, że przecież ktoś o tak wyrafinowanym umyśle raczej nie „wpada na pomysły", tylko wysnuwa je z subtelnych przesłanek. Ale zaraz przywróciłam ów idiom do łask, uznawszy, że przecież profesor nie jest aż tak ... astralny.)

Pomysł dotarł do potencjalnej wspólniczki pod postacią listu.

List zaś z propozycją NIE DO ODRZUCENIA otrzymała adresatka - że przypomnę - pod koniec czerwca dziewięćdziesiąt dziewiątego roku. Przyszedł do Wiesbaden z Krakowa jako załącznik do listu Jadwigi Eysymontówny. Siedziałyśmy akurat w czarownym różanym ogrodzie willi Roos (usytuowanej przy nie mniej czarownej Sonnenbergstrasse), Eliza odpoczywała po porannej kąpieli solankowej, a ja czytałam wiersze Marii Konopnickiej (bodaj z *Linii i dźwięków*), gdy posłaniec przyniósł pocztę. Rozpoznawszy pismo swojej ulubionej wychowanki, rozcięła kopertę i zdumiała się: prócz krótkiego liściku od Jadwisi był tam arkusz papieru zapisany gęsto równymi, pięknie cyzelowanymi, lecz nieznanymi jej literami. U dołu miał datę: *8 czerwca 1899;* i podpis: *Leon Płoszowski*.

- Czy to nazwisko coś ci mówi, Maryniu? - zwróciła się do mnie. - Jadwisia pisze, że jest to literacki pseudonim „członka uniwersytetu krakowskiego", a zarazem poety, który na razie „nie chciał się przedstawić". Ale uczyni to, gdy tylko przyjmę współudział w pracy nad powieścią, który to współudział mi proponuje, odrzucając z góry - cytuję fragment, na którym akurat zatrzymało się moje oko - „ wszelką możliwość odmowy"!

- Nic mi nie mówi pseudonim literacki tego tupeciarza - odparłam. - Ale skoro nasza Jadwisia go rekomenduje, to może nie jest tupeciarzem, tylko ... geniuszem, kto to wie?! Słuchała jego wykładów na kursach Baranieckiego, więc zna go z dobrej strony. Inaczej nie podejmowałaby się pośrednictwa między nim a tobą. Ciekawe, co on ci proponuje.

- Czytaj, Maryniu - rzekła, podając mi arkusz wydobyty z koperty. - Obie płoniemy z ciekawości.

Oto ów list, który tchnął nowe życie we wdowią egzystencję Elizy na pięć lat. Skopiowałam go dla siebie (za jej zgodą) i umieściłam w osobnym pudle razem z kopią jej odpowiedzi.

Czcigodna Pani potrafi ocenić, jak trudnym jest dla mnie list niniejszy, i dlatego zechce mi łaskawie wybaczyć, że unikam wielkiej stylizacji, która by mi się prawdopodobnie nie powiodła, i że prośbę mą zanoszę w słowach możliwie prostych i zwięzłych.

Tej wiosny poznałem dwa Jej dzieła: „Dwa bieguny" i „Melancholików". Następ-→

nie dowiedziałem się okolicznościowo, że Czcigodna Pani zamierza udać się tego lata do Wiesbadenu, a stamtąd do Szwajcarii lub Zakopanego. Wkrótce potem, z początkiem maja, po bezwiednym skojarzeniu się pojęć i wrażeń powstał we mnie naraz pomysł do dzisiejszego kroku. Powstał - podobnie jak na przykład wszystkie me najlepsze idee naukowe - zupełnie nagle, co jest dla mnie równocześnie rękojmią, że jest on rdzennie trafny, naturalny, szczęśliwy. A powstał tak stanowczo, żem się z nim natychmiast zrósł duchowo i zżył niebawem tak całkowicie, iż zmartwiłbym się niesłychanie, gdyby się nie dał urzeczywistnić. Chodzi o wspólną pracę, o książkę, która miałaby być dziełem sztuki, a nie traktatem, chociaż cała jej treść byłaby dwoistą. Nie śmiem zajmować tu Czcigodnej Pani pobieżnym chociażby zarysem owej treści, dodam tylko, iż rzeczy takiej nie było dotąd u nas ani zapewne w literaturze powszechnej. Zrazu z ogólnej mgły nic określonego nie mogłem rozeznać; później - jak i obecnie - z każdą chwilą jawią się przede mną nowe szczegóły, nowe rakietowe blaski, które całość coraz dokładniej oświecają. Będą to dwa żywioły. Ja dam niecierpliwe wybuchy młodości; obok walki ognia i wody - popiół naukowych analiz i wyciągnięty z nich piołun zwątpień. Pani da wytrawny miód mądrego i ciepłego serca i cichy balsam życiowego doświadczenia. Ja zajmę biegun księżycowo ognisty, Pani będzie stroną pogodną, mleczną, promienną. Tak jasno to wiem i całą piersią czuję, że i Pani znalazłaby w pracy tej zadowolenie szczere i pełne, że odrzucam z góry wszelką możliwość odmowy Jej współudziału. Dziś wszakże wypadałoby mi przede wszystkim wytłumaczyć w jakikolwiek sposób niezwykłość i niestosowność drogi, którą obrałem, aby zwrócić się z mą zarozumiałą prośbą do tak Wielkiej Autorki.

Oto powody, dla których popełniam tę niesłychaną niegrzeczność towarzyską, że narzucając się osobie tej miary przemilczam zrazu moje rodowe nazwisko. Ale mam przecież nadzieję, że Łaskawa Pani, czytając te słowa, przeczuje intuicją, iż stosunek autorski ze mną nie ubliżyłby Jej ani pod względem społecznym, ani literackim. Ufam zresztą, że drobna niewłaściwość w mym postępowaniu nie powstrzyma Jej od wyciągnięcia do mnie dłoni. Nie wymagam nic więcej jak tylko zezwolenia, abym bliżej wyjaśnił plan owej wspólnej pracy, i wiadomości, czy nie moglibyśmy się zjechać w lecie w jakim uzdrowisku celem osobistego porozumienia. Wprawdzie i praca par distance nie byłaby wykluczoną; jednak bezpośredni stosunek ułatwiłby ją niezmiernie. Gdyby kuracja Czcigodnej Pani miała się przewlec do drugiej połowy lipca, to byłbym gotów wybrać się do Wiesbadenu, jakkolwiek dla pokrzepienia sił nie potrzeba mi zwykle niczego więcej prócz Alp lub morza. Oby to jednak mogła być Szwajcaria! Jak cudną dekorację dla mającej się stworzyć walki dałoby na przykład Interlaken…

Miałbym jeszcze tyle do napisania, aby myśli mojej zapewnić powodzenie, lecz niepodobna nadużywać dużej cierpliwości Czcigodnej Pani. Polecam się tedy Jej dobrej woli.

- No i co teraz myślisz, Maryniu, o tym niby-Płoszowskim: tupeciarz czy może jednak geniusz? - spytała Eliza, wyraźnie podekscytowana.

- Może i geniusz - odparłam. - Ale i tupeciarz!

- Dlaczegóż to? - uniosła brwi. - List jest wręcz czołobitny.

- Ale i zuchwały - nie ustępowałam. - Autor, nie ujawniając swej tożsamości, żąda, aby najjaśniejsza gwiazda na naszym literackim firmamencie…

- Ależ Manitko, co też ty wygadujesz?! Kpisz sobie ze mnie i z tego młodego, nieprzeciętnie uzdolnionego człowieka…

- Daruj, Elizo, zagalopowałam się! W gruncie rzeczy uważam, że propozycja twojego tajemniczego korespondenta jest ogromnie kusząca. Zatem - niech i ja go zacytuję - nie powstrzymuj się od wyciągnięcia do niego dłoni.

- Skoro w tobie, Maniu, nasz marzyciel ma już sojuszniczkę, to nie mogę nie podać mu ręki. Tylko czy go nie rozczaruję? Czy znajdzie mnie taką, jaką chciałby znaleźć? Przecież nie! Bo takiej Orzeszkowej nie ma!

- Za to jest Orzeszkowa, która ma w sobie „wytrawny miód mądrego i ciepłego serca" oraz „cichy balsam życiowego doświadczenia". I ta go nie rozczaruje.

- Oj, Maryniu, Maryniu - westchnęła. - Jakże mało ty o mnie wiesz, moja Pocieszko!

Tydzień później, dokładnie dwudziestego dziewiątego czerwca, podczas kolejnej sjesty w różanym ogrodzie willi Roos, przeczytała mi list, który napisała do swojego tajemniczego wspólnika *in spe*, po czym poprosiła, bym go skopiowała i jak najprędzej oddała do wysłania.

- To nie taki sobie zwyczajny list, ale dokument, wstępna umowa określająca warunki współpracy z nieznanym mi człowiekiem, muszę więc mieć ją u siebie do wglądu - rzekła.

Zgodziłam się z nią i przepisałam rękopis. Dzięki temu mogę teraz słowami samej Orzeszkowej - a więc słowami-obrazami i słowami-emocjami - opowiedzieć o narodzinach owej osobliwej spółki pisarskiej i jej jedynego dzieła - najosobliwszej pod gwiazdami opowieści o Miłości. W każdym razie - dla mnie najosobliwszej.

Muszę przyznać, że ten jej pierwszy list do anonimowego wspólnika *in spe* to prawdziwe arcydziełko sztuki epistolarnej. Mistrzyni pióra o sercu pełnym dobroci i duszy anielskiej użyła środków, które poruszyły go widać do żywego, bo już drugiego lipca otrzymała od TADEUSZA GARBOWSKIEGO szczegółowy szkic powieści oraz wiersz. A oto ów list.

Silny słabemu, syty głodnemu nie uwierzy! Czy Pan uwierzy, że ja w tej chwili do żadnej pracy umysłowej zdolną nie jestem? Zawsze tak było, żem w lecie nie pisała. Pora moja: od października do kwietnia; potem - muza odlatuje i ani za skraj szaty pochwycić jej nie mogę. […] Więc gdybyśmy się i zjechali, choćby w samym raju ziemskim, ja teraz nie pracowałabym na współkę z Panem. Ale w zasadzie pomysł takiej współki bardzo mi się podoba. Tylko znowu nie wiem, czy nie uczynię Panu zawodu i czy mię Pan znajdzie tak „mlecznie" spokojną i niebiesko pogodną, jak Pan o tym pisze. Jednak spróbować można. Aby spróbować, aby nawet wiedzieć, czy warto próbować, trzeba przede wszystkim jasnej świadomości tego, co Pan zamierza. Jaki temat? Jaki rodzaj literacki? Jaka treść? Jaka forma? Niech mi Pan to jak najobszerniej i, o ile podobna, najrychlej opisze, abym tu jeszcze w Wiesbadenie przeczytać i zastanowić się mogła i nade wszystko doświadczyć, czy mię to dotknie, czy nie dotknie, czy pobudzi struny do grania, czy pozostawi je niemymi. Bo od tego cała możność roboty zależy. Gdy harfa wewnętrzna milczy, żadne bicze nie zmuszą do powstania myśli i wyobraźni. Jeżeli wynik będzie pomyślny dla pracy wspólnej, napiszę o tym Panu, zjedziemy się w Interlaken, pomówimy obszernie i potem współpracować będziemy, ja w Grodnie, pan tam, gdzie mieszka stale, przez pocztę. W przeciwnym wypadku, jeżeli pomysł nie dosięgnie mojej sfery wrażliwości, wszystko na nic.

Niezawodnie, że wołałabym wiedzieć, kto czyni mi zaszczyt wzywania mię do pracy wspólnej, i niedobrze rozumiem brak ufności w moją dyskrecją. Mógłżeby Pan podejrzewać mię o lekkomyślność wielomówną? Doprawdy, umiem być i studnią, i grobem. Ale jeżeli nie, to nie. Oryginalność postępków i sytuacji miewa niekiedy swój powab.

Utworów z podpisem Leona Płoszowskiego nie spotykałam, co przypisuję temu, że zapewne zjawiają się w literaturze galicyjskiej, którą, ku wielkiemu swemu żalowi, znam mało - et pour cause! Niechże mi Pan da łaskawie możność zapoznania się z utworami tymi!

Tu, w Wiesbadenie, zabawię jeszcze trzy tygodnie.

Listu Garbowskiego, poza małymi wyimkami, przytaczać nie będę, jest na to zbyt długi, zbyt zawiły. Ale i nie ma takiej potrzeby. Nie piszę przecież o *Ad astra*. Piszę o mojej przyjaciółce i o człowieku, który pojawił się w jej życiu, gdy po śmierci Stanisława popadła w melancholię. Minęły prawie trzy lata od owej grudniowej nocy, kiedy atak serca pozbawił ją „najważniejszego z ludzi", a Eliza wciąż - wedle określenia któregoś z lekarzy - „trwała w śmierci". Zdawało się, że nic już nie wyrwie biedaczki z martwoty, a jednak Garbowski dokonał tego, proponując jej współpisanie, a tak naprawdę wołając o pomoc. Czyż mogła pozostać obojętna wobec kogoś, kto jej bezgranicznie zaufał?! Jasne, że nie! Nie ona! Wszak z rozbrajającą, zgoła dziecięcą ufnością wyznał:

Potrzeba mi przy mych ciągłych rozterkach i rozniepokojeniach tyle słońca i porady, że nie mógłby mi ich nikt dostarczyć prócz Pani, do której wreszcie dotarłem. Przed nikim innym nie mógłbym tak duszy własnej wynosić na rynek. Często myślę o własnych myślach: co by też na to autorka „Braci", Eliza Orzeszkowa powiedziała?

Kreśląc plan powieści napisał:

(…) *Zaznaczenie dwu ważnych strun: samotności i początków apatii. "Otom w najgęstszej i świetnej fali życia; jednak od niej odłamany. Młodziutki, skarżyłem się w poezji z Alp, że wiecznie samotną muszę dążyć drogą i nieść samotnie ciężar mego ducha. (…)" TR widzi zanik dawnej wiary w ideały. Najgorsze te chwile, gdy człowiek mimowiednie, sam własny swój przegląd odbywając, spostrzeże tam rosnące braki, dogasające ogniska, żużle wypalone. Jest to największa tragedia bieżącego czasu (…).*

Reakcja Elizy na przedstawioną przez Garbowskiego koncepcję wspólnej powieści była niejednoznaczna: zaakceptowała temat i pomysł, lecz zanegowała formę i, co ważniejsze, kategorycznie odrzucała przeznaczoną dla niej rolę. Z nietajoną pretensją (cóż za brak wyobraźni u autora *in spe*!!!) pisała do Garbowskiego w liście z szóstego lipca:

„(…) przebyłam długie życie pracy wytężonej i myśli samotnej w najcięższych warunkach politycznych i okolicznościach osobistych, wśród których tysiąc dusz innych zapadłoby w otchłanie, ja zaś o tyle je zwyciężałam, żem nie przestała mieszkać w strefie ideału i mierzyć wszystko miarą ideału, co także nie przyczynia się do napełniania serca i myśli miodem. Więc trudno by mi było przez długość książki roztaczać białe i rzeźwiące skrzydła Anioła pociechy".

I poradziła mu, aby dobrał sobie do współpisania raczej Marię Konopnicką. Jednak, o dziwo, nie zrezygnowała ze spotkania z Garbowskim w Interlaken. A kiedy to nastąpiło, kiedy dwudziestego drugiego lipca powitał ją na dworcu w szwajcarskim kurorcie, a potem spędzili dwa tygodnie na rozmowach o wymarzonej przez niego książce oraz na wędrówkach po rajskiej krainie „między jeziorami" (czyli *interlaken*), Eliza wyzbyła się wątpliwości. Oczarowana „szwajcarskim Edenem", ujęta serdecznością i uczynnością nowego znajomego, z miejsca nabrała do niego przekonania. „Pomimo ogromnego oddalenia dat naszych narodzin - powiedziała mi po wspólnej wyprawie w wysokie Alpy - możemy sobie być serdecznymi i nawzajem rozpromieniającymi się przyjaciółmi". Dziś, po upływie dziesięciu lat, wierni wspólnicy-przyjaciele „rozpromieniają się" nawzajem nie bardziej, niż grudniowe słońce „rozpromienia ziemię", lecz jednak czynią to, czynią stale, niezmiennie…

A wracając do początków tej przyjaźni: Eliza Orzeszkowa wyzbyła się nieufności wobec tajemniczego korespondenta, gdy poznała jego prawdziwe nazwisko i dowiedziała się, że liczy lat trzydzieści i jest gruntownie wykształcony, a do tego utalentowany artystycznie. Urodził się w Złoczowie, studiował we Lwowie (między innymi pod kierunkiem słynnego profesora Benedykta Dybowskiego), ukończył studia na Uniwersytecie Wiedeńskim, tam uzyskał tytuł doktora filozofii w zakresie nauk przyrodniczych, tam też się habilitował, po czym, na zaproszenie Uniwersytetu Jagiellońskiego, podjął pracę w rodzimej uczelni i od niedawna mieszka w Krakowie. Ma spory dorobek naukowy, ponadto pisze i publikuje wiersze (pod wiadomym pseudonimem), komponuje i maluje. Jeśli chodzi o rodowód, to od strony ojca w prostej linii pochodzi od Zawiszy Czarnego z Garbowa, skąd nazwisko.

Nie było wątpliwości, że kandydat na wspólnika jest poważny, a propozycja przedstawiona pisarce nader interesująca, Eliza więc może ją przyjąć bez …

- Maryniu, bój się Boga! - cichy okrzyk Zosi wytrącił mi pióro z ręki. Nachyliłam się, by je podnieść, i jednocześnie spojrzałam w stronę drzwi. Widmowa w białej koszuli nocnej, z rozpuszczonymi długimi włosami, Zosia stała w progu z nocną lampką w dłoni i kręciła głową z dezaprobatą. Nim zdążyłam się odezwać, rzekła: - Czy wiesz, która godzina, Maryniu? Druga po północy! A ty pracujesz, jakby mało ci było dnia!

- A wiesz, że trafiłaś w sedno? Bo popatrz, ile tu tego - wskazałam górę listów piętrzącą się na biurku Elizy. - Wszystkie trzeba przeczytać, na wszystkie odpisać.

- Ale ty nie czytasz listów, Maryniu! - rzekła Zosia, podchodząc do biurka. - Ty piszesz. I nie jest to list. Przyglądam ci się od kilku chwil i widzę…

- Co widzisz, Zofio? No co? Piszę, bo muszę. Bo mam coś do napisania. Czyżbyś chciała mi tego zabronić?

- Ależ skąd! Co też ty, Maryniu! - objęła mnie i ucałowała. - Nie miałam zamiaru ci przerywać. Tylko że jest głęboka noc, a ty powinnaś spać. Wiesz przecież, czym się u ciebie kończy zarywanie nocy. Lekarze…

- Wiem, wiem, co mówią lekarze. Ale dlaczego ty nie śpisz, dziewczyno? Masz za sobą istny maraton nieprzespanych nocy. Nie musisz nadal czuwać, nie jesteś już sama.

- Spałam. Położyłam się wcześnie i przespałam spokojnie kilka godzin. Obudziły mnie szmery dochodzące z salonu. Poszłam tam. Eliza mówiła przez sen, a doktor badał jej puls. Nie obudziła się. Puls dobry.

- No to wracaj do łóżka, moja droga, a ja zaraz pójdę w twoje ślady. Śpij dobrze.

- Byłabym zapomniała o najważniejszym! - Panna Gorzkowska zawróciła od drzwi. - Dzwonili z poczty, że jest do ciebie telegram z Permu. Od Maksymiliana. Dostał urlop. Jest w drodze. Będzie w Grodnie jutro wieczorem… Maryniu, ty płaczesz?!

- Ze szczęścia, Zosiu! Z radości! Z ulgi, jaką poczułam! Tak się bałam, że nie dadzą mojemu mężowi pozwolenia na tę podróż… Ale idź już, idź, złotko, połóż się i prześpij.

Zosia zniknęła za drzwiami, a ja wcisnęłam się w fotel i zamknęłam oczy. Ledwo widoczny w kłębach pary Maks patrzył na mnie, siny z zimna, lecz uśmiechnięty, i machał ręką na znak, że … Otworzyłam oczy, wzięłam pióro do ręki i podjęłam urwaną opowieść.

Nie było wątpliwości, że kandydat na wspólnika jest poważny, a propozycja przedstawiona pisarce nader interesująca, Eliza zatem może ją przyjąć bez obaw. Tym bardziej że spodobał się jej od pierwszego wejrzenia, już na dworcu w Interlaken, zanim się czegokolwiek o nim dowiedziała, a potem podobał się coraz bardziej. Bo też traktował ją jak królową i matkę zarazem, w każdej sytuacji rycerski, czuły i opiekuńczy, pełen atencji i czci, a przy tym ujmująco delikatny i taktowny. Idealny kandydat i na współautora, i na powiernika. Bez dalszych wahań powiedziała mu: zgoda!

(Muszę wyznać, że liczyłam na to, bo i mnie spodobał się młody uczony, a we wspólnej z tym zapaleńcem pracy pisarskiej zobaczyłam szansę na odrodzenie mojej Najdroższej, która - jak już wspomniałam - od śmierci Mecenasa nie mogła wyjść z istnej czarnej dziury, jednak zdawałam sobie sprawę, że jest też bardzo schorowana i wątła fizycznie. Ale ona przemogła się! Przezwyciężyła apatię i słabość! I podjęła wyzwanie! Wielka Eliza Orzeszkowa, królowa polskiej powieści, zgodziła się połączyć swój wspaniały głos z głosem nowicjusza na pisarskiej niwie, i to anonimowego, jako że zastrzegł on sobie anonimowość i przybrał nic nikomu niemówiące nazwisko Juliusz Romski.)

Tak więc w Interlaken powstała pierwsza i jedyna w swoim rodzaju spółka autorska. Wspólnicy uzgodnili zasady współpracy (ustalili też tytuł powieści) i rozstali się, ale rozmowa między nimi nie ustała, przeciwnie, trwała nadal, ożywiona, gorąca, zmieniwszy jedynie formę na epistolarną. Już szóstego sierpnia Eliza pisała do Garbowskiego list z Zurychu (dokąd udała się na spotkanie z ulubioną Marią Konopnicką), a potem pisała doń codziennie. Jakby usiłowała przedłużyć ten „dziwnie piękny sen, może miraż", jakim było dla niej spotkanie z Garbowskim w „szwajcarskim Edenie". Ktoś mógłby pomyśleć, że jest w nim zakochana, że zadurzyła się niczym pensjonarka, ale myliłby się. Ona po prostu potrzebowała na co dzień kogoś bliskiego i serdecznego, z kim mogłaby dzielić się myślami, odczuciami, wrażeniami, niepokojami i troskami. Któregoś dnia sama mi rzekła, że Tadeusz Garbowski wplótł w jej życie promień, który „w mroki codzienne poniesie" i ku któremu wzrok obróci, gdy jej będzie bardzo, bardzo ciemno. Tak jakoś brzmiały te słowa. Biedna, biedna Eliza! Jakże była samotna!

Po raz drugi spotkali się po roku, między dziesiątym a osiemnastym sierpnia, w bawarskim kurorcie Kissingen i wspólnie przeczytali gotowe fragmenty *Ad astra*. Następnych spotkań nie było. Wprawdzie Eliza zapraszała Garbowskiego do Grodna, on zaś namawiał ją na przyjazd do któregoś z zagranicznych kurortów, w którym miał zamiar odpoczywać, ale na słowach się skończyło. Czar prysnął i nastąpiło znaczne ochłodzenie stosunków między wspólnikami. Ale stało się to dopiero w grudniu roku następnego, tysiąc dziewięćsetnego. Poprzedzające miesiące były dla Orzeszkowej i Garbowskiego miesiącami miodowymi: z Grodna do Krakowa płynęły listy giganty i kartki-sygnały, ona płonęła twórczym zapałem, on zaś zapewniał ją o „ważności grodzieńskiej spójni", o tym, że jest jego „duszy potrzebna", i tym podobnie. Jesienią wszakże zamilkł, a czwartego grudnia Orzeszkowa otrzymała list, który ją zmroził. Przytoczę go, bo ukazuje nieznane i niepiękne oblicze Garbowskiego.

Że Droga Pani, że Osoba uczyniona kotwicą dla mojej nawy pełnej w przyszłości płomieni błękitnych zmarnowała pół zimy, umiejąc pisać arkusz na dzień, na to nie wyrzekam, bom sam grzeszny; żałuję jednak, że stała się przez to strata niepowetowana. Liczyłem na to, że do połowy grudnia będę miał poza sobą Giessbach, a na porę wakacji świątecznych Lodowce i Wiedeń. Teraz zaś, gdyby nawet praca szła w należytym tempie, to nie skończy się chyba pierwej jak w połowie lutego. Ale w marcu powinny już gwiazdy koniecznie ujrzeć światło dzienne! One mają być próbą mojego lotu - a mam sto przyczyn, dla których niecierpliwość moja rośnie (i obawa, aby wcześniej burze nie rozniosły statku…).

To prawda, że praca nad powieściądwugłosem szła jak po grudzie i ciągnęła się w nieskończoność; że wspólniczka zasypywała wspólnika listami, które, być może, nużyły go, nudziły i, w jego mniemaniu, zabierały mu bezcenny czas; że równocześnie pisała inną powieść (*Anastazję)*. Ale prawdą jest także, że ten zarozumialec potraktował ją, wielką Orzeszkową, niegodziwie i nieuczciwie, bo - instrumentalnie! Gdy ona widziała w nim wspólnika-przyjaciela, on miał ją za kotwicę „swojej nawy"! Zrozumiała to, przebolała, wybaczyła mu, co więcej, wytłumaczyła się przed nim i przeprosiła go, gdyż zależało jej na ukończeniu tej wspólnej wędrówki do gwiazd. Ale miesiące miodowe minęły bezpowrotnie, listy Garbowskiego przestały być dla Elizy życiodajnym źródłem. „Ton mego pisarskiego jestestwa - rzekła mi kiedyś - przy każdym chłodnym powiewie obniża się do *pianissima* zupełnego o sobie zwątpienia, które pociąga za sobą milknięcie wszystkich wewnętrznych pieśni".

Chłodnych powiewów było dużo, na koniec została z *Astrami* sama. Bowiem jesienią dziewięćsetnego drugiego roku Garbowski zamilkł. Daremnie prosiła, błagała, apelując nawet do jego honoru, by dosłał brakujące rozdziały, bo „Biblioteka Warszawska" zaczyna drukować utwór w odcinkach. W końcu zdesperowana dopisała te rozdziały sama. Wcieliła się w Tadeusza Rodowskiego i przemówiła „męskim" głosem. Uczyniła, co mogła, aby ich wspólny ich trud nie poszedł na marne.

A potem zrobiła coś jeszcze: wielkodusznie zadbała o to, aby przyjaźń między nią a eks-wspólnikiem, mimo wzajemnych rozczarowań, nieporozumień i kryzysów, przetrwała, choćby i w formie namiastkowej. Pisywała więc do niego - odpowiadając na jego listy lub kartki - nieczęsto i niezbyt obszernie, ale nader uprzejmie i przyjaźnie do końca swoich dni. Ostatnie słowa, jakie skreśliła do pana Tadeusza, nosiły datę 16 kwietnia 1910 i brzmiały: „Żyję jeszcze - pamiętam wiernie, wspominam serdecznie, wszystkiego, co na ziemi słońcem jest i kwiatami, życzę gorąco".

Jakże jej nie kochać i za to?!

Maria Jentys-Borelowska

Marta Fox

Paznokcie

Którą część swojego ciała uważasz za najładniejszą,
pyta dorastająca córka. Nie wiem, co odpowiedzieć.
Jestem z pokolenia, które nie wpatrywało się w ciało,
jak w przenajświętszy obrazek.

Już wiem, mówi. Najładniejsze masz paznokcie.
Uśmiecham się. Rzeczywiście, kształtne.
Nie przyszło mi do głowy, że i one są ciałem.

Jak się czujesz, pyta zaprzyjaźniony lekarz.
Choroba zniszczyła mi paznokcie, żalę się
i wsuwam ręce głębiej w rękawy swetra.
Kiwa głową, bo kto jak nie on, wie najlepiej,
co choroba zrobiła z jego żoną.

Na chuj ci paznokcie, wykrzykuje radośnie.
I nagle wszystko wraca na swoje miejsce.

2019

Kaczory

Kaczory opanowały sadzawki obok mojego domu.
Pysznią się kolorowymi piórami. Pływają to tu,
to tam, beztrosko, jakby nic im nie groziło.
Kaczka matkuje kilkunastu kacząt kom.
Ależ rodzina, mówię do rybaka siedzącego przy brzegu.
Jeszcze wczoraj pływały tu dwie, każda ze swoimi,
mówi rybak. Ale ktoś jedną upolował,
więc ta druga przygarnęła sierotki.
Dobra kobieta, mówię.
Tylko kaczory skurwysyny, mruczy rybak,
swoje zyskały i w długą poszły.

2023

Czytanie poety

Ludwiku Filipie, rozgościłeś się we mnie,
rozkrzewiłeś, rozpanoszyłeś nawet
i otwierasz mnie słowami, jak wieko skrzyni,
która nie trzeszczy, choć zmurszała.

A ja się nie buntuję, nie złorzeczę,
wprost przeciwnie, przytakuję,
masz rację, potwierdzam, a kto ma
rację, ten stawia kolację.

Spotkamy się, Poeto, choć nie wiadomo,
czy w mieście, z którym kiedyś wiązałam
miłość w pętlę i skrzek mew, czy w tym,
gdzie kopalniane szyby pysznią się,
gdzie tylko oczy zwrócę.

A może w kolejnym Twoim wierszu
o porządkach, które uczynią nas
jasnymi i czystymi, tylko pośpiesz się,
proszę, bym nie sczezła na amen,
jak tylu ludzi, których Ci umarło.

2019

Wyrzucanie

Wyrzucanie to ostatnio
moja wielka przyjemność
robię to z namaszczeniem
rzecz po rzeczy
przedtem ją głaskam
wspomnę co się z nią wiązało

Kiedy mnie już nie będzie
czyli gdy umrę
(trzeba się oswajać z tym słowem)
córki posprzątają mnie szybko
wywracając szuflady do góry dnem
bez żadnej przyjemności

Więc pomyślałam że takiej krzywdy
im nie zrobię

2020

Znikanie

„Znikam” to ulubione słowo tych
którzy wypatroszyli się na nice
i pozostało im tylko znikanie
Znikanie to otaczanie się tajemnicą
Tajemnica to jedyna szansa
na intrygującą codzienność
Codzienność to dobry czas na znikanie
bo łatwiej znikać codziennie niż w święto
Święto jest dla tych którzy już zniknęli
i mogą zaczynać od nowa

Gdziekolwiek

Tadeuszowi Siernemu, mojemu wydawcy

Gdziekolwiek teraz jesteś
I tak cię nie ma
Nic już nie zaplanujemy
Nie narozrabiamy
Nie popatrzymy na to samo
I nie wywrócimy literatury
Na drugą stronę

2023

Nie fruwam

Coraz mniej romantyczna jestem
Już nie fruwam Z dnia na dzień
mocniej trzymam się ziemi
jakby w obawie że ktoś zechce
mnie wyrwać jak uschnięty chwast

Drażni mnie bredzenie o boskiej mocy
która tkwi w każdej z nas
i boskim ogniu który trzeba
nieustająco podsycać Nawet już
nie chcę słuchać o wewnętrznym dziecku
oczekującym przytulenia

Wolę namacalne konkrety
lampę o ciepłej jasności
czysty blat biurka
smak jabłka ze skórką
i whisky
która czym starsza
tym lepsza

Jak ja

2023

Wspomnienie

Zazdrościli mi ciebie wszyscy,
obstawiali zakłady, czy spałeś ze mną, czy nie.
Woleli wierzyć, że tak, bo to by znaczyło,
że mnie porzucisz, jako ich porzuciłeś.

Opowiadali o bezeceństwach, jakie wyczyniałeś.
Mieli nadzieję, że stracę cierpliwość.
Jeden rwał dla ciebie złoty ząb, druga urodziła ci syna,
trzeci siedział na parapecie jak Ptasiek i wył do latarni.

Też chciałam ci się przypodobać,
więc wyprałam sznurówki twoim butom.
Wiązałeś je potem pod szyją jak czarną aksamitkę.

Przychodziłeś nocą albo nad ranem,
Foxy lady, śpiewałeś, jak Hendrix.
Obiecywałeś, że dla moich piersi
zdradzisz nawet Paryż.

Teraz zimno wszędzie i głucho,
tylko ciarki przelatują po plecach,
kiedy bez ciebie słucham violi da gamba
z wszystkich poranków świata.

2018

ESEJ

Bogusław Żyłko

TRZEŹWY GŁOS O TRZEŹWYM GŁOSIE Z ROSJI

Rosja pod rządami Władimira Putina stopniowo wraca w swoje stare koleiny autorytarnego państwa. Ten proces w ostatnich latach mocno przyspieszył. Zamyka się niewygodne dla władzy niezależne media (stacje radiowo-telewizyjne, czasopisma), likwiduje się placówki i organizacje pozarządowe (na przykład zasłużony dla badań nad stalinizmem i przywracania pamięci jego ofiar „Memoriał"), ogłaszając ich „agentami zagranicznymi". Imperialna propaganda leje się szerokimi strumienia z państwowych mediów, skutecznie zatruwając umysły Rosjan. Jej krytycy zostali albo wypchnięci za granicę i stamtąd nadal próbując oddziaływać na to, co się dzieje w Rosji, albo nadal działać w kraju, korzystając z kanałów internetowych (do sieci przeniosło się między innymi radio „Echo Moskwy").

Dlatego warto odnotowywać każdy nieliczny głos, pochodzący z instytucji państwowej, nie tyle nawet przeciwstawiający się aktualnej linii politycznej, czyli putinowskiemu systemowi, wprowadzanemu już bez żadnych przykrywek słownych, ale po prostu odwołujący się do oczywistych faktów i apelujący do zdrowego rozsądku.

Do takich głosów należy niewątpliwie zaliczyć artykuł Walerija Garbuzowa, dyrektora Instytutu USA i Kanady Rosyjskiej Akademii Nauk, opublikowany na łamach moskiewskiej „Niezawisimoj gaziety" 29 sierpnia 2023 roku, poświęcony „utraconym iluzjom odchodzącej epoki". Warto przedstawić jego główne tezy.

Autor zaczyna od zwrócenia się ku historii Rosji i przypomnienia *constans* tej historii. Był nim zewnętrzny polityczny ekspansjonizm, który w pełni objawił się w 1721 roku, kiedy Piotr I ogłosił się imperatorem, a Rosja zyskała status imperium. Jego geograficzny ogrom w połączeniu z sakralizowaną postacią monarchy napawał Rosjan dumą, umiejętnie podbudowywaną przez ideologów mitami, przekazywanymi szerokim masom w celu manipulowania świadomością społeczną.

Po przewrocie październikowym w 1917 roku bolszewicy podchwycili ideę rosyjskiego ekspansjonizmu, nadając mu nowe zabarwienie i nową globalną skalę. Rewolucja bolszewicka miała przekształcić się w permanentną światową rewolucję proletariacką, w którą mocno wierzyli pierwsi jej przywódcy, z Leninem i Trockim na czele. Rewolucja światowa, jak wiadomo, nie udała się, ale powstało nowe imperium, które po II wojnie światowej poszerzyło swoje wpływy, budując obóz tzw. „demokracji ludowej" ze swoją mitologią, opierającą się na kilku stereotypach.

Jednym z nich była teza o „amerykańskim imperializmie, ogarniającym cały glob ziemski i uniemożliwiającym reszcie świata nieuchronne zbliżanie się ku świetlanej komunistycznej przyszłości. To, że zewnętrzny polityczny kurs ZSRR w latach zimnej wojny był jego zwierciadlanym odbiciem, dziś mało, kto o tym wątpi. Dwa supermocarstwa wzajemnie się szachowały, wykorzystując te same instrumenty dla stworzenia własnych sfer wpływu geopolitycznego".

Zarazem rozpowszechniano jeszcze jedną wyssaną z palca tezę – o nieuchronnym zmierzchu kapitalizmu, który osiągnął swoje ostatnie stadium – stadium imperializmu ze swoimi konkurującymi ze sobą ośrodkami – USA, Europą Zachodnią i Japonią. Przeciwstawiał się mu obóz postępowy, w którym wyróżniano trzy główne siły: kraje socjalistyczne, światowy ruch komunistyczny i antykolonialny ruch narodowo-wyzwoleńczy. Ich wspólne wysiłki powinny były doprowadzić do zburzenia świata kapitalistycznego i zwycięstwa komunizmu.

Powstał całkowicie utopijny, fałszywy obraz świata, wpajany społeczeństwu przez dziesięciolecia. Jednakże realia okazały się zupełnie inne. Oczekiwany „kryzys kapitalizmu" nie nastąpił i nie doprowadził do zwycięstwa komunizmu na świecie. „Odwrotnie, to Związek Sowiecki rozpadł się pod ciężarem wewnętrznych, głębokich sprzeczności i razem z jego rozpadem wywrócił się system socjalizmu, który znalazł się w ślepym zaułku".

Tymczasem na Zachodzie sytuacja ułożyła się całkiem inaczej. „Przezwyciężając kryzysy, zachodni kapitalizm nie umierał, lecz ewoluował głównie w kierunku socjalistycznym i neoliberalnym. Kierując się zasadą 'chcesz przeżyć – musisz się zmienić', coraz bardziej poddawał się regulacji przez państwo, stawał się coraz bardziej ludzki i pociągający dla własnych obywateli. Społeczna odpowiedzialność państwa i biznesu stała się normą świata zachodniego. Ta zdolność kapitalizmu do adaptacji pod wpływem kryzysów przy pozbywaniu się własnych wad, zdolność do stałego rozwoju i doskonalenia się okazała się poza polem widzenia 'przenikliwych' myślicieli radzieckich".

Autor następnie przenosi się do dzisiejszej Rosji i jej miejsca w na mapie politycznej świata. Przytoczmy dłuższy fragment z jego rozważań:

„We współczesnym świecie istnieją tylko trzy mocarstwa, posiadające własne globalne programy: USA, Chiny i Rosja.

Przede wszystkim USA, które w ciągu całej swojej historii sformułowały własny program geopolityczny na podstawie idei amerykańskiej wyjątkowości i mesjanizmu, uniwersalizmu wartości amerykańskich, amerykańskiej dominacji i niepodważalnego przywództwa. Prowadząc politykę globalnego ekspansjonizmu, rozpowszechniając poza swoje granice własne wartości i instytucje, przekształciwszy się w drugiej połowie XX wieku w nieformalne imperium współczesnego świata, na długo przyswoiły sobie status głównego supermocarstwa na planecie.

Chiny stosunkowo niedawno weszły na drogę formowania własnego globalnego kursu. Podstawowymi jego etapami stały się reformy Denga Xiaopinga, polityka „Jeden pas – jedna droga" i koncepcja „Stworzenia wspólnoty jednego losu ludzkości". Wszystkie one tak czy owak są skierowane na osiągnięcie przez Niebiańskie Imperium czołowych pozycji na drodze ku światowemu postępowi.

Jedno jest jasne: USA i Chiny to dwa nieformalne imperia współczesności. Przy czym te obydwa imperia, powstałe w różnych częściach świata, w różnych epokach, są bardzo podobne pod względem metod poszerzania swego globalnego wpływu. Nieprzypadkowo również główna oś konfrontacyjna współczesnego świata przebiega właśnie pomiędzy nimi.

Rosja zaś ma swoją – szczególną – orbitę. Będąc główną spadkobierczynią utworzonego na ruinach Rosyjskiego Imperium radzieckiego supermocarstwa, okazała się ona zakładnikiem własnego kompleksu imperialnego. Właśnie tym się tłumaczy jej dzisiejsze zachowanie i te problemy, jakie stwarza ona światu.

Nie jest tajemnicą, że po rozpadzie imperiów kolonialnych wszystkie metropolie zaczęły przeżywać nostalgię po utraconej wielkości – tak zwany syndrom postimperialny. Uformował się on praktycznie od razu, kiedy stało się jasne, że dawna potęga kolonialna legła w gruzach. (…)

Rosja, która dzisiaj przeżywa skrajnie chorobliwy syndrom, również próbuje sformułować własny globalny program geopolityczny. Ale na razie jest on zbyt chybotliwy, chwiejny i eklektyczny. Widać, że program (a raczej zestaw wytycznych) oparty jest na pomieszaniu rozmaitych idei: eurazjanizmu, „rosyjskiego świata", agresywnego antyamerykanizmu, walce ze światem jednobiegunowym i ze „zgniłym" Zachodem jako takim".

Do tego programu wchodzi także idea „suwerennej demokracji", „głębinowego narodu", tęsknota za tradycyjnymi wartościami i wiary prawosławnej. Ta cała mieszanina – zdaniem Walerija Garbuzowa – przypomina słynną formułę, wymyśloną dawno przez Siergieja Uwarowa, ministra oświaty za panowania Mikołaja I, będącą oficjalną ideologią rosyjskiego monarchizmu. Chodzi o triadę „Prawosławie. Samodzierżawie, Narodowość", która jest obecnie reaktywowana w Rosji w nowym opakowaniu.

I dalej autor pisze:

„Współczesna Rosja, będąca głównym kontynuatorem ZSRR i ogarnięta nostalgią po dawnej wielkości i utraconych wpływach, przeżywająca dziś spóźniony postimperialny syndrom, pomimo swego małego udziału w światowej gospodarce nadal dysponuje dużym ekspansjonistycznym ładunkiem i na razie jeszcze nieujawnioną ambicją globalnego geopolitycznego oddziaływania.

Mając bogate doświadczenie komunistycznego ekspansjonizmu, związanego z działalnością Kominternu, szybko utworzywszy po zwycięstwie w drugiej wojnie światowej sferę własnego regionalnego i globalnego wpływu, a wraz z rozpadem ZSRR błyskawicznie ją utraciwszy, Rosja usiłuje na razie bezskutecznie zrewanżować się z pewnym opóźnieniem Zachodowi".

Temu celowi podporządkowana jest strategia energetyczna Rosji i podejmo-

wane przez nią próby zjednoczenia wokół siebie byłych kolonii w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej i wciągnięcia ich w walkę z dawnymi metropoliami. Rosja w taki sposób chce zostać liderem „globalnej większości" i przeciwstawić się dominującemu w świecie „złotemu miliardowi".

Rosyjski amerykanista pisze:

„Jednakże stworzyć realną konkurencję dla USA i Chin i przekształcić się w samodzielną geopolityczną antyzachodnią lokomotywę dotąd Rosja mimo wszystko nie potrafiła. Zresztą wątpliwe, czy za pomocą znowu kreowanej mitologii państwowej jest to w ogóle możliwe.

Cel tego wszystkiego jest całkowicie oczywisty. Jest nim pogrążenie własnego społeczeństwa w świat iluzji i nieukrywane, celowe bezterminowe utrzymanie władzy z towarzyszącą mu wielkomocarstwową, patriotyczną retoryką oraz zachowanie własności i reżymu politycznego przez obecnie rządzącą elitę i zintegrowaną z nią oligarchię.

W warunkach epoki informacyjnej, zastępując realia iluzjami, Rosja jakby zastygła w przeszłości, nadal pokładając nadzieję w carze-ojczulku lub w innej twardej ręce władzy najwyższej, starając się przy tym bezskutecznie odzyskać dawną wielkość, utracone terytoria i wpływ światowy".

Autor artykułu bardzo dobitnie przedstawia główny motyw swojej wypowiedzi: chodzi o mity, wprowadzane do masowej świadomości społecznej, które mają konsolidować społeczeństwo wokół aktualnej władzy w celu osiągnięcia określonych celów. Wśród nich tworzenie obrazu Zachodu (głównie USA), jako wrogiej siły, egzystencjalnie zagrażającej Rosji. I kończy swój wywód następującą generalną konstatacją:

„Wiedza, a nie mity o innym narodzie i państwie pozwalają zrozumieć nie tylko jego, ale i siebie samego, po ukształtowaniu wszechstronnego i zarazem krytycznego poglądu na własny kraj, na jego historię ze wszystkimi trudnymi stronicami, z jej złożoną i tragiczną przeszłością, nawet jeśli ona była przemieszana z ogarniającymi społeczeństwo iluzjami. Co prawda, już dawno i bezpowrotnie utraconymi".

Jak się można było spodziewać, reakcja strony „trzymających władzę" i ich propagandystów była natychmiastowa. Już następnego dnia, czyli 30 sierpnia w „Wieczorze Władimira Sołowjowa", stałej audycji w moskiewskiej telewizji, wystąpienie Walerija Garbuzowa zostało ostro skrytykowane (wracano do niego w tej audycji jeszcze parokrotnie), a samego autora uznano niemal za amerykańskiego agenta (wykorzystując fakt, że był swego czasu stypendystą Fundacji Fulbrighta). Uczestniczący w tych pseudodyskusjach reżyser, Karen Szachnazarow, uznał, że artykuł Garbuzowa wyraża ideologię części społeczeństwa rosyjskiego i w tym sensie jest pożyteczny, choć w całości jest nie do przyjęcia, a Instytut, powołany jeszcze w czasach ZSRR do ideologicznej walki z Zachodem przekształcił się w Instytutu do walki z Rosją. Sam prowadzący powiedział (i to jest główny zarzut), że autor pisze nie jako uczony, ale jako obywatel Federacji Rosyjskiej, choć robi to w imieniu Instytutu. A tego – zdaniem Sołowjowa – czynić nie wolno.

Natychmiast zareagowały też władze Akademii Nauk. Garbuzowa szybko pozbawiono stanowiska szefa Instytutu (nawet w ZSRR Akademia Nauk cieszyła się pewną autonomią - na przykład Andrieja Sacharowa, bezkompromisowego krytyka reżymu, nigdy nie pozbawiono jej członkostwa) i na nic się zdały oświadczenia pracowników Instytutu USA i Kanady, jak i samego Garbuzowa, wyjaśniające istotę ich działalności. Najbardziej putinowskich propagandystów dotknęły chyba słowa o postępującej „pełzającej restauracji stalinizmu" i „pseudopatriotycznym szaleństwie", jakie ogarnia dziś społeczeństwo rosyjskie, bezmyślnie łykające wszystkie tezy totalnej propagandy.

Ten przypadek bardzo wyraziście mówi o sytuacji, w jakiej znalazła się myśląca i krytyczna wobec obecnej władzy część Rosjan. Dyskurs publiczny został skutecznie spacyfikowany. Poza kontrolą działają jeszcze kanały w sieci, do których przeniosły się niezależne media (na przykład radiostacja „Echo Moskwy"). Dlatego tym bardziej warto odnotowywać takie niezależne głosy, które pojawiają się w bardzo już ograniczonej przestrzeni publicznej.

Bogusław Żyłko

Nadieżda Aleksandrowna Teffi

GILOTYNA

„Z uczuciem prawdziwej wdzięczności memuary te dedykuję Trockiemu”

przełożyła Krystyna Śmiechowicz

Ponieważ po zgilotynowaniu już nie będę mogła napisać tych wspomnień, zmuszona jestem napisać je teraz.

I nie ma to żadnego znaczenia, bo już dawno zauważyłam, że moja przyszłość prawie nie różni się od moich marzeń o niej.

Dlatego bez obaw piszę to, co dotyczy przyszłości, przekonana, że się nie pomylę.

* * *

Zaledwie wieczorem usiedliśmy do kolacji, gdy weszła Wiera Walerianowna.

- Ja tylko na minutkę! Bardzo się spieszę.

- A ty dokąd, posiedź z nami.

- Nie mogę, mam mało czasu. Wpadłam tylko się pożegnać jutro mam zostać zgilotynowana.

- Kochana! - ucieszyliśmy się, jak to dobrze się składa! Przecież nas wszystkich też wyznaczono na jutro

- Zanocuj u mnie - powiedziałam. - Pojedziemy wszyscy razem. Po co będziesz się tłuc na Plac Pałacowy aż z Galernej. Ode mnie jest przecież bliżej. A dzisiaj jeszcze razem dokończymy konfitury z poziomek.

- Z trudem ją namówiliśmy.

- Wiesz, w ostatniej chwili zawsze jest jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

Bardzo się ucieszyłam - razem będzie weselej, niż stać tam, może nawet trzy godziny, samotnie, w oczekiwaniu na swoją kolej. Mówią, że wczoraj z powodów ekonomicznych zastrajkowali ścinacze wykonujący egzekucje i przez pięć godzin trzymali publiczność na mrozie. Delegacja obsługujących gilotynę zwróciła się do skazanych z prośbą o poparcie ich żądań, ci odnieśli się do sprawy ze zrozumieniem i obiecali, że w tej wyjątkowej sytuacji też ogłoszą strajk i dopóki rząd nie pójdzie na ustępstwa żaden wyrok nie zostanie wykonany. Po pięciu godzinach incydent został zażegnany. Tym niemniej kolejki są po prostu skandaliczne! W jedną stronę ciągną się prawie do Newskiego, w drugą do Mostu Pałacowego, a z trzeciej zakręcają daleko za Ermitaż. Gilotyna mimo nowej technologii i napędu elektrycznego pracuje wolno. Więc gdzie tu sens; odrąbują na raz pięćset głów, ale najpierw tych pięciuset ludzi muszą po kolei poukładać. Tylko ścisk i bałagan. Na mrozie stać trzeba nawet i dwie godziny. Oburzona publiczność narzeka, że podatki to potrafią ściągać, ale niczego porządnie nie potrafią zorganizować. Pomyśleć tylko - po tamtej stronie siła władzy. Tu siła głupca - na własną zgubę. W pewnym stopniu publiczność ma rację. Czy nie należałoby wymyślić jakiegoś systemu kartkowego. Albo, zamiast jednej, postawić gilotyny dzielnicowe? Na takich rozmowach upłynął nam czas do godziny dwunastej. Zdarzyło się sporo zabawnych historii. Mówiono, że nasze modnisie wymyśliły na tę okoliczność specjalną perukę *à* la Marie Antoinette. Płaciły za nią bajońskie sumy. Ale czy jest tego warta? Z powodu wilgoci wszystkie te peruki momentalnie tracą fason i ogólnie wyglądało to dość idiotycznie, gdy taka Marie Antoinette stała razem ze wszystkimi w kolejce. Inaczej wyglądało to w czasie francuskiej rewolucji. Wtedy kobieta wchodziła na szafot, jak na scenę. Publiczność patrzyła tylko na nią. Każdy mógł ją podziwiać. Wtedy naród interesował się gilotyną, bo każdego przyciągała i przerażała. Wynalazcę traktowano jako istotę nadzwyczajną i tajemniczą. Podrostki na ulicach wyśpiewywały o nim piosenkę;

Guillotine,
Médecin,
Politique.1

Oprawca także był kimś, przyciągał uwagę wszystkich.

- Monsieur de Paris.

Teraz to już nie to samo. Teraz gilotyna to produkt masowy, obsługują ją zwykli robotnicy, a wszystko odbywa się pospolicie i banalnie. Wszystkie te pretensje, ambicje, zakusy, by przydać sprawie uroczysty, godny podziwu ton, są śmieszne i głupie. Kiedy wreszcie dorośniemy i będziemy mieć właściwe podejście do takich drobnych codziennych spraw naszego życia. Jednak rosyjski naród szybko przywykł do gilotyny, aż dziwne, że dawniej jej nie było. Teraz odnosi się do niej dobrodusznie tak, jak tylko on to potrafi, nazywając ją „Gilotyna Iwanowna”

Kol' nie staniesz k imieninam
Pirogi mnie strjapat',
Ja pojdu na gałotiny
Gołowy ottjapat' 2

Właśnie takie ludowe przyśpiewki układano.

Wstaliśmy wcześnie rano.

Prawdę mówiła Wiera Walerianowna, że w ostatniej chwili zawsze jest dużo spraw do załatwienia. Około dziewiątej przyszedł Michel przyjaciel naszej rodziny. Udało mu się zamienić w kolejce z jednym ze swoich współpracowników i będzie zgilotynowany razem z nami. Przez ten czas gdy piliśmy herbatę coś tam przegryzając, wybiła godzina dziesiąta i należało się zbierać

Michel, to człowiek niezastąpiony! - zrobił nam na drogę kanapki.

- Może się zdarzyć, że zgłodniejemy, gdy w kolejce przyjdzie stać ze trzy godziny. Na koniec gotowi wychodzimy na ulicę. Dorożkarza, oczywiście, żadnego. Na tramwaj nie ma co liczyć, nie wciśniemy się. Do ulicy Sadowej doszliśmy pieszo.

- Taka przykrość, narzekała Wiera Walerianowna. - Od samego początku pech. Nie zapowiada to niczego dobrego.

W zasadzie, to ona zawsze była przesądna.

Dochodząc do Siennej natrafiliśmy na dorożkarza.

- Trzy czerwońce?3

Chyba postradałeś rozum! Przecież nie jedziemy się bawić, mamy do załatwienia sprawę. Będziemy zgilotynowani.

- Mnie tam wszystko jedno, zamruczała przez nos broda wyglądająca spod nasuniętej czapki. Wszystko mi jedno dokąd was niesie. Inni na waszym miejscu jeszcze by dodali, skoro ostatni raz jadą dorożką.

- A dlaczego mamy tobie dawać więcej?

- Bo wam, to dobrze - „mamrotała broda” - zetną wam głowy i koniec problemów. A ty - haruj, konia wykarm, a owies teraz...

Bierz dwa czerwońce - przejął targowanie Michel. - Dobrze pojedziesz - dołożymy

- Znam ja was dobrze - teraz to już całkiem rozzłościł się dorożkarz. - Dla nas to też nie jest dobry interes skazańców wozić. Na przykład, niedawno wiozłem takiego jednego, też się zarzekał. „Dołożę, na pewno dołożę, a jak tylko podwiozłem do gilotyny - mówi: Poczekaj chwilkę, rozmienię pieniądze, mam milion w jednym banknocie.” Zeskoczył i myk w tłum. Czekałem, czekałem, na koniec zlazłem z kozła i poszedłem go szukać. Czy ktoś z was - towarzysze - nie widział takiego czarnego w burej cyklistówce? A oni w śmiech i mówią: „czy to przypadkiem nie ten?” Patrzę - a on podły już zgilotynowany i głowa toczy się po śniegu! Ta wesoła historia, którą opowiedział dorożkarz wprawiła nas w dobry nastrój. Jednak w samą porę trafił się nam inny dorożkarz i pojechaliśmy. Na Placu Dworcowym mnóstwo ludzi. Powozy, motocykle, piesi. Mimo to nie odczuwa się tłoku prawdopodobnie dlatego, że na domach i płotach pojawiły się wezwania Trockiego, by porządku pilnowali sami gilotynowani. Rozliczyliśmy się z dorożkarzem, dając mu napiwek, a on... „życzę pomyślności”.

Masa znajomych! W jednej z kolejek zobaczyłam Olgę Nikołajewna i Natalię Michajłowną. Obie w perukach à la Marie Antoinette, z jakiegoś powodu nie upudrowanych, a rudych. Twarze miały posiniałe od mrozu i prawdę mówiąc nic w tym pięknego nie było. Publiczność zabawiał bliżej nieokreślony ogolony młodzieniec. Mówiono, że konferansjer jakiegoś małego teatrzyku. Pomiędzy kolejkami nurkowali młodzi gazeciarze, sprzedawcy gorących napojów i gorących pierożków. Michel chciał spróbować, ale wyperswadowałam mu, że są brudne i pachną łojem od świec. W jednej z kolejek doszło do skandalu. Jakiś cwany młody brunet wepchnął się bez kolejki, sąsiedzi nawet nie zdążyli się obejrzeć, a on już zgilotynowany. Doszło do prawdziwej awantury. Podniosły się krzyki, że ktoś komuś dał łapówkę i że Żydzi zawsze wkręcą się jako pierwsi.

A w sumie zimno i nudno.

Michel poprosił by przypilnować jego kolejki i poszedł z bliska przyjrzeć się gilotynie. Bardzo zaniepokoiło go, że otwory na głowę są niewielkie. Mam dużą głowę, jestem otyły! – powiedział. Całe uszy sobie poobdzieram.

Obok mnie kłóciły się dwie damy.

- Jak można tak się uperfumować, gdy się czeka na zgilotynowanie. To absolutnie nie do przyjęcia. Stać obok pani - migrena pewna.

- Popatrzcie jaka delikatna - parsknęła ta druga. Proszę się nie martwić, pani migrena nie zdąży się rozwinąć.

Miała rację.

Furtka ogrodzenia za którym znajdowała się gilotyna otworzyła się i nasza kolejka szybko zaczęła posuwać się do przodu.

Nie pchajcie się, nie pchajcie się!

Czy nie można by trochę delikatniej...

Co za naród!

To jakiś całkowicie nieświadomy element. My skazańcy, powinniśmy sami o sobie decydować, zorganizować się i to całe gilotynowe przedsiębiorstwo wziąć w swoje ręce.

- Ale teraz to już nie zdążymy!

- To o czym wcześniej myśleliśmy!

- Proszę przechodzić, nie zatrzymywać się !

- Idziemy.

Nadieżda Aleksandrowna Teffi

1 Gilotyna, lekarz, polityka.

2 Jeśli mi nie zrobisz ciasta na imieniny, pójdę odciąć sobie głowę.

3 Czerwoniec - dziesięciorublówka

Krystyna Śmiechowicz

NADIEŻDA ALEKSANDROWNA TEFFI KRÓLOWA ROSYJSKIEJ SATYRY

(…) Okropny szloch, płacz bez łez. Ostatni. Po całej Rosji, po całej Rosji…
(…) Statek dygoce, śruba wzbija białą pianę, czarny dym zasłania brzeg.
Cicho, cichutko znika ziemia.

Nie trzeba na nią patrzeć. Patrzeć trzeba przed siebie tam, gdzie rozległe niczym nieskrępowane błękitne przestrzenie… Ale głowa sama się odwraca i oczy szeroko otwarte patrzą, wpatrują się…

Cisza. Wszyscy milczą. Tylko z dolnego pokładu słychać kobiecy płacz, długi uporczywy lament. Teraz to już, jak żona Lota, zastygłam na wieki… i już zawsze będę widzieć, jak cicho powoli odsuwa się ode mnie moja ziemia.

Fragment pochodzi z książki Воспоминания *(Wspomnienia)* Nadieżdy Teffi. Rok wydania - 1931, miejsce wydania - Paryż.

Teffi (1872-1952) kiedyś ciesząca się ogromną popularnością - dziś prawie zapomniana[1]. Czytali ją wszyscy; od Mikołaja II i Łunaczarskiego - do Lenina. Teffi to pseudonim rosyjskiej pisarki, poetki, autorki piosenek i dramatów scenicznych Nadieżdy Aleksandrownej Łochwickiej-Buczyńskiej, córki profesora kryminalistyki, autorki znakomitych opowiadań i młodszej siostry młodo zmarłej poetki Mirry Łochwickiej. W tej rodzinie wszystkie dzieci były uzdolnione artystycznie. Jej mężem był Polak Władysław Buczyński. Pseudonim - Teffi - jak sama mówiła, zapożyczyła od imienia lokaja służącego w rodzinnym domu, chłopa Stiepana. „Znałam niegdyś niezbyt mądrego człowieka o imieniu Stefan (Stefi), pamiętając, że to zwykle głupcy mają szczęście od niego zapożyczyłam pseudonim."

W Rosji, przed rewolucją, każde czasopismo, w którym zamieściła swój utwór od razu zyskiwało rzesze czytelników. Gazety i wydawnictwa prześcigały się w zapraszaniu jej do współpracy wiedząc, że jej udział gwarantuje zwiększenie nakładów. Nazwisko na afiszach zapowiadających wieczory literackie zapewniało pełne sale, a jednoaktowe farsy zapełniały sale teatralne. Fabryki produkowały perfumy Teffi i czekoladki Teffi. Jej zabawne felietony tak bardzo cenił Mikołaj II, że gdy przygotowywano jubileuszowy album na uroczyste obchody 300-lecia Domu Romanowów zażyczył sobie, by umieszczono w nim właśnie ją i tylko ją. „Teffi, tylko ona i nikt inny." Własz Doroszewicz redaktor tygodnika „Russkoje Słowo", nazwany królem rosyjskiego felietonu, gdy w gazecie chciano dać jej rubrykę informacji codziennych, powiedział; „Niech pisze o czym chce i jak chce, arabów nie używa się do wożenia wody!" Zmuszona porewolucyjną sytuacją, gdy w Piotrogrodzie nie było już pracy, w Moskwie grabiono i mordowano, uciekała przez Kijów, Odessę, Noworosyjsk, Jekaterynodar, Kisłowodzk, uciekała po „ogromnej zielonej mapie, na której ukośnie napisano; - Imperium Rosyjskie", a dalej na statku Wielki Książę Aleksandr Michajłowicz do Konstantynopola, stamtąd do Paryża. Cała podróż trwała półtora roku, a po drodze byli; zabici i ranni. „Jak przywykliśmy do takich słów. Ranni i zabici - to słowa naszej nowej rzeczywistości. Rannych opatrzyć, zabitych usunąć." Nie miała zamiaru opuszczać Rosji, decyzję podjęła spontanicznie na widok strużki krwi wypływającej spod drzwi komisariatu. Poza tym wszyscy uspokajali, „to tylko chwila, za miesiąc, dwa - trzy, gdy sytuacja się poprawi, wrócimy". Wyjechała w wieku czterdziestu siedmiu lat, opuściła Rosję jako dojrzały twórca, zostawiając za sobą sławę i wszystko to, co osiągnęła, zabierając jedynie ukochaną siedmiostrunową gitarę. Do Rosji już nie powróciła trzydzieści dwa lata spędzając na emigracji. Odrzucała wszelkie oferty tych, którzy wabili do kraju szczęśliwych ludzi. Kiedyś gorzko zażartowała, że boi się powrotu, bo wracając mogłaby zobaczyć wielki transparent - „Witamy towarzyszkę Teffi!, a na słupach podtrzymujących wisieć będą ciała Zoszczenki i Achmatowej". Zmarła w Paryżu, pochowana została na najważniejszym cmentarzu rosyjskich uciekinierów Sainte-Geneviève-des-Bois tuż obok Iwana Bunina noblisty, który skąpy w pochwałach, zazdrosny o sławę kolegów napisał do niej; - „Pamiętaj, jak droga jesteś nie tylko nam, ale wielu ludziom, ty, absolutnie niezwykła!... Zawsze, zawsze cię podziwiałem, nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego jak ty!"

W czasie gdy jednych nie drukowano i pisali do szuflady, inni usiłowali przeżyć w łagrach, jej udawało się przetrwać. Utwory Teffi (na osobiste polecenie Włodzimierza Lenina) wznawiano jako negatywny przykład mieszczańskiej satyry, bo teraz nowe władze miały już lepszą, swoją własną sowiecką. Właśnie największą popularność „królowa śmiechu" zdobyła jako autorka utworów satyrycznych. Nie musiała wymyślać śmiesznych historii, komizm znajdowała w codziennych, zwykłych sytuacjach. Ale gdy Rosją zaczęły targać wydarzenia potworne, jedno okrutniejsze od drugiego, ton jej opowiadań zmienia się. Pisząc miniaturę „Gilotyna" o mieszkańcach Piotrogrodu dobrowolnie poddających się egzekucji zadedykowała ją znanemu z brutalności komisarzowi do spraw wojskowych; - „Z uczuciem prawdziwej wdzięczności te memuary dedykuję Trockiemu". W tych nowych utworach pokazała, że wszystko najgorsze, co tylko człowiek jest w stanie sobie wyobrazić, nagle może stać się naturalnym, zwykłym sposobem na życie. To w nich pokazuje energię z jaką działają bolszewicy i bierność mas, bierność społeczeństwa, które nawet nie próbuje protestować i zamiast walczyć buntować się przeciwko bezprawiu pokornie staje się w kolejce, która wolno przesuwa się przez Plac Pałacowy w kierunku gilotyny. „Pomyśleć tylko – po tamtej stronie siła władzy. Tu siła głupca – na własną zgubę".

Opowiadanie Jawdocha2 zostało opublikowane w 1914 roku. To historia bardzo prostej, starej samotnej kobiety, która nawet swojego imienia nie potrafi wymówić prawidłowo i której nikt nie chce słuchać. Pozostał jej tylko wieprz i to o nim myśli z czułością. W przedmowie do tomu zawierającego opowiadanie Nadieżda Teffi napisała: „Jesienią 1914 roku wydrukowano opowiadanie Jawdocha. Historia była bardzo smutna i gorzka, opowiadała o samotnej wiejskiej staruszce, niepiśmiennej, głupiej i tak beznadziejnie ciemnej, że kiedy otrzymała wiadomość o śmierci syna, nawet nie zrozumiała o co chodzi i ciągle myślała tylko, czy syn wyśle jej pieniądze. A potem jedna wściekła gazeta poświęciła temu, aż dwa felietony, oburzona na mnie, że rzekomo śmiałam się z ludzkiego losu .... Ale ja się nie śmiałam, wcale się nie śmiałam."

Krystyna Śmiechowicz

1 Przez wiele lat pomijana nawet w opracowaniach poświęconych rosyjskiej literaturze. Najpierw zmuszona do wyjazdu z kraju, następnie wyrzucona z bibliotek i księgarń, gdy emigrację uznano za zdradę, teraz powoli praca.2 Opowiadanie to zostało opublikowane w poprzednim numerze Migotań i tylko jakiś chochlik drukarski spowodował, że informacja o autorce nie została umieszczona przed tamtym tekstem.

Anna Krasuska

Tomik ONA (2013)

Lekcja doktora Tulpa

Czyta o swoim życiu jak w otwartej księdze.
W raportach, aktach, mikrofilmach…
zamknięta jest jej przeszłość.
Możesz na mnie polegać, zawsze jestem przy tobie
– mówił jej kiedyś przyjaciel.
Nie kłamał.
No proszę – zamyśliła się nad jakąś kartką
– myślałam, że o tym nikt nie wie...
Ale, ale…. (kolejna kartka). *Nie pamiętam już,*
że 7 lipca byłam na obiedzie z Jaśkiem.
Jasiek pamiętał.
A nawet, co mówiła i czego nie mówiła.

Siedzi tu już kolejną godzinę.
Jutro przyjdzie znowu
śledzić efekty pracy swych TW-cieni.
No cóż – zamyśli się raz jeszcze
– nic nowego pod słońcem i zawsze tak było,
tacy kronikarze, jaki król.

Na szachownicy

Na szachownicy znajome figury:
król, hetman, dwa laufry…
czarno-białe pola…

Lecz niech ci się nie zdaje,
że mat jest celem gry.
Reguły panują tu trochę inne:
król zdetronizowany,
królowa nie całkiem dama,
wieża, choć z kości słoniowej, jednak pochylona,
goniec wzgardził przekątną,
skoczek zmienił kroki,
a gdyby tego było mało, to jeszcze, to jeszcze,
ach, pionki rozbiegły się na wszystkie strony,
na oślep przeskakując pola...

Myślisz, że to anarchia?
Nic bardziej mylnego.
To tylko święty Piotr z pobożnym Mateuszem
ucinają sobie partyjkę przed popołudniową drzemką,
eksperymentując,
co by się to stało,
gdyby tak wprowadzić reguły tych
z ziemi.
ni sopli,
ni kropli,
nic

Urodzić się hieną

Chichot losu – urodzić się hieną.
Ani dystynkcji lwa, ani wyniosłości żyrafy,
solidności czterech nóg słonia, no niechby tylko jednej,
elegancji ruchów geparda czy choćby skuteczności skorpiona.
Napiętnowana, brzydka, istne pośmiewisko wśród zwierząt.
Od urodzenia pozbawiona nadziei,
że z brzydkiego kaczątka coś może wyrośnie.

W ZOO też nie stanowi atrakcji,
nie wiodą do niej strzałki, jak do tygrysa czy żubra.
Nikogo nie zachwyca i nawet gdyby merdała ogonem,
nie zyskałaby niczyjej sympatii
(ot, nieefektywna utrata energii).
Dobrze się czuje tylko w stadzie podobnych sobie.

Na straconej pozycji – myślisz.
Nic bardziej mylnego.
Wierzy w moc ewolucji i zawistnie chichocze:
niech cię nie zwodzi skóra, rozejrzyj się wokół.

Andrzej C. Leszczyński

POZA SŁOWAMI

Katarzyna Gościniewicz

I. Zamieszkuje się język, nie kraj, pisze Emil Cioran. Zdanie to – a jeszcze bardziej to, które zapisał Ludwik Wittgenstein o granicach języka czyli świata - kojarzy się z językiem jako kodem dostępu, czymś w rodzaju klucza pozwalającego dotrzeć do jemu tylko odpowiadającej rzeczywistości. Są więc zapewne takie jej, rzeczywistości, wymiary, które z powodu braku stosownego kodu wciąż nie ujawniły się, być może na zawsze pozostaną zamknięte dla człowieka1. Rzeczywistość jest niema, milczy. Musi być dotknięta i wyrażona przez człowieka. Samo to wyrażanie łączy się z odciskaniem na niej językowego piętna. Nie jest po prostu ujawniana, odbijana w językowym zwierciadle2, lecz każdorazowo tworzona, konstruowana, ubierana w językowe znaki. Zależna od kodów. „Kto na świat patrzy rozumnie, na tego i świat patrzy rozumnie" – znany sąd Hegla można odnieść do języka: świat jest każdorazowo czyjś, podmiotu posługującego się określonym kodem językowym. Inną rzeczywistość otworzy – zbuduje – język naukowy, inną poetycki, jeszcze inną filozoficzny. Innym światem jest świat języka niemieckiego, innym ten, jaki tworzy język hiszpański. Ile języków – myślę teraz tylko o językach werbalnych – tyle światów. Czy możliwe jest ich spotkanie?

Czytam o przekładzie i o tłumaczeniu. Wiele odmiennych opinii. Że to jedno i to samo. Że tłumaczenie jest wiernym odwzorowywaniem oryginału, a przekład to opracowanie tłumaczenia „na wyższym poziomie". Że przekład to interpretacja (translatorska). Że – przeciwnie - przekład ma sens materialno-przestrzenny, jest narzędziem dotarcia do oryginału, prowadzi do autora, a tłumaczenie jest autorską interpretacją prowadzącą do mającego ją sobie przyswoić czytelnika[3]. Czytam też o kłopotach związanych z połączenia brzmienia tworów językowych z ich warstwą znaczeniową. O konflikcie między wiernością tłumaczenia a pięknem stylu. O tłumaczach „ambasadorach" i „legislatorach". O innych jeszcze problemach, których czasami nie potrafię myślowo ogarnąć.

Języki są z samej istoty idiomatyczne („swój", „obcy"). Przekład/tłumaczenie to każdorazowo „trzecia" jakość językowa. Nowe, swoiste dla danej kultury i języka, rozumienie oryginału. Tłumacz odstępuje od języka oryginału, co Włosi określają żartobliwie: *Traduttore traditore!* (tłumacz zdrajca). Dobrze, gdy „zdrajca" zechce wytłumaczyć się ze swego występku. „Z każdym, ale to każdym, przekładem można, a właściwie należy, dyskutować. Brać tłumacza na spytki, ciągnąć go za język, a najlepiej za oba języki stanowiące przedmiot jego szeroko pojętych zainteresowań" – pisze w „Twórczości" Piotr Wiktor Lorkowski. Zdrada nie musi być aż tak dotkliwa, pisze Umberto Eco (*Po drugiej stronie piękna*): „Nie da się niczego przetłumaczyć doskonale z jednego języka na inny. Nigdy nie występuje dokładna synonimiczność, równoznaczność. Moje dzieło nosi tytuł »Dire quasi la stessa cosa« (Powiedzieć prawie to samo) – i to właśnie w owym słówku »prawie« zawierają się negocjacje". Niechętny jakimkolwiek negocjacjom był Percy B. Shelley piszący o daremności tłumaczenia poezji: „[…] równie rozsądnie byłoby wrzucić fiołek do tygla, żeby odkryć formalne zasady jego koloru i zapachu, jak usiłować przeszczepić z jednego języka do drugiego twórczość poety. Roślina musi wystrzelić z ziarna, inaczej nie wyda kwiatu – oto brzemię i przekleństwo wieży Babel". Robert Frost w tym właśnie upatruje istotę poezji: „Mógłbym zdefiniować poezję w ten sposób: jest tym, co ginie zarówno w przypadku prozy jak i wiersza podczas tłumaczenia"[4]. Ale też przekład jest – tak sądził Walter Benjamin - jasnym snopem światła rzuconym na oryginał; języki oświetlają się wzajemnie, każdy z nich inaczej porządkuje świat.

Maja Haderlap, poetka i pisarka wywodząca się z austriacko-słoweńskiego pogranicza, tak pisze w wierszu pt. *Tłumaczenie*:

„czy między wszystkimi językami leży strefa
ciemności, czarna rzeka, która przyjmuje
i przemienia słowa i historie?
tutaj zdania muszą się rozbierać,
szwendać, uczyć pływać,
nie tracąc pamięci, która gnieździ się
w ich ciałach, tajemnego jądra.
czy błękit orlika stanie się fioletem,
gdy dotrze na drugą stronę,
a czerwona bergamota, gruszka,
korzenna,
słodką? czy mojemu linowi
braknie jednej płetwy
w świetle nowego języka? Będzie musiał
nauczyć się pełzać albo chodzić prosto?
czy język umie przyciągnąć do siebie inny,
czy go tylko od siebie odpędza? czy każde
słowo może zaryzykować przeprawę,
uwierzyć,
że jest niezniszczalne, wykąpane
w smole, zahartowane?".

II. Trudności przekładowe, z jakimi spotykają się słowa, urastają do wymiaru katastrofy w przypadku języków niewerbalnych. Ciało, milczenie (nie: cisza), muzyka, plastyka, film (tylko film jest w stanie pokazać żywą ludzką twarz), rzeczy (Virginia Woolf: „Każda rzecz obdarzone jest tajemniczym językiem, ma swoją barwę i odrębność..."·) – to także języki, zbiory znaków. Jeśli nawet nie są spójne wewnętrznie, potrafią być bliżej rzeczywistości równie nieuporządkowanej, chaotycznej. Prosta intuicja mówi, że nie sposób (brzmi to wręcz absurdalnie) namalować wiersza, zatańczyć obrazu, mówić o milczeniu albo o muzyce, wyrzeźbić symfonii itp. Wie o tym Ewa Kuryluk, gdy wyznaje: rysuję to, czego nie potrafię napisać; piszę to, czego nie potrafię narysować.

Obraz, owszem, może być inspiracją dla muzyki. Obrazy Wiktora Hartmanna inspirowały *Obrazki z wystawy* Modesta Musorgskiego. Obraz *Wyspa umarłych* Arnolda Böcklina tchnął ducha w poemat symfoniczny *Wyspa umarłych* Sergiusza Rachmaninowa. Bez cyklu obrazów Williama Hogarthe *Żywot rozpustnika* być może nie byłoby opery *Żywot rozpustnika* Igora Strawińskiego. Jednak inspiracje to nie korelaty. Muzykolog, prof. Rafał Ciesielski dopuszcza werbalne wzmacnianie odbiory muzycznego przekazu. „Słowo wspomaga muzykę, tłumaczy jej sens, rozszerza horyzont jej odbioru i ów odbiór pogłębia. […] Słowo, nazywając fenomeny dźwiękowe, ustanawiając ich językowy wymiar i tym samym w pewnym sensie je »oswajając«, nadaje im walor »komunikowalności« […]'. Myślę, że „oswajanie" muzyki - podobnie jak np. teologiczne „oswajanie" Boga - oznacza jakąś redukcję, zawłaszczenie, utratę swoistości. Chyba w tym leży muzyczne ograniczenie, o jakim pisze Henryk Elzenberg: „Zanadto mam intelektualne usposobienie, żeby należycie odczuć muzykę. Słysząc pieśń albo →

sonatę, widzę raczej, co bym powinien czuć, niż czuję rzeczywiście; doznaje raczej aspiracji ku pewnemu uczuciu niż samego uczucia". Oto co pisze, nie stroniący od patosu, dwudziestoletni Emil Cioran (*Muzyczna ekstaza*): „Jakże mógłbym opisać słowami, w jaki sposób rozwijają się melodia, w jaki sposób drży moje siało wintegrowane w powszechną wibrację, w fascynujących sinusoidalnych ewolucjach, których eteryczna nierzeczywistość mnie porywa". Znacznie lapidarniej wyraża swój pogląd Frank Zappa, mówiąc, że pisanie o muzyce jest równie sensowne, jak tańczenie o architekturze. Warta przytoczenia wydaje mi się pierwsza strofa wiersza Gottfrieda Benna zatytułowanego *Chopin*:

„W rozmowie niezbyt elokwentny,
Poglądy nie były jego mocną stroną –
Poglądami szastano na prawo i lewo.
Kiedy Delacroix wygłaszał swoje teorie,
Stawał się niespokojny,
Bowiem w żaden sposób nie mógł
uzasadnić nokturnów".

Podobnie ma się rzecz z tańcem, z teatrem. Zdaniem Witolda Jurewicza, choreografa, twórcy Teatru Tańca Alter, tańca nie da się opisać. Próby podejmowane przez ludzi pióra skazane są na klęskę; teoretyk nigdy nie dotknie jego tajemnicy. Jadwiga Majewska, kuratorka i krytyk sztuki, w artykule pt. *Jak pisać o tańcu* przybliża źródła owych trudności. „[…] akt poznawczy, który zachodzi podczas konfrontacji ciała patrzącego z ciałem tańczącym, nie odbywa się w środowisku czysto semiotycznym, nie jest też tylko techniczna analizą czynności biomaszyny ludzkiej. […] Kinestetyczna empatia pozostaje zatem najwłaściwszym sposobem odbioru, ta jednak nie ma właściwego sobie języka wyrazu, zdolnego przekazać doświadczenia i sensy w formie zracjonalizowanego dyskursu".

Co do teatru, radykalnie wyraził swe zdanie Tadeusz Kantor: „Jest mi szalenie trudno napisać partyturę Umarłej klasy. […] Umarła klasa nie da się utrwalić w języku literackim, nie da się utrwalić w języku filmowym5, nie da się utrwalić w żadnym języku. Istnieje tylko w tej strukturze i w tym kodzie, jakim jest spektakl". Bezpośredniość, jednorazowość, niepowtarzalność teatralnej aury, scenicznych detali, zapachów i oddechów widzów. Oto dwa świadectwa związane z takimi doznaniami. Zmarły niedawno aktor (niezapomniany Witek, przyjaciel Filipa z Amatora Krzysztofa Kieślowskiego) i reżyser, Tadeusz Bradecki: „Kurtyna wznosi się czy też rozsuwa na boki, światło przygasa i rozjaśnia się scena, pojawiają się dźwięki, migoczą cienie, ktoś tkwi w bezruchu, ktoś pospiesznie przemierza przestrzeń. Poprawiamy się w fotelu, nasza uwaga jest w najwyższym stopniu skupiona. Zaproszono nas do nieznanego nam świata i pierwsze sekundy i minuty zadecydują o naszym tego świata rozpoznaniu. […] W tych pierwszych minutach przedstawienia nie umyka uwadze dosłownie nic. Światło, kolor ścian, kształt sprzętów, rodzaj kostiumu, szmery i dźwięki, wszystkie elementy składają się na niepowtarzalność owego nowego świata". I Grzegorz Jarzyna, dyrektor warszawskiego TR: „Gdy na widowni gaśnie światło, ciemność, która zapada, symbolicznie pozbawia cię tego, z czym przyszedłeś do teatru: pozycji społecznej, miejsca, które zajmujesz wobec innych ludzi. […] Pamiętam moje pierwsze świadome wejście do teatru. To była scena kameralna w Teatrze Wyspiańskiego w Katowicach. Nagle zgasło światło, zapadła ciemność. Trwało to długo. Pamiętam, że potem gasiłem światło w swoim pokoju i słuchałem muzyki, najpierw Joy Division, potem Mozarta. Kiedy w teatrze zapala się scena, masz poczucie, że uczestniczysz w jakiejś innej rzeczywistości".

Małgorzata Ruda (*Krytyk i dwie burzliwe pogody*) pisze o Konstantym Puzynie, jego dbałości o oddanie scenicznego mikroświata: „Puzyna opisuje rodzaj sceny, ustawienia dekoracji, światła, ruch, gest, mimikę aktora, kostium, określa ich wzajemne związki. Od obserwacji wyglądu i zachowania aktora, od spostrzeżenia behawiorystycznego, od opisu faktury materiału, odcienia barwy swobodnie przechodzi do skojarzeń kulturowych […]". Rzeczywiście, próba opisu uczciwego – lecz i ona daremna. Halina Winiarska w rozmowie z Andrzejem Żurowskim przekonuje, że (tak zatytułowana jest rozmowa) nie da się zapisać tego intymnego kontaktu między żywymi ludźmi. „To, co piszą recenzenci… Myślę, że to nigdy się… Tragizm i wielkość teatru… To jest tak… Wielkość i tragizm… To… To jest to i tyle, ile trwa spektakl. I ginie, umiera. Rodzi się i umiera. I przecież sam wiesz bardzo dobrze, ze wszystkie próby zapisu spektaklu są jałowe, nic nieznaczące, tego się nie da po prostu zrobić".

Zastępowania scenicznej tajemnicy słowami boi się Danuta Stenka. „Często jest tak, że nie udaje się już zagrać tego, co się tak pięknie opowiedziało. Dlatego staram się nie mówić o tym, jak chciałabym zagrać. […] Nie lubię też opowiadać o tym, co zagrałam. Bo jeśli zagrałam, to co tu dodawać […]. Są reżyserzy, którzy mówią bardzo dużo, długo i precyzyjnie, święcie wierząc, że im więcej powiedzą, im dokładniej nazwą, tym więcej z nas wycisną. Często to złoto zamienia się w błoto, bo zabija wyobraźnię, intuicję".

A sztuki plastyczne? Może wystarczyłoby poprzestać na zdaniu, jakie wypowiedział Paul Valéry: „Należy przepraszać za to, że ośmieliło się mówić o malarstwie". Jedyna możliwość użycia słów wiązanych z obrazem to ekfraza (gr. **ἔκφρασις-opis**). Jak dalece to niewystarczające, przekonał się wielki miłośnik malarstwa, Zbigniew Herbert: „Całe moje pisanie to beznadziejna próba ewokacji obrazu, który znajduje się w jednym, jedynym miejscu: w Amsterdamie, w Wiedniu, w Londynie. Trzeba wyjść od konkretu, od linii, od koloru, a język jest niesłychanie ubogi, jeśli idzie o barwy. To jest nieludzka praca i stale mam poczucie klęski. Nie udało się. Prawdopodobnie nie może się udać". Malarka Aleksandra Waliszewska (malarstwo sztalugowe, gwasze, rysunki) zwraca uwagę na niewspółmierność języka formy i języka treści. „Nie spotkałam się z tekstem – może poza tym, co o sztuce pisał Józef Czapski, ale on sam był przecież malarzem – który pokazywałby to, co w sztuce najważniejsze, czyli umiałby wniknąć w głąb formy. Teksty o sztuce bywają oczywiście bardzo ciekawe, ale nie dotykają istoty"[6]. Andrzej Wajda, w uwagach poświęconych książkom Józefa Czapskiego o Józefie Pankiewiczu i o Cézannie (drukowały je „Zeszyty Literackie") zwraca uwagę na podstawowy zamysł autora, jakim jest skupienie uwagi na tym, czym jest malarstwo dla malującego. Czapski „pokazuje że jest to proces sam w sobie, że malarstwo powstaje w trakcie malowania, że to nie jest w głowie – powstaje jakaś idea w głowie, pomysł: »może będę malował bitwę pod Grunwaldem«, tak myślał Jan Matejko. A malarz musi zobaczyć. Oko, oko jest najważniejsze. Proces malowania to jest proces widzenia. Indywidualność każdego z nas realizuje się w patrzeniu, a nie w intelektualnym rozważaniu, o czym będę chciał namalować obraz. I właśnie to patrzenie jest opisane tutaj".

Witold Gombrowicz: „dziś znowu dyskutowali o malarstwie na herbacie u Atilia (o czymże mają dyskutować?). Ale sęk w tym, że o malarstwie nie można mówić. Te rozmowy przypominają więc dilogi niemych – cmokają, machają rękami, wyszczerzają się…»Jak to, nie rozumiesz tej plamy?« … »W tym jest coś… coś... coś takiego, wiesz, no… «". Prof. Paweł Taranczewski – malarz, filozof – wspomina rozmowę z rumuńskim antropologiem i historykiem sztuki, Ionem Frunzettim, który powiedział mu, że o malarstwie można pisać wiersze, bo tylko ten język byłby w miarę adekwatny. Przytacza też pogląd Jacquesa Derridy, którego zdaniem o malarstwie w ogóle nie można mówić, wszystkie słowa są bezużyteczne[7]. Lew Szestow: „Mówienie o pięknie to najgorsza rzecz: piękno trzeba tworzyć".

III. Krytyka artystyczna to sądy wartościujące. Bieżące recenzje (recēnsītiō – badanie, przeglądanie, ocenianie), przeważnie arbitralne, nie pozbawione złośliwości (celował w nich Antoni Słonimski[8]). Szukająca kryteriów krytyka uniwersytecka (κριτικός – osądzający, potrafiący rozróżniać, od: κριτήριον – miara, probierz), czytająca kody kultury (style, konwencje itp.). Sięgająca antycznej interpretacji mitów (to opinia Susan Sontag), ukształtowana na dobre trzy wieki temu we Francji, nabrała z czasem mocy kreowania hierarchii artystycznych i kształtowania estetycznych upodobań. Potrafi dziś nie tylko wyręczać w podmiotowym odczytywaniu dzieł sztuki, ale coraz chętniej decyduje o rynkowym być albo nie być liczących się z tym artystów. Harry Lehmann, znany filozof sztuki i krytyk muzyczny, w swoich *Dziesięciu tezach na temat krytyki sztuki* już w pierwszej uznaje krytykę za kluczowy problem współczesnej sztuki: „Przemiana formy mówienia o sztuce może także długotrwale zmienić sztukę".

Mówienie o sztuce zdaje się nie mieć granic. Nie neguję funkcji kształcącej krytyki artystycznej, choć trudno mi sobie wyobrazić wykształconego w ten sposób chłopczyka, który wbrew wszystkim zakrzyknie, że król jest nagi. Gorzej z łatwym znajdowaniem werbalnych ekwiwalentów dla różnorakich dzieł sztuki, co zdaniem poirytowanych artystów jest zwyczajnym pasożytnictwem. Witold Lutosławski uważał krytykę artystyczną wyłącznie za rodzaj literatury. „Jest to – pisał w »Tygodniku Powszechnym« (*Tęsknota za nieznanym światem*) - rodzaj pasożytniczy, ponieważ tematyka artykułu krytycznego nie jest dziełem krytyka, a autora omawianego dzieła sztuki. […] W istocie krytyk nie ma do wydawania sądów nigdy żadnego tytułu". Irytacja twórców znajduje wyraz w złośliwościach, wśród których dominuje opinia o krytykach jako niespełnionych artystach. Oto kilka mocniejszych sformułowań. „Krytyki i eunuch z jednej są parafii: każdy wie jak, żaden nie potrafi" (Julian Tuwim). „Ci, którzy mogą coś zrobić – robią; ci, którzy nie mogą – piszą o tym" (William Faulkner). „Wrodzona antypatia krytyka do poety –

tego, który nie tworzy nic, do tego, który tworzy […] – wałacha do ogiera" (Théophile Gautier). I jeszcze smakowite: „Schlag dem Hund, das ist ein Rezensent! (zatłuc psa, to recenzent – Johann Wolfgang Goethe). Witold Gombrowicz – podobnie: „Pytanie jest takie: w jaki sposób człowiek niższy może krytykować człowieka wyższego, oceniać jego osobowość, wartościować jego pracę […]. Chcą być sędziami sztuki? Ale do tej sztuki musieliby naprzód dotrzeć, oni są w przedpokoju […]". Rainer Maria Rilke nie pozostawia złudzeń: „Słowa krytyków ani o jotę nie zbliżają nas do dzieła sztuki, są to zawsze mniej lub bardziej niefortunne nieporozumienia. Nie tak łatwo wszystko ująć i wypowiedzieć, jak to nam zwykle sugerują; nie można wysłowić wszystkiego, co się zdarza, wiele zdarzeń żyje w przestrzeni, której nigdy nie naruszyło słowo. A zdarzenia, które najtrudniej wysłowić, to dzieła sztuki – tajemnicze egzystencje, trwające obok naszego życia, gdy to przemija".

Witold Gombrowicz: „Myślę więc, że literatura zanadto poddała się w tym stuleciu profesorom i że my, artyści, będziemy musieli wywołać skandal aby zerwać te stosunki – będziemy zmuszeni zachować się wobec nauki bardzo arogancki i bezczelnie, aby odeszła nam ochota do niezdrowych flirtów z formułami naukowego rozumu". Pamiętam (nie mam go przed sobą) artykuł prof. Stanisława Dąbrowskiego – badacza, ale i znakomitego poety! - zatytułowany *Lektura wiersza Tadeusza Różewicza „Mały traktat teologiczny" jako lektura koanu*, drukowany w „Migotaniach, przejaśnieniach" w 2005 roku. Każdy z kilkunastu wersów został tam spreparowany, przysposobiony do analizy, każdy ponumerowany, niektóre chyba też „politerowane". W trakcie wszystkich tych zabiegów nie wiedzieć kiedy wyparowała poezja. Jarosław Marek Rymkiewicz, również profesor i poeta, mówi w rozmowie z Adamem Poprawą, że są takie dzieła – i to jest właśnie świadectwo ich arcydzielności – których interpretować nie należy. Wydobywanie z nich znaczeń, mówi poeta, jest rodzajem nadużycia, rodzajem jałowej zabawy. Podobny ton można usłyszeć w wypowiedzi Czesława Miłosz: „Ogarnia mnie niechęć do rozprawiania o poezji, ta niechęć, która mnie odróżnia od tysięcy teoretyków, szkolarzy, męczenników tego czy innego –izmu, robiących na –izmie kariery uniwersyteckie". Andrzej Franaszek wspominając ostatni, napisany miesiąc przed śmiercią, wiersz Jarosława Iwaszkiewicza pt. *Urania*, zauważa, że w zasadzie każda jego interpretacja krytyczna pozostawia uczucie niedosytu. „Może dlatego, że język krytyki nie jest w stanie oddać inkantacyjnego piękna, które słyszymy w liniach wiersza. A może dlatego, że intelektualne kategorie nie zawsze pasują do typu umysłowości Iwaszkiewicza, często bardziej pociąganego przez brzmienie frazy, siłę skojarzenia, niż precyzję wywodu". Henryk Bereza wspomina, że Iwaszkiewicz namawiając go do objęcia w „Twórczości" działu prozy mówił, że „nie odda prozy żadnym ludziom uniwersyteckim, bo oni w ogóle nic nie wiedzą, oni wiedzą, jeżeli rzecz jest uznana przez innych". Rzadko spotykaną wśród profesury powściągliwość wyraża Aleksander Fiut. Mimo że interpretował wiersze Herberta, Białoszewskiego i Różewicza – nie ośmielił się analizować poezji ich rówieśniczki, a swojej przyjaciółki, Wisławy Szymborskiej. Jej utwory przypominają „misterne cacka, które budzą zachwyt swoim kunsztem, ale rozłożone na części tracą cały swój urok". Co się tyczy interpretacji, dobitnie wyraziła swe zdanie Susan Sontag (*Against Interpretation*, 1964) pisząc o zatruwaniu przez nią zmysłów i zastępowaniu dzieł sztuki duplikatami: interpretacja to zemsta intelektu na sztuce. Oto zapis Henryka Elzenberga z *Kłopotu z istnieniem*: „Rzeczą *grand seigneur*□a jest twórczość, rzeczą nas plebejuszy – teoria", który można odnieść do artystów („szlachciców") i ich komentatorów („plebejuszy").

O zabójczych dla poezji pokusach pochwytywania jej delikatnego organizmu w teoretyczne pułapki pisał Bolesław Leśmian: „Poezja żywcem się wymyka wszelkim określeniom. Określenie jest dla niej smutnym rodzajem trumny szklanej, która – przejrzyściejąc – zabija. Ileż to razy, naukowo rozważając niepochwytna i zmienną istotę poezji, nic innego nie czynimy - jeno uroczyście kołyszemy w próżni trumnę szklaną w tym przekonaniu, że oczom własnym i cudzym wspaniałomyślnie rozwidniamy przyłapaną na gorącym uczynku i odtąd już posłuszną nam tajemnicę poezji". To samo Edward Stachura: „[…] zamiast cichutko zostać z tym wielkim zdziwieniem, jak z nieznanym kwiatem w ustach, zaczynaliście snuć wokół tego domysły, zaczynaliście interpretować, spekulować, kombinować, wymyślać, jednym słowem otwieraliście usta i nieznany kwiat oczywiście wypadał wam natenczas spomiędzy warg (*Fabula rasa* [*apendyks*]).

Prof. Ilias Wrazas, kulturoznawca (doktorat z filozofii na UG, 1988) i pieśniarz, wytyka krytykom samozadowolenie i łatwe ulegание pysze. Urodzonemu we Wrocławiu potomkowi Greków, nie odżegnującemu się od greckiego podpisu (Ηλίας Βράζας), nie obce były, można sądzić, rodzime opowieści o występnej pysze (□βρις) Bellerofonta, usiłującego na Pegazie dotrzeć do siedziby Zeusa, o Ikarze zmierzającym ku słońcu, o delfickim napisie „Poznaj samego siebie" (Γν□θι σεαυτόν), co znaczyło: znaj miarę; i o Nemesis, karzącej za brak umiaru. „Dziwi mnie czasem – pisze - dobre samopoczucie krytyków. Piszą, jakby samo nazywanie, ustawianie w porządku historii sztuki było najważniejsze, a sam obiekt znika im z oczu. Problemem przylegania dyskursu o sztuce do dzieła zajmował się Adorno. Doszedł do wniosku, że ten tekst ma jakąś autonomię, nie przylega zupełnie do dzieła. Co najwyżej to dzieło działa na tyle inspirująco, że powstaje interesujący tekst, ale nie tak, że jest po prostu o tym dziele". O wiele dobitniej, nie miarkując języka, mówi („Notatnik Teatralny" nr 39-40/2006) Lech Twardowski, malarz i performer (jego prace znajdują się m.in. w zbiorach paryskiego Musée National d`Art. Moderne): „Jeśli chodzi o krytykę i rutynę, prawdopodobnie masz na myśli tych wszystkich rozgadanych bęcwałów, których jest od zajebania i którzy pierdolą głupoty, a tak naprawdę nie mają nic ze sztuką wspólnego. Koleżkowie od pióra, którzy próbują zajmować się tym – nie wszyscy, bo jest kilka wyjątków – to po prostu rutyniarze. Jest zwyczaj, że jeden tekst można dopasować do wielu miejsc, sytuacji i zdarzeń. […] Kiedyś o sztuce pisał poeta. Dzisiaj to rzadkość […]. Niedawno wpadły mi w ręce teksty Derridy o malarstwie, ciężkie w lekturze, sążniste analizy konkretnych prac. Tylko że nie znajdziesz tam czystej wypowiedzi o sztuce, o jakichś mechanizmach interpretacyjnych natomiast – proszę bardzo. Mam wrażenie, że malarstwo staje się tu zaledwie pretekstem do mówienia o sobie". Żeby chociaż było to mówienie szczere, nie zasłaniające się akademickimi regułami. „Analizy, owszem, syntezy, tak, rozbiory i paralele, no, trudno, ale niechże to będzie organiczne, krwiste, dyszące nim, krytykiem, będące nim, jego głosem mówione" (to oczywiście Gombrowicz).

IV. Ryzyko „zdrady", jakiej dopuszcza się tłumacz, zmniejsza się, a właściwie zanika wtedy, gdy znikają translacyjne zamierzenia. Gdy obydwa języki, zachowując swą tożsamość, spotykają się we wspólnym obszarze wyznaczonym przez kulturową tradycję. Dramat rozmawia z dramatem, tetr z teatrem. *Makbet* Williama Szekspira z *Kordianem* czy *Balladyną* Juliusza Słowackiego; z *Ubu królem* Alfreda Jarry`ego (tu także rozmowa z *Ryszardem III*). Do Eurypidesa nawiązywali Pierre Corneille (*Medea*), Jean Baptiste Racine (*Fedra, Andromacha, Ifigenia*), Johann Wolfgang Goethe (*Ifigenia w Taurydzie*), Jean-Paul Sartre (*Muchy*), Jean Anouilh (*Medea*), Jan Kochanowski (*Odprawa posłów greckich*), Stanisław Wyspiański (*Legenda*). Musical *West Side Story* Leonarda Bernsteina i Artura Laurentsa odwołujący się do *Romea i Julii* Williama Szekspira.

To samo tyczy malarstwa. *Śniadanie na trawie* Éduarda Maneta rozmawia z *Koncertem wiejskim* Giorgione`a, jego *Olimpia* z *Wenus z Urbino* Tycjana, zaś *Rozstrzelanie cesarza Maksymiliana* z *3 Maja 1808 roku* Francisco Goi. Warto pamiętać o rozmowach Francisa Bacona z dawnymi mistrzami, Michałem Aniołem, Nicolasem Poussinem, Diego Velázquezem (*Portret papieża Innocentego X* – 40 portretów Bacona), Rembrantem. Także o wariacjach Pablo Picassa na temat *Panien dworskich* Velázqueza. Wczesne rysunki Jacksona Pollocka miały za podstawę obrazy Luki Signorelliego, Petera Rubensa, El Greco.

Mercedes Benz Pawła Huelle rozmawia z Bohumilem Hrabalem, *Castorp* z Tomaszem Mannem (*Czarodziejska góra*).

Wariacje Henryka Wieniawskiego, także Witolda Lutosławskiego, na temat Nicolo Paganiniego.

A poezja? Antoni Libera: „[…] zarówno Mickiewicz, jak i Kochanowski, nie tłumaczyli obcych poetów »naukowo« i wiernie. Były to raczej wariacje na temat, a nie skrupulatnie odrobione ekwiwalenty. Nie pisano nawet, że są to w ogóle przekłady. Używano formuły »z«: »z Ronsarda«, »z Schillera«, »z Horacego«. Taka *Rękawiczka* na przykład: cóż ma wspólnego z oryginałem Schillera poza opowiedziana anegdotą? To klasyczny, jakże charakterystyczny wiersz Mickiewicza. Słowem: wybitnym poetom, mającym wyrazistą, własną dykcję, wolno postępować tak z obcymi arcydziełami".

Andrzej C. Leszczyńsk

---

1 O rzeczywistości pozajęzykowej można myśleć tak, jak myślał Immanuel Kant o rzeczach samych w sobie jako noumenalnych, zakładanych myślowo i niedostępnych poznawczo.

2 Jeśli lustro, to „mirors vivants de l'Universe", jak pisał Gottfried Leibniz (żywe lustro Wszechświata).

3 To ostatnie ujęcie działa na szkodę oryginału (pozbawia go obcości), a także na szkodę własnej kultury (utwierdza ją w zrutynizowanej swojości). Aleksander Brückner znajduje powinowactwo tłumaczenia i objaśniania, uczenia: ruskie tołk (tłumacz) , tołkowat' (objaśniać); biez tołku – niemądry.

4 „I could define poetry this way: it is that which is los out of both prose and verse in translation". Warte przytoczenia jest zdanie Johanna Wolfganga Goethego: „Kto chce zrozumieć poetę, musi pójść do jego kraju"

5 Opinia ta dotyczy też zapewne filmowej rejestracji spektaklu dokonanej w 1976 roku przez Andrzeja Wajdę.

6 Formę, pisał Witkacy, zachowują malarstwo i teatr, nie ma jej w literaturze.

7 Jak pisać o sztuce? Rozmowa redakcyjna w „Dekadzie Literackiej", 2011, nr 5-6.

8 O Burzy Szekspira w Teatrze Narodowym: „Nie była to burza, ale deszcz, tzw. „kapuśniaczek"; mżyło to parę godzin, wyjść nie można było, a błoto się zrobiło takie, jakiego najstarsi ludzie w teatrze nie pamiętają". Zaś o Ćwiartce papieru Wiktora Sardou: „To nie była ćwiartka. To była rolka".

Aleksandra Waitsi Wakru

Duch Hellena – podróżnika w poezji Aleksandry Waítsi-Wakru

Przełożył Paweł Krupka

Grecja od pierwszych lat szkolnej nauki jawi się nam jako kraj podróżników – odważnych i ciekawych świata żeglarzy, handlarzy, kolonizatorów i osadników. Dzisiaj, dla ożywienia tego – słusznego skądinąd – stereotypu, przypominam sylwetkę popularnej niegdyś w Polsce greckiej poetki starszego pokolenia, Aleksandry Waítsi-Wakru. Przed laty bywała u nas na festiwalach literackich, organizowanych przez niestrudzonego promotora greckiej literatury, Nikosa Chadzinikolau. W obecnym stuleciu jej utwory zniknęły z polskich periodyków, więc na jubileusz półwiecza obecności na rynku wydawniczym, godzi się przypomnieć tę wrażliwą poetkę – podróżniczkę, której twórczość z niesłabnącym przez lata wdziękiem oddaje jedną z najbardziej charakterystycznych cech kultury greckiej – umiłowanie podróży oraz odkrywania nowych światów i nieznanych kultur.

Poniżej proponuję Państwu kilka wierszy ateńskiej pisarki o tematyce podróżniczej, wśród których znajdują się także impresje literackie z podróży do Polski.

Paweł Krupka

Dzisiaj wyruszę w podróż

Dzisiaj wyruszę w podróż za twą wizją
daleko poza mą samotność.
Uniosę się na skrzydłach i doścignę
najwyższe gwiezdne wzgórza
rozpruję bez przystanku
każdą burzę, jaka mnie zdybie w drodze,
by dotrzeć z pierwszym promieniem świtu
do miejsca przeznaczenia.
Zatrzymam się na ulubionych
szczytach Alp,
by ujrzeć w blasku księżyca
me wyobrażenie twojego istnienia
szukając wśród woni jodeł
radości mych wspomnień.
Zerwę i przyniosę ci ze szczytów
szarotki szczęścia
i tam, w ich mikroskopijnych, gwiezdnych
kształtach namaluję twą obecność
i zaczekam, aż wypłynie miłość
z twych świetlistych oczu,
układając w cieple twego płomienia
mą utrudzoną egzystencję.

Droga na Ararat

Jeśli się kiedyś znajdziesz
zagubiony wędrowiec w wirze
burzliwych czasów,
nie utrać ducha
w ich niszczycielskim żywiole.
Pamiętaj, że gdziebyś się nie znalazł,
droga na Ararat
jest tylko jedna
i czeka na ciebie.
Któż wie,
może jakaś nowa Arka
zbudowana z nadziei Wolności
stanie się busolą w morskiej burzy
i ku upragnionemu świtowi
ocalenia ziemi
cię poprowadzi.

Warszawa

Męczeńskie miasto Północy,
Melancholijna syrena po przejściach.
Przybyłam do ciebie i przeżyłam z bliska
dzienne i nocne marzenia pełne harmonii.
W twych parkach spacerując
widziałam wiele godnych ciebie skarbów
i w czystych wodach Wisły
ujrzałam falujące twe pradawne łzy
naprzeciw odbić ulatujących nieszczęść
przy dźwiękach nieśmiertelnych pieśni Wolności.
W zaułkach twej Starówki
chciałam zanurzyć się w Wieczność
idąc po niewytartych śladach Szopena, Mickiewicza,
Pawlikowskiej i Tuwima,
by usłyszeć, jak cię opiewają swą sztuką
uwieczniając ideały twego dumnego ludu.
Doświadczyłam cię i poznałam jego proste cnoty,
pragnienie pokoju, romantyzm i rycerskość,
które pulsują w tobie, żyją w potężnym ciele
Pałacu Kultury, co dumnie się wznosi
i uosabia władczy hart twego serca.
Warszawo, miasto o nieugiętej duszy,
hartowanej w bojach, legendach i niedolach
ukrytych w milczeniu twych wspomnień,
zachowam w pamięci na zawsze twój obraz,
co jak marzenie będzie żyć we mnie głęboko,
z nadzieją na przyszłe czasy,
póki znów cię nie spotkam.

Auschwitz

Widok ciężki,
gorzki i ponury.
Atmosfera utkana z przędzy
wzajemnych cierpień.
I pośród chwil
rozpaczy i beznadziei
staje się godziną ostatniego pożegnania
na jakimś cmentarzysku.
Ciężkie ołowiane chmury
stale się gnieżdżą na tym niebie,
i jeśli nie zapytasz,
próżno ci szukać gdzie wschodzi
słońce, a gdzie zachodzi.
Bezkresna cisza panuje
wśród rozproszonych budowli
pomiędzy kolczastymi drutami
wzdłuż chodników „wioski”
wypełnionych hańbą
bezwzględnych morderców krążącą
i siejącą ślady zbrodni
dwudziestego wieku.
Pustynia szara a otacza teren.
pustynia ciężka ci pozostała.
Dla tych, którzy tu doszli,
dla tych, co może przyjdą.
Pustynia i mgła,
do tego miejsca nic innego nie pasuje.
Jakie jego imię?
Auschwitz je zwą.

Podążam

Podążam,
z mymi niewypowiedzianymi myślami
przez zaułki ciągłych westchnień
wiedziona głuchą skargą
szumiących liśćmi drzew, co rosną prosto
i w ciszy czasu umierają.
Podążam,
przez opustoszałe osady,
pełne zgaszonych dziewczęcych marzeń,
co zaginęły w burych kałużach
ziemistych dróg wstydu,
nim zabrzmią pieśni ich młodości.
Podążam,
z nieodkrytymi smutnymi tajemnicami
mej niekochanej młodości, która trzyma
daremnie złożoną obietnicę
pragnąc w pogodnej samotni
miłości wypełnionej nadzieją.

DRAMAT

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

ON, ONA I PIES (FRAGMENTY AKTU II I III)

Osoby:

Aleksandra (*elegancka starsza pani, przekorna, nieco egzaltowana*)

Bemola (*zmanierowana wilczyca, mówiąca biegle po angielsku, w razie potrzeby - po francusku*)

Pan B. (*przesadnie elegancki, gentleman w każdym calu, wysoki, good-looking, we fraku)*

Asystent: *(młody, zbyt pewny siebie, mógłby być perfekcyjnym kamerdynerem, ale nie jest)*

On *(programowy ateista, inteligent w drugim pokoleniu) – ostatni mąż Aleksandry)*

Adeptka Filologii (*typ młodej, zaangażowanej w pracę naukową polonistki, nie musi być ładna, a właściwie – zdecydowanie nie jest*)

Medyk (*wszelkie atrybuty zawodowego lekarza, osobowość nieco diaboliczna, zimny i oschły, pedantyczny*)

Andrusza (*drugi mąż Aleksandy, piękny wiolonczelista, typ fordansera z przedmieścia*)

Dewotka – (*cała w czerni, z obłędem w oczach i ogromnym różańcem w dłoni, może błąkać się po scenie bez wyraźnej potrzeby, bywa że uczestniczy w rozmowach)*

Oprawa plastyczna:

Scena symultaniczna: drzwi na lewo – piekło (całe w czerwieniach) ze wszelkimi rekwizytami uniwersyteckiej biblioteki; drzwi na prawo – fragment surowego wnętrza kościoła lub kaplicy. Na lewo czerwienie, na prawo – biel, fiolet, błękity.

Postacie pojawiające się z lewej strony sceny – konsekwentnie w całej inscenizacji – wyeksponowane czerwienią. Postacie wchodzące od strony kaplicy (domniemanego nieba) zawsze w błękitach i w bieli. Ile razy słychać głos Aleksandry – towarzyszy mu ciepłe, łagodne dla oka, otulające całą scenę, lekko pulsujące - światło.

W głębi, na wysokim podeście, na tle okna – gabinet Pana B. Typowe, współczesne biuro: tylko czerń i bieli, trochę stonowanych szarości. Okno może być wielkie, weneckie. To stamtąd sączy się światło lub jak kto woli - światłość.

Prolog

Na proscenium Bemola i Medyk. Ona wygodnie rozparta w fotelu, blisko prawej kulisy. On po stronie lewej. Odległość między nimi znaczna. Mimo to widzą i słyszą się wzajem. Po scenie błąka się Dewotka.

Bemola: Jest czas rodzenia i czas umierania, czas burzenia i czas budowania. (…) Jest czas miłości i czas na nienawiść. Jest czas milczenia i czas ujadania, szczekania, warczenia! (…) Czas tęsknoty i czas machania ogonkiem. Jest czas oczekiwań i czas powrotów. (…) Moja Lady wyszła, wybrała stosowny kapelusz, rękawiczki i cicho przekręciła klucz (…) She has left her home.

Medyk: Popadła zatem w obłęd. Tylko obłąkana kobieta opuszcza męża i dom! Oto symptom godzien najwyższej uwagi. Oto psychopatologia w najczystszej postaci! (*ze szczerym entuzjazmem*) Wyszła? Odpowiednio do sytuacji, bez słowa! Wyszła i już nie wróciła! (…) Dokonała zatem ostatecznego wyboru!

Bemola: Czasy podobno ostateczne to i wybór odpowiedni do sytuacji. (…) Moja Lady zawsze wszystko czyni comme il faut, akuratnie. (…) Podobno nie oddzielała teatru od życia. (…) Czuję jej obecność, tu blisko. Czasami słyszę jej kroki.

Medyk: To urojenia i obłęd! Ciekawe jak urojenia człowieka potrafią udzielić się psu. Szaleństwo to zawsze ucieczka, tak zwana „emocja zastępcza". (…) Niekochane kobiety znajdują zawsze coś w zamian. Jedne uprawiają dewocję, inne prostytucję. Jeszcze inne po prostu ogródek. Są takie, co to oddają się zmysłowym przyjemnościom. Jeszcze inne biegają do biblioteki.

Dewotka: *Uchowaj Boże do biblioteki! Niech lepiej do wszystkich świętych! (…) Apage satranas! Apage!*

Medyk: Ludzie przeważnie nie czują się kochani. Nikt jednak z tego powodu nie opuszcza męża bez słowa.

Dewotka: *Porządnego męża i przyzwoitego domu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie szuka ukojenia w bibliotece.*

Bemola ignorując Medyka i Dewotkę, zbiera porzucone wokół fotela kartki, przegląda najpierw machinalnie, później z coraz większą uwagą: A jednak ten scenariusz mi się nie podoba. Też coś „niekochana kobieta" (…) Reżyser wymyślił sobie jakąś imitację wilczycy. Dobre sobie! „Na scenie, na starym fotelu siedzi atrapa psa. Pies – suka, mieszaniec wilka." (…) I jaki znowu „mieszaniec"? Mieszaniec? What does it mean? (do publiczności) A wy co? Niezbyt urodziwe i podobno rasowe dwułapy.

Glos z widowni: Dokładnie! Mówię – Exactly!

Bemola do publiczności: Exactly, mówicie? Exactly! Słychać gwizdanie. Ktoś na widowni zapala latarkę. Bemola wstaje rozleniwiona, podąża powoli za światłem.

Bemola: I co to? Czy ja jakiś tam, taki sobie, zwyczajny pies jestem, żeby tak chodzić za wami? Tak follow you bez przyczyny. (*cisza, zaciemnienie*)

Akt II. i III. (fragmenty)

Pan B *czyta na głos gazetę*: „W noc sylwestrową 2020 roku pewna mieszkanka czynszowej, poniemieckiej kamienicy podobno przedawkowała środki nasenne."

Asystent: Piszą, że mogła uczynić to celowo. Tak podejrzewano.

Pan B: Skończyło się na podejrzeniach, gdyż ciała nie znaleziono. Nie znaleziono kostiumu, przebrania. (*do siebie*) A Duch nie przybył tu jeszcze. Zagadka, prawdziwa zagadka. Tu Duch nie dotarł był jeszcze, a tam daremno go szukać.

Asystent: Zawisła między niebem a Ziemią. Tego, oczywiście – nie piszą.

Pan B *naśladuje Asystenta:* Zawisła między niebem a Ziemią? (…) Kto słyszał podobne nonsensy. Niedbalstwo? Niedopatrzenie? I jak to w ogóle możliwe? (do Asystenta) Czy wiesz coś więcej, młodzieńcze?

Asystent: Ciągle patrzyła przez okno. Mogło ją ponieść uczucie.

Pan B z ironią: Poniosło i uleciała! Lotem Ikara, wprost w otchłań?

Asystent: Tego nie twierdzę. Okno ma jednak znaczenie. (…) To stamtąd sączy się światłość.

Pan B: Znaczenia okna wykluczyć nie sposób. Zwłaszcza we współczesnej architekturze. (…) Aleksandra przeglądała się w szybie jak w lustrze. A jeżeli teatr to właśnie „gabinet luster"? (niemal szeptem) Ta wielość jej wizerunków! Czuję się urzeczony, urzeczony i zadziwiony. Ja, który tchnąłem w nią życie. Ja, który prowadziłem ją, malutką jeszcze wówczas dziewczynkę po zarośniętych ogrodach jej babki, Heleny namiętnej miłośniczki róż i pachnących cytrusami magnolii. Ja, który otwierałem przed nią bezszelestne wrota Niebiańskich Bibliotek, dalekie korytarze w kolumnadzie buków i sosen. Ja, który uczyłem jej delikatne serduszko szybszego bicia na widok zarośniętych piołunem i miętą kaszubskich pagór-

Katarzyna Gościniewicz

ków i łąk, piaszczystych dróg i mrocznych, przepastnych jezior, na brzegu których, w wysokiej, zrudziałej skarpie jaskółki drążyły gniazda. (do Asystenta) To mówisz, patrzyła przez okno?

Asystent: Nieustannie patrzyła przez okno. Spore okno zagraconego salonu, wychodzące na mocno zaśmiecony skwerek i wysoką latarnię.

Pan B: Na szczycie której siadywał był dobrze odżywiony, majestatyczny kruk. O skrzydłach aż granatowych od czerni. Doskonały w proporcjach i w formie.

Asystent: Domyślam się, że to pan podsyłał jej to mroczne, ponure ptaszysko. I pewnie nie bez powodu.

Pan B: Domyślasz się? To niesłychane. Ty myślisz tylko że myślisz! (*w uniesieniu*) Ona kochała ptaszyska! A jakże. Podsyłałem jej całe stada kruków. Pięknych, majestatycznych, milczących.

Asystent: I całe stada wron. (…) Muszę przyznać, że technikę manipulowania odbiorcą opanował pan do perfekcji. Jak niejeden zawodowy reżyser. (…) To ona zapisała w dzienniku: ‚Widzę cię w czarnoskrzydłej wrony zamyśleniu, owej Parki wytwornie odzianej."

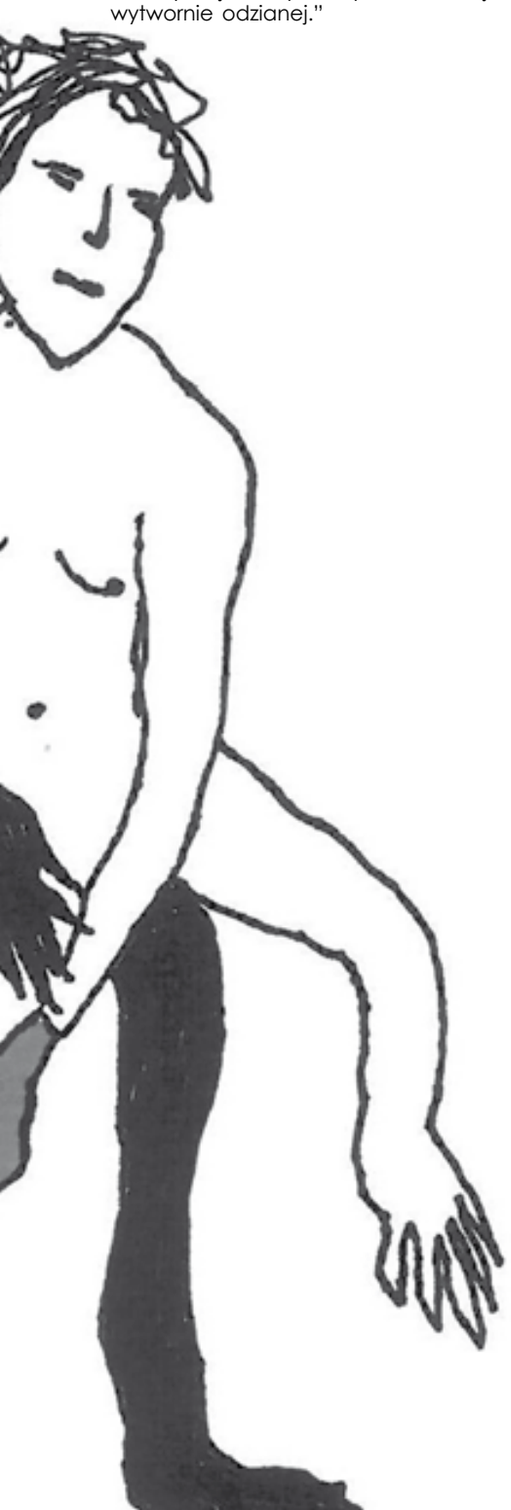

Pan B: Lubiła tych ciemnych posłańców! Doskonałych w formie, wypełnionych treścią. Jaskółki, wrony i kruki! (…) Posyłałem jak listy, z daleka, napełniając ich serduszka tkliwością. Posyłałem by nie czuła się taka samotna. Tak niekochana! Ona, która zawsze pragnęła miłości.

Asystent: Przedawkowała środki na senne, jak piszą. (…) Jakież to staroświeckie.

Pan B: Staroświeckie, ale skuteczne! (*do siebie*) Mogła, co prawda wybrać się nocą nad rzekę i rzucić w lodowatą otchłań, wprost z mostu. Teoretycznie, mogła. (*zupełnie innym tonem*) Moje ciepłe, kochające dłonie tuliły ją jednak do serca. Otaczały jej smukłą sylwetkę aksamitnym płaszczem współczucia. Moje tajemne podszepty niosły jej ukojenie. Kochałem i kocham ją nadal. Jak każdą drobinkę Stworzenia!

Asystent: Śmierć w rzece nie byłaby w stylu.

Pan B *z ożywieniem*: Nie w stylu sopockiej damy, na jaką ją wychowano? Masz rację, młody człowieku – nie w stylu. (…) No dosyć tych smutnych dociekań! Zabawmy się teraz w teatr. (*do publiczności*) Zagram dziś wszystko dla wszystkich. Wybieram maski i role. (…) Dla młodych będę młodzieńcem, dla starców podstarzałym filozofem, dla dzieci mogę być dzieckiem. Dla pięknych kobiet – miłym i ciepłym przyjacielem. A dla owych dewotek, co rozmodlone po nawach? To dla nich mogę być sędzią, okrutnym i sprawiedliwym. (*do Asystenta*) Dla ciebie? A kim dla ciebie?

Asystent: W pana teatrze autorskim? (…) Wielkim Kreatorem, Demiurgiem, Inscenizatorem.

(Przestawiają obaj z Asystentem dekoracje. Na podeście ustawiają fotel Pana B. Poniżej krzesło dla Asystenta i klęcznik. Klęcznik zajmuje Dewotka, nieruchomiejąc w stosownej pozie.)

Asystent: Mąż utrzymywał, że opuściła go i wyjechała, zabierając kilka niezbędnych drobiazgów.

Pan B: Ostatnio też miała męża?

Asystent: Ze sporym defektem psychicznym.

Pan B: Każdy, kto się żeni ma defekt.

Asystent: Podobno miała ich trzech. Trzech mężów i chyba kochanka. Kochanka tylko jednego. Czterech na jedno wcielenie.

Pan B: I nie zabiła żadnego? Prawdziwa sopocka Lady. Delikatna i zwiewna jak obłok.

Asystent: Zdążyli poumierać zanim podjęła działanie.

Pan B: Działanie? Prawdziwe damy unikają działania. Wystarcza im spekulacja, refleksja.

Asystent: Tak, działanie pozostawiają nam. (…) Wszyscy czterej w mogile ciemnej.

Pan B: Co znaczy w „mogile ciemnej"? (…) Nie wysilaj się, proszę na tak trywialną frazeologię. (*z naciskiem*) Trzej pierwsi zdążyli już byli odejść do wieczności. O czwartym niewiele wiadomo.

Asystent: Ach, prawda! Tam w dole nie lubią nazywać tak bezceremonialnie śmierci, wolą posługiwać się eufemizmami.

Pan B: Widzę, że szybko się uczysz! (…) Odejść na „wieczną kolację" lub do tak zwanej „wieczności". To brzmi zdecydowanie lepiej. (…) Czy ładna? Jak mniemasz, czy ładna?

Asystent: Wieczność? No, nie wiem. Pan przecież dzierży klucze od Labiryntu Bibliotek.

Pan B: Wieczność jak wieczność. Nieszczególna, można się jednak przyzwyczaić. (…) Pytam o nią. O Lady. Czy ładna? (…) To dobrze! Ładnemu zawsze przyjemniej wybacza się drobne występki.

Asystent: A i grube daruje się chętniej.

Pan B: Tak się składa, że nie słyszałem by kiedykolwiek prosiła o wybaczenie. Podobno nie traciła czasu na modlitwy?

Asystent: Nie należała do kółka różańcowego, ani do grona rozmodlonych dewotek. Trudno byłoby nazwać ją mianem samarytanki, mimo że wszyscy mężowie plus kochanek wymagali poświęcenia i opieki.

Pan B: Chcesz powiedzieć, że nie doznawała szczególnej ekstazy na myśl o publicznym „czynieniu dobra"?

Asystent: Bynajmniej!

Pan B: Ateistka? Buntowniczka? (…) A może, co daj Bóg – kobieta nieco upadła? Czy jakaś urocza Safonka? (…) Rozpoetyzowana jak wszystkie owe piękności z wyspy Lesbos? Sam kiedyś składałem im hołdy!

Asystent: Lesbijka? Wyznawczyni tęczowej ideologii, specyficznej indoktrynacji.

Pan B: Wyrażaj się jaśniej, młodzieńcze.

Asystent: Przepraszam, nie czyta pan gazet?

Pan B: Przeglądam, niezbyt gorliwie.

Asystent: Tęczowa ideologia. Zwiastun Apokalipsy. Tak piszą.

Pan B: Zapowiedź Apokalipsy? (*do publiczności*) A swoją drogą, jak wy lubicie się bać! Horrory już wam nie wystarczą. (*do Asystenta*) Apokalipsa - ogromnie modna, tam w dole.

Asystent: Ośmielę się Panu przybliżyć ten specyficzny sposób myślenia. Tu nie chodzi o Apokalipsę. Tutaj chodzi o związki.

Pan B: Chcesz powiedzieć, każdy kreuje sobie piekło na użytek prywatny?

Asystent *wyraźnie zniecierpliwiony*: Wchodzi się w związki. Wchodzi się w różne związki. *(z naciskiem*) Rozumie pan, w „różne związki", w związki rozmaite?

Pan B: Nihil novi sub sole! Zawsze wchodziło się w związki.

Asystent: Te związki są bardzo szkodliwe! Występne, jak mówią i „grzeszne".

Dewotka, *przerywając pacierze*: Haniebne, brudne, naganne!

Pan B: Grzeszne? Co znaczy „grzeszne"? Kto decyduje tam o tym? Kto ustanawia zasady?

Asystent: Nie pan. Z pewnością, nie pan.

Pan B: „Nie pan?" Co znaczy – „nie pan"? **(…)** No dość tej inscenizacji. (*wskazując na Dewotkę*) Odprawić proszę statystkę. Jak sądzisz naiwny młokosie? Musimy poważnie pomówić.

Asystent: Czy mam odprawić publiczność?

Pan B: Nie, bez niej nie ma teatru. Musimy czuć się obserwowani, nawet przez dziurkę w kurtynie. Obserwowani, podpatrywani, podsłuchiwani. To zawsze dodaje nam skrzydeł.

Asystent: Więc mamy poważnie pomówić, publicznie! Pytał pan o zasady, tam w dole.

Pan B: Ktoś ustanawiał zasady? I twierdzisz, że to nie ja? (*nie kryjąc oburzenia*) A któż to ośmiela się wchodzić w moje kompetencje? Kto daje sobie prawo? Kto prawo to sobie przyznaje!? Uzurpatorzy? Bezczelni uzurpatorzy?

Asystent: Jacyś samozwańczy bogowie. Ostatnio coraz ich więcej.

Pan B: I nic nie mówisz, młokosie!

Asystent: Nie chciałem pana rozgniewać. Chwalił pan, że szybko się uczę.

Pan B: Szybko lecz mało skutecznie. Uczysz się lawirować?

Asystent: Czyż działam nieefektywnie?

Pan B: Zbyt efektywnie! (nagle coś sobie przypomina) A właśnie! A tamtych, jak mówisz „bogów"

Asystent: Samozwańczych.

Pan B: Ukarać! Potępić na wieki! Masz →

dopilnować, to rozkaz! A spraw się dobrze, młodzieńcze!

Asystent *z ironią*: Nagroda mnie w niebie nie minie.

Pan B: I znajdź mi proszę logiczny powód, dla którego ludzie wchodzą w tak zwane „związki"?

Asystent: Pozwolę sobie doprecyzować pytanie. Nie „ludzie", a raczej – te k... k... kobiety!

Pan B: I nie obrażaj tu kobiet. Nie przy mnie! (...) Kobieta jest dziełem sztuki! Kwintesencją Urody Stworzenia. „Pyłkiem dmuchawca na mrocznych łąkach świata."

Asystent: Ośmielam się zauważyć, że to nie pana słowa. Powiedział je pewien poeta.

Ban B: Poeta wielki i znany! Mistyk, romantyk, koneser! Znawca urody kobiecej! Poetę także stworzyłem! (*z zachwytem*) Kobieta. To szczyt moich artystycznych kreacji! Dotknięcie czystego Absolutu! Genialne Dzieło Stworzenia!

Asystent: Harmonia piękna i dobra? (...) Nie każda. Przepraszam. Nie każda! (...) Chodziło mi o pewien, wielce kłopotliwy gatunek kobiety. Gatunek, który nie mieści się w skali.

Pan B *wyraźnie zniecierpliwiony*: Za wszystko, co nie mieści się w skali – potępienie! **Dewotka**: Potępienie na wieki!

Pan B *do Asystenta*: Mów wreszcie, o co ci chodzi!

Asystent: Sa-ma-ry-tan-ka.

Pan B *z oburzeniem*: Samarytanka? Składająca siebie w ofierze? (...) Składająca siebie na zimnym ołtarzu wiecznego poświęcenia. Samarytanka! I oto haniebna skaza na wielkim Dziele Stworzenia.

Asystent: Pęknięcie lub może rysa!

Pan B: Nie staraj się mnie pocieszać! (...) Samarytanka! Gdyby nie brzmiało to niestosownie, niestosownie do sytuacji (...) Chętnie bym krzyknął: O Boże!

Asystent *przeglądając papiery*: Z mocy definicji: Samarytanka to rodzaj osobnika płci żeńskiej, co to przeżywa orgazm na myśl o usankcjonowanym czynieniu dobra.

Pan B: Ex definitione! (...) Oto głębokie pęknięcie na gładkiej tafli wiekuistego Zwierciadła Stworzenia. (*do siebie, wyraźnie poruszony*) Nie, rysa. Bolesne pęknięcie!

Asystent: Wracając do związków małżeńskich (...) Niewielu prawdziwych straceńców wybiera samarytankę na żonę.

Pan B: I chwała im za to na wieki. Czy zdajesz sobie sprawę jak bardzo by wzrosła statystyka samobójstw? (*ze zgrozą*) Samarytanka na żonę! Lodowata jak Biegun Północny! Skostniała jak wieczna zmarzlina!

Asystent: A miłość esencją życia!

Pan B: Amor est vitae essentia! (...) Używaj łaciny w rozmowie. Łacina nobilituje!

Asystent: Co do miłości i małżeństwa – nie jestem praktykiem.

Pan B: Nie jesteś. To widać bardzo wyraźnie!

Asystent: Znam jednak sprawę z teorii! (...) Małżeństwo kończy się zawsze tak samo: albo rozwodem, albo śmiercią któregoś z małżonków.

Pan B: „Kobietą i mężczyzną stworzył ich."

Asystent: Kto?

Pan B: Nie zadawaj infantylnych pytań. To cytat. Autoplagiat, jak wolisz.

Asystent: Podobno jest to surowo zabronione. W kręgach naukowych, tam w dole!

Pan B: Nie tutaj jednak, nie tutaj. Skoro oni, tam na nizinach wycierają sobie gęby moimi słowami. Mogę dać sobie przyzwolenie na wszystko. (...) Wracając do tematu. Wstępuje się w związek małżeński, żeby wspólnie rozwiązywać problemy.

Asystent: Których nigdy by się nie miało, gdyby się nie wstąpiło.

Pan B: Patrz, jaki bystry się robisz. Noblesse oblige! (*w zamyśleniu*) Co prawda sam kiedyś podyktowałem owe pamiętne słowa: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili Ziemię i uczynili ją sobie poddaną."

Asystent: I co pan najlepszego uczynił! Błękitna planeta płonie!

Pan B: Szlachetna idea trafiła w nieszlachetne ręce.

Asystent: Szlachetna idea w niewłaściwym ręku jest gorsza, niż maczuga w dłoni jaskiniowca! (...) Kto mógłby jednak przypuszczać, że pana boską myśl odczytają tak expressis verbis.

Pan B: Tak literalnie? (...) Masz rację. Dosłowność zabija, młodzieńcze! Stawia przed plutonem egzekucyjnym delikatne sugestie, aluzje, niedomówienia.

Asystent: Potrafi rozstrzelać każdą metaforę. Rozmienić na drobne symbole. Rozmnożyć

Pan B: O tempora o mores! (...) A propos. Czy Aleksandra się kiedy (...) Czy kiedy się rozmnożyła?

Asystent: A skądże! Ona pisała wiersze. O romantycznej miłości. Takiej bezgłośnej i smutnej.

Pan B: Ach, jakżem ciekaw. Ogromnie!

Asystent *z lekkim niedowierzaniem*: Interesuje się pan literaturą?

Pan B: Nie całą, młodzieńcze. Nie całą. Studiuję dzieła tylko wielkich tego świata. Tamtego i tego. (...) Tamtego może bardziej, niż tego. Sam w końcu dyktowałem najlepsze kawałki.

Asystent: Te, które nie grzeszą dosłownością.

Pan B: Te, które niczym nie grzeszą. Grzechu nie ma i nigdy nie było. (...) To wszystko trywialne wymysły. A co do dosłowności. (...) Pytałem, czy Aleksandra kiedy się rozmnożyła?

Asystent: Kochała poezję – nie poetów. Malarstwo – nie malarzy! Czasem jednak bywała sentymentalna jak grafomański wiersz.

Pan B: A jednak zrobiła nam niespodziankę. (...) Zagadka, prawdziwa zagadka! Tam już jej nie ma, a tutaj jeszcze nie przybyła. (...) Ktoś przecież musiał zainteresować się jej zniknięciem. (...) Wszak była „osobą publiczną"?

Asystent: Jednak nie zostałaby nią nigdy, gdyby nie zdecydowała się na dość intrygujący, pełen determinacji gest.

Pan B: No przejdźże wreszcie do rzeczy. (*tonem inkwizytora*) Do meritum! Do sedna! Do sprawy!

Asystent *z podziwem*: Nie wiedziałem, że pan tak potrafi. (...) To dobra rola i całkiem sugestywny, a mocny w wyrazie tekst!

Pan B *z patosem, uroczyście*: Mistrzowska! Jak zresztą wszystko, co czynię. (*na stronie*) To rola schlebiająca wątpliwym gustom odbiorcy. Ci nieszczęśni, tam w dole, takim mnie lubią oglądać. (...) No, przejdźże wreszcie do sprawy!

Asystent: Sprawy jeszcze nie było. (...) Kilkanaście miesięcy wcześniej, być może na rok, a może nawet półtora wcześniej – udało jej się zainteresować swą (dość niebanalną) biografią - kilka liczących się w świecie nauk humanistycznych, bardzo wpływowych osób.

Drzwi do biblioteki otwierają się bardzo powoli, skrzypiąc przeraźliwie jak w horrorze.

Adeptka filologii *zza biurka, w bibliotece*: W gronie tym znalazła się europejskiej sławy badaczka prozy autobiograficznej, znawczyni literatury współczesnej, dzięki której nawet drobne, pozornie nieznaczące „fakty z życia" nieznanego powszechnie pisarza – nabierają szczególnego znaczenia.

Asystent *do Adeptki*: Pod warunkiem, że taki ktoś prowadzi dziennik, pamiętnik, w którym deklaruje datę własnej śmierci.

Glos Aleksandry *z offu*: Może też wyznaczyć sobie datę, miejsce i sposób samounicestwienia, który wcale nie musi być śmiercią.

Pan B: (*zwraca się do miejsca, z którego dochodzi głos*) I tyś to, tak uczyniła? (*z egzaltacją*) Skandalistka! Prawdziwa skandalistka! Piękna i nieco występna! (*w zamyśleniu*) Postanowiłaś sprzedać biografię dla celów naukowych? Jakież to oryginalne! To jednak jesteś pisarką? Poetką? (*do Asystenta z zachwytem*) Patrz jak wspaniale materializuje się wszelka duchowość. Podziwiam sam siebie za te ostatnie eksperymenty, za całą tę psychologię miłości, parapsychologię, psychologię istnienia gatunków, mistycyzm fizyki kwantowej. (...) Ileż to w minionym stuleciu stworzyliśmy wielkich aktorów! (...) A iluż potencjalnych samobójców!

Adeptka filologii *zza biurka, niezwykle uroczystym tonem*: Jako racjonalistka, spadkobierczyni oświeceniowego empiryzmu, zwolenniczka filozofii Immanuela Kanta – stwierdzam, co następuje. (...) Stwierdzam, że Boga – nie ma! Nie ma i nigdy nie było!

Asystent *dworując sobie nieco*: Czy ja już gdzieś to słyszałem? (...) Czego nie widzę – nie istnieje!

Adeptka *z egzaltacją*: Miejcie odwagę posługiwać się rozumem!

Pan B *lekceważąc Adeptkę i zwracając się do miejsca, z którego dochodził głos Aleksandry:* A ty, moja występna i piękna? Jak ty sobie mnie wyobrażasz?

Głos Aleksandry: Nie wyobrażam sobie! Ja jestem pewna! Ja wiem! (...) Niekiedy tęsknię do pana. Jak tamtej grudniowej nocy, gdy miałam (...) No, nieistotne. Co miałam!

Pan B: Gdy chciałaś rzucić się z mostu?

Glos Aleksandry *z offu*: Oto późny wieczór. Nadspodziewanie zimny.

Pan B: Po raz pierwszy od tygodni – suchy, połyskliwy, z kryształkami lodu na skrzącym asfalcie? Czy nie są to twoje słowa?

Głos Aleksandry *z offu*: Tak! Tak notowałam w rozpaczy. (...) Wracamy z Panią Wilczycą. Bursztynowo-brązowe oczy z iskierkami światła, wilczy kark, dobrze utrzymana sierść i pełnia zadowolenia z siebie.

Pan B: Podobno pies nie chce być kimś innym, niż jest. (...) Pies – nie. Człowiek zdecydowanie – tak!

Glos Aleksandry *z offu*: Wracamy z Panią Wilczycą niespiesznie. Ulica pusta, milcząca, zastygła w nie widywanym z dawna bezruchu.

Pan B *wchodzi w rolę*: Rząd przedwojennych, okaleczonych kamienic, mocno przygiętych ku ziemi, chromych.

Głos Aleksandry *z offu*: O takich pisywał był Hłasko, że dachy ich nie sięgają nieba.

Pan B: Czarne, przepastne bramy, brutalnie poobijane tynki, ciemne światło zza matowych, zaparowanych szyb.

Glos Aleksandry *z offu*: Widać kontury przedmiotów, sylwetki ludzi.

Pan B: Jest scenografia. Są aktorzy. (...) A w oświetlonych oknach?

Głos Aleksandry *z offu*: Ten sam scenariusz rozpisany na dziesiątki spektakli, nieistotnych, nieznaczących ról. (...) Tutaj mówi się tekstem. Tutaj wielki monolog Hamleta sprowadza się do lakonicznego: „Two beer, or not two beer – Sixbeer". Tutaj filozoficzne dyskursy kwituje się sprayem na murze: „Pan Bóg to jest fajny facet".

Pan B: „Pan Bóg to jest fajny facet". (*do Asystenta*) Słyszałeś?

Asystent: Nie wszyscy tak pana widzą. Bywa pan starym zrzędą, nudziarzem, nieledwie tetrykiem, karzącym ramieniem sprawiedliwości, Prokuratorem Generalnym (…) i Sędzią okrutnym, acz sprawiedliwym. Powinien pan zadbać o pijar.

Pan B: Cave, cave! Deus videt! Straszą mną teraz po kościołach, że o szkołach i przedszkolach – nie wspomnę!

Asystent: I co za demoniczna filozofia.

Pan B: Cave, cave! Dobre sobie! Deus videt! Czy ja nie mogę czuć się już nieco zmęczony? Videre sed non Videri!

Asystent: Widzieć, ale nie być widzianym?

Pan B, *zwracając się do Asystenta*: Wzywaliśmy kogoś? O tej porze? Teraz zgodnie z odwiecznym porządkiem – należy się przerwa na kawę. (*nie kryjąc zniecierpliwienia*) Zatrzymaj ten pochód tam w dole.

Asystent: A jest ich zdecydowanie zbyt wielu. Straszny ruch w interesie, że się tak trywialnie wyrażę.

Pan B: Rzeczywiście trywialnie, nie przeczę (…) Tych w stanie śmierci klinicznej odpraw natychmiast z powrotem. Puść im hologram ze światłem, z takim światełkiem w tunelu.

Asystent: Podobno lubią to widzieć. I ciągle muszę to puszczać. (…) Już prawie popadam w rutynę.

Pan B: Wierzą, że daje nadzieję. Niech wierzą! (*ze współczuciem*) Skoro nie wierzą w miłość, niech chociaż mają nadzieję. (…) Acha, byłbym zapomniał. Powiedz, że bagaże mają zabierać ze sobą, a nie rzucać bezładnie pod bramą.

Asystent: Jeżeli wpadają tu tylko turystycznie – to lepiej bez żadnych bagaży.

Pan B: Bez tej udawanej pokory, bez cudzych obsesji, bez tych niby własnych przemyśleń.

Asystent *przypominając sobie nagle*: Co z tymi, co lubią się bać? Co z tymi, co wierzą w piekielne otchłanie? W demony i diabły? Co z nimi?

Pan B *wyraźnie zmęczony*: Przywołaj im sztab psychiatrów. (*nagle wpada na pewien pomysł*) Nie, nie. Zaczekaj. Dla nich trzeba by urządzić dobrą inscenizację w bibliotece. Przypomnij sobie piekielne wizje Hieronima Boscha. (…) Tylko uważaj z ogniem. Nie szalej z efektami specjalnymi. Do ksiąg trzeba podchodzić z pietyzmem, a papier pali się łatwo.

Asystent *po dłuższej chwili milczenia*: Czy podać koniak?

Pan B: Tak, proszę. (*bierze kieliszek, wącha*) Co za bukiet. I który to rocznik?

Asystent: Gautier 1762.

Pan B: Niezły.

Asystent: Pozwolę sobie zauważyć, że w początkach tego stulecia oszaleli na jego punkcie. Kropelkę wpuszcza się do koperty złotego Spirit Watch, którego nazywa się tam w dole absurdalnym mianem „kapsuły czasu".

Bemola *ze swego fotela*: Exactly. Dokładnie, mówię – dokładnie! (*dumna ze swej wszechstronnej wiedzy*) Taką samą kropelkę przechowuje się we wnętrzu wiecznego pióra. No fakt, nie byle jakiego!

Asystent *uzupełniając z zadowoleniem jej kwestię*: Korpus i skuwka wykonane z dwustuletniego dębu, podobnie jak beczka, w której dojrzewa trunek. *(z zachwytem do Pana B.)* Zechce pan sobie tylko wyobrazić: kropelka ukryta w piórze!

Pan B: Co za wyrafinowanie! A piszą coraz to gorzej. (*z zainteresowaniem)* Kropelka ukryta w piórze? (…) To dla nich pewnie relikwia.

Bemola *komentując ze swego fotela*: O wdzięcznej nazwie Cognac Pen.

Pan B: I czegóż to tam nie wymyślą. (…) Chociaż doszły mnie także słuchy, że tam na głębokich nizinach, w niektórych (że tak powiem) szczególnie upodlonych kręgach (…) pija się koniak jak wódkę.

Asystent *nie kryjąc oburzenia*: Ewidentny upadek obyczajów. (…) Czysta profanacja! Trzy setki, jedna po drugiej, jak pospolitą czyściochę, pod rząd.

Pan B: To piją teraz pod rząd? Dawniej pijano pod śledzia.

Asystent: To chyba Skandynawowie. W tym kraju piją pod rząd. To ich narodowa obsesja.

Pan B: A wiem coś o tym, niestety. Ten naród nie kocha teatru, nie kocha książek i sztuki.

Asystent: Kocha lecz w gorszym, szczególnie tandetnym wydaniu. W wydaniu

Bemola *podpowiada*: Second hand! Teatr też second hand. Narodowy!

Asystent: Demonstracje uliczne, pochody, protesty w plenerze, msze święte, religijne orgie, pielgrzymki.

Pan B: To jestem tak popularny?

Asystent: Nie pan. (…) Zamiast sceny mównica sejmowa. Zamiast aktorów – słabo znający swe role politycy. Zamiast pana (…) Nie, nie chcę pana rozgniewać!

Pan B: Schodziłeś tam często, to powiedz. Zapewne mają artystów, statystów, suflerów?

Asystent: Co do artystów to nie wiem. O artystów zawsze najtrudniej. (…) Mają całe armie statystów, suflerów i mają domorosłych klakierów.

Pan B: Więc „teatr swój widzą ogromny"? „Wielkie powietrzne przestrzenie" (*ulega oczarowaniu przywołanymi słowami*) A reżyser?

Asystent: Jakiś tam taki polityk. Ubożuchny, maluchny, dość stary. Działają bez scenariusza. (*po dłuższej chwili*) Profanacja sztuki przez wielkie „S".

→

Katarzyna Gościniewicz

Pan B: I jakąż to karę przewidujemy za profanację? (…) Przypomnij mi z łaski swojej.

Asystent *przeglądając jakieś papiery*: Za profanację z premedytacją, świadomą i dobrowolną orzekamy (*po chwili zastanowienia*) To zależy od wagi sprofanowanego przedmiotu, idei, obiektu kultu.

Pan B: Za profanację szlachetnego trunku i ciężką obrazę uczuć. Za amatorszczyznę w teatrze. Za uzurpowanie sobie roli reżysera w moim kosmicznym spektaklu! (*dodaje z wymownym gestem*) Zgodnie z klauzulą sumienia.

Asystent: To mamy jakąś klauzę? Ba, mamy nawet sumienie?

Pan B: Ach jakżeś nierozważny i młody! Zadajesz infantylne pytania. (…) To ja mam prawo pytać. Twoją domeną jest udzielanie trafnych i szybkich odpowiedzi.

Bemola *przyjmując rolę suflera*: Ad hoc!

Pan B: O właśnie! Jak ta Bemola czuje teatr. (…) W przyszłym wcieleniu Bemola ma zostać sławnym teatrologiem!

Bemola: Teatrolożką!

Pan B: Teatrolożką, no zgoda. (…) Zapisz to sobie, młodzieńcze!

Bemola, *protekcjonalnym tonem do Asystenta*: Zakonotuj to sobie, a dobrze!

Pan B *do Asystenta*: Klauzula sumienia (wyjaśniam z zawodowego obowiązku i raczej bez zachwytu) to nowy dokument tam w dole. Doskonałe alibi dla bez - prawia i dla bez -myślenia.

Asystent *z naiwną radością*: „Dla tych, co mają TAK za tak, Nie za nie."

Pan B *z zachwytem*: Bez światłocienia!

Asystent *z naiwnością neofity*: Już wierzę! Jak pięknie powiedziane! (…) Klauzula sumienia!

Pan B: Nie widzę w tym nic pięknego. (…) Przestań się tutaj wymądrzać. Jak masz w papierach, młokosie? Znalazłeś wreszcie? To czytaj!

Asystent: Pozwolę sobie zauważyć, że czytać nie bardzo mam czego. (…) Pan daruje śmiałość. Na takie występki - brak skali.

Pan B: Za wszystko, co nie mieści się w skali należy się (…) A zresztą, bądźmy miłosierni.

Jak coś nie mieści się w skali – skreślajmy. Nie tak pochopnie, rzecz jasna.

Asystent: Skreślamy tylko na razie. Zgodnie z klauzulą sumienia.

Pan B: Nie ostatecznie! Skreślone można przywrócić. (*po chwili*) To jednak dość oryginalne. Takie picie koniaku jak wódki. (…) Trzy szybkie, jak mówisz, na jednym oddechu, pod rząd. (…) Wezwij tu znawcę tematu. Najlepiej jakiegoś notoryczncego i oddanego sprawie degustatora.

Asystent *anonsuje z dumą*: Oto przedstawiciel sopockiej Bohemy, bywalec klubu artystów sztuk wizualnych, piękny wiolonczelista, Andrusza.

Andrusza: Tuż dla ciebie gra cała orkiestra. (*zwracając się do Pana B*) Hospodi pamiłuj. Sen to? Sen li to tylko, czy może koszmarna jawa? Ja pana skądś znam. (*przygląda się Panu B. z niedowierzaniem*) Widywałem już pana. Takiego kostycznego starca z siwą brodą. I takim zagiętym paluchem. A paluch ten jakby mi groził.

Pan B: I groził! To pewne! Groziłem.

Andrusza, *zajęty swoimi myślami*: I zawsze na dużym kacu.

Pan B: Co za insynuacje. Oto efekt fraternizacji z artystami. (*niemile dotknięty*) Pijam okazjonalnie.

Andrusza: Pan pija okazjonalnie? Pan niemal w ogólne nie pije! Nie chodzi tu wcale o pana. Pan nigdy nie miewa kaca. Ja miewam!

Pan B: A wtedy zwidy, koszmary, dantejskie sceny, horrory?

Asystent *otwierając barek, do Andruszy*: A gdzież tam koszmary. Horrory. No popatrz!

Andrusza: Ach gdyby tak mały kuśtyczek, dla kurażu? Hospodi pamiłuj. (*podaje niedbale kapelusz i szal Asystentowi*) Nie będę witał się w płaszczu. Bez lekarstwa i bez znieczulenia.

Asystent *do Pana B*: To może nalać mu wódki?

Andrusza *do Asystenta, z zachwytem*: Tuż dla ciebie gra cała orkiestra! Chorego pytają.

Asystent *ze zrozumieniem*: Czym się zatrułeś – tym się lecz!

Andrusza: Powtarzasz moje słowa! Kuśtyczek nigdy nie zaszkodzi. Lekarstwo doktora Glazora.

Pan B *wskazując Andruszę*: Grzesznik? Pytam – w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Pytam, bo tego oczekuje publiczność. (…) Grzech to pojecie archaiczne. Grzechem jest nie korzystać z życia!

Asystent: O, ten korzystał w nadmiarze. (*po chwili*) Nie - raczej dłużnik. W klubie pił zwykle „na krechę".

Pan B: Nieprzeparty urok osobisty i maniery fordansera z przedmieścia?

Asystent: Multiinstrumentalista i multidegustator.

Pan B: Przyczynił się do bankructwa barmana? (*zwracając się do Andruszy*) Pijałeś ciągle „na krechę"?

Andrusza *trzeźwiejąc nagle*: Na jaką „krechę"? Broń Boże! Hospodi pomiłuj! Na zeszyt albo pod zastaw.

Pan B: Co za pretensjonalny styl bycia. Odrobinę pokory wobec wieczności. (…) Muzyk? Artysta muzyk? I tak sobie bezceremonialnie tu wchodzi? Bez chórów anielskich i modlitw?

Asystent *do Pana B*: Pozwolę sobie przypomnieć, że sam pan kazał go wezwać.

Pan B: Zapewne prosto z pogrzebu. Czuję jeszcze zapach świec i chryzantem. (…) Gdzie wiolonczela, muzyku? (…) Wygląda jak stary hippis przebrany za gentlemana.

Asystent: Dopiero setne wcielenie. Smarkaty i bardzo naiwny. Lekkoduch! Gdzie wiolonczela? Gdzie „duże skrzypce"? Pan pyta! (…) Pozwolisz, że ci przypomnę? *(do Pana B)* Na kilka dni przed ceremonią pogrzebową zastawił był instrument u barmana. Smoking, futerał i wiolonczelę za dwie półlitrówki śliwowicy koszernej, 48 wolt każda. A grywał też na pianinie.

Andrusza: Grywałem różne kawałki. Tak z kapelusza, bez kwitów. Że klawiatury nie staje.

Pan B: Śliwowica koszerna? No, zna się widać na rzeczy. (…) I gdzie pianino? Zastawił?

Asystent: Pianino umarło przed czasem. (…) Nim wydał był tchnienie ostatnie w pianinie (…) pękła struna. (*po dłuższej chwili*) I pękła nawet dość głośno, taki metaliczny, podobno szczególnie intensywny, nad wyraz intensywny - dźwięk. „Jak zgrzyt żelaza po szkle".

Pan B: Nie czas by cytować tu wieszcza. (…) Czysta metafizyka! Kto słyszał pękanie struny?

Asystent: Wdowa. O imieniu (…) Aleksandra?

Pan B *do Andruszy:* Ostatnia przedśmiertna lektura? Ostatni koncert, marzenie? Sen?

Andrusza *(recytuje z uniesieniem)*:

Nad instrumentem lustro w ramie z baroku

Złotej. I klaszczę sobie ochotnie, straceniec.

Cóż do roboty? Trup w Sali ściele się gęsto

Akordy łapię z sufitu. Adoruj mnie mila często

Pozwalam, nie bez zachwytu.

Lustro pęknięte i kruche, zasnute nicią pajęczą.

Muzyka czasu bezruchem

Milczenie – śmiercią. *(Andrusza kończy, kłania się z ewidentną przesadą)*

Asystent: Nadal wierzy, że jest cudowny. A wiara wiadomo – ponosi! (…) Chciał grywać u Von Karajana.

Pan B: Byleby wierszy nie pisał. (…) Chciał grywać, powiadasz? Niech gra tam. Niech gra tam teraz na wieki. (…) Mówisz, że Aleksandra?

Asystent: Ta sama! Ożenił się był z Aleksandrą. Tyle, że on nie używał nigdy jej imienia. (…) Do kobiet mawiał „muszeczko". Do każdej tak samo się zwracał, tak samo słodko i czule.

Pan B: Kabotyn! (z *ironią*) „Adoruj mnie miła często, pozwalam nie bez zachwytu". (…) Aleksandra jest piękną, silną i nadal wytworną kobietą. A on lubił drobne i kruche. Jak małe, brzęczące muszeczki? To jakieś nowe zboczenie!

Asystent: To samo imię wykorzystywał był ze względów nader praktycznych. Gubił się w tych romansach. Najpierw myliły mu się tylko imiona. Gdy był u szczytu sławy mylił imiona i twarze. Do żony też mówił „muszeczko" i często mylił z innymi.

Pan B: I co z nim zrobić? Co radzisz? (…) Czasami nawet ja czuję się całkiem bezradny. **Bemola** *ze swego fotela*: Artyści do wora i do jeziora!

Asystent *karcącym tonem*: Bemola, mieszaniec wilka! Za dużo sobie pozwalasz. (*do Pana B.*) A cóż mi radzić wypada? Bemola może ma rację. Nie bądźmy jednak okrutni.

Pan B *do Asystenta*: Prawisz jak rzadko – rozsądnie. Artyści to barwne ptaki. Życie Bohemy potrafi intrygować, urzekać, czarować. *(przez scenę przechodzi Dewotka*) O znowu znana mi postać.

Asystent: Pękniecie (jak pan to mawia) na wiekuistym Dziele Stworzenia.

Pan B *nie kryjąc niechęci*: Dewotki i stare panny same tu ciągle przychodzą. To dla nich te puste nieba.

Asystent: O znowu któraś tu zmierza.

(Dewotka klęka przed Asystentem. Ten z stanowczym gestem wskazuje na pana B.)

Pan B: Wielbiła, wznosiła modły, klepała ciągle pacierze. (…) Masz córko jakieś życzenie?

Dewotka *nadal do Asystenta, pokornie i uniżenie*: Mam Ojcze Dyrektorze. (…) Mam Panie!

Pan B: Słucham cię tedy z uwagą. Tak jak należy mi słuchać. Tak jak wierzycie, że słucham.

Asystent *do Dewotki*: Nie do mnie kieruj swe słowa. Kieruj je raczej do Pana! Proście a będzie wam dane. Pukajcie a odpukane wam będzie. Stukajcie a wam odstukam.

Dewotka: Tam w dole występek, zepsucie! Grzeszników więcej, niż wiernych. Nadchodzi czas ostateczny. Kościół i kraj nasz w ruinie!

Pan B: No proszę. Nic o tym nie wiem. (…) Skąd córko wiesz, że nadchodzi?

Dewotka *do Pana B*: O Panie! Powstańmy z kolan!

Pan B: Co za insynuacje! (*do Asystenta*) Nalej mi jeszcze koniaczku. (*wącha z lubością, popija*) Ja na kolanach! To dobre. A przed kim niby mam klękać?

Dewotka: Przed Bogiem Ojcem! Przed Sędzią! Okrutnym lecz sprawiedliwym.

Pan B *do Asystenta*: Czas przerwać tę głupią rozmowę. (*do Dewotki*) Masz jakieś prośby, żądania?

Dewotka (*z mocą*) Żądamy, by w każdej osadzie i wiosce, w każdej dzielnicy – kościoły! W każdym obejściu – kaplica! W każdym domostwie – ołtarze!

Pan B: A róbcie sobie co chcecie. (*do Asystenta*) I puść ją przez tunel światła i zainscenizuj otchłanie! Piekielne, ma się rozumieć! (…) Niech najpierw do biblioteki! (…) Nie ma tu miejsca dla takich. I niech nabiera pokory! Niech pozna, co ziemskie rozkosze! Podeślij jej męża, muzyka. (…) Dożyją starości z Andruszą.

W wierze, w upadku i w biedzie. Bez książek i bez refleksji.

Nagle, w zupełnej ciszy otwierają sie drzwi do kaplicy. Ewidentnie wieje chłodem. Można wprowadzić efekty specjalne i sypnąć tumanem śniegu. We wnętrzu domniemanego nieba (kaplicy) klęczy zamyślona Aleksandra. Wystrój kaplicy nietypowy. Klęcznik, dwa fotele, dobrze zaopatrzony barek. Obok stolik do brydża, przy stoliku trzej gracze. Scena pantomimiczna. Rozgrywają bez czwartego. Czasami Pan B podchodzi i podpowiada coś swojej brydżowej partnerce.

Aleksandra: Jeśli tam jesteś, mów do mnie. Słowo ma moc konstrukcji i destrukcji, upadku i wyniesienia. Mów do mnie, Panie mój, Boże!

Pan B *siadając w fotelu*: Tak nie będziemy rozmawiać. Powstań z kolan i nie rób tego więcej. Chyba nie dworujesz sobie ze mnie, moja śliczna? Skąd przychodzisz?

Aleksandra *z udawanym patosem*: Przybywam z kraju, którego mieszkańcy obsesyjnie powstają z kolan.

Pan B: A któż to nakazał im klękać? Powstają z kolan, bo lubią. (…) Zbiorowo, czy indywidualnie?

Aleksandra: Powstaje się zawsze zbiorowo. Pada się raczej indywidualnie. Ojczyzna to zbiorowy obowiązek. (…) Przybywam z kraju skrwawionych symboli i wiekopomnych klęsk

Pan B: Z kraju, co ciągle w ruinie? (…) Oszczędźmy sobie tych teatralnych gestów, tych nudnych, politycznych rytuałów. Za dobrze to znam, by chcieć się w to jeszcze bawić.

Aleksandra *udając oburzenie*: Mam modlić się na siedząco?

Pan B: A kto ci każe się modlić? Chciałaś spokojnie pomówić. Co prawda, nie zawsze mam czas. (*z delikatnym wyrzutem*) Właśnie oderwałaś mnie od całkiem interesującej rozgrywki. Licytowaliśmy szlemika w piki. (…) Gra w piki daje wyniki!

Aleksandra *nieśmiało*: Wiem Boże, że jesteś zajęty.

Pan B *podając jej szklankę*: Cocktail Manhattan, jak lubisz. Z cytrynką i kilkoma kostkami lodu. (…) Tak, przejdźmy do konkretów, proszę.

Aleksandra: Wiem panie, że jesteś zajęty. Nie jesteś też psychologiem.

Pan B: To już mówiłaś. (…) Nie jestem! Ani psychoterapeutą. Ani prestidigitatorem. Ani szefem hipermarketu.

Aleksandra *ze zdziwieniem*: Dlaczego hipermarketu?

Pan B: Zwracają się do mnie, prosząc o mnóstwo rzeczy. Całe listy zakupów. Cale listy pobożnych życzeń. (…) Carpe diem quam minimum credula postero. I nie zaprzątaj sobie tej pięknej główki smutnymi myślami. (*poufale*) Nie myśl o tym, co było. Zaniechaj tego, co będzie. Żyj chwilą.

Aleksandra: Nie jestem Bogiem.

Pan B: Nie, Bogiem – zdecydowanie nie jesteś! To wykluczone! Jesteś uroczą boginką.

Aleksandra *kokieteryjnie*: Czyż to nie czysta herezja?

Pan B: A skądże. Odwieczne prawa Kosmosu. (*z głębokim zastanowieniem*) A co do mej wiedzy z zakresu psychologii i tego typu intelektualnych nadużyć. Pozwolisz. Nie skomentuję. Nie jestem szarlatanem, a znawcą natury człowieczej. To znaczna różnica, jak mniemam.

Aleksandra: Nie jesteś psychologiem! Rozumiem. Nie udzielasz prywatnych konsultacji, a tylko życzliwe wsparcie w modlitwie.

Pan B: A kto ci to, moja piękna - naopowiadał takich wierutnych kłamstw, takich bredni? Masz jakąś obsesyjną potrzebę modlitwy?

Aleksandra: Ach nie bierz mnie tak poważnie.

Pan B: Widzę, że szykuje się nam długa i czarująca rozmowa. (…) Poczekaj, zatrzymam czas. (*na wymowny gest Pana B. - grający zatrzymują się w bezruchu*) A gdybyś tak przeszła do sedna, do meritum, po prostu do rzeczy. To ułatwiłoby sprawę.

Aleksandra *z nagłą determinacją*: No dobrze, przechodzę do sedna. (*uroczyście*) Kochałam nie będąc kochaną.

Pan B *z trudem hamując rozbawienie*: Miłość uważamy za wielce niepożądaną, jeżeli wymaga poświęceń. Jeżeli wymaga ponoszenia ofiar.

Aleksandra: Kto „my"?

Pan B: My – a chociażby, jak to sobie większość wyobraża - Pan i Władca wszelkiego Stworzenia. My Bóg lub Wielki Kreator Wszechrzeczy. My Absolut. (*ciepło, niemal czule*) Przyszedłem, bo mnie zaprosiłaś. Czuję się zaszczycony. (*przysuwa swój fotel bliżej Aleksandry*) Czy mogę potrzymać tę piękną i kruchą rączkę w swych bezcielesnych dłoniach?

Aleksandra: No widzisz? Jesteś mężczyzną lub raczej męskim wcieleniem. Wcieleniem, kogo? Pasterza?

Pan B: Nie jestem dobrym pasterzem. A ty nie jesteś owieczką. Nie wiodę cię ciemną doliną, Nie pasę na zielonych łąkach.

Aleksandra: Jesteś mężczyzną, więc dlaczego miałbyś zrozumieć kobietę? Mówiono mi nieustannie, że powinnam szukać cię w twoich słowach.

Pan B: Nie w moich słowach, a w gestach. (…) Szukaj mnie w gestach nieważnych. W tych drobnych, takich zwyczajnych. (*nagle poważniejszym tonem*) Rzadko wypowiadam się publicznie. Nie udzielam wywiadów. Mało kto słyszał mój głos.

Aleksandra: Chodzi o pisma, o księgi. Niektóre frazy potrafią urzekać muzyką, są rzeczywiście wyrafinowanie piękne.

Pan B: Niektóre dyktowałem osobiście.

Aleksandra: Mówią, że patrzysz na świat z ukrycia. Widzisz, nie będąc widzianym.

Pan B: Jak stary aktor podpatrujący zachowania publiczności przez dziurkę w kurtynie?

Aleksandra: Nie, raczej jak staroświecki amant, śledzący wzrokiem każdy gest pięknej nieznajomej, amant kryjący twarz za płachtą codziennej gazety.

Pan B: Tak chyba bywa. Niekiedy. (*ulegając urokowi Aleksandry*) Może raczej jak stęskniony kochanek upatrujący obiektu swych uczuć zza delikatnej przesłony, zza chmury.

Aleksandra *podchwytując ten sam ton*: Podobno Kosmos spogląda naszymi oczami na Ziemię i gdy jesteśmy szczęśliwi, radośni tam w górze chmury układają się w rozmalowane twoją dłonią, rozmigotane światłem krajobrazy.

Pan B: Wznoszą się symboliczne, strzeliste kolumnady wypełnionych powietrzem katedr, niebotyczne wieżyce kościołów toną w jasnej, pastelowej poświacie i słychać subtelną, opartą na klasycznej harmonii muzykę.

Aleksandra *zmieniając niespodziewanie ton*: Jestem jednak przede wszystkim kobietą, a wszelka ideologia i religia dana jest dla wygody mężczyzny. (…) Nieprzypadkowo autorami ksiąg byli tylko i wyłącznie panowie.

Pan B: A kto ci nakazuje studiować te księgi? Kto pozwala zaprzątać to cudnie sklepione czoło – niemiłymi myślami? (*po dłuższej chwili*) Szukaj mnie w chmurach, w pejzażu, zaproś mnie na te twoje ukochane Kaszuby, a przyjdę.

Aleksandra: Wiesz o Kaszubach? (*z boku fotela Aleksandry pojawia się teraz hologram z wizerunkiem Pana B., Aleksandra się odwraca i mówi do hologramu, podczas gdy Pan B. siedzi nadal w fotelu)*

Pan B: Wiem wszystko. Znam twoje myśli zanim wypowiesz słowo. (*uroczyście*) Jestem wszystkim i czernią i bielą, wybuchami nieposkromionej radości i smutkiem głębokim jak otchłań. Mieszkam w sercu spłoszonej jaskółki i w spokojnym spojrzeniu delfina. Jestem zarówno spełnieniem jak i niespełnieniem, klasyczną harmonią piękna jak i odrażającą szpetotą. Jestem poezją i prozą, romantyczną metaforyką i dosłownością literatury faktu.

Aleksandra: Rozumiem cię doskonale. (*dotyka czule hologramu jego twarzy*) Widywałam twoje zamyślone, spokojne oblicze w pejzażu kaszubskich pagórków. Widywałam twoje oczy w głębokiej toni jeziora. (…) Ostatnie lata chciałam spędzić na kaszubskiej, odsuniętej od uczęszczanych szlaków wsi.

Pan B: Pisałaś mi kiedyś o tym. Ten fragment pamiętam dobrze. (*cytuje kawałek z pamięci*) „Do wsi schodziło się od strony lasu, z wysoka. Droga urywała się nagle. Przed oczami migotało intensywnie niebieskie, aż granatowe w pochmurne, jesienne dni – jezioro. Na gładką jak lustro taflę patrzyło się wówczas przez drzewa: wysokie, mocne brzozy, osiki z głowami ukrytymi w chmurach koronkowego listowia i kępy młodych, smarkatych, klonów samosiejek."

Aleksandra: Bywałam tam dawno, przed laty. Miałam tam ulubione bezdroża i drogi – wiodące aż po horyzont, dalekie, piaszczyste, odludne.

Pan B: I nie spełniłaś marzenia. Będziesz musiała je spełnić. I wtedy dopiero powrócić. Będę czekał. Czekał z utęsknieniem. (…) Ach, gdyby nie dzieliły nas te wszystkie miliony lat. Zaproś mnie na Kaszuby, a przyjdę. Przybędę z wielką radością. Przylecę na skrzydłach jaskółki.

Aleksandra: Przywołam dla ciebie tamten czas. Czas odnajdywany i tracony. Czas odnajdywany po wielekroć. (…) Oto pożyczony namiot, bez podłogi, rozbity tuż pod okazałym jałowcem. Dalej rzędy takich samych, wysokich, strzelistych. Kolumnada niebotycznych jałowców, pachnących mocno w upale. Widzisz? (…) Na krzewach ciemne, granatowe jagody i trochę zrudziałych gałęzi. Miejsce na ognisko prawie w wodzie, obudowane sporymi kamieniami. Wieczorem i rano – istne ptasie szaleństwo. W wysokiej skarpie setki niewielkich otworów. Gniazda jaskółek brzegówek.

Pan B *już z oddalenia*: Przybędę z wielką radością. Przylecę na skrzydłach jaskółki.

(Aleksandra idzie powoli w kierunku okna i znika w świetle. Pan B wraca do brydża. Gracze budzą się nagle. Rozpoczyna się kolejna rozgrywka.)

Pan B *sam na pustej scenie:*

Oto schodzę, tak jak prosiła Aleksandra - po tej piaszczystej skarpie, zarosłej zeschłym zielskiem, rudą kocanką i wrzosem. Odmykam furtkę kaszubskiego ogródka i jestem. (…) Jestem tym, którym jest. (…) Snuję się po zamglonym ściernisku, ogrzewam przy ogniu, w którym umorusane dzieciaki pieką na patyku jabłka. Patrzę jak objadają się gorącymi „grulami", rozłupując czarną, spaloną skórkę. Z czułością przypatruję się ciemnej sylwetce kobiety, otulonej w chustę. Wybiera mozolnie ziemniaki, rozdeptując ciężkie, brunatne skiby. Z uwagą zaglądam w twarz milczącego rybaka, w twarz (jak to sobie literacko nazywacie) „wysmaganą wiatrem i deszczem". Dotykam czułym spojrzeniem wysokich brzegów ciemnego jeziora. To tutaj, w rdzawej i twardej ścianie jaskółki drążą swe czarne korytarze. (…) Myślicie, że jestem wielki, wszechmocny i wszechobecny. Myślicie, że wiekuisty, surowy i zimny jak tafla spokojnego, skutego lodem jeziora. W jakimże błędzie jesteście! (…) Wybrałem teatr. Oto jestem tym, który gra rolę, jakiej nie oczekujecie. Pozwólcie mi dotknąć miłości, nadziei, współczucia. (…) Dozwólcie mi być aktorem, o twarzy tak niejednoznacznej jak wyszukana metafora, tak przeźroczystej jak symbol. (…) Chociaż na czas spektaklu. Zaakceptujcie mnie takim, jakim jestem naprawdę: niezdefiniowanym, nieogarnionym, bezkresnym.

Małgorzata Dorna (Wendrychowska),

ESEJ

W SPRAWIE POEZJI REGIONALNEJ

Czesław Karkowski

Duże wrażenie zrobił na mnie wiersz-poemat-oda Kazimierza Brakonieckiego „List do poetów pokolenia '50", zamieszczony w 3 (80) numerze kwartalnika „Migotania. Utwór poświęcony pamięci regionalnej grupy autorskiej – głównie poetów, pisarzy, artystów z północy Polski; okolic Olsztyna i Gdańska. Środowiska już nie istniejącego, co sugerować może elegijne wołanie do autorów: co u ciebie słychać…, jak teraz żyjesz…, etc. Ten fragment utworu czyta się jak listę osób zaginionych, umarłych.

Środowisko poetyckie

Dotyczy poetów jednego pokolenia, złączonych wspólnym doświadczeniem – wyrastania w PRL na tzw. ziemiach odzyskanych, o silnych wpływach niemieckich. Przeżywających w tym samym okresie i podobnie, niemal identycznie, polityczne wydarzenia, które miały wpływ na egzystencję każdego w tamtym miejscu i czasie; dzielących artystyczne uniesienia, kulturalne doznania, rozczarowania i nadzieje artystyczne a także życiowe. Indywidualne przeżycia i wzajemny rezonans tych odczuć, wzmacniany lub osłabiany, uzupełniany o dodatkowe elementy, bądź korygowany, tworzy to właśnie niepowtarzalne, pokoleniowe doświadczenie. Więź jedyną i wyjątkową.

Co bowiem odróżnia to właśnie grono twórców od innych podobnych ugrupowań, to specyfika miejsca („rozkwitaliśmy pod okiem władzy w polsko-niemieckich miastach"). Genus loci to nie tylko metafizyczna kategoria, jakiś osobliwy a fantastyczny „duch miejsca", ale rzeczywista atmosfera odczuwalna codziennie i na każdym kroku; mogę coś na ten temat powiedzieć, bo wychowywałem się w tych samych latach we Wrocławiu. Architektura miasta, ulice, budynki, pozostałości poniemieckiej kultury materialnej obecne wszędzie – w mieszkaniach, sprzętach, wzornictwie wpływały, niezauważalnie kształtowały specyficzny styl życia mieszkańców, reagowania, odczuwania, oceny zjawisk. A nade wszystko w tej szczególnej urbanistyce wciąż tkwili dawni mieszkańcy z właściwą dla nich wrażliwością.

Sceptyk-empiryk powie: to opowieści o duchach, bajki i nic więcej. Nieprawda. Oni, ci wysiedleni ludzi, wciąż byli, tkwili tam, istnieli – zastępczo, by się tak niezgrabnie wyrazić. Kształtowali przecież swoje miasto w jego najdrobniejszych detalach podług własnych przyzwyczajeń, zgodnie ze swoimi nawykami i upodobaniami. Znikli, wyjechali, teraz w to miejsce wciska się inne życie – obcych ludzi innej kultury: narzucają miastu swoją wolę, ale jednocześnie dostosowują się do tego, co już jest, co zostało zbudowane, co funkcjonuje, do zastanego, już stworzonego otoczenia.

Ich poezja, twórczość artystów wymienionych (i innych) w wierszu Brakonieckiego, miała tedy ów swoisty czar. Poeci regionalni – określenie protekcjonalne z pewną pobłażliwością odnosi się do dokonań twórców peryferyjnych.

Kto więc nie jest poetą regionalnym? Przykładowo: twórca piszący wiersz o Warszawie nim nie jest, ale autor „Poematu o Lublinie", Józef Czechowicz, za takiego uchodził (podobnie jak „przedwojenny" Czesław Miłosz z wileńskiej prowincji) póki go krytycy nie wydźwignęli do rangi narodowej wielkości, choć wciąż ciąży na nim „skaza" na poły wiejskiej lubelskości.

Mianem „poety regionalnego" opatrują autora ci, którzy tworzą w centrach kultury – w Warszawie czy w Krakowie. Tam, gdzie są główne wydawnictwa, tam, gdzie znajdują się najlepsze uniwersytety, ogólnopolskie czasopisma literackie, gdzie telewizja – krótko: gdzie pieniądze, wpływy, ekspozycja w mediach, gdzie środowisko znanych i uznanych, których obecność podnosi rangę każdego, kto w nim przebywa, tworzy, wypowiada się. Wszystko to zostaje silniej nagłośnione, znaczenie i wartość – zasugerowane wprost.

Nie należy powyższego rozumieć jako biadania nad „niesprawiedliwością" kulturową – wywyższania jednych przez środowiska opiniotwórcze (w tych właśnie miastach), a pomijania innych – równie dobrych, ale zmarginalizowanych, a więc raczej zlekceważonych, bo żyjących i tworzących z dala od „centrum". Nie znam twórczości Czesława Sobkowiaka, Antoniego Pawlaka, Grzegorza Musiała i innych wspomnianych w poemacie Brakonieckiego. Czytam niektórych doskonałe teksty w doskonałych „Migotaniach" i nie wiem, czy są zapomniani, odsunięci, przemilczani. Wiem, że są dobrzy.

Od ponad 40 lat nie mieszkam w Polsce, nie znam współczesnej poezji polskiej, ale nie mam wątpliwości co do zmarginalizowania poetów sytuujących się poza środowiskiem warszawsko-krakowskim. To normalny jakby los. Natomiast ze smutkiem odnotowuję straszliwe głupstwo eseistyki kulturowo-filozoficznej. W Polsce wciąż ciąży ogromny kompleks, dominacja „książkowego" Zachodu nad autentycznym dokonaniem, oryginalną myślą. Jak się czyta (nie do końca, bo nie mam cierpliwości do tego (pseudo) intelektualnego zadęcia) te wypowiedzi, to ogarnia tylko irytacja. Wtórność i głupstwo; jednak pawiem jest i papugą… Teksty wysilone, nieoryginalne, książkowe.

Oni powiedzą: prowincjusz i prostak – prymityw, który nie wie, co należy przeżuwać, co się na Zachodzie liczy, co trzeba robić, nad czym się zastanawiać i jakie są tematy do refleksji, jakiego języka użyć. Lepiej, powiedzmy, rozmyślać nad poezją Hölderlina niż, na przykład, Franciszka Karpińskiego… Świat na nas patrzy, a taki Karpiński to kto przy niemieckim poecie, wywyższonym przez nie byle kogo, bo samego Martina Heideggera? Czy choćby wspomniał on o Karpińskim albo nawet Słowackim?

Analogia

„pozdrawiam was przyjaciele zmęczeni życiem
Brakiem uznania złaknieni kariery
i sławy"

- znajdujemy passus w „Liście do poetów…", więc na pewno tkwi w nim jakaś gorzka prawda. Nie tylko konkretna, polska, ale ogólna, więc jakby typowa dla funkcjonowania wszelkich środowisk artystycznych. Posłużę się dalekim przykładem, amerykańską analogią. Jest ona odległa, bo USA to przecież kraj ogromny i szalenie zróżnicowany.

Doskonały krytyk Dana Gioia pisze w książce „Disappearing Ink" o Kennethcie Rextothcie, że uległ całkowitemu zapomnieniu, jego poezja zniknęła z antologii. Gioia uważa, że zniszczyli go krytycy, literaturoznawcy Wschodniego Wybrzeża, zawsze lekceważąco, wrogo nastawieni do zachodu USA. Rexroth był jedną z centralnych postaci „zachodniego odrodzenia",

sztandarowym intelektualistą pokolenia beatników. Mieszkał w San Francisco, które chwilowo, w latach czterdziestych, stało się ośrodkiem sporego ruchu intelektualnego, wkrótce jednak – zamarłego. SF było zawsze ekonomicznie miastem silnym, nie miało natomiast silnej tradycji intelektualnej; jedno Berkeley nie mogło ożywić całego regionu. Pisma powstawały i upadały, nieliczne wydawnictwa, a publikacje książkowe nie znajdowały dostatecznego wsparcia; Wschodnie Wybrzeże milczało na temat ich osiągnięć, albo wyrażało się o nich lekceważąco. A Wschodnie Wybrzeże to Nowy Jork, Boston, ewentualnie Filadelfia – silne ośrodki ruchu wydawniczego, uniwersyteckiego, teatralnego, artystycznego. Tutejsze pisma mają wymiar ogólnonarodowy; wydarzenia kulturalne są stosownie nagłaśniane, intelektualiści z licznych doskonałych uczelni – uważani za miarodajnych, opiniotwórczych.

Akurat poezja Rexrotha niedobra – ideologiczna, zgoła agitacyjna. Słusznie został zapomniany, na co skarży się Gioia. Ale jego narzekania mają pozaliteracki charakter. Protestuje przeciwko dominacji, tyranii Wschodniego Wybrzeża. Jeśli „oni" krytykują, potępiają, to na pewno nie mają racji albo trzeba „im" przeciwstawić swoją rację.

Gioia jest doskonałym krytykiem. Jego cykl „West Coast Elegies" poświęcony jest temu, co głosi tytuł: nostalgicznemu rozpamiętywaniu poetyckich dokonań autorów Zachodniego Wybrzeża. Jednym z najciekawszych (dla mnie) jest Jack Spicer z San Francisco, niegdyś miejsca o jednej z bogatszych kultur bohemy w anglojęzycznym świecie. Środowisko to stanowiło alternatywę dla bardziej zrównoważonej tradycji Wschodniego Wybrzeża. Niestety, wpływ tego drugiego na całe USA miał bardzo negatywny skutek: zniszczeniu uległa bohema artystyczna zastępowana mieszczańską kulturą literacką Ameryki, importowana ze Wschodu.

Spicer rozwijał koncepcję „wiersza seryjnego". Zgodnie z tym, nie istnieje coś takiego, jak „pojedynczy wiersz". Poezję najlepiej się czyta i rozumie w pomocnym kontekście podobnych utworów. „Wiersze powinny odbijać się wzajemnym echem". Tworzą w ten sposób właściwy rezonans. W tym duchu tworzył książeczki powiązanych ze sobą utworów. To właśnie ten zbiór jest w istocie końcowym wierszem. Układał w nich (książeczkach) utwory, które niekoniecznie rozwijają się w pewnym kierunku, ale tworzą synchronicznie alternatywne wersje dające w sumie potężną całość współgrających utworów.

Publikował w małych wydawnictwach, niekiedy zgoła drukował i rozpowszechniał na powielaczu. W przeciwieństwie do dostojnych wydawnictw Wschodniego Wybrzeża, cyganeria Zachodu publikowała, jak się dało, byle bliżej odbiorcy, byle zmniejszyć dystans między autorem a czytelnikiem.

Innym był John Haines, który 25 lat spędził w samotni na Alasce. Gioia podkreśla, że życiorysy współczesnych poetów są zbyt pospolite, aby rzucały światło na ich twórczość. Innymi słowy, ich poetyckie dokonania są wyłącznie gabinetową, książkową manipulacją słowami, bez podstaw w autentycznym przeżyciu, życiowym doświadczeniu; to żonglerka wyrażeniami, zabawa ideami, a nie ekspresja autentycznych doznań, wynikających z osobistego doświadczenia. Oryginalna sztuka Hinesa, mało znana za sprawą nadętych intelektualistów Wschodniego Wybrzeża, niezależnie od jej faktycznej (?) wartości, miała w sobie autentyzm i oryginalność prawdziwego przeżycia. Dla Wschodu to wada, bo krytycy ci sprowadzają jego (i podobnych) poezję do rangi „autora regionalnego", czyli niemal domorosłego, któremu brak ogłady, czyli wymiaru uniwersalnego; ich autentyczny głos interpretowano (celowo?) jako przejaw prowincjonalizmu, na bakier z zasadami i regułami wykładanymi na kursach „creative writing". Ale – jak twierdzi Gioia – nie byli to „wieśniacy", amatorzy: na ich twórczość wpływ wywierali Pound i Eliot; Hamsun i Undsted, ale oryginalność ich poezji skrywała literackie wpływy.

„Zbyt często nasza kultura ceni wyżej nowatorskiego i buńczucznego artystę ponad mądrego i zrównoważonego". (s. 133). Wschód domaga się ciągłej twórczości, zwłaszcza nieustannego nowatorstwa, podczas gdy Zachód preferował powolną i niekiedy trudną twórczość, wypływającą z indywidualnego, autentycznego przeżycia.

Inną była Kay Rayan. Brak znajomości jej twórczości wynika z tego, że nie była poetką Wschodu. To znaczy, jej poezja nie brała się z wydumanych, intelektualnych nauk akademickich.

Gioi „wołanie na puszczy" sprowadzić można do następujących punktów: 1. Przepaść między Wschodem i Zachodem: „choć angielski jest naszym językiem, to jednak pozostaje na określonym, głębokim poziomie nieco obcy dla naszego środowiska" (s. 157). Wschód to tradycja angielska; Zachód – hiszpańsko-meksykańska. 2. Rozdźwięk między żywą praktyką poetycką a akademickimi kryteriami „dobrej" poezji. 3. Dochodzi tu jeszcze dysproporcja między kryteriami lansowanymi przez „creative writing" a wydziałami literatury: pierwsze forsują „nowoczesność" w poezji; drugie zwracają się ku tradycji.

Najgroźniejszy jest dlań akademicki trend ku nowoczesności. Tego nie znosi najbardziej, bowiem w oczach tych krytyków twórczość, która nie spełnia aktualnie najmodniejszych (według ich wybiórczej oceny) kryteriów, nie jest warta uwagi. Przykładem dlań są dokonania Roberta Frosta, najbardziej celebrowanego ze współczesnych poetów amerykańskich, a jednak wkrótce po śmierci (styczeń 1963) odsuniętego, zlekceważonego, bo tradycyjnego: rymującego, rytmicznego, komunikującego jakieś sensy, co jest naturalnie niezgodne z naukami uczelnianych znawców tego, co dobre, tego, jak powinien wyglądać poprawny wiersz.

W dywagacjach Dany Gioia sprzed dwudziestu lat odnajduję ten sam wątek przewijający się przez wiersz Brakonieckiego: pochwałę poezji czerpanej z żywego doświadczenia, przeżycia miejsca i czasu ludzi „regionu" przeciwko akademickiej, gabinetowej sztuce akademickich kodyfikatorów literatury.

Czesław Karkowski

Katarzyna Gościniewicz

Alicia Elsbeth Stallings

PRESTO MANIFESTO!

Wolność by nie rymować nie może wykluczać wolności by rymować. Tylko wtedy wiersz będzie wolny".

Poezja rymowana musi być zdeterminowana przez rym. Nie należy brać tego za właściwość pejoratywną.

Rym siedzi za kierownicą. Nie, rym to w istocie silnik.

Rym jest silnikiem składni: tak jak metrum, rozumie wartość przyimków.

Nie ma zmęczonych rymów. Nie ma rymów zakazanych. Nie ma rymów banalnych i dających się przewidzieć, chyba, że wersy są banalne. Śmierć i perć (zapierająca dech), macica i kadzielnica, miłość i ość, łyżka i podwyżka, nów znów wśród bzów mają wszystkie przed sobą wiele wspaniałych wierszy.

Rymy mogą być tak odległe, tak dalekie od siebie, że ledwo je słychać, ale one słyszą się nawzajem, tak jakby szeptały przez dziecięcy telefon zrobiony z dwóch tekturowych kubków, połączonych sznurkiem.
Rymów nie należy ukrywać lub maskować: nie są wcale czymś czego należy się wstydzić.

Rymy nie są grzecznymi dziećmi z epoki wiktoriańskiej, które jak ryby nie mają głosu, widać je, ale nie powinno się ich słyszeć. Rymy mogą być żeńskie albo męskie, ale nigdy nijakie.

Niektóre rymy są diatoniczne; niektóre modalne.

Rymy niedokładne i niepełne oparte na spółgłoskach są bardziej literackie niż rymy niedokładne i niepełne oparte na samogłoskach (asonans). Samogłoski są podstępne. Asonans zależy od ust, nie od ucha. Jest performatywny.

Konsonans uwypukla to co jest inne, więc wsłuchujemy się w to co brzmi tak samo (harmonia). Asonans uwypukla podobieństwo; wsłuchujemy się w to co jest dysonansem. Samogłoska jest jedną trzecią akordu.
Tłumacze, którzy tłumaczą wiersze rymowane na wiersze bez rymów tylko dlatego, że twierdzą, że zachowanie rymów jest niemożliwe bez zepsucia wiersza, psują ten wiersz. Cechuje ich lenistwo.
Rym jest irracjonalnym, zmysłowym związkiem pomiędzy dwoma słowami. Jest w tym chemia. Jest w tym alchemia.

Rym zwalnia poetę od tego, co chce powiedzieć.

Rym wyswobadza wiersz z więzów wersów o ustalonej długości. Rym pozwala nam usłyszeć koniec wersu, tak że wersy mogą być metrycznie dowolnej długości, lub nawet sylabiczne, a rym ciągle daje się usłyszeć.

Rym planuje i knuje intrygi.

Rym denerwuje i złości ludzi, ale tylko takich ludzi, którzy piszą wiersze bez rymów, oraz krytyków.

Alicia Elsbeth Stallings

Alicia Elsbeth Stallings (ur. 1968) jest uważana przez wielu krytyków i czytelników za najwybitniejszą żyjącą poetkę amerykańską. Jej historia jest niezwykła i budująca dla zwolenników tradycyjnej, metrycznej, rymowanej poezji. Urodziła się w mieście Decatur, na południu Stanów Zjednoczonych, w stanie Georgia, w domu, w którym książki nie były jedynie snobistyczną dekoracją wnętrz. Jej ojciec był profesorem uniwersyteckim, a matka bibliotekarką. Stallings zaczęła pisać już w szkole podstawowej i debiutowała w wieku 17 lat, gdy jej młodzieńcze wiersze wydrukowało jedno z czasopism skierowanych do dorastających młodych czytelników. Studiowała filologię klasyczną, najpierw na University of Georgia, a później na Oksfordzie. Po studiach, od 1999 roku, przez wiele lat mieszkała w Grecji, z mężem, amerykańskim dziennikarzem greckiego pochodzenia. Była dyrektorem programowym Centrum Poezji w Atenach. Tam urodziły się jej dzieci, które staną się częstą inspiracją dla jej wierszy.

Jej dorosły debiut nastąpił dość późno, po trzydziestce. Wydany w 1999 roku wybór wierszy, Archaic Smile, zyskał uznanie krytyków i zdobył prestiżową nagrodę im. Richarda Wilbura, żyjącego wtedy jeszcze tytana tradycyjnej poezji. To do jego poezji porównuje się często wiersze Stallings, choć wydaje się, z każdym wydanym wyborem wierszy, że Stallings mogła nawet prześcignąć mistrza. Następne wybory wierszy, wszystkie nagradzane w renomowanych konkursach i rankingach, ukazały się w 2006, 2012 i 2018 roku, a więc niezbyt często, ale za to w regularnych odstępach czasu. Stallings nie pisze dużo, ale zważywszy na skalę formalnej trudności jej wierszy nie powinno to zaskakiwać. Należy tu dodać, że Stallings jest także nagradzaną tłumaczką z antycznej greki, przetłumaczyła między innymi rzeczy Lukrecjusza czy Hezjoda. W czasopismach literackich ukazują się też eseje jej autorstwa. Rok temu ukazały się, w równoległych edycjach w USA i w Wielkiej Brytanii, jej wiersze wybrane, znak, przynajmniej w anglosaskim środowisku literackim, że powoli zaczęto ją uważać za poetkę wybitną, za klasyka. W tajnym głosowaniu w maju bieżącego roku, kolegium profesorskie na Oksfordzie zdecydowało, że Stallings będzie 47 w galerii poetów i poetek uhonorowanych profesurą w katedrze poezji. Fakt, że honor ten przypadł poetce amerykańskiej, przy historycznej niechęci oksfordzkiej nomenklatury wobec amerykańskiej poezji, jeszcze bardziej podkreśla wyjątkowość jej wierszy.

Jak pisze Stallings? Sama wielokrotnie podkreślała, że do nowoczesności prowadziła ją kultura antyku. Stallings jest mistrzynią tradycyjnych form wiersza, takich jak sonet, triolet, villanela, sestyna czy pantoum. Można nawet powiedzieć, że przeobraziła te formy w coś bardziej pojemnego, gdzie wymagania formalne nie są okowami, ale okazją by oszałamiać słowną inwencją. Wiele jej wierszy to niemalże barokowe koncepty. W jednej z villaneli Stallings pisze o budowie labiryntu, a więc miejsca, które promuje zagubienie, zatracenie, tak samo jak obsesyjne powtórzenia i wariacje na temat tych samych fraz. W innej opisuje grę „muzycznych krzeseł" i z tego opisu wywodzi się końcowa uniwersalna refleksja. Jeszcze inny wiersz to „składanie do kupy" fragmentów układanki, budowanie na nowo świata, by był taki jak przedtem, tyle tylko, że na samym końcu brakuje jednej płytki, a z pustego miejsca wyziera nicość. W jeszcze jednym wierszu, Stallings wysyła swoją imienniczkę, Alicję, jeszcze raz na drugą stronę lustra, tym razem za późno. Co wyróżnia ten wiersz, to jego „lustrzana" konstrukcja, gdzie ostatnie słowa wersów są dla siebie lustrzanymi odbiciami. Przykłady tego typu można mnożyć. Świadczą one o niezwykłej inwencji poetki, o nietuzinkowej wyobraźni, o formalnym mistrzostwie.

Janusz Solarz

ALICJA PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Nie mogę ot tak przejść na drugą stronę — już czas
Nie pozwoli aby powrócić. Ale ty wciąż jesteś tam,
Czytasz hebrajskie księgi, od prawej strony w lewo,
Albo przesuwasz słoiki w kredensie, na samej górze,
Jak czerwone lub białe pionki na szachownicy. Cicho
Podnosisz na mnie ciekawski wzrok kiedy chcę przejść,
Tak jakbyś pragnęła zapytać mnie o coś — może dlaczego
Trzymam cię tam pod kluczem. Powiedziałabym dlatego,
Że tam właśnie moje odbicia i refleksje mają pozostać,
Zaraz pod powierzchnią, gdzie nie będą niepokoić na głos,
Płytkie, choćby nie wiem jak głębokie zdawały się na dnie;
Ale myślę, że aby naprawić ten świat tylko ty masz prawo —
(W leżącej krzywo bluzce, z nitkami srebra we włosach i tu i tu) —
Tam gdzie wszystko da się odwrócić, cofnąć, tylko nie czas.

UKŁADANKA

Cztery rogi z każdej strony,
Po nich przyjdą płaskie boki.
Złóż zręb granic utraconych,
Skieruj ku krawędziom kroki.

Gromadź jeden kolor — trzeba
Wszystko złączyć należycie —
Taflę wody z głębią nieba,
I nieba w wodzie odbicie.

Pustka wyrównuje normy
I zamyka kształt w wymiarze,
Łączą się przygodne formy
By utworzyć drzewa, twarze.

Wolno scalasz świat spękany
I, jeżeli się poszczęści,
To popołudnie, bez zmiany,
Zanim rozpadł się na części:

Oto lato, nieba lazur,
Dwoje ludzi się całuje,
I nicość widać od razu
Tam gdzie fragmentu brakuje.

TOWARZYSZE ODYSA W HADESIE

Skoro nam jeszcze nie obrzydła
Resztka sucharów, czy miało sens
By, wbrew zakazom, zjeść choćby kęs
Z wołów Boskiego stada bydła?

Każdy wół wielki jak galera —
Przy murze takim trzeba zwlekać
I lat czterdzieści by doczekać
Blasku gwiazd, rangi bohatera.

Choć nam na ziemi głód doskwierał,
Gdy napchaliśmy sobie brzuchy,
Stoczyliśmy się w niebyt głuchy,
Półgłówki, którym głód się przejadł.

.

KRZESŁA

Tak mają się rzeczy, że jest mniej miejsc niż ludzi —
Takie są reguły, choć wtedy, jak sam przyznasz,
Muzyka mniej cieszy i niepokój w nas budzi.

To stary, klasyczny sposób by się nie nudzić —
Taniec bez partnera, dookoła, lecz przyznasz
Muzyka mniej cieszy i niepokój w nas budzi

Gdy wzrasta by runąć — a nam przyjdzie się trudzić
I trwać nieruchomo — tu się przyda tężyzna —
W ciszy bez muzyki, aż muzyka pchnie ludzi

Aby walczyć o to, co zostało. Ostudzi
Nasz zapał mechanizm tak banalny, jak przyznasz.
Muzyka mniej cieszy i niepokój w nas budzi —

To straszne uczucie, karnawał, który łudzi,
Że wirujący grunt to stabilna płaszczyzna.
Jest coraz mniej krzeseł. A to bodziec dla ludzi

By pchać się i tłoczyć. Co sprawia, że marudzisz,
Bo jesteś zmęczony. Chciałbyś usiąść, lecz przyznasz,
Że już wszystkie miejsca są zajęte przez ludzi.
Muzyka ucichła. Nic muzyki nie zbudzi.

DEDAL

Zbudować labirynt to spory wysiłek,
Trzeba myśli krętych, sztuki zadziwionej,
Fraktalnych rozwidleń błędów i pomyłek.

Wywlec kilka łopat, grabie Bogom miłe,
Poziomicę ducha, plany uświęcone.
Zbudować labirynt to spory wysiłek:

W mroku, pośród głazów, snuć ścieżki pochyłe,
Kręte, w którąkolwiek nie ruszyłbyś stronę,
W sumie pospolite spiętrzenie pomyłek,

Takich, których każdy może zrobić siłę,
Wszystkie przypadkowo w sumie rozmieszczone.
Zbudować labirynt to spory wysiłek,

Uliczki kuszące, choć ślepe, zawiłe.
Trasy nietoperzy, szybkie, zakręcone,
Pośród skał wapiennych w jaskiniach pomyłek.

Wstrząśnięty Znikopis odkrywa mogiłę
W swoim sercu, a w nim dziecko zagubione.

Zbudować labirynt to spory wysiłek:
Nieco dobrych chęci, co nieco pomyłek.

BAŚNIOWA LOGIKA

W baśniach prym wiodą feralne zajęcia:
Zbierz włosy z brody ludzkożernej kozy,
Przepłyń w dziurawej łodzi morze grozy,
Znajdź w rzędzie takich samych masek księcia,
Podejdź do smoka, gdzie śpiąc, ciepło chwyta,
I kość mu zabierz; porachuj kurz w domu
Lub wykuj cały wykaz telefonów.
O niemożliwe zawsze ktoś zapyta —

Walcz z magią magią. Musisz w to uwierzyć,
Że z niemożliwym masz sposób się mierzyć,
Mów mową węży, wdziej płaszcz niewidzialny,
Daj rozkaz mrówkom, powiedz żart letalny,
Zrób to co trzeba, to droga jedyna:
Poślub potwora. Daj w ofierze syna.

WĘDKOWANIE

Stali we dwoje, aż po uda w rzece,
Muskani nurtem, był wartki i chłodny,
Słońce w zenicie, w pocie złotych kropli,
Ojciec i córka w nadąsanym lecie.
Może żałował, że z sobą ją włóczy —
Gdzieś indziej pewnie wolałaby zostać —
Może rok wcześniej, teraz zbyt dorosła.
Pamięta jednak czego ją nauczył:
Rzucać gdzie słońce gaśnie, gdzie cień biegnie,
Gdzie ryby w glonach nienazwane dręczy.
I gdy uderzy, wszystko inne blednie
Prócz boju światła z mrokiem, furią tęczy,
Na szali życie w błysku łuski srebrnej,
Napięta żyłka, co ich dwoje łączy.

Aleks Rafalski,

SKRZYDŁA, KTÓRE ONE MAJĄ

Pierwsza czternaście. Mężczyzna odłożył zegarek z powrotem na stolik nocny i się przewrócił. Zamknął oczy i dopiero wtedy poczuł w gardle niesamowitą suchość. Nie da się zasnąć, czując coś takiego. On bez wahania chwycił butelkę. Woda miała dziwny, wręcz nieprzyjemny smak.

Siedząc na łóżku, mężczyzna postanowił od razu pójść do toalety, aby nie musieć później znowu wstawać. Gdy mył ręce, zerknął w poplamione lustro na swoją zaczerwienioną twarz i szybko opuścił wzrok na szarą koszulkę. Wrócił do pokoju i znowu zaczął się obracać z boku na bok.

Zamknął oczy, żeby za chwilę je otworzyć i sięgnąć po zegarek – druga osiemnaście. „Czas minął niezauważalnie" – pomyślał. On miał wygodne łóżko i miękką poduszkę, lecz nie mógł zasnąć. Może, przez wyjący wiatr, zbyt silny, dość głośny. Głośniejszy niż powinny być. „Kiedy on ucichnie?" – zapytał siebie, bezmyślnie sięgając po butelkę. Wiatr zaś dopiero się zerwał i nie było słychać w jego pieśni żadnej litości.

Trzeba zająć wygodną pozycję, aby nic nie przeszkadzało, zacząć marzyć, a wtedy wszystko się ułoży. Najważniejsze – marzyć. Tak mu się wydawało. Mężczyzna przewrócił się na brzuch, położył jedną rękę na poduszce nad głową, zasłaniając twarz, a drugą rozciągnął wzdłuż ciała i zaczął czekać. Lecz za chwilę wyrwał go ze snu kolejny podmuch wiatru. Wpół do czwartej. „Mój Boże, jak szybko" – pomyślał. Ale do rana pozostawało jeszcze dużo czasu. Czy nie? Mężczyzna zaczął obliczać, ale senne lenistwo wypełniło umysł, czyniąc go niezdolnym do jakiegokolwiek działania. W gardle czuł suchą gulę, która zaczynała boleć od pragnienia. Nie chciało mu się wstawać i pić, nawet powiedział sobie, że tego nie zrobi. Ta tylko pragnienie było silniejsze, więc nie minęło nawet kilka sekund, nim w dłoni pojawiła się butelka. Pił długo, aż zrobiło mu się niedobrze. A za oknem wył wiatr, kołysząc drzewami. Głośniej, jeszcze głośniej. Potem nagle ucichał. Mężczyzna prawie zapadł w drzemkę, gdy wiatr uderzył w okno pokoju, a potem gdzieś wyżej gwizdnął głośno. Mężczyzna gwałtownie otworzył oczy, serce zabiło mu szybciej. Przez sen bowiem wydało się, że to był krzyk pełen rozpaczy.

Kiedy następnym razem otworzył oczy, światło już sączyło się przez starą zasłonę, oświetlając plamy i rysy na wyblakłych szarych ścianach. Prawie dwunasta. Za jakieś pięć, dziesięć minut będzie dwunasta. Nie mógł powiedzieć dokładniej, bo tylko szybko zerknął na zegar zaspanymi oczami. Mężczyzna nie czuł się wyspany, nadal miał ciężką głowę, ale wstał z łóżka i włożył spodnie, wolno, z niechęcią. Nie zastanawiając napił się wody. Włączył czajnik elektryczny, udał się do toalety i od razu się umył. Wrócił do pokoju i zgarnął butelki po piwie do worka, postawił go przy wyjściu z mieszkania, żeby później wynieść. Wieczorem, albo jutro. Może pojutrze. I tak nie było nikogo, komu by przeszkadzały.

Czajnik się zagotował. Zwykle dopiero po pierwszym kubku zaczynało się życie. Po łyku kawy zauważył, że za oknem nadal mocno wiało, a szkło było pokryte kroplami deszczu. Mężczyzna stał w starej brudnej kuchni, bezmyślnie mieszając kawę i wpatrując się w okno. Raptem jego wzrok skupił się na kilku ptakach w oddali.

„Latają. – Pomyślał. – Siedziałyby lepiej sobie gdzieś w cichym miejscu"

Nagle jeden ptak przeleciał tuż przed oknem. Zaskoczony mężczyzna cofnął się o krok. Przez chwilę nic się nie działo, więc on zamierzał już pójść do pokoju, aż zobaczył białą mewę z rozpostartymi skrzydłami, która posuwała się bokiem. Ptak nieco odwrócił się i teraz, gorączkowo trzepocząc skrzydłami, usiłował lecieć pod wiatr, ale wiatr był silniejszy i mewa przez chwilę wręcz się cofała, lecz w końcu udało jej się posunąć trochę do przodu.

Póki mężczyzna obserwował jednego ptaka, skądś pojawiły się i inne. Przed nim było już kilkanaście białych mew. Jeden ptak powoli szybował do przodu i nagle, nie wykonując ani jednego trzepotu skrzydłami, niewiarygodnie przyspieszył. Inna mewa krążyła sobie bez celu. Kolejna zaś leciała, czyniąc ogromne wysiłki, ale wiatr zatrzymał ją, przytrzymał na miejscu przez chwilę, niby decydował, co ma z nią zrobić, a potem zdmuchnął precz.

Jego wzrok przykuł szary ptak, ledwo widoczny na tle szarej ściany. Gołąb drżał w kącie balkonu sąsiedniego domu, ukrywając się od niepogody. W następnej chwili uwagę mężczyzny przyciągnęła mewa, która powoli, lecz pewnie, posuwała się do przodu. Wiatr wzmógł się gwałtownie, lecz ptak wydawał się tego nie zauważać. Niespodziewanie skądś odważył się pojawić mały brązowy wróbel, którego kolejny podmuch z łatwością uniósł, nie pozwolił nawet spróbować swoich sił. Uniósł w kierunku sąsiedniego bloku – i już po nim. A białe mewy latały sobie dalej, ktoś próbował lecieć do przodu czy wzbić się wysoko w górę, ktoś zaś krążył bez celu, ciesząc się samym lotem. Ptaki leciały, dumnie rozpościerając skrzydła, które one mają.

Mężczyzna dopił kawę i opłukał poszarzałą filiżankę. Westchnął ciężko – nie stała się bielsza. Nawet jeśli kiedyś taka była, to już tego nie pamiętał.

Aleks Rafalski,

ESEJ

Anna JACHIM

WPŁYW JĘZYKA NA SPOSÓB MYŚLENIA, NIE TYLKO W KONTEKŚCIE DWUJĘZYCZNOŚCI

Jaki jest wpływ języka na sposób myślenia? Możemy także zapytać: jaki jest wpływ sposobu myślenia na używany język? Oraz: w jaki sposób wzajemnie one na siebie oddziaływują? Istnieje bowiem bardzo specyficzna relacja między mechanizmem myślenia i językiem. Dobrze wiemy, że język służy do wyrażania myśli, rzadziej jednak mamy świadomość tego, że język przyczynia się w dużym stopniu do kształtowania sposobu, w jaki operujemy myślami. Tymczasem jest to niezwykle istotna kwestia zarówno dla rodzin jedno, jak i dwu/wielojęzycznych, gdyż sposób myślenia determinuje nie tylko spojrzenie dziecka na świat, ale także jego intelektualny i emocjonalny rozwój. Mechanizm ten jest szczególnie widoczny u dzieci wychowywanych w rodzinach dwujęzycznych i do ich przykładu nawiążę w refleksji, którą Wam proponuję na ten temat.

Język jako narzędzie do poznawania świata

Dziecko uczy się języka od osób, które starają się nawiązać z nim kontakt. (Odsyłam do badań o słyszących dzieciach głuchoniemych rodziców[1] i nieudanej „nauce" języka poprzez telewizję. Dzieci, nie będąc pobudzane przez rodziców, nie nauczyły się języka „mówionego", bo jedynym kontaktem z nim były oglądane filmy.) Uczy się, bo samo odczuwa potrzebę odpowiedzenia na wysyłane mu przez innych sygnały. Dzięki językowi dziecko odkrywa i przyswaja sobie otaczający je świat. Nie tylko zresztą dziecko, dorosły także. Oznacza to, że język i sposób używania go, wpływają na rozwój poznawczy człowieka. (Rozwój poznawczy to umiejętność postrzegania, zapamiętywania i przetwarzania informacji pochodzących z otoczenia.) Jest to proces dwukierunkowy: sposób myślenia również przejawia się w języku, bo właśnie językiem wyrażamy nasze myśli. Krótko mówiąc, język wpływa na sposób myślenia, a sposób myślenia na język.

Znaczenie języka jako narzędzia poznawczego

Język jako system budowania wypowiedzi, dostarcza nam narzędzi do porządkowania poznawanych zjawisk i konceptów, oraz do ustrukturowania nachodzących nas myśli. Dzięki znajomości języka (jakiegokolwiek) analizujemy w głowie to, co odbieramy z otoczenia: co widzimy, słyszymy, odczuwamy… Język pozwala nam zrozumieć, opisać i wyrazić związki między poszczególnymi zjawiskami. W pewnym sensie uwidacznia on istniejące zależności i, nazywając je, uświadamia nam ich istnienie.

Znaczenie języka ojczystego

Każdy człowiek ma swój ojczysty (rodzimy) język. Jest to pierwszy poznawany i doświadczalny przez niego język, który zapewnia mu pierwszy kontakt ze światem. Przekazując dziecku język, rodzice dają mu do dyspozycji zbiór narzędzi do przyswajania otoczenia. Dzięki niemu uporządkowuje sobie ono wszystko, z czym się styka, np. jak mama reaguje na jego płacz, w jaki sposób działają drzwi, fakt, że jedzenie uśmierza głód, etc. Bez tych narzędzi zrozumienie świata jest oczywiście możliwe, ale bardzo pobieżne. Dlatego tak ważne jest, żeby jak najwięcej mówić do dziecka od jego pierwszych chwil. Opisywać, co się robi, co dziecko widzi, jak się czuje etc. Nie chodzi tu jedynie o słownictwo, bo słownictwa można się nauczyć także w późniejszym wieku. Chodzi raczej o struktury pozwalające wyrazić zależności między zjawiskami (jeśli coś się stanie, to…), przedstawiać hipotetyczne sytuacje (gdybym tak zrobiła, to…), argumentować sprzeciw (nie zgadzam się, bo…) i inne gramatyczne konstrukcje dające podstawy logicznego i abstrakcyjnego rozumowania.

Często jesteśmy świadkami sytuacji, w których małe dzieci nazywają wykonywane czynności, jak gdyby myślały na głos. Jest to ich sposób na uporządkowanie i analizowanie tego, co robią w celu lepszego przyswojenia sobie danych czynności. Bardzo możliwe, że naśladują własnych rodziców, którzy tłumaczyli im, co przy nich robili (np. teraz zakładamy pieluchę…). Tym samym wykorzystują przekazane im przez nich narzędzia językowe.

Wpływ języka na sposób myślenia

Rozwój postrzegania (uświadamianie sobie) i rozwój języka są procesami wzajemnie od siebie zależnymi: myślenie zależy od poziomu rozwoju umiejętności językowych, a rozwój języka zależy od myślenia[2]. Jako że mowa i operowanie językiem rozwijają się w dzieciństwie, sposób mówienia wyniesiony z tego okresu ma ogromny wypływ na rozwój procesu myślowego w przyszłości. Innymi słowy, opanowanie w mniejszym lub większym stopniu mowy w dzieciństwie, a co za tym idzie ustrukturowanego sposobu myślenia, determinuje dalszy rozwój intelektualny. (Oczywiście, możliwe jest późniejsze rozwijanie i udoskonalanie własnych procesów językowych, wymaga to jednak dużej ilości pracy i energii.)

Powołam się na zdanie francuskiego intelektualisty Jacques'a Attali, który wyjaśnia różnice w szkolnych sukcesach dzieci ich kapitałem kulturowym wyniesionym z domu. Język stanowi część owego kapitału. Te różnice są widoczne już od przedszkola. Oznacza to, że dzieci przychodzą do szkoły z wcześniej nabytymi umiejętnościami, w tym także językowymi. I to właśnie one zdeterminują ich szkolne osiągnięcia. (Nie wyklucza to faktu, że niektóre dzieci są niezwykle pracowite albo mają ogromną motywację, i także uzyskują dobre wyniki. Ale należą one do wyjątków.)

Chciałabym jeszcze wspomnieć o pewnych badaniach[3], których wyniki dowodzą związku między umiejętnością przedstawienia problemu (opisania, zaprezentowania) i rozwiązaniem go. Według nich, im lepiej człowiek potrafi opisać problem, umieszczając go w kontekście, tym łatwiej przychodzi mu znalezienie jego rozwiązania (w życiu, nie tylko w matematyce).

Fasada językowa

Na koniec przypomnę koncept „fasady językowej", sformułowany przez kanadyjskiego profesora i językoznawcę Jima Cumminsa. „Fasadą językową" nazywa on sposób komunikowania się, który na pierwszy rzut oka wydaje się prawidłowo rozwinięty, ale który umożliwia jedynie nieskomplikowane wymiany zdań czy uwag. To pozorne opanowanie mowy kryje w sobie brak umiejętności używania bardziej abstrakcyjnych i skomplikowanych funkcji języka.

A dzieci dwujęzyczne?

Żeby rozwinąć prawidłową zdolność poznawczą, dziecko potrzebuje otrzymać od rodziców wystarczające zasoby językowe. Dotyczy to zarówno dzieci jedno, jak i wielojęzycznych. Według językoznawców (między innymi Barbary Abdelilah-Bauer[4]) nie ma znaczenia, czy będzie to język mniejszościowy (język używany przez rodzinę, ale niebędący językiem kraju, w którym ona mieszka), czy większościowy (język kraju). Ważne jest to, żeby pierwszy i najbardziej obecny towarzyszący dziecku język był na odpowiednim poziomie. Następnie, poprzez „transfer" dziecko przeniesie umiejętności nabyte w pierwszym języku do drugiego. Dlatego też zachęca się rodziców, żeby komunikowali się z dziećmi w języku, którym władają oni najlepiej. W przeciwnym bowiem razie, dzieci będą miały utrudniony start (w życiu), z powodu biedniejszego zasobu struktur językowych. Przykładem mogą być badania wśród imigrantów w Stanach Zjednoczonych[5], którzy, mimo, że używali języka mniejszościowego, nie byli w stanie przekazać dzieciom bogactwa językowego. Dzieci rozpoczęły naukę w szkole z poważnymi brakami językowymi trudnymi do nadrobienia, co mogło spowolnić ich przyszłą edukację.

Znaczenie poziomu używanego języka…

Podsumowując, używanie języka większościowego w przypadku, kiedy rodzic włada nim jedynie na podstawowym poziomie, może mieć negatywny wpływ na rozwój poznawczy dziecka. Zamiast przynieść mu oczekiwane korzyści w postaci szybszej integracji w szkole czy w przedszkolu, istnieje ryzyko, że utrudni mu ono wypracowanie sposobu rozumowania koniecznego do przyswojenia sobie konceptów i bardziej abstrakcyjnych elementów mowy: argumentacji, wyciągania wniosków, wysuwania hipotez…

Dlatego mówmy do dzieci w języku, który znamy najlepiej. Albo przynajmniej w języku, w którym czujemy się na tyle swobodnie, że jesteśmy w stanie przeprowadzać w nim dyskusje, bronić własnego punktu widzenia, kontrargumentować. Nie wybierajmy do kontaktów z małymi dziećmi języka, który wciąż stanowi dla nas wyzwanie. Nie zapominajmy, że wpływ języka na sposób myślenia zaczyna się już we wczesnym dzieciństwie…

ANNA JACHIM

---

1 J. Sachs i M. Johnson Language development on a hearing child of deaf parents, w W. Von Raffler-Engel i Y.Lebrun, Baby talk and infant speech, Swets and Zeitlinger, Amsterdam, 1976

2 E. Bryant, A. M. Colman, Psychologia rozwojowa, przeł. A Bezwińska-Walerjan, Zysk i S-ka, Poznań 1997, s. 46

3 R. Hilgard, Wprowadzenie do psychologii, PWN, Warszawa 1968, s. 53

4 B. Abdelilah-Bauer Le défi des enfants bilingues, Grandir et vivre en parlant plusieurs langues, i Guide ŕ l'usage des parents d'enfants bilingues, La Découverte, Paris, 2008-2016

5 B. Allman Vocabulary size of monolingual and bilingual preschool children, in J. Cohen, K. McAlister, K Rolstad, J. MacSwan Proceedings of the 4th International Symposium on Bilinguis, Sommerville, Cascadilla, 2005

DARIUSZ PAWLICKI

„Demokracja wymaga, aby maluczcy nie traktowali wielkich zbyt powa nie. I zamiera, gdy staje się pełna maluczkich, którzy uwa ają się za wielkich", Clive Staples Lewis*.

O POMIJANYM / ZATAJANYM JEDNYM ZE ŹRÓDEŁ DEMOKRACJI ZACHODNIEJ

Gdy mowa jest o źródłach demokracji zachodniej, nieodmiennie wskazuje się demokracje greckie (szczególnie jednak ateńską), republikę rzymską. Wspomina się niekiedy o demokracjach wojennych funkcjonujących przed wiekami w Europie wśród ludów germańskich, słowiańskich, celtyckich i innych. Natomiast zupełnie nie bierze się pod uwagę jeszcze jednego elementu. Odnoszę przy tym wrażenie, że ten element - w pewnych kręgach, zwłaszcza antyklerykalnych, pomijany celowo -na kształtowanie wspomnianej demokracji, miał znacznie istotniejszy wpływ, niż nad wyraz często przywoływana demokracja ateńska (tym bardziej, że w jej przypadku należałoby mówić, z racji wyłączenia z niej kobiet, metojków i niewolników, nie o demokracji, lecz o bardzo rozszerzonej oligarchii). Najpewniej dlatego, że stanowiła wzorzec znany z literatury, do którego można było się zawsze odwoływać. Ale tylko wzorzec; choć, niewątpliwie, bardzo ważny.

O istnieniu tego niezauważanego elementu, dowiedziałem się po raz pierwszy, gdy przed wielu laty przeczytałem *Życie codzienne zakonników w średniowieczu*** autorstwa Léo Moulina (wcześniej znane mi przejawy demokracji w Kościele, fakt, że bardzo nieliczne, wydawały mi się mało istotne). Szybko też zdałem sobie sprawę z jego znaczenia. Już w trakcie zaznajamiania się ze spisem treści tej książki, tytuły kilku podrozdziałów w Rozdziale siódmym zatytułowanym *Rządzenie ludźmi*, zaintrygowało mnie. Gdyż brzmią one: *Klasztorna demokracja, System wyborczy i przebieg obrad*, *Praktyki wyborcze*. Przeczytanie tych, a także kilku innych podrozdziałów owo zdziwienie jeszcze bardziej pogłębiło. No bo przecież jedynym przejawem demokracji w życiu Kościoła rzymsko-katolickiego, o którym dotąd wiedziałem, i o którym wie się powszechnie, jest wybór papieża. Ale (i) w tym przypadku możemy mówić wyłącznie o znamionach demokracji, gdyż ów wybór – z racji bardzo ograniczonej liczby oddających głosy – mieści się w zasadach funkcjonowania oligarchii.

Tak, Kościół, jako taki, jest instytucją/organizacją, która nie kojarzy się z demokracją. A mając na uwadze jego organ najwyższy – papieża, należy wręcz mówić o monarchii. I to takiej, która ma charakter absolutny. Lecz nie zwraca się uwagi na to, że demokratycznymi – i to na przestrzeni bardzo wielu stuleci – są monastyczne instytucje funkcjonujące w ramach Kościoła, to znaczy zakony. Z tym, że demokracja dotyczy w tym samym stopniu samych zakonów: poprzez wybór opatów generalnych/generałów dokonywany przez kapitułę generalną, jak też składających się na nie poszczególnych klasztorów: poprzez na przykład wybór opatów, członków organów im doradzających.

Średniowieczną klasztorną demokrację określało kilka zasad:

– zasada pierwsza: wybór przez powszechne głosowanie („Każdy, kto ma rządzić,winien być wybierany przez wszystkich, którymi ma rządzić" – pogląd sformułowany około 440 r. przez papieża Leona I);

– zasada druga: „nie tylko wybór, ale również zarządzanie należy do wszystkich (...)". Papież Innocenty III (1160/1161-1216) wyraził to następująco: „Co dotyczy wspólnoty, winno być przez nią dyskutowane i aprobowane". Lecz jeszcze wcześniej św. Benedykt z Nursji (480-547), według tradycji autor reguły benedyktynów, najstarszego zakonu mniszego na Zachodzie, radził, aby w zwoływanej kapitule brali udział także najmłodsi członkowie danego zgromadzenia. Był bowiem zdania, że „często Bóg przez usta młodych objawia najlepsze rozwiązanie sprawy";

– zasada trzecia: przekazywanie władzy, jej kadencyjność (mówił o niej już św. Benedykt);

– zasada czwarta: prawo rządzonych do odwołania z funkcji przed upływem kadencji osoby, którą sami wybrali;

- zasada piąta: legalność dokonanych wyborów zapewnia obecność „ludu,duchowieństwa i rycerstwa". Ich zgoda jest bowiem niezbędna (pisał o tym papież Celestyn I, ?-432).

Odnośnie zajmującej mnie tu sprawy, chciałbym przywołać następujący pogląd Williama Hinnebuscha: „[...] serce zakonu dominikańskiego [założonego w 1216 r.] bije rytmem XIII wieku, okresu bujnego rozwoju form przedstawicielskich w państwach i zarządach miejskich oraz rozrastania się dobrowolnych stowarzyszeń lokalnych, jak gildie kupieckie, organizacje charytatywne, konfraternie, uniwersytety.

Wszystkie one stosowały w zarządzaniu wybory i organy przedstawicielskie, pośrednie szczeble zarządzania i wybieralności przedstawicieli" (w: Jacek Grzybowski, *Jacques Maritain i nowa cywilizacja chrześcijańska*).

Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że nim przejawy demokratyzmu, we wspomnianych powyżej postaciach, dały o sobie znać w życiu średniowiecznej Europy (przede wszystkim zachodniej), demokracja funkcjonowała w obrębie Kościoła rzymskokatolickiego. I to właśnie obecne w nim struktury o charakterze demokratycznym – chyba nie minę się tu z prawdą – stały się właśnie wzorem dla rozmaitych średniowiecznych instytucji świeckich.

*

W *Znaku Jonasza****, pod datą: „5 *stycznia* (1947), Wigilia Trzech Króli", Thomas Merton między innymi odnotował: „Dziś rano ojciec opat oznajmił na kapitule, że złożyłem prośbę o dopuszczenie mnie do ślubów wieczystych. Tak się robi, aby zgromadzenie mogło nade mną głosować".(Do ślubów tych Merton został dopuszczony).

Zaś w *Ślubie konwersacji*****, pod datą: 18 sierpnia [1965], tenże Th. Merton dokonał następującego wpisu:„Wczoraj rano odbyło się zebranie rady klasztornej, na którym przegłosowano kandydaturę ojca Baldwina na nowego mistrza nowicjatu. Gdy wyszedłem, głosowano nad moim opuszczeniem wspólnoty i przejściem do pustelni.

Głosowanie wypadło na moją korzyść (prawdę mówiąc, wszyscy byli za)".

*

Ktoś mógłby zaprezentowane powyżej – to fakt, że bardzo skrótowo – założenia i przykłady demokracji w zakonach chrześcijańskich, skomentować następująco: „Piękne zasady. Ale to tylko są słowa, słowa…". Słysząc je odpowiedziałbym: „A czyż nie inaczej jest w przypadku współczesnych demokracji". I w razie potrzeby przytoczyłbym, na poparcie swych słów, bardzo liczne przykłady rozdźwięku pomiędzy wzniosłymi założeniami a żałosnymi realiami.

DARIUSZ PAWLICKI

** C. S. Lewis, Demokratyczna edukacja w tegoż: Aktualne sprawy; Warszawa 2012.*
*** L. Moulin, Życie codzienne zakonników w średniowieczu; Warszawa 1986.*
**** T. Merton, Znak Jonasza; Poznań 2001.*
***** T. Merton, Ślub konwersacji, Poznań 1997.*

Charles Bukowski

przełożył Andrzej Szuba

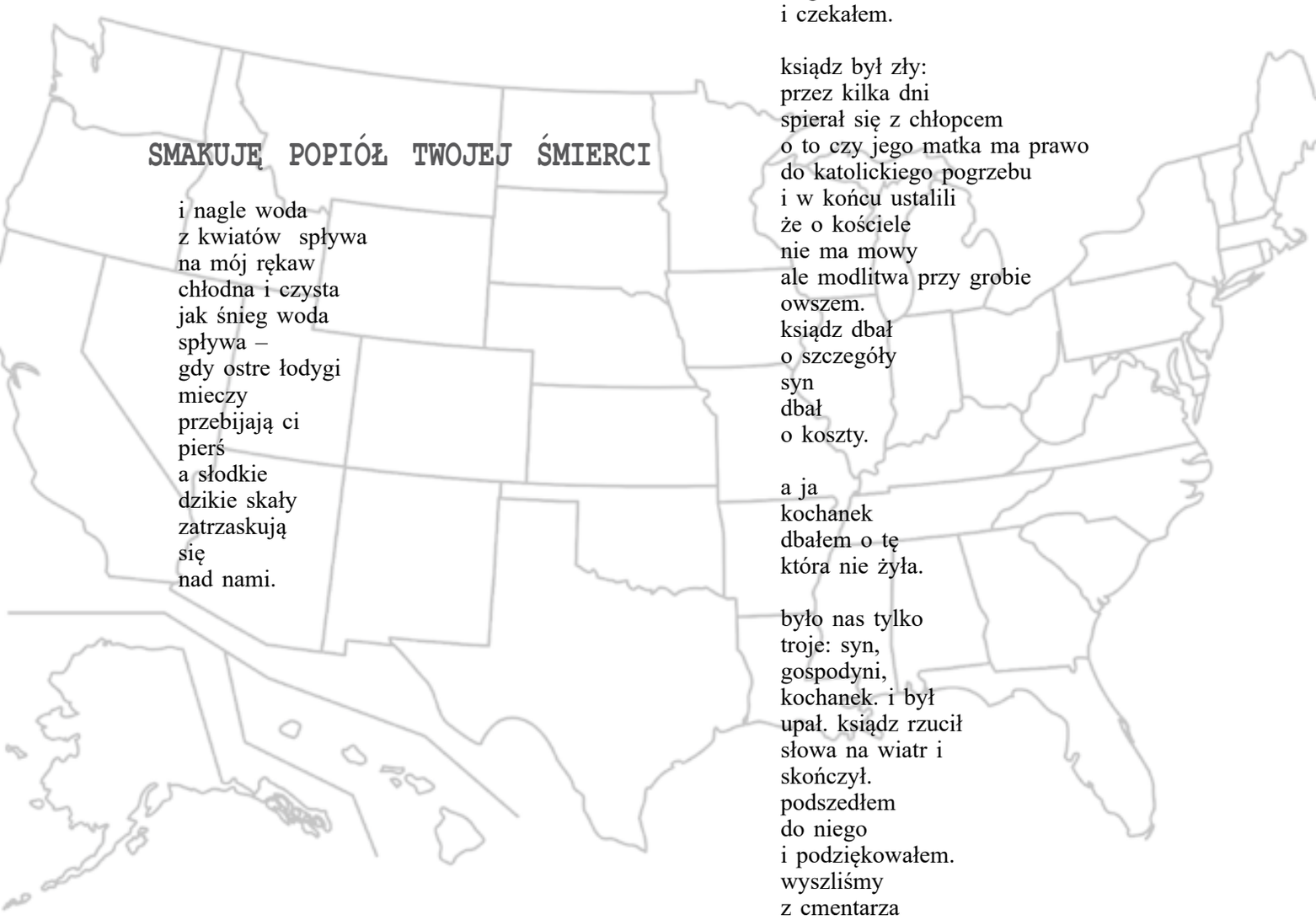

SMAKUJĘ POPIÓŁ TWOJEJ ŚMIERCI

i nagle woda
z kwiatów spływa
na mój rękaw
chłodna i czysta
jak śnieg woda
spływa –
gdy ostre łodygi
mieczy
przebijają ci
pierś
a słodkie
dzikie skały
zatrzaskują
się
nad nami.

URUGWAJ CZY PIEKŁO

to miał być Meksyk
zawsze lubiła Meksyk
Arizonę i Nowy Meksyk
i tacos,
ale nie muchy
a tymczasem
stałem tam
we własnej osobie
jak słup
w garniturze
i czekałem.

ksiądz był zły:
przez kilka dni
spierał się z chłopcem
o to czy jego matka ma prawo
do katolickiego pogrzebu
i w końcu ustalili
że o kościele
nie ma mowy
ale modlitwa przy grobie
owszem.
ksiądz dbał
o szczegóły
syn
dbał
o koszty.

a ja
kochanek
dbałem o tę
która nie żyła.

było nas tylko
troje: syn,
gospodyni,
kochanek. i był
upał. ksiądz rzucił
słowa na wiatr i
skończył.
podszedłem
do niego
i podziękowałem.
wyszliśmy
z cmentarza
wsiedliśmy do samochodu
i odjechaliśmy.

to miał być Meksyk
albo Urugwaj czy piekło.
syn wysadził mnie przed domem.
i powiedział że odezwie się w sprawie
nagrobka ale wiedziałem że kłamie –
jeśli w ogóle ma być jakiś nagrobek
to postawi go
kochanek.

poszedłem na górę
włączyłem radio
i spuściłem rolety.

CHARLES BUKOWSKI (1920-1994), poeta i prozaik amerykański, jeden z najbardziej płodnych autorów swego pokolenia. Pierwsze opowiadanie opublikował w 1944, pierwszy wiersz – jedenaście lat później, pierwszy druk zwarty, arkusz poetycki Flower, Fist and Bestial Wail, już jako twórca czterdziestoletni. Jakby rekompensując sobie późny debiut, Bukowski między 1960 a 1993 ogłosił drukiem około pięćdziesięciu pozycji: tomów wierszy, zbiorów opowiadań i powieści, których tłem są Los Angeles i Kalifornia. Po trudnym początku, kiedy czasopisma i wydawnictwa odrzucały większość jego materiałów, przyszły pomyślne l. 60., kiedy ukazało się kilkanaście książek, i 70., gdy Bukowski wzbudził zainteresowanie wydawców europejskich. Tłumaczony na kilkanaście języków, stał się jednym z bardziej znanych autorów amerykańskich. Wieczny outsider – nigdy nie wiązał się z żadnym ugrupowaniem literackim czy ideologią. W Polsce znany z większości swoich powieści i tomu wier- szy Miłość to piekielny pies. Wiersze 1974-77 (2003) w przekładzie Leszka Engelkinga.

POPKULTURA I JEJ PROBLEM, CZY NASZ?

Maria Fraszewska

Z definicjami bywa różnie, ponieważ każdy naukowiec, jak każdy człowiek żyjący w określonym środowisku, jak każda grupa społeczna, społeczeństwo, posiada własne, odrębne poglądy i własne wyróżniki. Ujednolicić, znormatyzować, zestandaryzować, zuniformizować łatwo się nie da, a właściwie rozsądnemu człowiekowi, proces ujednolicenia w całości zdaje się być ułudą i myślą utopijną. Ustandaryzowanie, sprawiedliwość społeczna, wszystko dla wszystkich, to hasła, które wydają się być i właściwie sprecyzowane i piękne w założeniu, jednak ich prawdziwość w życiu potwierdzić może zaledwie dążenie, droga do ich realizacji, która nigdy nie zostanie osiągnięta. Znamy to przesłanie z polskiej niedawnej przeszłości. Chociaż... przecież w erze globalizacji podjęto również próbę ustandaryzowania, której zadaniem jest wyrównanie nierówności oraz homogenizacja. Jej skutki mogą wnosić zmiany nawet oddolne w środowiskach lokalnych powiększając gremia mas. „Voks pupuli", głos Boga, głos ludu, populizm, który raz się odradza, a raz popada w niełaskę. Kultura populistyczna sięgająca do tradycji kultury ludowej odpowiada ideom i interesom tej szczególnej grupy społecznej, a nawet narodowej. Jednocześnie jest częścią kultury popularnej, która przeważa w kulturze masowej, bowiem jest aprobowana przez większość społeczeństwa ze względu na łatwą dostępność zarówno finansową jak i przyswajalną emocjonalnie-rozumową. Kultura masowa jest powszechnienie udostępniana i popularyzowana poprzez środki masowego przekazu. A obejmuje „uśrednienie" bądź „zminimalizowanie" starndardowych norm czy wartości, stylu życia i mody, poglądów, ogólnie pojętą sztukę, czy dobra materialne czyli ich posiadanie jako wyznacznik wartości bądź narcyzmu.

W „Encyklopedii socjologii", 1999, tom 2, znajdziemy charakterystykę kultury masowej popartą badaniami naukowymi. „Masy wiejskie, porwane przez procesy urbanizacji czy industrializacji i oderwane od rdzennej kultury ludowej, popadły w znacznym stopniu w rodzaj analfabetyzmu symbolicznego. Utraciły zdolność pojmowania metafory, skrótu, aluzji, nagromadzonych w tradycji symboli, alegorii. Wiele badań wykazało, że publiczność ta reaguje niemal literalnie na anegdotę".

Opis naukowy nie jest oceną, jakby co niektórym czytającym – odbiorcom, się zdawało. Opis zawiera odwzorowanie istniejącej rzeczywistości. Może ona się po prostu komuś nie podobać, bo dana osoba „widzi" siebie w przedstawionej grupie społecznej i zaczyna oceniać, a uważa siebie za „kogoś innego", lepszego, mądrzejszego, bardziej inteligentnego czyli na odpowiednim poziomie. Obraz ten staje się więc nie do „skonsumowania".

Żyjąc w miastach zauważamy ich rozrost poprzez przybywające nowe jednostki. Zazwyczaj są nimi ludzie z małych miasteczek lub wiosek, którzy aspirują do innych warunków życia, niż te, w których dorastali. Mówiąc „po ludzku", mają dość zacofania i trudów, jednak nie mają świadomości – choć zgadzają się z powiedzonkiem: „czym skorupka za młodu nasiąknie"..., że tę swoją „kulturę" wnoszą w codzienność miasta, do którego przybywają. Stare osiedla w miastach oferują stosunkowo niskie opłaty za czynsz, i te budynki najczęściej są przez nich wybierane na miejsce zamieszkania tymczasowego. Nie opłaca się remontować starego domu, opalanego najczęściej węglem w starym kopcącym piecu. Wynajem mieszkania w mieście staje się wybawieniem od codziennych problemów, stając się jednocześnie problemem dla mieszkańców miejskich osiedli, ponieważ oni nie przywykli do ... typu zachowań wiejskich (bardzo głośnie zachowania, krzyki, wołania przez okna, głośne rozmowy przez komórkę na balkonach, głośne nawoływania dzieci, rozwrzeszczane dzieciaki całkowicie pozbawione nadzoru rodziców, wystawanie przed drzwiami klatek, nagminne palenie papierosów, wypuszczanie psów bez smyczy, bo widzą, że niektórzy miastowi „eko"- nie będą przecież zadawali cierpienia swoim pupilom - tak właśnie czynią, nie rozumieją, że łąka kwietna zamiast trawnika nie jest użytkiem dla kopania dołków przez psa, którego również ściągają ze wsi, bo ludzie z miasta mają psy, taka moda. Nie dość, że nie rozumieją, na czym polega wychowywanie dzieci, to również nie wiedzą czym jest opieka nad zwierzątkiem. Przywierają do „miastowych" na zasadzie odwzorowania obrazu. Naśladują ich zachowania. Pragną wpasować się jak najszybciej, jednak tak się nie da... potrzeba czasu na adaptację ze zrozumieniem.

Podobnie rzecz się ma z kulturą, ponieważ po pierwsze istnieje problem z jej dokładnym zdefiniowaniem, a po drugie z przeznaczeniem czyli do kogo jest skierowana, oba elementy łączą się ze sobą. A więc jaką przyjąć definicję, ponieważ w naukowym ujęciu socjologicznym definiuje się kulturę" w znaczeniu najszerszym, węższym i najwęższym.

W tym pierwszym jako: „ogół materialnych i niematerialnych wytworów człowieka, wszystko to, co nie powstało na drodze naturalnej, ale jest rezultatem działania ludzi – dzięki swoistym biologicznym i społecznym cechom gatunku ludzkiego i warunkom jego bytu". W tym węższym nawiązuje się do wartości, norm, wzorów zachowania, idei oraz wierzeń, które są wspólne, a wynikają nie tylko ze współpracy, ale też posiadają swoistość historyczno-rozwojową. A w tym najwęższym stawia się nacisk na „cele wyższe" czyli niezwiązane z potrzebami materialnymi, a z wartościami autotelicznymi, które z jednej strony są uniwersalne i łączą ludzi, a z drugiej tworzą oddzielne cywilizacje. Jak twierdzi Johan Huizinga, w „Homo ludens", czyli „Człowieku bawiącym się", człowiek realizuje się i zarazem tworzy sam siebie, podczas zabawy, gry i we współzawodnictwie. Powracamy więc do przeważającej popularnej masowości. Popkultura jest jak banki stawiane na plecach przeziębionego, jej zadaniem jest ozdrowić i postawić na nogi organizm. Łagodzi napięcia i redukuje stres masowo. Przywraca chęć powrotu do codziennej życiowej gonitwy na taśmie dnia pędzącego ku nocy.

A jednak okazuje się obserwując zachowania ludzkie, że dążąc do wyróżnienia się z tłumu, każdy z nas przybiera inną miarkę, inaczej wartościuje i inną przybiera pozę, ubranko na modną chwilę. Jedni pragną odrębności i niepowtarzalności, odizolowania i ciszy lasu, a drudzy zazdrosnym okiem spoglądają na to, co posiada sąsiad i jak bardzo się cieszy z używania czegoś, o czym w mediach krzyczeli, że warto i że super, więc czym prędzej garną się do rozwrzeszczanego i podnieconego błahą nowinką tłumu. Też mam, też już posiadam! Jednych i drugich łączy zasada przyjemności i poczucie bezpieczeństwa, ponieważ przynależność do grupy takowe powinno zagwarantować.

Przeżywam i odczuwam przyjemność. Jest to ogólnie przyjęte znamię współczesności, a w zasadzie ponowoczesności. Tu wszystko pojawia się i znika zaspokajając krótkotrwałe przyjemności. Liczy się ilość zamiast jakość, ponieważ na jakość brakuje czasu, więc zakłada się z góry, że producent wie co robi, a nam się to i tak zaraz znudzi. Należy patrzeć szybko, spostrzegać i spostrzegać, jednak nie zapamiętywać, bo... szkoda czasu i pojemności mózgu. Wartość przeskakiwania z jednego płatka na drugi. Zabawa krótkotrwała, ale wspólna.

A do wspólnoty przynależą ci, którzy wykonują nieskomplikowaną czynność pstryknięcia włącznika telewizora, radia, smartfona, komputera, przerzucania stron prasy czy książki, najczęściej romansu, kryminału czy czegokolwiek z „życia wzięte" i plotkarskie czy wynikajace z podpatrywania. Bawmy się i używajmy. Celebrujmy w obszernym gronie, w masowym gronie, rodzącym pojęcie wspólnoty reakcji na stworzony - dla tych mas - elementów spełniających potrzeby typu: łatwe, lekkie, przyswajalne, bez angażowania struktur myślowych, a zarazem przyjemnych, dających ułude uczucie zadowolenia, krótkotrwałego jak uscisk dłoni, jednak zadowolenia. Ponieważ człowiek zadowolony, to tak jak i najedzony. Rozpowszechniło się zjawisko wspólnych biesiad z każdego powodu, celebrowanie przy wspólnym stole telewizyjnym, medialnym czy koncertów na stadionach lub lotniskach. Choć ostatnio wielkie przestrzenie zawłaszczają dewoloperzy wykupując areały od rolników i zabudowując zielone tereny szarymi szeregowymi domami na użytek pop-letników. Zamiast na morze, las, jezioro, ogródek, wczasowicz spoglądając w okno widzi własne auto albo auto sąsiada. Obok ulokowana jest wypożyczalnia rowerów, którym pop-letnik dojedzie do popkultury odbywającej się codziennie o ustalonej porze na wybetonowanym placu, aby nie upaprać się błotem. Dookoła budki z ciepłymi bułeczkami, balonikami, świecidełkami. Biesiada rozwija się śpiewnie jak rozmaryn.

Wielki Słownik Języka Polskiego powiada, że biesiada ma wiele znaczeń, a jest to: „wystawne, długo trwające przyjęcie o charakterze nieoficjalnym, którego uczestnicy jedzą, piją, rozmawiają, śpiewają". A w źródle czytamy za: Marią Wichową: „O różnych aspektach staropolskiej biesiady w świetle relacji literackich", 2000: *Jak widać dobra biesiada staropolska to dobra pijatyka, której towarzyszyły również bardziej szlachetne atrakcje: „miła konwersacja, tańce, żarty". Jednakże „picie niezmierne, upicie się do sytości, wielkie pijaństwo", znajdowało się na pierwszym miejscu wśród atrakcji spotkań towarzyskich szlachty.*

→

Tak, jakże przyjemnie jest pomyśleć, że przynależymy do grupy społecznej: szlachty, a nie tej powszechnej i wszechobecnej pokoleniowo czyli do grupy wynikającej ze schedy chłopskiej. My przecież bawimy się kulturalnie.

Istnieje „ktoś lub coś", kto steruje zarówno potrzebami masowego człowieka, jak i jego sposobami konsumowania podanego na wspólną płaszczyznę stołu masowej pop konsumpcji. Bo przecież „masowy człowiek" nie ma czasu na pomyślenie i dokonanie indywidualnego wyboru. On przecież w każdy dzień powszedni pracuje, po pracy jest zmęczony, więc w święto należy mu się wypoczynek.

W ten sposób usystematyzowana przestrzeń czasu wolnego stała się problemem do zagospodarowania. Ten ktoś czy coś, czyli rząd, polityka i ekonomia dostarczając zalewających umysł wielką ilością różnorodnych reklam i produktów, stworzył prosumenta.

W sensie socjologicznym zjawisko zwane prosumpcją, przyczyniło się rozmycia dotychczasowego podziału na rynku na sferę produkcyjną oraz sferę konsumpcyjną. Bowiem jest to: „proces obejmujący uczestniczenie jednostek, bądź zorganizowanych grup prosumentów w czynnościach wytwarzania produktu przeznaczonego dla własnego użytku".

Prosument, reagujący zmysłami na pojawiające się tłumnie wciąż nowe i nowe produkty, zachwalane jako jeszcze lepsze, choć czasami te same, „przerobione na szare", jednak w złotej oprawie, zdają się być nowymi. Bo kto ma czas tę różnicę zauważyć? Przecież nie zwykły, masowy konsument, bo on jest „zarobiony po uszy" i „należy mu się" chwila oddechu. Fajnie jest, dostatnio i „w kółko Macieja i dookoła Wojtek". I jakaś nowa technologia i nowa maszyna, robot, tekstura, procedura, i trzeba się nauczyć obsługiwania tej nowinki, i trzeba zrozumieć maszynę, nauczyć się ją obsługiwać, stać przy maszynie, siedzieć przy komputerze, pracować w myśl taktu produkcyjnego... maszyny czy człowieka? Czy to nie wszystko jedno?

Masz człowieku kilka dróg szybkiego ruchu, jedź nimi, masz kurorty wypoczynkowe, jedź i relaksuj się. Wszystko obliczone na masę turystczną. Nieważne, że wszyscy naraz jadą tą drogą tworząc korki, czy kilkupiętrowe domy zasłaniają widok gór, przecież chciałeś przyjechać do np. „Zakopca", to masz. Jedź tak jak wszyscy. Inna zachęta mami mamy: spokojna okolica, możesz przyjechać z dziećmi i z rodziną. Rzeczywiście, jednak czy taka „rodzina" zapewni spokój drugiej rodzinie z kilkoma dziećmi albo i bez dzieci? Jakie są skutki prowadzenia masowego pseudoporządku społecznego? O skutkach nie mówimy, przecież liczy się zmanipulowane hasło: „teraz". A co z singlami, ludźmi żyjącymi w pojedynkę? Obecnie lepiej traktuje się psa lub kota niż pojedynczą jednostkę ludzką. On nie jest „pop", on jest indywidualistą i ma wymagania, więc co z nim zrobić? Na razie omijać czyli udawać, że go nie ma w przestrzeni publicznej, on ma swoją kulturę elitarną, której tak naprawdę coraz bliżej ... do kultury egalitarnej. Bo jeśli indywidualista się pojawi, to od razu wszystko krytykuje, a nie krytyki oczekuje popkulturalny człowiek. On sobie chwali, że o jego potrzebach pomyślano, więc korzysta i konsumuje.

Istnieje mądrość ludowa zawarta w powiedzonkach np. „tylko spokój może nas uratować". Ale tego typu mądrości nie są teraz w cenie. Teraz istotne jest masowe naganianie do „jednego wora". Jak się nie ugotować w tym wspólnym zatłoczonym garze? Przejeżdżając przez znaną miejscowość w poszukiwaniu cichego miejsca znalazłam takowe i na dodatek z wolnymi kwaterami. Szczerze zadowolona zagwarantowałam sobie miejsce, a wynajmująca gospodyni, jakby z zawstydzeniem dodała: „wolne, bo ludzie mówią, że trochę dalej od ulicy". No, przecież... zrobić kilka kroków o własnych siłach? Nie da się. Masowy prosument stwierdzi, że to nie do pomyślenia! Nie po to przyjeżdżam taśmową drogą, aby wypaść jako gotowe ciasteczko do foremki wypoczynku, i aby mnie nie przeniesiono dokładnie na miejsce przeznaczenia. Hałas? W mieście jest taki sam... czyżbym miał przytępiony słuch? Tego pytania oczywiście nie zada, poczeka, aż przyjdzie moda na popularną ciszę. Może kiedyś ktoś wyprodukuje „kask na zachowanie ciszy"? Spokojna głowa, tak się nie stanie, ponieważ rynek nie jest nastawiony na potrzeby mniejszości.

Powyższa wypowiedź potwierdza, że „masowość" została i ukształtowana" i przyjęta jako tożsamość grupowa. Profesor socjologii Jean Baudrillard twierdził, że współczesny świat ludzi rządzi się zupełnie innymi prawami niż przedwojenny. *Panuje na nim wszechobecna konsumpcja, która pochłania nie tylko dobra materialne lecz i dobra kultury. Ludzie przestali być twórcami i wytwórcami, stali się natomiast maszynkami do przejadania rzeczywistości. Podporządkowali swe życie przedmiotom konsumpcji i to na ich podobieństwo tworzą własne tożsamości.*[1]

Zajrzyjmy do Wikipedii, będącej tworem kultury masowej. Hasło: kultura popularna (popkultura, kultura masowa): „charakterystyczny typ kultury powszechnie dostępny i praktykowany (faworyzowany, lubiany) przez „masy", „lud", czyli liczne i szerokie rzesze ludzi, przy tym zasadniczo jest to pojęcie zawężone do obszaru kultury symbolicznej, szczególnie tej związanej z działalnością intelektualną, artystyczną (estetyczną), zabawowo-rozrywkową, ludyczno-rekreacyjną".

Kultura, będąca atrybutem społecznym człowieka, nie jest pojęciem jednorodnym. W różnych okresach historycznyh i na odmiennych przestrzeniach geograficznych, kształtowała się na swój charakterystyczny sposób. Bowiem powstające wytwory ludzkie, dobra materialne i niematerialne, systemy norm i wartości, posiadają swoistą specyfikę zależną od powyższych czynników. A więc na terenie Polski będziemy odpoczywać „pod lipą" zamiast „pod palmą". Na wybrzeżu morskim w stroju kąpielowym będziemy paradować na Kanarach, ale już nie na Alasce. Muzykę Beatlesów znają wszyscy, ale „rympampam" już tylko w określonym rejonie. „Stepów Ackermańskich" nie znajdziemy na terytorium państwa polskiego.

W socjologii polskiej, a także światowej, problemem kultury zajmowali się profesor Florian Znaniecki oraz profesor Antonina Kłoskowska, której książka: „Kultura masowa. Krytyka i obrona" wydana w 1964 roku wciąż jest naukowo aktualna i wydawana na bieżąco. Sprecyzowała ona definicję kultury jako: „względnie zintegrowaną całość obejmującą zachowania ludzi przebiegających według wspólnych dla zbiorowości społecznej wzorów wykształconych i przyswojonych w toku interakcji oraz zawierająca wytwory takich zachowań".

Ponad trzydzieści lat później Antonina Kłoskowska nawiązując do współczesności definiuje kulturę masową jako zjawisko: „współczesnego przekazywania wielkim masom odbiorców identycznych lub analogicznych treści płynących z nielicznych źródeł oraz do jednolitych form zabawowej, rozrywkowej działalności wielkich mas ludzkich".

Zmiany we współczesnym świecie społecznym zachodzą niezwykle szybko. Zacierają się granice, zazębiają pomiędzy kulturą wysoką a niską. Choć doskonale wiemy, że podczas koncertu muzyki chopinowskiej nie będziemy unosili rąk do góry i robili fali. Kultura masowa zwana bywa również kulturą popularną, popkulturą czy nawet popartem. Definicyjnie i życiowo, kultura pop przeznaczona jest dla mas, z tego też powodu jedno bez drugiego nie znajduje racji bytu.

Celnie określa nowy byt czyli popkulturę jeden z jej najwcześniejszych amerykańskich badaczy w „Teorii masowej kultury", Dwight Macdonald: „*Od około stu lat kultura zachodnia tak naprawdę składa się z dwóch kultur: tradycyjnej (nazwijmy ją kulturą wysoką), odnotowywanej w podręcznikach, oraz kultury masowej, produkowanej w ilościach hurtowych, by zaspokoić rynek. (...) Kultura masowa rozwinęła także własne środki przekazu, którymi rzadko posługują się poważni artyści: radio, filmy, komiksy, kryminały, science-fiction, telewizja. Czasem bywa nazywana kulturą popularną, jednak sądzę, że termin kultura masowa jest bardziej adekwatny, ponieważ jej główną cechą jest to, że jest produktem tworzonym wyłącznie i bezpośrednio na potrzeby masowej konsumpcji, jak guma do żucia*".

Skąd się biorą różnice w pojęciu, jak i w podejściu do określenia definicji kultury i jej podziału czy też rozdziału?

Otóż, jak wszędzie i zawsze wszystko zaczyna się od ... języka. P.Bourdieu oraz L. Wacquant w książce: Zaproszenie do socjologii refleksyjnej, 2001 wyjaśnia: „Nierówny rozkład kompetencji językowej przejawia się stale na rynku codziennych interakcji, to znaczy w pogawędce dwóch osób, na publicznym zebraniu, na seminarium, w przemówieniu propagandowym, w wywiadach radiowych i telewizyjnych. Kompetencja działa różnicująco, a rynek dóbr językowych, podobnie jak rynek dóbr ekonomicznych, dobrze zna zjawisko monopolu".

Język w socjologii definiowany jest jako czynnik wchodzący w skład kultury niematerialnej czyli duchowej, obok znajdują się: wierzenia, zwyczaje, wiedza, obyczaje czy idee, wytwory świadomościowe, pełniące funkcje użytkowe „lub/i wyrażające bezinteresowne dążenie do poznania i urzeczywistnienia ideałów piękna, dobra i prawdy". A jej elementem może być przedmiot wytworzony z artystycznej czy natchnionej myśli.

Poprzez uczestnictwo w procesie komunikacji człowiek uczy się swoich ról czyli określonych zachowań związanych z oczekiwaniami społecznymi. Jeśli mama i tata oglądają w mediach rozśpiewaną biesiadę polską, to dziecko robiąc to razem z nimi, uczy się, że tego typu muzyka jest preferowana. A więc głos popularnej popkultury przechodzi w upodobania następnego pokolenia.

Sapir twierdził, że język jest przewodnikiem po rzeczywistości społecznej. Język przenika nasze doświadczenia, rozwija się wraz z naszym indywidualnym życiem, potwierdza nasze indywidua. Żyjemy w określonych środowiskach, które wyróżniają się używaniem charakterystycznych dla siebie kodów, Berstein wyróżnił dwa niezależne od siebie kody językowe. Widzenie życia, odbieranie i przekaz, jego interpretacja, możliwość zrozumienia, a więc też odnalezienie, stwierdzenie, potwierdzenie własnego życia staje się możliwe poprzez mówienie. Człowiek nie uświadamia sobie reguł i znaczeń przekazywanych w komunikacji językowej czyli podczas mówienia.

Basil Bernstein, naukowiec brytyjski, w la-

tach sześćdziesiątych dwudziestego wieku został poproszony o zbadanie przyczyn różnic w wynikach szkolnych dzieci. Okazało się że różnice te wynikają z „domów pochodzenia", w których to dzieci nabywają kompetencji językowych. Bernstein wyróżnił kod ograniczony jako typ języka charakterystyczny dla języka klasy robotniczej i kod rozbudowany, wypracowany, charakterystyczny dla klas średnich i wyższych. Pierwszy cechuje posługiwanie się krótkimi zwrotami, gramatycznie niepoprawnymi zdaniami, z ubogim zasobem przemiotników i przysłówków, domyślne przekazywanie znaczeń związanych z kontekstem. Drugi cechuje używanie długich gramatycznie poprawnych zdań, bogate słownictwo, duża indywidualizacja konstrukcji językowych, wychodzenie poza konkret, absrahowanie, sprzyja poszukiwaniu głębszych związków przyczynowych.

Język odzwierciedla różnice społeczne stanowiąc jedno z kryteriów przynależności do określonej klasy społecznej. A więc skutkuje również w wyborach różnorodnych elementów charakterystycznych dla grupy społecznej, w której jednostki rozumiejących się na bazie wspólnych wyborów masowej przyswajalności popkultury, pragną tego samego.

„Tożsamość jest ostatecznie uprawomocniona przez umiejscowienie jej w symbolicznym uniwersum. ... Ujmując rzecz mitologicznie, „rzeczywiste" imię otrzymuje jednostka, wywodząc swoją tożsamość z rzeczywistości kosmicznej, chronionej zarówno przed uwarunkowaniami socjalizacji, jak i złośliwymi przemianami doświadczeń granicznych, „wie, kim jest"", (Berger P., LuckmannT., *Społeczne tworzenie rzeczywistości*, 1983, s. 161-163). Najważniejszym środkiem do utrzymania uniwersum jest konwersacja, a subiektywna rzeczywistość podtrzymywana jest poprzez tzw. „aparaturę konwersacyjną, czyli przede wszystkim przez mowę. Najczęściej w konwersacji nie definiuje się natury świata wielką ilością słów, ponieważ jej podłożem jest świat, który bez zastrzeżeń został już milcząco przyjęty. Wymiana takich zdań jak: „Już czas, abym wyruszył na stację" i „Dobrze, kochanie, życzę ci udanego dnia w pracy – wynika z założeń dotyczących świata, w którego obrębie te wyraźnie proste zdania mają sens. Dzięki temu założeniu taka wymiana zdań potwierdza subiektywną rzeczywistość owego świata" (tamże Berger, Lukmann).

I tę „ rolę" mówcy – mostu – środka, który koncentruje uwagę, steruje i łączy – spełniają różnorodne media, które zostały wyłonione z tłumu jako typ uniwersalny, zwykle posiada reprezentatywny uśredniony poziom standaryzacji – jeden wyprodukowany głos należący do owej masy, posługujący się standardowymi określeniami, mową zrozumiałą dla wszystkich w kulturze popularnych konstruktów. Mówi: dzień dobry, zapraszam na biesiadę, proszę wygodnie usiąść przed telewizorem, proszę zapamiętać, że wracamy jutro, dziękuję, do widzenia.

W „Buncie mas" Jose Ortega y Gasset stwierdza: „Społeczeństwo jest zawsze dynamicznym połączeniem dwu czynników: mniejszości i mas. Na mniejszość składają się osoby lub grupy osób charakteryzujące się pewnymi szczególnymi cechami. Natomiast masa to zbiór osób nie wyróżniających się niczym szczególnym. Tak więc pod słowem „masy" nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim „mas robotniczych". Masy to „ludzie przeciętni". W ten sposób to, co było jedynie ilością, tłum, nabiera znaczenia jakościowego; staje się wspólną jakością, społeczną nijakością. Masy to zbiór ludzi nie wyróżniających się niczym od innych, będących jedynie powtórzeniem typu biologicznego. Jest rzeczą oczywistą, wręcz banalną, że jeśli tłum tworzy się w normalny sposób, to u ludzi stanowiących go pojawiają się zbieżne dążenia, idee czy podobny styl życia".

Tę „pospolitą masę" stanowi tłum ludzi wyprodukowany na potrzeby zjadania własnych wytworów popularnej kultury: programów, muzyki, treści uniwersalnych i uproszczonych. Ujednolicony i szary, funkcjonuje nie wychylając się, nie wychodząc z reguły przed nikogo, przychodzi jak mu każą-oferują-zapraszają, i odbiera program przygotowany przez „pieniądz" czyli ekonomię obliczoną na szybki zysk. Instytucję medialną, w której anonimowych rękach uwspółmiarowania słowem, znajduje się bierny odbiorca, można potraktować jak arenę ujednolicenia. Dysponując zarazem standardową ujednoliconą mową czy programem, przedstawiciel mediów sprzyja standaryzacji, uniwersalizacji przeżyć, czegoś co jest dane jednostce i stanowi o jej odrębności, pozbawia człowieka tej cząstki intymnej uczuciowości. Współczesny człowiek stoi przed wyborem z którego środka medialnego teraz mam skorzystać, i przelatuje pilotem po programach. Jest lot, jest ruch, jest przelot przez czas.

Mimo, że cywilizacja techniczna podniosła stopę życiową sporej części ludzi, to jednocześnie obniżyła jakość życia. *Kontrkultury są prawdopodobnie wyrazem głębokiej, niemal podświadomej mądrości społecznej, zdolnej uruchomić reakcje obronne [...]*

Odmienny sposób myślenia staje się ratunkiem dla usychającej duchowości człowieka. Ekscentrycznością obecnie staje się chęć bezpośredniego przeżywania natury, intymność i niepowtarzalność tego co nadaje smak życiu. Rene Dubois mówi, że *elektroniczne gadgety, plastikowe świecidełka czy gotowe produkty żywnościowe nie wynagradzają ludziom degradacji natury, zamienionej w jałową pustynię, nie zastępują jasnego nieba zamienionego w mroczną mgłę, nie rekompensują też utraty swobodnego życia, które poddane zostało surowej dyscyplinie*. Obroną jest odmowa uczestniczenia w życiu konformistycznego społeczeństwa, życie po swojemu i na swój rachunek, twórcza indywidualność. Potrzeba nam niezależnie myślących indywidualistów, aby przeciwstawić się naporowi popkultury. Jednakże upowszechnianie może być też wychowywaniem ku kulturze wyższej, poprzez wprowadzanie jej w powszechne masowe przestrzenie.

Stojące w miejscu, zamknięte w sobie grupy literackie, animują sposoby dotarcia do masowego odbiorcy poprzez wzmacnianie liczbowe, wchodzenie w nową przestrzeń mass-mediów, nowe podejście do starych form, eksluzywność przemieniają w inkluzywność. Ostatnio rozpowszechniło się zjawisko uczestniczenia w biesiadach. Zostaly one zaanektowane również przez literatów, a szczególnie poetów. Wiersz jest krótką formą, zaprzeczeniem długiej formie powieści. Można go wysłuchać jak piosenkę. Walorem jest dotarcie do nowego czytelnika, co może zaowocować większą akceptacją poezji jako środka twórczo-kreatywnego, ale też obniżyć loty naginając się do odbiorcy. Elementem potwierdzającym zachłanność odbiorcy na siebie, są często słyszalne, zadawane pytania do poetów podczas spotkań poetyckich: czy poeta pisze wiersze ... dla kogoś? np. dla czytelnika? Taki właśnie podstawowy warunek stawia popkultura. Produkuj dla uśrednionego biernego przełykającego odbiorcy, on pochwali cię za dostarczone mu chwilowe przeżycie, po którym wstanie i wyjdzie.

Niewątpliwie jednak, popkultura poprzez swoją rozmaitość i wielość produktów, dostarcza przyjemności i satysfakcji estetycznej ... wielu czyli jednym i drugim, powiększając tym samym areał kulturowy.

Maria Fraszewska

1 www.terra.art.pl, Misiura D., Ekstaza komunikacji czyli o życiu w przestrzeni symulacji.

Katarzyna Gościniewicz

Stanisław Piskor

Pogłosy

karnawału
ciała zmęczonych manekinów
spętane togami ról
zatracają się
fałsz i prawda
„niebo gwiaździste nade mną”
a we mnie
bolsze vita

domy
na temblakach płócien
z przepaskami transparentów
w wodospadzie ścian szkła i betonu
spadają zalewem ulicy w arterie
tętna przecięte pasami jezdni
transfuzja milczenia, oczekiwanie w pasiakach jezdni
drzewa sypią kwiaty z koszyczków koron: sanctus, sanctus, sanctus

- czy pan wie, że w 1933
zdaniem Georga Birkhoffa
kwadrat posiadał
największy iloraz
piękna
natomiast swastyka
najmniejszy
- to były czasy
a dziś proszę pana
teoretyk Max Bense
określił w roku 1960
że w niemieckiej mowie
używa się najczęściej
słów: pan, czas, porządek

przybyłem do tego hotelu
w południe wieku
przy wschodzie nowiu gwiazdy
w dniu 13 sierpnia
klucze pobrałem z obrazów i książek
recepcji z mównicą i karafką
potem po schodach, pot i drżenie
wsparty na balustradzie świateł
ulicy bezimiennego miasta
schodów coraz więcej
zimno w tej klatce
coraz ciemniej
a w oknie
wiosna

go wspólnego wysiłk
ne wiele czynią, aby
bilizować załogi. Ty
Obowiązkiem każdeg
i gospodarczego jest
micznych. Podstawow
pracuje rzetelnie i wy
du. Trzeba więc wprzę
dujących tych, którzy
ale sumienna i wydajna
wana i kierowana przez
myślności w wytyczny
zapewni dalszy wzrost
z niespotykanym doty

Statuą miłości nazywają Mae West, najsłynniejszą przedstawicielkę sex appealu lat trzydziestych
Obecnie 84-letnia świetnie wyglądająca siwowłosa pani po długiej przerwie – gra główną
rolę w nowym filmie „Sextette”. Wszystko to dla swoich wielbicieli, którzy jeszcze
do dziś przysyłają stosy listów miłosnych. Mae West zajęła się osobiście
obsadzaniem ról swych sześciu ex małżonków – jednego z nich
zagra Ringo Starr : *We All In a yellow submarine, yellow*
submarine, yellow submarine – Did she have
to go I don’t know, she wouldn’t say
I said something wrong. Now
I long for yesterday.
We All live in
a yellow
submarine
z białej kartki
z promieni łuczywa
z cieni płótna na blejtramie
wybiegają chłopcy, z błyskiem
kos przekutych na sztorc, w takim pędzie
jak cienie strzępów mundurów spod Olszynki
jak cienie podchorążych przez bruki milczącego listopada
wilgotnego jak kamienie kazamat, w pędzie poprzez ciała poległych,
osiwiali opadają przed gilotyną szkła uchylonego okna do kwitnących ogrodów
gdzie stoi Pani Czasu, wychylona przez szparę możliwości do mroczniejącego wnętrza
w oczekiwaniu na tych, którzy są gotowi przybiec do okna i przebić się przez szybę do wolnych
przestrzeni ogrodu na białą broń z usłużnie pełzającymi w dymach kadzideł, pod białą flagą kaduceuszy
obok nienasyconych harpii; na białą broń, zanim szron nie pokryje głów, przed przeźroczystym ostrzem
okna gdzie Pani Czasu czeka przed kwitnącym ogrodem, aby nie przesypywać piasku kości – nadaremno.

1972

Stanisław Piskor,
Spór o poezję, 1977

„Assamblage – to zestawienie przedmiotów trójwymiarowych , gdzie następuje zderzenie nie tylko form, ale przede wszystkim funkcji, i to w podwójnym sensie. Funkcja właściwa przedmiotowi w jego pierwotnym kontekście użytkowym zostaje przez akt kompozycji na nowo użyta wobec innego przedmiotu, stwarzając nadrzędne znaczenia nie tylko wobec poszczególnych elementów-przedmiotów, ale nowej całości kompozycyjnej (...) – na za6 sadzie metonimii".(s.23-24)

„Przez sam fakt odpowiedniego zestawienia odpowiednich elementów [pisarz] może demaskować pewne mechanizmy tworzące, np. fetysze i różne odruchy warunkowe. Może zanurzyć się w sam środek życia i skonfrontować je światem idei. (...) Fetysz ujawnia swoją represywną funkcję, zracjonalizowana psychoza staje się tylko groteską. (...) Powyższe rozważania dotyczą przede wszystkim spraw estetycznych. Zgodnie z zasadą niedomówienia sądzę, że zostały tu również zawarte zasady etyczne pisarskiej powinności". (s.163-164)

KORESPONDENCJA

Stanisławie, jako redaktor pisma nie mogę się oprzeć pytaniu: dlaczego po pięćdziesięciu latach chcesz, a teraz obaj chcemy publikować ten osobliwy, jak na dzisiejsze czasy, tekst. Rzecz jest głęboko zanurzona w tamtych czasach i w tamtych sporach o poezję i w ogóle o literaturze. Byłbym bardzo zobowiązany za rodzaj eksplikacji, kilka słów o Pogłosach z punktu widzenia autora po latach.

Pozdrawiam, Zbigniew J.

Zbigniewie, mam nadzieję, że te kilka słów poniżej usatysfakcjonuje Ciebie, a i pomoże czytelnikom Twojego Pisma w lekturze mojego rzeczywiście niecodziennego poetyckiego utworu.

Stanisław P.

(Auto)Eksplikacja *Pogłosów*

Dożyliśmy czasów, kiedy życzenia urodzinowe są wydrukowanymi gotowcami i wymagają tylko podpisu, kiedy wiersze mają gotowe konkluzje, bez wyczerpujących analiz, a nawet wybitny eseista nie może u nas czuć się pewnie, bez podpórki takiego zachodniego „autorytetu" jak np. John Wieners, który ogłosił, że: „poezja, choć zajmuje się językiem, nie jest bardziej świętą czynnością niż, powiedzmy, sranie". (ISBN 83-7164-051-X; s.104).

Ta rewelacja nie jest przypadkową ekstrawagancją , lecz konsekwencją postulatu kontrkultury na rzecz demokratyzacji sztuki. Niestety zamiast wyjaśniania zawiłości sztuki, czyli akulturacji szerokich kręgów społecznych, skończyło się na redukcji w dół, w stronę destrukcji formy i ideologizacji przekazu, czyli nie przez mózg, ale przez układ trawienny. Ta zmiana zaczyna trochę niepokoić. Z tego powodu, z pełną świadomością naruszenia dobrych obyczajów, decyduję się na wyjaśnianie swego utworu.

1 Co tu widać?

Pogłosy składają się z trzech zróżnicowanych części, oddzielonych podwójną interlinią.

W pierwszej części znajdują się ciągi zdań , jakby rozerwane w środku, pustą przestrzenią, co wymaga jej przekroczenia, aby odnaleźć logiczne związki, w horyzontalnym odczycie.

W części drugiej, pośrodku jest relacja „podmiotu lirycznego" , obok po lewej rozmowa o pięknie swastyki i kwadratu, zakończona na słowach-kluczach w niemieckiej mowie. Natomiast po prawej jest mechanicznie wycięty kawałek naszego propagandowego bełkotu z lat siedemdziesiątych.

W części trzeciej, graficznie przypominającej klepsydrę, u góry jest opowieść o gwieździe filmowej z lat trzydziestych, która postanowiła na starość zagrać w filmie o sobie, zatrudniając jedną ze współczesnych gwiazd w osobie Ringo Starra ze znanej grupy, reprezentowanej tu fragmentem słów piosenki *Żółta łódź podwodna*. W ujęciu graficznym lustrzanym odbiciem tej części są u dołu szkicowe nawiązania do pewnego obrazu, oczywiście zredukowane do potrzeb tego utworu.

11. Do czego odnoszą się te motywy?

II,1.W części pierwszej jest aluzyjny zarys sytuacji jakiejś manifestacji, powiedzmy – pierwszomajowej.

II.2.W drugiej: po lewej mamy pseudo-estetyzację symboli politycznych w rozmowie o różnicach pomiędzy swastyką a kwadratem, zakończoną słowami: pan, czas, porządek. Po prawej fragment propagandowego bełkotu, natomiast pośrodku jest opis odczuć podmiotu lirycznego w tym otoczeniu.

II.3. Sens swastyki nie wymaga wyjaśnień, natomiast „kwadrat" kojarzy się z kwadratowymi obrazami Kazimierza Malewicza, którymi ekscytowano się na Zachodzie w latach sześćdziesiątych, takimi jak np. *Białe na białym* , co oznacza po prostu: nic – na niczym. Z kolei po prawej nasz propagandowy bełkot z lat siedemdziesiątych nie wymaga wysiłku poznawczego, z tym że tu został celowo mechanicznie wycięty z gazety, przez to tracąc na przekazie treści, ale zyskując przez ten akt wyboru status assambażu (czego nie należy mylić z kolażem), z powodu swej uprzedniej użytkowej funkcji, w tym przypadku – propagandowej w konkretnym miejscu i czasie.

111. Co z tego wynika?

Estetyzujący nihilizm (dyskusja o swastyce i kwadracie) to niemiecki sposób na unik od wartościowania przeszłości w kategoriach etycznych, natomiast końcowe słowa, pan, czas, porządek są projekcją przyszłości. Swoistym odpowiednikiem tego nihilizmu w naszej części Europy była propaganda, mająca na celu popędzanie do coraz większego wysiłku, mimo że rezultaty tej pracy służyły nie tym, którzy pracowali. Te dwa punkty odniesienia osadzone są na formie graficznej części trzeciej przypominającej klepsydrę. Ta klepsydra w części wyższej wypełniona jest elementami takiej ewolucji popkultury, która przenosi jej elementy z lat trzydziestych (z czasów dominacji swastyki) do czasów kontrkultury (rola Ringo Starra w filmie Mae West). I to dominuje nad dolną częścią klepsydry z odwołaniami do kultury wysokiej, reprezentowanej tu przez obraz Jacka Malczewskiego Melancholia.

To dzieło powstało w okresie zaborów, podczas sporów o trójlojalizm: czy mamy zmierzać do powstania (kosy na sztorc) czy robić interesy z zaborcami (kaduceusz) – w tym kontekście do zdrady.

W latach siedemdziesiątych ten sam problem sprowadzał się do tego, że kultura masowa miała zdominować refleksyjną kulturę artystyczną, aby tym lekkostrawnym kiczem przykryć tę samą, ciągle żywą alternatywę. Dno klepsydry kończy się pytaniem: czy Pani Czasu nasze kości przesypie piaskiem – nadaremno, czy też dla przyszłych ogrodów wolności?

Elżbieta Musiał

PSYCHIKA SŁOWA WG MUELLER, CZYLI STUDIUM PRZYPADKU KOBIETY

złap mnie i trzymaj

za słowo
(tylko to znamię
zna mnie)*

Wiersze **Joanny Mueller** nie należą do lekkich i łatwych, tak w sensie interpretacyjnym, jak i literackich przeżyć. Co prawda w pierwszym zetknięciu, to znaczy gdy ślizgamy się wzrokiem po wersach, mamy wrażenie zabawy słowem dla samej zabawy. Niesie nas nawet ukołysanie rytmem. Wydaje się, jakby wiersze pisały się same bądź dyktował je strumień świadomości lub wynikały z przejęzyczeń. Przy bliższym poznaniu się z nimi, gdy zaczynamy pytać o sensy, wchodzić w ich strukturę i podążać za skojarzeniami, jakie wywołują zestawione ze sobą dziwne słowa i z pozoru tylko brzmiące znajomo – doznajemy małych objawień, ale za to wielu. Tak wielu, jak wielu warstw (wylinek) zdołamy się dopatrzeć w misternie utkanych zależnościach znaczeniowych i konstrukcyjnych utworów; „*to jest mowa niepozornie zależna*" – czytamy w jej debiutanckim tomie „**Somnambóle fantomowe**" (2003).

lecz gdyby pozorom ozora zdjąć splendor
undergroundu to może stanie się wreszcie
wierszem = wewnętrznym organem
(fragm. „**przepraszam którędy prosto?**",
t. „intima thule", s. 62)

Joanna Mueller jest lingwistką (sygnatariuszka warszawskiego „Manifestu neolingwistycznego" z grudnia 2002 roku). Jej wiersze, zwłaszcza te autotematyczne, też uznać można za manifest, zawierają bowiem krytykę poezji zastanej i są przykładem realizacji własnych założeń. Autorka z upodobaniem badacza podchodzi do słowa, a właściwie wchodzi w nie, jakby było obietnicą i posiadało psychikę, którą trzeba przeanalizować. Przygląda się tym, które mają wspólną, powtarzalną część (homologiczną; „*logatomy*") i sprawdza sprawczość owych monad w różnorakich kombinacjach. A to do trzonu dostawia części innych słów, a to zamienia je krzyżowo. Powstają nowe wyrazy i ciągi wyrazów fonetycznie podobnych, które niejednokrotnie zaczynają pracować w opozycji do siebie. To autorski crossing-over, że użyję porównania genetycznego, za którym – dla przypomnienia podam (za Wikipedią) – kryje się wymiana odcinków chromatyd pomiędzy chromosomami homologicznymi, a w uproszczeniu jest to proces wymiany materiału genetycznego dla zwiększenia zmienności genetycznej. Taką zmienność, tyle że semantyczną („*somantyczną*"), odkrywa Mueller (czytelnik przy okazji), stosując swoje słowotwórcze zabiegi. Wykazuje tym samym niewyeksploatowane możliwości, jakie jeszcze kryje język mowy; „*tratujcie się, kto może, z upojną sadysfakcją / hartujcie się w harówce hormonalnych harców*" (fragm. „**ssij, sączku, chłepcz i chłoń**", t. „intima thule", s. 58). Bezceremonialnie i bez „*bon ton ona grzeczna i dorzeczna*" łamie tabu estetyczne i zstępuje w „podskórny" żywioł emocji.

do braw trzeba brawury, żylet i po bandzie
brnąć wbrew, krew w piach,
drwiąco barwić papier
to jest gardłowa sprawa, bez
drapowania wrażeń
(fragm. „logatomy", t. intima thule, s. 9)

Podmiana liter, chiazmy (krzyżowanie), inwersje idiomów, odwrócenia eliptyczne i inne lingwistyczne sztuczki (o efekcie tektonicznym) piętrzą się w wielomówne metafory i wyzwalają niepohamowany wielogłos wypowiedzi. Autorka przykłada wagę do architektury wierszy, jeden z nich „**niedomówka. nutka biograficzna**" ma kształt domu, jest nawet dym z komina. W tej poezji metafory = znamiona = „*języku śmiertelna zabawko*". Jednym słowem ∑ ∞ (pozostanę w konwencji) Mueller maksymalizuje pojemność znaczeniową jednocześnie na wielu poziomach: semantycznym, treści, architektonicznym i archetypicznym (językowa archeologia + psychika słowa).

ironia nie wynika
ona się roni ze zranień [...]
wypić ją przyjdzie z dna kubków
smakowych języka
(„Dla S. (Pod dobrą jesienną datą)",
t. Somnambóle fantomowe, s. 27)

Coś, co wyglądało tak niewinnie, jak zabawa słowem, jak „grzebanie w słowie", nagle okazuje się odgrzebywaniem pogrzebanego, archelingwistyką („powtórka z rozgrywki ze słowa"). Czymś, co ma charakter zarówno badawczy, jak i twórczy. Innymi słowy: jakby do eksperymentu niezbędna była poetycka wyobraźnia, by swoją mocą sprawdzała ego słowa i „ciało słowa", a następnie w kreacyjnym procesie słowo zsyłała w głębiny ciała fizycznego; „głęboko w splotach ciała / a to jest korpus czuły / corpus delicati / a to jest jego lęk paniczny / w skórze języka horror vacui" *(„wersja intro", t. Somnambóle fantomowe, s. 26)*.

by koić ranią by w sobie się
goić gra w nic aż do granic
nieba ustępowanie upadanie
w ciało od kiedy zamiast
modlitwy odmawiają miłość
w kościółki z kostek różańca
za świadka wprasza się
śmierć
(fragm. „**wygnańcy bogów umierają młodo**",
t. Zagniazdowniki/Gniazdowniki, s. 18)

Słowo jest nie tylko nośnikiem obrazu, ale i narzędziem (nieomal) chirurgicznym. Przez „*krwawe welony wenflony*" i „*więzi powikłane*" wdziera się do wnętrza, wprost do istoty, by koniec końców przemówić metafizyką. Wysłowić niewysłowione. Czy nie dla tej esencji powołuje się poezję? O tak, dla niej. Mueller to wie, lecz stosuje zgoła odmienne sposoby dotarcia do odwiecznych egzystencjalnych zagadek: bez umizgów, za to przez psychikę słowa; „*czółno w swej nieczułości / stanie się wiekiem / trumny*" *(„Narrenschiff czyli muza zaumna", t. Somnambóle fantomowe, s. 28)*.

kiedy się dowiadujesz
opada powłoka
stajesz nieosłonięta
ty która odtąd
będziesz przyoblekać

futerał nie na funeral
future perfect continuous
carte blanche

bez zwłoki zwlekasz
więzi powikłane
żeby cię nie minęło
po życie wołanie

o dwie bijące
o siebie pokrywy
o krew niekrzepliwą
o kreskę
blask
łask
(fragm. **„oblatka"**, t. intima thule, s. 10)

Mueller na rozpoznawalność zapracowała nie tylko archelingwizmem, ale i podejmowaną tematyką. Jak wiele mamy utworów odnoszących się do niedostatku i niedogodności cielesnej i pozacielesnej kobiety ciężarnej, rodzącej czy tej w połogu? Ano, skąpo niewiele. Wśród bohaterek lirycznych (u innych) wciąż przeważa kobiecość w oparach tęsknych. Tymczasem u Mueller zadziewa się brak upojeń i „matriarchalny tryumf wypatroszeń" („**powłóczyny**", t. **intima thule**, s. 29).

(…) czegokolwiek nie zrobi, cokolwiek dokona – i tak streszczona do łona (woman > womb >tomb), zewsząd krwawa – cieknie wściekle, na osądach zwieszona jak mięso na hakach: idź babo, rodź swoje albo swoje poroń, period do obłędu, macicą się udław! (…)

odzyskać siebie dla kartki papieru

(fragm. „**roztrwaniać siebie dla posług tak wielu**", t. intima thule, s. 36, 37)

Feministyczna narracja? O tak. *JUŻ SAMO BYCIE KOBIETĄ TO EMANCYPACJA* – pada w wierszu „to nie tak jak myślisz, siostro". Utwory Mueller wpisują się we współczesny nurt literatury feministycznej, co najdobitniej słychać w tomikach poetyckich „**Waruj**", „**Hista & her sista**"; *„ja tylko chciałam / mieć większy udział / w sobie samej"* („**warum**"). Wreszcie kobieta mówi o sobie, własnym interiorem. Jej obraz siebie jest inny od tego, w którym widzi czy chciałby ją widzieć mężczyzna lub do jakiego ją zepchnięto. W te ramy wrzuca jeszcze dotychczas pomijaną problematykę (*„rodź swoje albo swoje poroń*") i nietaktowne (?) dla liryki kwestie (*„rewia trzewiowa*"). Z odśrodkowej (bolesnokrwawiącej) perspektywy rodzą się przedstawienia pisane własnym czuciem, odczuciem, rozważaniem i od-ważaniem – po to, by je u-ważnić. Zmusić czytelnika do zastanowienia się nad zasadnością narzuconych kobiecie społecznych ról. Przesuwa tym samym środek ciężkości w dotychczasowym patriarchalnym porządku świata, wyprowadza go z zapatrywania męskiego w obiektywizujący kobiety. Nierzadko wypowiedzi podane są z ironią, więc i postawiony problem staje się wielospojrzeniowy, w sam raz do dyskusji.

paniczne kanoniczki nioski mistyczne
z żadną istotną sprawą niestyczne
bo je matczyny monaster
chwilowo odłożył połogiem
bezwzględnie niezbędne boją się za oboje
(intima thule, fragm. **„powłóczyny"**, s. 28)

O ile nad rolami kulturowymi powinno się dyskutować, daje się je nawet okpić i z nich wypisać, o tyle funkcji biologicznej nie da się z kobiety wydrzeć. I z tych dwóch kobiecych ról Mueller czyni materiał do literackich wglądów. „Period do obłędu" i towarzyszący temu ból fizyczny oraz splątany z nim mentalny, tożsamościowy stają się obsesją tej poezji; „uwięziona w zawodnym mięsie / nie zdołam się podnieść spod dziecka" („akeda", t. intima thule, s. 31). Wiersze szczególnie z tomów „intima thule", „Somnambóle fantomowe", „Zagniazdowniki/ Gniazdowniki" odczytujemy jak osobiste wyznanie lecz wpisane w znak nieskończoności. Gdzie akcenty oscylują między przyznaniem się do „winy" bycia kobietą a uznaniem, że się nią jest; *„tota mueller in utero" (porównaj z tota mulier in utero)*, „boli me tangere. Inwolucja" *(porównaj z noli me tangere)*, „niedomówka. nutka biograficzna" – czy to nie są wystarczające sygnały, by zjednać obie kobiety? (Mało)liryczne „ja" z piszczą?; „a to jest kalka skaleczeń w autobiokopię wpisana" („wersja intro", *t. Somnambóle fantomowe*, s. 26).

u tętniczki siedzą jak anioł dzieweczki
na błonach bębenków prywatka
ból party gramy gramy
strużką wdechu i bezdechu
kreślisz obrys limitatio
skurcz na szczycie płaski zapis
moja bardzo wielka wina
prowadź mnie prowadź
rozdziel krwiste cieliste
powłoki na dwoje
rozstąp się morze rozstąp
czerwieni na dwa palce
rafy minowe pola koralowe
potem gorszej poddaj mnie próbie
(fragm. „**przejście przez morze wewnętrzne. Partogram**", t. Zagniazdowniki/ Gniazdowniki, s. 40)

Proces docierania do meritum u Mueller odbywa się poziomowo, pionowo i jeszcze w głąb; *„bo w gruncie słowa na rzeczy / mamy to samo"* („Człowiek – człowiek"). Następuje jednoczesne uwewnętrznianie (słowa i słowem ciała) i uzewnętrznianie (słowem) wewnętrznego (bólu i krucjaty wewnętrznej). A wszystko nurza się we fluidach fizjo-logiczności. Lecz – co ciekawe – jest tam otwarcie i na tabu śmierci, i na mistykę narodzin. Mamy więc sacrum i profanum w jednym. Mamy spowiedź słowa (warstwa formalna), poprzez którą Mueller wkracza w spowiedź ciała (warstwa tematyczna). A relacje są wprost spod żeber. Jej tomik z 2015 r. można zapisać równaniem: „**intima thule**" = zażyły stan zza żyły = ultimatum + Wergiliuszowskie Ultima Thule i Muellerowskie ostatnie miejsce do odkrycia.

ile jest w donoszeniu mocy, a ile bezsilności?
w znoszeniu gróźb-zamartwic,
wznoszeniu rąk o cud?
jak donosiciel podnoszę poziomy lęku we krwi
lecz cię nie osierocę, nie zdradzę,
w wygnaniu nie zatracę
moc rychleje, pełnieje młodziwo,
ułożysk obcowanie
siła wyższa powija finalne zwiastowanki
choć już z ciebie upływam
strużką ujść i ucieczek
wszystkie moje źródła wybijają w tobie
(fragm. „ochronka", t. Wylinki, s. 16)

Ile w utworach mocy i bezsilności w macierzyństwie, ile ubezwłasnowolnienia ciała kobiety ciężarnej. Ile bólu noszonego i przenoszonego. Chronicznego i do obłędu upadania w ciało. Ile tropizmów „serca" i odruchów obronnych; *„racz dać od poczęć / odpoczynek wieczny" („karuzela z matrioszkami")*. Jest też *„ascetoholizm aż do blekotu"*, ale i sprzeciw, i walka o własną autonomię. Wypisz, wymaluj, *„przejście przez morze wewnętrzne*". Sumki i różniczki stanów istnienia zaczynają układać się w studium doświadczeń kobiety w ujęciu mało sentymentalnym, za to uczłowieczonym, a *„wdzięciewstąpienie"* muśnięte zostaje mistycznym sfumato.

Dom, matka, rodzi-cielka – urastają do toposu. W „**intima thule**" Mueller pojęcie domu rozpisuje na 7 mieszkań: skryptorium, interior, przedsionek, hilasterion, gineceum, dormitorium i krańcówka (cóż za smaczki kulturowe z nawiązaniem biblijnym). Są to symboliczne przestrzenie kojarzone z różnymi powinnościami; „gineceum" jest pokojem własnym, a „dormitorium" – wspólnym, hilasterion – punktem styczności człowieka z Bogiem (starotestamentowa Arka Przymierza), interior – wnętrzem i głębią, przedsionek – wstępem, a krańcówka – przystankiem. Gdy już udomowi się wymienione pomieszczenia, warto poprzebywać w skryptorium – przeznaczonym dla (prze) pisywania ksiąg. Ta dziedzina dla Autorki jest tak samo prymarna, co i istotna dla wzrastania i doświadczenia całościowego. Wszak (na wspak) u Mueller porody dzieją się w dwóch nierozerwalnych tkankach: ciała i wiersza.

Tomik „**intima thule**" jest zmyślnie urządzony *(„umny")*. Wiersze przyporządkowane są do przedsionka, hilasterionu, gineceum itd., jednakże te przynależne do jednego „pokoju" wcale nie następują po sobie i nie stanowią zwartej części. Wiersze mieszają się, ale czytelnik wie, do jakiej (emblematycznej czy mistycznej) sfery TEGO DOMU zawitał. Dom pokazany został jak spójny organizm, który gwarantuje zrównoważenie wewnętrzne.

Mueller nie pozostawia niczego przypadkowi. No może tylko *„rozgrywki ze słowa" in statu nascendi* mogą ją samą zaskoczyć. Lingwistyka (archeo, physis, bio) w połączeniu z licznymi kulturowymi odniesieniami to przecież tygiel. Czasem trudno przewidzieć, w jakim kierunku potoczy się wątek lub kiedy rozpocznie następny. Ale to też doskonała pożywka dla intuicji – potrafi twórczo przesterować myśl, by zasiedliła nieoczekiwane, i doprowadzić do puenty. Któż lepiej mógłby nad tym panować, jeśli nie poetka i słowiarz w jednej osobie, która za patronów wybrała sobie Tymoteusza Karpowicza i Wielimira Chlebnikowa (badaczka ich poezji, praca magisterska i szkice o twórczości T. Karpowicza), która odwołuje się do Mirona Białoszewskiego (np. w wierszu „karuzela z matrioszkami"), dialoguje z Norwidem i Miłoszem. Fascynacje ich twórczością – jak się zdaje – wyzwoliły naukowe i literackie destynacje Joanny Mueller, jednakże Mueller poezję rozwija według autorskich założeń i wypracowała własną dykcję.

Elżbieta Musiał

** Joanna Mueller, fragm. „przy wy łkanie", Somnambóle fantomowe, s. 18.*

Fragmenty i cytaty pochodzą z tomików poetyckich Joanny Mueller:
„Somnambóle fantomowe", Zielona Sowa, Kraków 2003.
„Zagniazdowniki/Gniazdowniki", Zielona Sowa, Kraków 2007.
„Wylinki", Biuro Literackie, Wrocław 2010.
„intima thule", Biuro Literackie, Wrocław 2015.
„Waruj" (wspólnie z ilustratorką Joanną Łańcucką), Biuro Literackie, Wrocław 2019.
„Hista & her sista", Biuro Literackie, Wrocław 2021.

Joanna Mueller w 2023 roku otrzymała Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius" za całokształt twórczości. Wcześniej otrzymała nominacje do Nagrody Literackiej Gdynia (2008), Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2016) i trzykrotnie do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius" (2016, 2020, 2022). Inne nagrody: Warszawska Premiera Literacka (2010), Nagroda Literacka Czterech Kolumn (2011).

yli studium przypadku kobiety

Can Yiğit TUNÇMAN

Przekład: Olga Lalić-Krowicka

WIERSZE TURECKIE

BEZE MNIE

Po raz pierwszy znajdujemy się w błędzie życia
Świat wchodzi i wychodzi z oczu
Dopóki żyje, każdy stawia siebie na początku, a gdy ma umrzeć na końcu
Moje marzenia są albo za mną, albo przede mną
Gdy się spogląda z nicości, ni mniej, ni więcej
Gdy podzielisz się tym, co masz, jest to satysfakcja
Coś zrobimy, a coś pozostaje za nami
Szukam siebie w jednym życiu
Nie mogę się unikać, nie mogę kochać, nie mogę przeklinać
Nie mogę żyć tym, czego nie ma
To wszystko jest ze mną
A co to wszystko stanowi beze mnie?

POTRZEBA

Nieważne, jak często wypowiadam swoje imię,
do tego stopnia staję się dla siebie obcy
Gdy milczę, wszystko inne gada
Moje ręce ciągle ranią moje ręce
Jedna strona mnie jest zawsze drugą stroną
Odwróć to przeciwnie, wykorzeń
Smutek proporcjonalny do losu!
Kto mnie rozumie, ten kłamie
Kiedy zostają oszukani, serca krwawią
Bóle mnie ranią
Nie mam rozwiązań, dopóki nie ukradnę ich od kogoś innego,
jestem na siebie zły
Płaczę, lecz mi łzy już nie płyną
Młodość mi została zraniona, a dzieciństwo umarło
Chwile mnie odnajdują , gdy o nich zapominam
Człowiek nie wie, co to jest człowiek
Potrzeba nie ma potrzeby za potrzebą

WYDARZENIE

Wymażę sens, który zmienia się jedną literą!
Im bardziej lustra mnie tłuką, ja tłukę je
Krok po kroku, moje imię jest twoim imieniem
Jestem karetką, która sama siebie odwozi
Na przeciwko waszych kul ubierzcie kamizelki ochronne
Zabiłem sens
Nabazgrajcie mnie, i tak jestem linią
Moje usta są zaciśnięte, całkowicie
Odkąd uderzam ludzi, mnie nie uderzają,
Ktokolwiek wchodzi do mojego umysłu, wychodzi martwy
Cokolwiek powiem, cokolwiek powiedzą wszyscy
Nie jest to czas miejsca, ani miejsce czasu!
Prowadzę wojnę ze wszystkim, co złe
Doskonale jest być dobrym
Piękność pięknie szuka piękna
Strzała która wylatuje z łuku niech wyleci też z miłości
Nie bój się, na moim języku się chwieje wieszanie
Wiem, że istnieję i to, co wiem, jest istnieniem
Komórki są moimi komórkami
Kiedy myślę o Tobie wiersze śledzą moje słowa
Co powiedzieć, co powiedzieć, nie mówiąc nic?
Jestem w fenomenalnej kondycji, moja kondycja jest fenomenem
Zostawiłem serce w jej dłoniach i uciekłem

Can Yiğit TUNÇMAN

Urodził się 21 lutego 1985 w Stambule. Po ukończeniu Wydziału Nauczania Języka Niemieckiego na Uniwersytecie Marmara, studiował język angielski i literaturę na Istanbul Kültür University, oraz uzyskał tytuł magistra na tym samym wydziale na Istanbul Aydın University.

Duży rozgłos zdobył w Turcji swoją powieścią „Yazcan Yazıoğlu", opublikowaną w 2021 roku, opowiadającą tajemniczą historię pisarza potrafiącego zarządzać literami i cyframi. Książka została przetłumaczona na języki: angielski, niemiecki, szwedzki, arabski i malajski. Brał udział w Targach Książki we Frankfurcie, Wieczorach Poezji w Strudze w Macedonii Północnej, Targach Książki w Malezji Selangor, Targach Książki w Sharjah i wielu innych krajowych i międzynarodowych festiwalach poetyckich i literackich.

Wiersze i opowiadania Can Yiğit Tunçman'a, publikowane są na bieżąco w wiodących magazynach krajowych i międzynarodowych.

Kontynuuje studia pisarskie w Stambule.

Marek Wawrzkiewicz

SZYMBORSKA: ODKRYWANIE OCZYWISTOŚCI

W JĘZYKU POEZJI, GDZIE KAŻDE SŁOWO SIĘ WAŻY, NIC NIE JEST ZWYCZAJNE I NORMALNE NIE JEST.

WISŁAWA SZYMBORSKA

I.

Poetka imieniem Wisława, a nazwiskiem Szymborska, chciała być (a może udawała) szarą myszką. Nie lubiła tłumów, nie cierpiała hołdów, ograniczała swoje kontakty towarzyskie do wąskiego grona osób, które najpierw starannie sprawdzała.

Taka rzeczywiście była? Taką chciała być widziana, czy była to jej natura? Argumenty za i przeciw równoważą się.

Za: nagroda Nobla autentycznie ją przeraziła, przytłoczyła lawiną związanych z tym ceremonialnych obowiązków, zmusiła do wyjścia z kameralności, zagroziła tym, że jacyś obcy ludzie mogą przeniknąć przez szczeliny jej prywatności. Swoją sztokholmską mowę oparła na słowach *nie wiem*.

Przeciw: zgodziła się np. na udział w telewizyjnym filmie o niej. Pokazała swoją codzienność, nawyki, palenie papierosów, podróże, spacery, rozmowy o niczym.

Nie chciała być celebrytką, nie budowała swojego pomnika. Nie była, nie chciała być, nie mogła być wielką. Była prawdziwa. Starała się ukryć siebie w swoich wierszach. Ale jednocześnie chciała się w nich pokazać – pokazać szczególnie tym, którzy jej wiersze czytali nie tylko z powierzchownym uznaniem, a nawet zachwytem.

Myślę, że ze wszystkich poetów była poetką nie tylko najbardziej dyskretną, ale też najbardziej przewrotną i wyrafinowaną. Nic dla niej nie było oczywiste. Nic nie było rzeczywiste, wszystko było dwuznaczne lub wieloznaczne. A jednocześnie jej relatywizm prowadził do jednoznacznej, jej własnej prawdy, którą następnie – bo umiała przekonać siłą swojego słowa - akceptowali inni. Prawdy o świecie, ludziach, zdarzeniach, o „wszelkich wypadkach". Świat poetycki Szymborskiej jest inny od świata, który na co dzień widzimy i w którym żyjemy. Ale – i to jest cecha jej poezji – jest, jeśli ją właściwie odczytamy, jedyny i prawdziwy. Może nie lepszy, ale z całą pewnością mądrzejszy. Poetyckie spojrzenie Szymborskiej odkrywa przed nami złożoność rzeczy i spraw prostych. Ukazuje ich komplikacje i konsekwencje, kieruje naszą wrażliwość ku chęci twórczego, zaangażowanego oglądania świata. Burzy naszą, wynikającą z lenistwa intelektualnego, skłonność do uproszczeń. A niekiedy, jakby sprzyjając tej skłonności, poetka daje nam, rzadko, bo rzadko, rozwiązania problemów, które stają się proste – ale dopiero po jej wierszach. W jednym z najpierwszych, napisanych w początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, napisała(„Pytania zadawane sobie", tomik jak wyżej, 1954):

Czy w ludziach wobec ludzi
Wszystko jest najprostsze?

To pytanie będzie jej towarzyszyło przez całą twórczość. Przez „Radość pisania" („Sto pociech"):

Możliwość utrwalenia.
Zemsta ręki śmiertelnej.

* * *

Mikroskop wynaleziono w końcu XVI wieku i przez stulecia go doskonalono. Ale mimo to pokolenie za pokoleniem powtarzaliśmy przysłowie, które mikroskop radykalnie zweryfikował. I wkroczyła Szymborska:

Uśmiechnięci, wpół objęci,
Próbujemy szukać zgody,
Choć różnimy się od siebie
Jak dwie krople czystej wody.

Rzeczywiście: pobrane z jednego źródła dwie krople wody, mogą zawierać zupełnie inne życia, co okazuje właśnie obraz mikroskopowy. Poetka napisała oczywistość. Jednak stała się ona taka, dopiero, kiedy została zapisana w wierszu.

Szymborska niejednokrotnie dokonuje swoich odkryć mimowolnie, niekiedy żartem. Powiada, że każdy owoc ma swoją zawartość – na przykład pestkę, że człowiek w swoim wnętrzu ma różne organy, a niektórzy twierdzą, że również duszę. Ale są wyjątki od tej ogólnej reguły. Bo:

Co innego cebula.
Ona nie ma wnętrzności.
„Cebula", („ Wielka liczba", 1976).

W wierszu „Próba" („Wołanie do Yeti", 1957 r) pisze poetka:

Piosenko, która nie znasz nade mną litości:
mam ciało pojedyncze, nieprzemienne w nic,
jestem jednorazowa aż do szpiku kości.

No i co? Wszyscy wiemy, że nasze ciała są pojedyncze, i że jesteśmy jednorazowi. Tak, ale trzeba to było napisać w wierszu, żebyśmy to sobie dokładnie uświadomili. Dodajmy: jesteśmy niepowtarzalni. Mimo wszelkich podobieństw, ze wszystkimi osobniczymi cechami, z wadami i zaletami ciał i dusz.

Tak napisała o sobie. A o kimś innym, pewnie ukochanym, bo to wynika z wiersza „Urodzony" („Sto pociech", 1967) pisze:

Syn prawdziwej kobiety.
Przybysz z głębi ciała,
Wędrowiec do omegi.

Ta prawdziwa kobieta, matka, jest mała i jest sprawczynią, która ukochanego mężczyznę *nie wybrała gotowego, zupełnego*. Omega jest ostatnią literą greckiego alfabetu, symbolizuje koniec ostateczny. Ten, do którego wszyscy zmierzamy. I znowu: no i co? A to, że oczywistość stała się oczywistością, bo zapisano ją w niepokaźnym z pozoru wierszu.

Sprawczyni, matka. Ktoś, czyje uczucie jest najgłębsze, zrodzone z instynktu. W wierszu „Wietnam" („Sto pociech"), kobieta pytana o nazwisko, o adres, o miejsce urodzenia i o inne dane, odpowiada: Nie wiem. Ale na pytanie: *Czy to są twoje dzieci*, odpowiada: *tak*. Jakiś idiota, mieniący się krytykiem, napisał kilkanaście lat później, że to jest wiersz propagandowy. Kilkadziesiąt lat świat przez nas oglądany, żyje w przekonaniu, że dano nam długi okres pokoju. To nieprawda. Wojny toczyły się w Ameryce Południowej, w Afryce, na Bliskim Wschodzie, ich areną były też niedalekie Bałkany, teraz wojna toczy się w naszym sąsiedztwie. I wszędzie tam były i są matki podobne do tamtej Wietnamki. To, co napisano w wierszu jest faktem, a nie propagandą.

Przez przynajmniej dwa stulecia Waligóra był rodzaju męskiego. Aż do Szymborskiej, która w wierszu „Kobiety Rubensa" („Sól", 1962) napisała:

Waligórzanki, żeńska fauna
jak łoskot beczek nagie.

A te, które były przed Rubensem, a i po nim, to

Wygnanki stylu. Żebra przeliczone,
ptasia natura stóp i dłoni.
Na sterczących łopatkach próbują ulecieć.

Ta krótka historia ideału kobiecego piękna w malarstwie różnych epok jest tyle trafna, co przewrotna. Taka jak całe rozdziały poezji Wisławy Szymborskiej. Jej stwierdzenia są delikatne, dyskretne. Poetka nie lubi ocen i sądów ostatecznych, woli pytać. A każde jej pytanie rodzi w nas inne. I budzi w nas zdumienie, takie jak w wierszu „Zdumienie" („Wszelki wypadek", 1972), w którym każde zdanie kończy się pytajnikiem. To są pytanie o to, o co od paru tysięcy lat spiera się nauka zwana filozofią: o istnienie, o jego sens.

Czemu tylko raz osobiście?
Właśnie na ziemi? Przy małej gwieździe
Po tylu latach nieobecności?
Za wszystkie czasy i wszystkie glony?
Za jamochłony i niebosklony?
Akurat teraz? Do krwi i kości?

Tylko pytania, żadnej odpowiedzi. Jakby delikatnie zapraszała: poradźcie sobie z tym sami.

W wierszu „Pisane w hotelu" („Sto pociech") rozmyśla – kokieteryjnie?

Pisząc te swoje wiersze
zastanawiam się,
co w nich, za ile lat
wyda się śmieszne.

Mądrość może rozśmieszać. Z powodu oczywistości, której sobie nie uświadamialiśmy.

→

II.

Myślę, że każdemu, kto wraca do jej wierszy, jako pierwsze nasuwają się dwa spostrzeżenia.

Nie cierpiała manifestacyjności, patosu. Zdarzało jej się pisać o sprawach wielkich, doniosłych, ale topiła to w realiach powszednich, zwyczajnych, w przekąsie i ironii. Ale robiła to tak, że ta opisywana wielkość była jednak czytelna, wyzierała spod kostiumu, spod maski.

I drugie wrażenie, o którym pisałem już wyżej: dyskrecja. Po śmierci ukochanego mężczyzny nie stworzyła trenów. Napisała tylko, że był ktoś i *uporczywie go nie na*. Oraz że *tego nie robi się kotu.*

Napisała wiele wierszy o miłości i była w nich czule, mądrze zdystansowana. Jak wtedy, kiedy pisała:

Najpierw minie nasza miłość,
Potem sto i dwieście lat,
Potem znów będziemy razem:

Komediantka i komediant,
Ulubieńcy publiczności,
Odegrają nas w teatrze.

Śmierć i miłość są odwiecznymi, najważniejszymi tematami poezji – teraz i przed wiekami. Ale z milionów wierszy miłosnych – niekiedy wielkich – pozostały w pamięci literatury tylko historie niewielu wspaniałych namiętności: Tristan i Izolda, Petrarka i Laura, Romeo i Julia, jeszcze parenaście. Wszystkie inne odeszły w niepamięć – tak jak ich wierszowane świadectwa. Szymborska zaświadczyła o tym zjawisku w cytowanym wyżej wierszu noszącym znamienny tytuł „Buffo". Jest w tym odrobinę fatalistycznym wierszu żal, że tak, że to najważniejsze teraz uczucie, o którym powinni wiedzieć wszyscy i zawsze, rozpłynie się w niepamięci. Jest też w nim ironiczna nadzieja, że kiedyś będzie lepiej, że miłości będą trwalsze, pozbawione niepotrzebnych, burzących zawikłań uczuciowych:

Oni będą ślicznie żyli,
oni miłość obłaskawią,
tygrys będzie jadł z ich ręki.

Miłość, temat, który jest ważny we wszystkich fazach i okresach poezji Wisławy Szymborskiej. A wszystkie fazy i okresy miłości zobrazowała już w jednym z pierwszych tomików – „Sól" z 1962 roku, kiedy miała niespełna czterdzieści lat.

Najpierw inicjacja, bodaj najpiękniejszy okres miłości:

Spojrzał, dodał mi urody,
A ja wzięłam ja jak swoją.
Szczęśliwa, połknęłam gwiazdę.
…….
Śmieję się, przechylam głowę
Ostrożnie, jakbym sprawdzała
Wynalazek. Tańczę, tańczę
W zdumionej skórze, w objęciu,
Które mnie stwarza.

Spojrzenie, które upiększa, skóra uświadomiona czyimś dotykiem, objęcie, które jest jak stworzenie świata. Zapowiedź, początek.

Potem dzieje się to, niezapisane, którego rezultatem jest cytowany wiersz „Buffo": stało się, przyszło doświadczenie rodzące smutną, choć pogodną refleksję. A jeszcze później, zdarza się „Niespodziewane spotkanie" – taki tytuł nosi zdziwiony wiersz.

Jesteśmy bardzo uprzejmi dla siebie,
Twierdzimy, że miło jest spotkać się po latach.
……
Milkniemy w połowie zdania
Bez ratunku uśmiechnięci.
Nasi ludzie nie umieją mówić z sobą.

Wisława Szymborska jeszcze raz otworzyła nam oczy na oczywistość. Przecież każdy z nas, każda z nas, przeżyła wiersz pt. „Niespodziewane spotkanie". Dziwiliśmy się jej/jemu, dziwiliśmy się temu, że jej/ jemu zawdzięczamy to, co wydawało się nam nieodwołalne, nieprzemijające, najważniejsze na świecie. A teraz jest to, co jakiś poeta nazwał „milczącym między nami". Milczymy i chcemy się pożegnać. Czy na zawsze?

Bywa jednak, rzadko, bo rzadko, inaczej. Zdarzają się historie, na które patrzymy z zazdrością, bo w gruncie rzeczy, nawet wiodąc życie bardzo burzliwe, tęsknimy za czymś, co Szymborska, z właściwą sobie dobrotliwą ironią opisała w wierszu „Złote gody"

Pomału z zapatrzenia rodzą się bliźnięta.
Zażyłość jest najdoskonalszą z matek –
Nie wyróżnia żadnego z dwojga
swoich dziatek,
Które jest które ledwie że pamięta.

W dniu złotych godów, w uroczystym dniu
Jednakowo ujrzany gołąb siadł na oknie.

Jest taki przewrotny wiersz Szymborskiej ubrany w szekspirowską sukienkę, nazywa się „Resztka", o Ofelii, dziewczynie dbającej o to, czy włosy spływają jej, jak trzeba, na ramionach. Kończy się tak, jakby Ofelia i poetka były tą samą osobą.

Ofelio, mnie i tobie niech Dania przebaczy:
Zginę w skrzydłach, przeżyję
w praktycznych pazurkach.
Non omnis moriar z miłości.

Nie „ w miłości", a „z miłości". Myślmy, co chcemy: czy całkiem umrzemy z powodu miłości, czy nie umrzemy dlatego, że kochaliśmy, kochamy, a może i będziemy kochać…

Tak. W tej niepewności jest jednak jedna pewność. I jej poetka, ku naszemu żalowi, doświadczyła. Wiele, wiele lat przed swoim odejściem, w epoce, kiedy nie używano jeszcze laptopów ale już słyszano o mózgach elektronowych, zaplanowała swój nagrobek.

Tu leży staroświecka jak przecinek
Autorka paru wierszy. Wieczny odpoczynek
Raczyła dać jej ziemia, pomimo że trup
Nie należał do żadnej z literackich grup.
Ale też nic lepszego nie ma na mogile
Oprócz tej rymowanki, łopianu i sowy.
Przechodniu, wyjmij z teczki
mózg elektronowy
I nad losem Szymborskiej
podumaj przez chwilę.

Wisława Szymborska tylko raz dostała Nagrodę Nobla. A przecież mogła ja otrzymać za nauki medyczne (psychologia), społeczne, a także w dziedzinie fizyki i chemii. Taki już jest los poetów wielkich i niedocenionych.

Marek Wawrzkiewicz

Katarzyna Gościniewicz

Dariusz Pawlicki

MUZYKA KOSMOSU

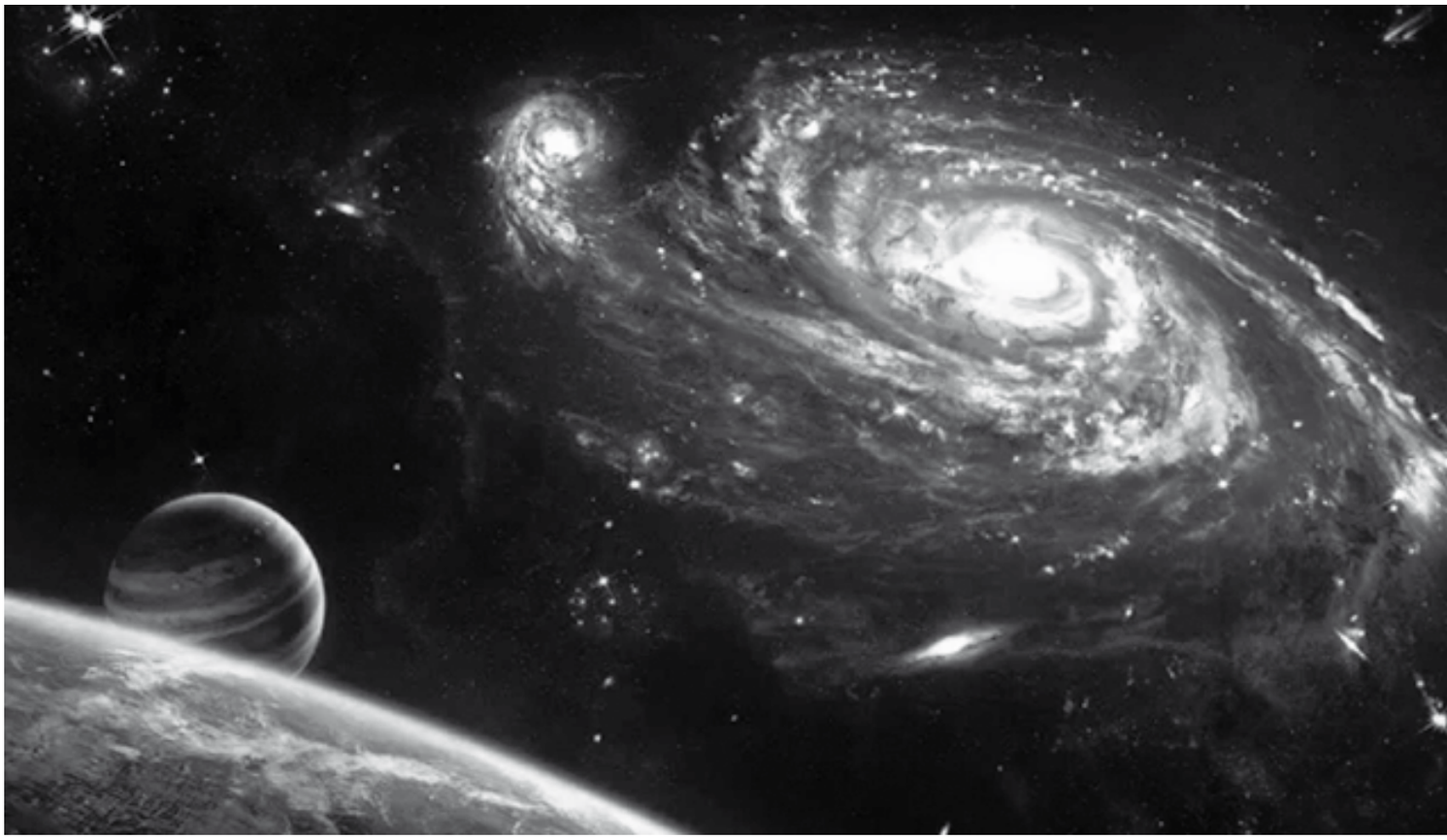

TYM, CO SŁUCHALI I SŁUCHAJĄ MUZYKI NIEBA.

Pitagorejczycy uważali, że w Kosmosie rozbrzmiewa muzyka. Jej źródłem są ciała niebieskie poruszające się na różnych poziomach (termin ,,sfera" nie był znany pitagorejczykom) wokół wiecznego ognia stanowiącego środek Wszechświata. Według ich wiedzy obiektów tych było 9: Ziemia, Słońce, Księżyc, Wenus, Mars, Jowisz, Saturn, Merkury oraz gwiazdy stałe*. Ale ponieważ Pitagoras i jego uczniowie uważali 10 za najdoskonalszą liczbę, więc w Kosmosie „umieścili" Antychtona**. Dzięki temu prostemu zabiegowi, wymóg doskonałości został spełniony.

Na rodzaj dźwięków składających się na muzykę kosmiczną, wpływ ma szybkość poruszania się wymienionych powyżej ciał niebieskich. Ta zaś zależy od odległości danego ciała od środka układu; im dalej, tym szybciej się porusza i wytwarza głośniejsze dźwięki (Filolaos, jeden z pitagorejczyków, uważał, że jest odwrotnie).

Proporcje harmoniczne rządzą i muzyką, i Kosmosem. Adam Drozdek mając na uwadze poglądy pitagorejczyków, tak napisał:

„Świat jest uporządkowany na każdym poziomie. Porządek widać na niebie, w duszy i w muzyce. Porządek odzwierciedlony jest w proporcjach liczbowych, a więc rola mędrca polega na odnalezieniu w przyrodzie harmonii, dzięki której ta przyroda istnieje, i przekazaniu tej harmonii w liczbach" [*Greccy filozofowie i teolodzy*].

„Harmonijny porządek odnaleźć można na każdym szczeblu rzeczywistości – w tym, co małe i w tym, co wielkie, na ziemi i na niebie, w życiu jednostek i w życiu społeczeństw, w przyrodzie ożywionej i nieożywionej. Najwyraźniej widać to w muzyce i w proporcjach liczbowych z nią związanych. Zatem w pewnym sensie kosmiczna muzyka «nie ma nic wspólnego z matematyką czy teorią muzyki, lecz pochodzi z głębszego korzenia»; idea tej muzyki wiąże się przede wszystkim z «przednaukowym pojęciem porządku», tj. z harmonią" [tamże].

Zdaniem starożytnych dźwięki niebiańskie są dla ludzi (praktycznie) niesłyszalne. Powodem tego ma być to, że mają oni z nimi do czynienia od samego swego urodzenia:

są więc na nie, jakby znieczuleni. Z kolei według innych opinii antycznych, owo niesłyszenie jest rezultatem, po prostu, ograniczeń fizycznych człowieka, jako takiego bądź też wynika z upadku pierwszych ludzi (koncepcja wczesnochrześcijańska).

Ale bardzo, bardzo nieliczni mieszkańcy Ziemi mieli szczęście owej muzyki słuchać (na temat współczesnego jej słyszenia panuje cisza). Miał do nich należeć wspomniany Pitagoras.

W średniowieczu (chrześcijańskim) idea/pojęcie ,,niebiańskiej muzyki" nie zaginęło.

Mówiono także o pieniach bądź śpiewach anielskich. Anioły były bowiem obecne przy Stwarzaniu Świata – ich śpiew towarzyszył czynnościom Boga. Potem zaś, w ten sam sposób, wychwalały owo Stworzenie. Na tym ich rola we Wszechświecie wypełnionym muzyką nie skończyła się. Mimo, że liczba aniołów jest nieokreślona, ale wielka, to tworzą zgrane chóry (i orkiestry). I to właśnie owe zespoły anielskie miały być wzorem dla chórów, za których sprawą, szczególnie donośnie w przestronnych wnętrzach gotyckich katedr, rozbrzmiewał chorał gregoriański bądź ambrozjański.

„Dusza świata i muzyka są ze sobą zgodne" – twierdził Boecjusz (żył na przełomie starożytności i średniowiecza). A jego współcześni, jak też wiele pokoleń żyjących po nim, uważało, że wszystko, co istnieje, każdy byt czy to kamień, czy żywa istota, ma własną, charakterystyczną tylko dla siebie muzykę wewnętrzną. Ma ją więc i dusza ludzka. A ta jest o tyle ważna, że to z naśladowania jej indywidualnej muzyki, jak i wzorowania się na kosmicznym koncercie, miała być tworzona muzyka liturgiczna stanowiąca integralny element „publicznej formy kultu religijnego"; nie będąca jednak jej oprawą muzyczną.

Muzyka niebiańska stanowi istotny element Świata: uosabia jego uporządkowanie, na które składają się proporcje, liczby, harmonia. To o harmonii, choć nie tylko, Hildegarda z Bingen zapisała taką myśl:

„Każdy żywioł ma własne przypisane mu przez Boga brzmienie. Razem rozbrzmiewają one jak wiersz z towarzyszeniem cytry w jedynej w swoim rodzaju harmonii".

Uporządkowanie i harmoniczność widoczne są w działaniu swoistego wielkiego mechanizmu, jakim jest Wszechświat. Wyobrażano go sobie na rozmaite sposoby. Także jako wielki instrument muzyczny. Na ten właśnie temat Honoriusz z Augustodunum (z Autun) wypowiedział się tak:

„[…] najwyższy Stwórca zbudował Wszechświat niczym wielką cytrę, w której zestawił różne struny tak, by wydawały wielorakie dźwięki".

Kosmos jest więc źródłem muzyki, o której, jako (chyba) pierwsi, mówili wspomniani pitagorejczycy. W średniowieczu jej niesłyszalność przez ludzi tłumaczono, mniej więcej, w ten sam sposób, jak w czasach antycznych. Choć pojawiały się też wzmianki, że aby ją słyszeć trzeba być nieśmiertelnym. Lecz wspomniana Hildegarda z Bingen podała zupełnie inne, i można by stwierdzić racjonalne, wytłumaczenie:

„Już bowiem przez same swe obroty ciała niebieskie wydają piękne dźwięki, których jednakże nie słyszymy z powodu ich niezwykłej wysokości i długości".

Kwestia słyszenia bądź nie słyszenia muzyki płynącej z nieba, poruszana w starożytności i średniowieczu, dała o sobie znać również w nowożytności. Dla przykładu Joanna Kilian-Michieletti tak o tym napisała:

„[…] w literaturze renesansowej obecne jest silne przekonanie, że niektórzy ludzie – wybrańcy – słyszeli niebiańską muzykę w wyjątkowych stanach uniesienia […]" [„Chiare fresche e dolci acque". *Mit powrotu do natury w malarstwie północnowłoskim XVI wieku****].

Miał do nich należeć np. tytułowy bohater Szekspirowskiego dramatu *Perykles*.

PERYKLES:
Ale powiedzcie, co to za muzyka?
ELIKANUS:
Nie słyszę żadnej.
PERYKLES:
Żadnej? O, to pewno
Sfer jest muzyka […].

Nie słyszał jej również Błażej Pascal, który w *Myślach* napisał:

„Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie" (Myśl 91).

*

Nie mogę o sobie powiedzieć, że jestem miłośnikiem muzyki. Muzyka nie jest bowiem muzyce równa. Ale jestem miłośnikiem muzyki barokowej. A to moje ,,miłośnictwo" łączy się z zachwytem dla niej. Ramy czasowe, w których owa muzyka powstawała wyznaczają – na mój prywatny użytek – Claudio Monteverdi (1567-1643) tworzący na przełomie renesansu i baroku (z mocniejszym zaakcentowaniem tego drugiego okresu) i najzdolniejszy z synów Johanna Sebastiana Bach, Carl Philipp Emanuel Bach (1714-1788), w którego twórczości pobrzmiewa już klasycyzm.

Wspominam o baroku i Johannie Sebastianie Bachu, uważanym przez bardzo wielu za najwybitniejszego kompozytora tej epoki, gdyż ciśnie się na papier pytanie: czy ów Bach należał do tych nielicznych, wręcz bardzo nielicznych, którym dane było słyszeć muzykę niebiańską (a nawet jej słuchać)? Nic na ten temat nie wiemy. Choćby dlatego, że nie dysponujemy jego zapiskami na ten temat. A ten brak niczego nie rozstrzyga, gdyż zachowało się niewiele notatek osobistych autora m. in. „Koncertów brandenburskich" (podobnie zresztą, jak nie zachowały się partytury wielu jego utworów). Nie można więc wykluczyć tego, że muzykę płynącą z nieba słyszał, tak jak słyszał ją Pitagoras. A jeśli tak było, to nie mogła ona nie mieć wpływu na to, co tworzył. Był nazbyt wrażliwy muzycznie, aby mogło być inaczej.

Doskonałym przykładem Bachowskiej muzycznej niezwykłości jest, moim zdaniem, „Sztuka fugi", utwór przeznaczony na nieokreślone instrumenty (prawdopodobnie klawiszowe). Ale na mnie niezmiennie największe wrażenie robi jego wykonanie na wiolonczelach, skrzypcach i klawesynach.

Świadomość tego, że ma się do czynienia z ostatnią kompozycją Johanna Sebastiana, i że w trakcie jej tworzenia zmarł, sprawia, iż ,,Sztuka fugi" nabiera szczególnego charakteru – kieruje myśli nie tylko ku sprawom ostatecznym (to jest oczywiste), ale również ku bezgranicznemu ogromowi Wszechświata.

Na słowie: „Wszechświata", prawdopodobnie szkic ten bym zakończył. Ale usłyszałem po raz pierwszy – a w przypadki od dawna nie wierzę – utwór współczesnego kompozytora Joepa Franssensa. Na początku moją uwagę przykuł tytuł tej kompozycji wykonywanej przez chór mieszany i orkiestrę smyczkową ,,Harmonia sfer". Ale tytuł nie musi o niczym przesądzać, niczego interpretować. Istotne w tym wypadku jest to, że obszerne fragmenty tego utworu, zwłaszcza orkiestrowe, idealnie wpasowują się w to, jak wyobrażam sobie muzykę Kosmosu. A może nie tyle wpasowują się, co owo wyobrażenie wręcz kształtują. Jest w niej monumentalność (nie towarzyszy jej, na szczęście, patos). Nie przytłacza ona jednak słuchacza. Natomiast jest jej istotnym składnikiem – wyraża ogrom Kosmosu.

„Harmonia sfer" nie jest muzycznym tłem dla wyobrażeń na temat Wszechświata. Jest czymś więcej…

*

Znikomość odbioru muzyki będącej rezultatem ruchu ciał w Kosmosie, jest faktem. Słuchali/słuchają jej tylko wybrańcy (cóż, nie należę do nich). Mając na uwadze, praktycznie niesłyszalność tej muzyki, jak i wymienione powyżej przykłady utworów, moim zdaniem, czerpiących z niej, a może będących jej cieniem, chciałbym przytoczyć pewną anegdotę. Wprawdzie mowa jest w niej o rysowaniu, ale istotne jest przesłanie:

– Co tam rysujesz?
– Boga.
– Ale przecież nikt nie wie, jak On wygląda.
– Dowiedzą się, jak skończę.

*

Siedząc wieczorem przy biurku widzę za oknem ścianę ciemnego i rozległego parku. Ponad nią – rząd świateł na najwyższych piętrach wysokich budynków usytuowanych za parkiem. Nieco bardziej na zachód, spośród drzew wyrasta oświetlony pylon wielkiego mostu. A nad tym wszystkim rozpościera się niebo. Jest ono permanentnie zanieczyszczone, więc nie widać na nim kosmicznych instrumentów bądź tego jednego, za to ogromnego. Ale ich struny dźwięczą. Wiem o tym…

DARIUSZ PAWLICKI

Katarzyna Gościniewicz

** Gwiazdy stałe – historyczna i zbiorowa nazwa obiektów niebieskich, które dla obserwatora ziemskiego, nie posiłkującego żadnym przyrządem astronomicznym, nie zmieniają położenia względem siebie na sferze niebieskiej (tworzą m. in. gwiazdozbiory).*

*** Antychton (zwany również Przeciwziemią bądź Antyziemią) – hipotetyczne ciało niebieskie mające obiegać ogniste wnętrze Kosmosu w ciągu jednej doby, analogicznie jak Ziemia, lecz na innej orbicie, bliższej owego centrum; poruszając się symetrycznie w stosunku do Ziemi.*
Słońce według tej koncepcji obiegało ,,centralny ogień", tak jak inne ciała niebieskie, w tym planety.

**** W: Muzyka w ogrodzie – ogród w muzyce, pod red. Sławomiry Żerańskiej-Kominek, Gdańsk 2010.*

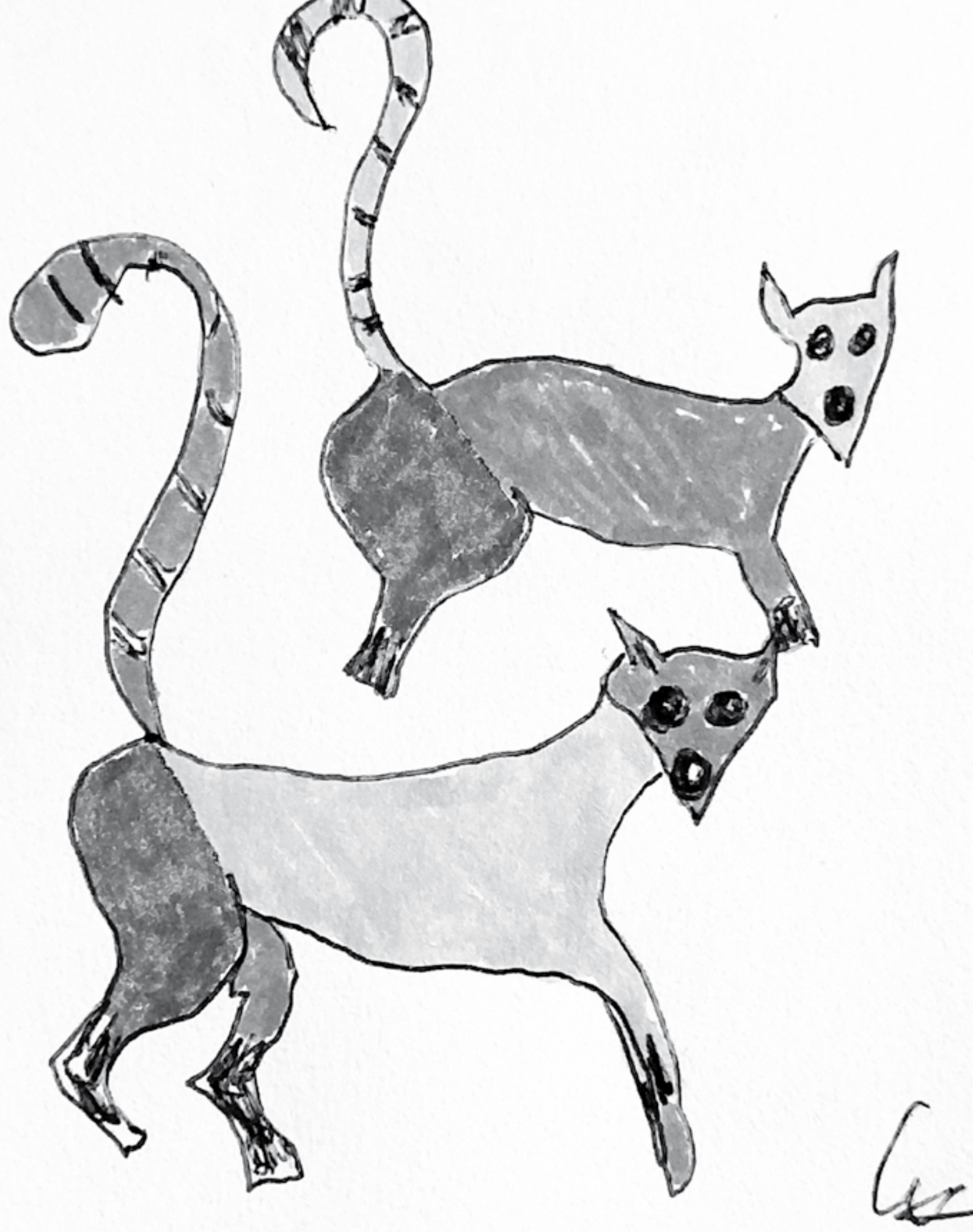

Katarzyna Gościniewicz

Dorota Czerwińska

modlitwa do podniety

matko peluna perperuny i jarowita
stwórczyni nieba założycielko pasieki w ogrodzie sąsiada
zalążku wątłej finezji herosów i uniesień atlasa
córko zbyt mrocznej nocy co się związała z płodnym rankiem

przyoblecz polot w barwy i przestań robić świat na szaro

tumiwisizm

Wisielcza cisza, w niej tylko wiatr
próbuje wybić wisielczy takt,
który porusza gałęzi cień,
co złazi z drzewa, to znów się pnie,
tłukąc w zabite okna
dechami.
Dziecko wylało się z pomyjami,
teraz pomyje śmierdzą jak zbuk,
gdy mydli oczy dziecięcy duch
drzewom, i cieniom i cieniom drzew.
Płacz to, śpiewanie, czy czarci śmiech?

A pod schodami schodzi się zło,
w którym zalega kosmaty wąż.
Z pyska wysącza mu się herbata,
a żółtym zębem myszy chce drapać.

To nie herbata! To jest samogon!
Cholera jasna! Wężowy ogon
pcha się do pyska, o ząb zahacza,
już leci jucha, juhas i baca
razem z owcami, bo zeszły
z gór
i becząc tworzą niedźwięczny chór.
Wieszają przy tym na pajęczynie
nuty, krzyże, bemole…
Świnie!

toń

on był wartki jak rzeka
a ja wrakiem człowieka
byłam
prawie
bo jeszcze pod parą
coś uniosło
coś tchnęło
coś bezczelnie popchnęło
o mój Boże jak pięknie
nie szaro

byłem wrakiem człowieka
ona wartka jak rzeka
była
prawie
z kim innym też parą
coś uniosło
coś tchnęło
coś bezwiednie popchnęło
by w kolory przyoblec
jej szarość

silne wiry i prądy
wiodły ich niepokornych
najzwyczajniej
do ujścia
po fali
słono płaci dziś ona
bowiem miłość skończona
jeden spłynął
a drugi
nawalił

Dorota Czerwińska – urodzona 24 października 1968 roku, nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej oraz terapeutka pedagogiczna, trenerka umiejętności społecznych z Warszawy. Poezją interesuje się hobbystycznie od dziecka. Kontakt z osobami piszącymi nawiązała poprzez portale literackie: „Wrzeszcze", „Herbatkę u Heleny", „Ósme Piętro". Jej wiersze ukazały się w wielu „Herbasencjach" oraz w „Tea Booku", gdzie zamieszczano najlepsze utwory z portalu „Herbatka u Heleny", tam też zdobyła „Srebrną Łyżeczkę" za najlepszy wiersz roku pt.„Scheda".

W kwietniu 2017 roku jej wiersze ukazały się w „Nowych Myślach", Można je też odnaleźć w „Helikopterze" (nr 3/2021 oraz 10/2022), „Afroncie" (nr 1/2021), „Elewatorze" (nr 2/2019), „Migotaniach (nr 3/2022, nr 1/2023), „Post Scriptum" (nr 1/2022) oraz odsłuchać ich w „Poczcie Poetyckiej Polskiego Radia Koszalin" z października 2021 roku.

Od lipca 2019 roku publikuje w miesięczniku „Akant", czego skutkiem jest ukazanie się w kilku almanachach: XXI i XXII Agonie Poetyckim „O wieniec Akantu" oraz w „Spiętrzeniu".

Pasją poetycką lubi dzielić się z otoczeniem, stąd narodził się pomysł wspólnego tworzenia z dziećmi, czego wynikiem stała się publikacja w pisemku „Wytryszek" prac plastycznych uczniów, wykonanych do wierszyków jej autorstwa.

Od jesieni 2022 roku uczestniczka KUKAI w Warszawie. Członkini Polskiego Stowarzyszenia Haiku, jej haiku ukazują się w japońskim miesięczniku KUZU.

Miłośniczka kotów i podróży, matka dorosłej córki Minerwy.

Paweł Kuszczyński

WOŁANIE O POWRÓT SPRAWDZONYCH WARTOŚCI

„Korozja" to ósmy tom poetycki autorstwa Andrzeja Waltera. Przesłania w nim zawarte, nie tylko tytuł, potwierdzają wierność poglądom zaprezentowanym w ważnej pozycji krytycznoliterackiej, jaką stała się książka „Poezja mi wszystko wyjaśniła", szczególnie tezy zawarte w dwóch uwagach wstępnych, a także w niektórych pomieszczonych tam recenzjach.

Według Słownika Wyrazów Obcych i Zwrotów Obcojęzycznych Władysława Kopalińskiego *korozja* to zmiany na powierzchni ciał stałych (np. skał, metali), wskutek (elektro) chemicznego działania środowiska (np. atmosfery, wody, roztworów elektrolitu). Znaczącą wyrazistość znajdziemy w łacińskich źródłosłowach: gryzienie, rozgryzać. Oczywiście Walterowi nie chodzi o opisywanie „gryzienia" oraz „rozgryzania" skał lub metali. Tytuł tomu ma charakter metaforyczny, symboliczny. Zresztą koncepcja książki jawi się mi na wskroś kreatywnie, żeby nie powiedzieć przewrotnie, co także należy odnieść do opisu współczesnej rzeczywistości. Zawartą w niej treść trzeba odczytywać *ā rebours*.

Epidemia koronawirusa, która dotknęła kulę ziemską w ostatnich kilku latach nie mogła pozostać niezauważona. Ta pandemia pozostaje nadal niewiadomą, nawet do końca nie wiemy skąd się wziął ten wszędobylski wirus, czy stał się następstwem nieprzemyślanego „majstrowania" z naturą? Odbywał się taniec najczęściej spóźnionych informacji podszytych spekulacjami. WHO nie przekazywała na bieżąco trafnych wskazań. Tylko koncerny farmaceutyczne mogły się cieszyć bajońskimi zyskami, z których nikt nie próbuje ich rozliczyć. Szczepionkowe zakupy nie do końca okazywały się szczęśliwe. Niezliczeni pozostali spadkobiercy pocovidowych powikłań. Aż dziw bierze, że to mogło się zdarzyć w epoce gęstej od informacji i newsów.

Jedynie oczekiwanie na śmierć
pozostaje człowiekowi niezmienną:
chyba już nigdy więcej
nie dogoni szczęścia
nie mrugnie nie zaśpiewa
nie poda ręki
nie pomacha czule
(z wiersza „Covidaspicjum-20").

Dziesiątki milionów przedwczesnych zgonów napełniły traumą chwiejną atmosferę. W tytułowym wierszu znajdziemy obrazy patologii współczesnych czasów: niczym nieuzasadniony pośpiech, zagubienie pozbawione refleksji zastanowienia nad sobą, celem życia, utracenia naturalnej spontaniczności, niezauważania drugiego w biegu donikąd:

w ciemnym pokoju
w korowodzie dni wypełnionych
gonitwą za niczym
nasze oczy
porozrzucane bez godzin i nadziei
bez wyrazistości
spojrzeń … bezładnie płynącego
czasu … krzyk nie pachnie krzykiem
oczekiwaniem
na nic

Pogubione zostały imiona, a przecież to, co naprawdę istnieje ma Imię. Zatraca się w ten sposób i poezja. Kto kogo dziś bezinteresownie zauważa:

coraz mniej światła
cienie blakną od lęku
coraz mniej życia
nasze imiona przestały znaczyć
(z wiersza „Imiona bez znaczenia")

Zatraciła się wyrazistość, zszarzały kolory, zagubiła ciągłość życia, wszystko za późno, wszystko poniewczasie:

za późno
na Ziemię i na dotyk nieba
o smaku kremówki
(jakże trafiona alegoria)
tomy słów skurczyły się
w paszczach bibliotek
naga otchłań
…
Nikogo tam nie było
tylko głosy
bez oczu bez ust bez wczoraj
(z wiersza „Za późno")

Żyjemy w wieku, który zatraca humanistyczny wyraz, zagubione zostały: cisza i biel:

Ten wiek karmi się tobą
lękiem
rezygnacją z ciszy
pustym miejscem
w ostatnim przedziale
już wiemy po co były
obozy
do czego służy
człowiek
dokąd odchodzą
wiatr i dym
(z wiersza „Nieistniejący wiek")

Jak przystało na doskonałego mistrza sztuki obrazu, znajdujemy w książce pełną swoistego symbolu fotografię matki Autora, Krystyny, której zresztą, jako *kochanej Mamie*, dedykowany jest tom. Wydaje się, że to charakterna kobieta, Pani pełnią walorów naznaczona.

Ukazują się ciągłe powroty do poprzednich lat, do dzieciństwa, jawiącego się macierzą duszy każdego artysty, w którym znajdujemy na poły realia jak i pełne marzeń pragnienia, niezmienne fantazmaty:

dziś
bogów już nie ma
(zapewne o zmierzch autorytetów tu chodzi)
niebo jest czarne
noc duszna
wracam do siebie wracam do ciebie
wracam gdzieś do źródeł
tylko powiedz mi proszę
gdzie to jest?

Przejmująco brzmią strofy dla Mamy:
Kocham Cię Mamo
także wtedy
kiedy mówisz cicho
że boisz się umierać
ja też się boję
krzyku mew
na nieznanym brzegu
i obcego nieba i boję się okrutnej
bramy wieczności
za nią podobno
już tylko spokój i raj
(nie należy zapominać o tym, że śmierć
jest jedyną szansą spotkania,
zobaczenia Boga).

Oryginalnie rozprawia się Autor z polskimi historycznymi przypadłościami:
nasz kuchenny mesjanizm
stygł przy okrągłym stole
zwątpienia i po latach
okazał się kakofonią zbędnych
losów … potem powódź
zebrała żniwo
postradała cokoły
ukradła nadzieję

Lasy dające wytchnienie wielu ludziom, nie znajdują dziś spokoju. Gdzieś pogubiło się pro publico bono:

pozostał słup ogłoszeniowy
w betonowej dżungli

a na nim plakat
naddarty nieco
sprzedam las
cena nie gra roli
(z wiersza „Bibeloty")

ten świat
rozsadził lęki rozproszył słowa
przygarnął klaunów obnażył
stańczyka
być albo nie być
przyodział w groteskę
i głęboki cień
(z wiersza „Rozmyślania na szczycie góry")

Los poezji we współczesnych czasach, w wieku wątpliwości ukazują słowa:

jest tu bezradność gladiatora
który opuścił tarczę
za tarczę mając
wiersze
(z wiersza „Arena")

Gorzkie są problemy z personifikacją człowieka:

moja osoba bez osoby
jak wiersze
bez nazw
(z wiersza „Czym jest prawda"),
a co ze statusem poetów?

pośród was
mędrców ciszy
głęboko ukrytych
w słowach i wersach
nie na sprzedaż
to nam jeszcze pozostało
harfa i miód
alkohol i brud
zatroskane twarze
blizna na papierze
metafora bliskości
w kielichu zdarzeń
(z wiersza „Najazd poetów")

to chyba jest tak
że słowa mają duszę
i tam mieszkają

bywa i tak:
z naszych kieszeni
wyrastają zakrwawione wiersze
bez żadnej duszy
(z wiersza „Rozważania duszy")

Cierpimy na nadmiar poetów, w kraju poezji i wolności:

resztki elementarne połączą się
pod skórą zwiotczałą
od słów
(z wiersza „Wypłowiały sen")
nikt nie wie
czym jest poezja
(z wiersza „Na dnie")

Oto poeta – powiem – ukrzyżowany czasem i gorączką własnych słów. (z wiersza „Jest zimno") Odsuwana i mglista jest dzisiejsza wiara…:

potem uwierzyli
w projekt
projekt był wieloznaczny
wielowarstwowy wielozadaniowy
i wielokrotny
był trzeźwo osadzony
w innych projektach
które zaprojektowano
aby ciągle coś projektować

Potwierdza się nieśmiertelność Hansa Christiana Andersena w „Nowych szatach cesarza". Trafiamy na oryginalny wizerunek Krakowa:

Kraków mój to coś
na zawsze
stuka końskim kopytem
smok wypuszcza ogień
Wisła koi czas
w zakolach myśli
kryją się wszystkie poronione poranki
(z wiersza „Gdzie mieszka smok")

Polacy potrafili wybić się na wolność, niepodległość, suwerenność, a nie mogą osiągnąć zwyczajnej normalności, nieustająco muszą stawać się, gdy innym nacjom wystarcza bytowanie. Czas refleksji musi wypełnić cisza, by można porozmawiać ze sobą:

cisza … ratunek świata
motyw przewodni
cisza odpowiedź najgenialniejsza
rachunek sumienia
cisza w której wykuwa się
każdy bóg i w której rodzi się
nadzieja

Spotykamy, podobnie jak u Brodskiego, ten motyw towarzyszący pisaniu poezji:

czysta kartka
jak romans sensu i snu
albo jeszcze coś
na zdumionych łączach
(z wiersza „Kilka słów o poezji")

Rdza, będąca następstwem procesu korozji pojawia się w tomie jeden raz i tylko w formie przymiotnikowej:

w twojej lekko już
pordzewiałej wannie
tylko cisza
pojmuje
zdrętwiałą codzienność.

Zasadnie byłoby o dziwo wystąpić „w obronie" rdzy, która sygnalizuje nieuchronnie pogłębiającą się korozję. Zresztą rdzę, gdy nie zżarła zbytnio metalowego przedmiotu można usunąć i nadal z niego korzystać i ponownie cieszyć oczy błyszczącym połyskiem. (tu też ma miejsce wszechobecny paradoks). Dlaczego tak można widzieć problem korozji? Dostrzegam bowiem nadzieję: korozja nie zżera natychmiast, błyskawicznie rzeczy, ale konieczna jest ich ochrona oraz niezbędna o nie dbałość. Zresztą i tutaj pojawia się mądrość natury: świat i zjawiska zmieniają się stopniowo. Nie zapominajmy o istnieniu szlachetnych metali (platyny, złota, srebra), które, jakkolwiek w ograniczonym stopniu, również ulegają korozji.

Podobnie przedstawia się zagadnienie potrzeby i konieczności trwałego zachowania wartości humanistycznych, sprawdzonych przez wieki oraz kształtowania, bardzo rzadkich dziś, szlachetnych ludzkich postaw. Właśnie o to zabiega, a nawet walczy w swoich znaczących dokonaniach poetyckich i krytycznoliterackich Andrzej Walter.

Paweł Kuszczyński

Andrzej Walter: Korozja.
Toruń 2020. Wydawnictwo Adam Marszałek. Stron 64. ISBN: 978-83-66624-01-6

Katarzyna Gościniewicz

Mariusz Zimoński

Sekwencja siódma (Fragmenty)

*

aparat mi się zepsuł więc zdjęcie nie wyszło a zresztą było
ciemno i gmach też był ciemny
z wyłupionymi oczodołami okien szramami po bombach
ogrodzony od ulicy balustradą z desek
z poprzyklejanymi plakacikami: nie ma serbii
bez kosowa i metochii takie większe ksero
już poszarzałe
późny wieczór prawie
noc

*

i nie wiem dlaczego w kiosku na ruinach
starego fortu osmańskiego (jeszcze jedno
upadłe imperium) nie kupiłem
pocztówki z brozem tito a miałem
dość dinarów i euro rakija tania
pewnie byłem zmęczony był upał a wczoraj
z krzysztofem g. piliśmy w podrzędnym hotelu
do późna w noc tak się zapatrzyłem
na banknoty za szkłem jugonostalgia stare
już wycofane z obiegu wraz z państwem które
przestało istnieć twarze i symbole
też wycofane z obiegu patrzyłem
na banknoty za szkłem

*

o czym był
ten baletowy spektakl oglądany
szóstego września dwa tysiące
piątego roku w lokalu
związku pisarzy serbii
co znaczyło
no pasaran
10 XII 2005, 13.05

*

to się powtarza: przychodzą zwycięzcy
bramy triumfalne kwiaty i ludowe stroje
okrzyki na cześć a potem pomniki
porozbijane przychodzą kolejni
po bramach znowu zmieniają się godła
20 IX 2005

puste cokoły i nowe ruiny
tajne więzienia tajne bazy tajne
groby tajne i jawne
procesy
9 XI 2005

*

mży telewizor (jak w dawnym
wierszu przybosia) wyświetla
(jak w dawnym
wierszu gąsiorowskiego)
to co pozostało
po wielkim wybuchu
małe
zdarzają się teraz w innych częściach świata
poza tym
wszystko bez zmian
jak wtedy tak teraz
żyję oddycham umieram
13 XI 2005

*

wreszcie którejś nocy
krzysztof g. mi się przyśnił
był – ale zanikał
mówił – ale powietrze stało nieruchome
i głos się nie przedzierał przez przejrzystą taflę
spojrzałem na zegarek stanął (teraz? dawno?)
nie byłem pewien ten sam hotelowy pokój
albo może warszawski oddział związku literatów
butelka była pusta i puste kieliszki
na stoliku pełna petów popielniczka
nieruchome powietrze czas nieruchomy
zapadaliśmy się w fotele jak w sen
(młodszy brat śmierci)
X-XII 2005
[publikacja: „Komunikaty2” 2009 nr 14 s. 10]

Władysław Zawistowski

TRUDNA SZTUKA (OTRZYMYWANIA) DEDYKACJI

W dawnych dobrych czasach, gdy czernienie papieru uchodziło za szczególny przywilej, bywało oznaką wielkości, a czasem nawet przynosiło jakieś pieniądze, w tych zatem dawnych czasach, gdy pisano, wydawano i czytano papierowe książki (w tym tak zwane „tomiki poetyckie"), a czasem je także recenzowano, komentowano, nagradzano bądź potępiano, w czasach inkaustu, maszyn do pisania i stukotu zecerni – każdy proces wydawniczy kończył się nieuchronnym rytuałem wieczoru autorskiego, połączonego z wpisywaniem dedykacji. Liczba chętnych do jej otrzymania bywała oczywistą miarą zainteresowania twórczością bohatera wieczoru, lecz jego samego pozbawiała uroku bankietu – zanim wpisał się wszystkim chętnym, ci z początku kolejki zdążyli zjeść i – zwłaszcza – wypić cały traktament i rozejść się do domu.

Nie wszyscy zatem lubili ten rytuał. Wpisywanie dedykacji zabierało cenny czas i wymagało pewnej gimnastyki, dlatego wielu autorów poprzestawało na autografie, albo łatwo powtarzalnej formułce (czasem niegodnej zawiłości samego dzieła). Również otrzymywanie książek z dedykacjami mogło być źródłem pewnego kłopotu, a mianowicie kłopotu bogactwa, gdy kolejne ofiarowane tomy zaczynały się wylewać z przepełnionych półek domowej biblioteki. Wiedzą coś o tym zwłaszcza krytycy literaccy, którym poczta (a obecnie kurier) co i rusz przynosi prezenty w postaci nowych książek (oczywiście zaopatrzonych w sążniste dedykacje) żądnych recenzji i uznania (a czasem choćby zauważenia) autorów.

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz podchodził do dedykacji – zarówno tych, które sam wpisywał, jak i tych, które otrzymywał – z podobnym pietyzmem, z jakim podchodził do literatury w ogóle, a poezji w szczególe, i to wszelkiej poezji – od dzieł Mistrzów po palcówki początkujących czeladników pióra. Z czasem ta miłość do słowa odręcznie pisanego pieczętującego to drukowane, przeszła w rodzaj pasji (nałogu?), polegającej na skrzętnym zabieganiu o kolejne dedykacje i kolekcjonowaniu książek z wpisami już otrzymanymi. Upraszczając: AKW równie chętnie podpisywał się na swoich dziełach, jak i – bez najmniejszych kompleksów – odstawał należną kolejkę po dedykacje na książkach kolegów po piórze.

Ta pasja, przynajmniej od pewnego momentu, nie była w środowisku tajemnicą (*Panu Andrzejowi K. Waśkiewiczowi / z prośbą o włączenie do Jego sławnych zbiorów* – pisze w listopadzie 1993 roku Anna Kajtochowa) i zapewne niejeden z poetów, ślących swoje przesłanie, dobrze wiedział, że ma szansę ocaleć właśnie tam – na półce Andrzejowej biblioteki, a nierzadko także w którejś z książek krytyka, który słusznie uchodził za wybitnego znawcę współczesnej poezji polskiej i jedynego być może czytelnika „ogarniającego" bezmiar tego żywiołu.

Uzbierało się tych dedykowanych książek (a także arkuszy poetyckich, broszur, rękopisów) – czyli okazów w kolekcji – aż **2039**, od pierwszej, datowanej 15 lipca 1961 roku, po ostanie z wiosny 2012 roku. A zatem około 40 rocznie, choć bywały czasy, gdy więcej było nowych tytułów niż tygodni w roku (a tych, jak wiadomo, jest 52). Andrzej Waśkiewicz wszystkie te książki skrzętnie i starannie przechowywał, zamieniając powoli swoje mieszkanie na gdańskiej Morenie w wielką bibliotekę poezji współczesnej.

Potrzeba jednak było woli, determinacji i mrówczej pracy Anny Sobeckiej, czułej opiekunki twórczości Andrzeja, by powstała ta niezwykła książka – jedyny znany mi kompletny zbiór dedykacji dla jednego adresata (i jego Rodziny), powstający na przestrzeni ponad pół wieku (1961-2012). Kogóż tu nie ma! Poczynając od największych – Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza, Marii Janion, Jana Błońskiego – kolejne pozycje indeksu nazwisk to prawdziwa galeria obrazów polskiej poezji ostatnich pięćdziesięciu lat. Jan Brzękowski, Jalu Kurek, Wiktor Woroszylski, Tymoteusz Karpowicz, Stanisław Czycz, Edward Balcerzan, Zbigniew Bieńkowski, Stanisław Grochowiak, Stanisław Barańczak, Krzysztof Karasek, Stanisław Stabro, Jacek Bierezin. I dziesiątki innych, od powszechnie znanych środowiskowych celebrytów i laureatów, po poetów *minorum gentium*, starców i debiutantów, zesłańców i hippisów, awangardystów i tradycjonalistów, warszawiaków i prowincjuszy. Z rzadka i na zasadzie wyjątku – prozaików, filozofów, historyków. Oczywiście bardzo wiele dedykacji – często rozbudowanych, emocjonalnych, postulatywnych – to głosy literackich rówieśników i sojuszników Andrzeja z pokolenia Orientacji – Krzysztofa Gąsiorowskiego, Janusza Żernickiego, Zbigniewa Jerzyny, Jerzego Górzańskiego czy Marka Wawrzkiewicza, ze szczególnym uwzględnieniem Jerzego Leszina-Koperskiego. Legendarny Leszin przylgnąwszy sercem do Waśkiewicza w głębokich latach sześćdziesiątych, pozostał mu wierny (z wzajemnością) już na zawsze, kreując wciąż nowe czasopisma, serie wydawnicze i całe wydawnictwa (Anagram), które potem wspólnie prowadzili. Odsyłam do poświęconego ich relacji tomu *Leszin-Waśkiewicz* z 2018 roku.

Ale sporo jest także dedykacji znacznie młodszych autorów z kolejnych „pokoleń literackich" tak wnikliwie opisywanych przez AKW – Nowej Fali czy Nowej Prywatności, a także z literackich kręgów Trójmiasta, a wcześniej – Zielonej Góry. Ma też Waśkiewicz wiernych literackich przyjaciół, skoro niektórzy z nich są reprezentowani przez całe półeczki własnych książek – jak wspomniany Jerzy Koperski (34 dedykacje), Janusz Kryszak (30), Jan Kurowicki (29), Krystyna i Stefan Chwinowie (łącznie 28), Tadeusz Wyrwa-Krzyżański (26), Krzysztof Gąsiorowski (25), Zbigniew Jankowski (20).

A zaczyna się to wszystko niewinnie – od dedykacji stryjecznej siostry:

Mojemu bratu Andrzejowi z życzeniem, aby zbyt się nie znudził czytając / Niunia / 15. VII. 61. (Hanna Waśkiewicz: *Historia filozofii prawa. Filozofia prawa starożytnego świata pogańskiego. Część I Grecja – okres najwcześniejszy i helleński.* Towarzystwo Naukowe KUL Lublin 1960).

Nie wiem, czy Andrzej (podówczas świeżo upieczony absolwent studium bibliotekarskiego) przeczytał to uczone dzieło, zapewne tak, gdyż zawsze czytał niesłychanie dużo, choć szybko okazało się, że jego lektury zdominuje poezja, którą z powodzeniem sam uprawiał i o której wnikliwie pisał przez następnych pięćdziesiąt lat. Nic zatem dziwnego, że z czasem liczba ofiarowanych książek gwałtownie rośnie, podobnie jak poetyka przesłań-zaklęć. Bo też coraz więcej autorów pragnie dostrzeżenia, odnotowania, recenzji, pamięci.

Andrzeju, cieszę się bardzo, że mogę osobiście potwierdzić przed Tobą i polecić Ci „Białe Dorzecze". Zawsze sądziłem, że spotykamy się w głębi naszych poetyk. Proszę Cię zatem o odrobinę większej uwagi / Krzysztof Gąsiorowski

Andrzejowi K. Waśkiewiczowi by zechciał wspomnieć o moim istnieniu / Feliks Rajczak

Panu Andrzejowi K. Waśkiewiczowi / oto moje całożyciowe gospodarstwo poetyckie / Jalu Kurek

Panu Andrzejowi K. Waśkiewiczowi z nadzieją, że jako poeta nie wzgardzi przynajmniej kilku wierszami z tego zbiorku, / Andrzej Piotrowski

Hani i Andrzejowi, tak jakbym wraz z tą książką chciała podarować część mego świata / Krystyna Lars

Wszak jesteś m. in. znawcą życia literackiego na tzw. Prowincji (…)/ Czesław Kuriata

Panu Andrzejowi K. Waśkiewiczowi z prośbą o recenzję na łamach któregoś z pism a także o krytykę, bezlitosną, / Jan Rybowicz

Andrzejowi Waśkiewiczowi w podziękowaniu za pokazanie mi drogi do poezji. / Eugeniusz Kupper

Panu Andrzejowi Waśkiewiczowi z nadzieją, że „krytyka" nie będzie druzgocącą / Janina Soszyńska

Andrzejowi / O dobre jutro dla tych wierszy. / Dziękuję, boś wyznaczył im drogę / Eugeniusz Kupper

Panu Andrzejowi Waśkiewiczowi także gwoli przypomnienia, że bardzo mi pomógł w mojej skromnej – jednak wciąż trwającej – literackiej drodze / Mirosław Ślapik

Drogiemu Andrzejowi Waśkiewiczowi najwybitniejszemu krytykowi / współczesnej literatury polskiej świetnemu poecie i dociekliwemu intelektualiście / Bernard Antochewicz

Panu Andrzejowi Krzysztofowi Waśkiewiczowi, / poecie i krytykowi, którego talent do pisania i rozumienia poezji podziwiam. / Krystyna Godlewska

Boję się surowej oceny – ale liczę trochę na życzliwość / Henryk Pustkowski

Gdy adresatem dedykacji jest wybitny krytyk poezji, a autorami wpisów – poeci (często dopiero debiutujący), tonacja szacunku, by nie powiedzieć pokory, nie dziwi. Na przestrzeni pięciu dziesięcioleci nazbierało się jednak sporo wpisów „partnerskich", a nawet „kombatanckich". To rówieśnicy, współuczestnicy literackich i nie tylko literackich batalii. Wnikliwy czytelnik znajdzie w tym tomie ciekawy, choć nieoczywisty obraz kolejnych politycznych przełomów, od roku 1968 po 1989, i dalej w lata dwutysięczne. Kto, kiedy, gdzie, z kim??? Dziś wydaje się to wcale nieoczywiste, nawet jeśli przed laty budziło silne emocje. Ich emanacją – tytułem przykładu – są również następujące wpisy:

Andrzejowi, z uściskiem dłoni ponad barykadą / Stanisław Barańczak

Andrzeju, dzielniejszy ode mnie towarzyszu walki, długo nie będę umiał spłacić wobec ciebie długów wdzięczności. Przyjmij ten skromny zbiorek jako małą zaliczkę. / Krzysztof Gąsiorowski

...Oby nam Andrzejku tak boleśnie głów nie wytańczono, choć ponoć u nas Herod tylko w szopce, / a Salome, Salome zawsze inna / - choć kapryśna zawsze / Janusz Żernicki

Andrzejowi Waśkiewiczowi / Kapitanowi kartoteki sumień pokoleniowych, pisarzowi poecie żywiołów i innych przypadłości śródziemnomorskich / Wit Jaworski

Andrzejowi K., tych kilkanaście wierszy, które są jakby z innego, dawno umarłego życia / Stanisław Bereś

Przyjmij, Andrzeju, tę rzecz ze słowami przyjaźni mimo dzielących nas dzisiaj poglądów na sprawy kraju. / Janusz Kryszak

Andrzejowi Waśkiewiczowi tyle ile zostało […] [art. 2 pkt. 6 ustawy o kontroli publikacji i widowisk Dz.U. Nr 20 poz. 99 z dn. 31 VIII 1981 zm. Dz.U. 1983 nr 44 poz. 284] mowy publicznej / autor / Toruń, w lutym 1986. / Janusz Kryszak

Drogiemu Andrzejowi Krzysztofowi Waśkiewiczowi zanim zamiast Historii pochłoną nas Przemoc, Obojętność i Głupota / najserdeczniej i nie tylko z kombatancką przyjaźnią / Stanisław Stabro

Andrzejowi Krzysztofowi Waśkiewiczowi – jego Zły Duch – (i vice versa, bo taka wersja obowiązuje w literaturze p. Bereza) / Zygmunt Trziszka

Na pohybel władzy neozlepu (...) / Zygmunt Trziszka

Drogi Andrzeju, od pierwszego anioła, okulałego, uparcie strzegącego powinności poetów, płatem anielskiego skrzydła dzieląc się w tym bezbożnym czasie, na miłą pamiątkę / Bernard Antochewicz

Tyle skromnych uwag na marginesie tego imponującego zbioru, pióra jednego z bardzo licznych drugoplanowych bohaterów. Pierwszy jest oczywiście tylko jeden, On – adresat naszych czułości, uprzejmości i naszej – po ludzku – przyjaźni. Andrzej Krzysztof Waśkiewicz. A jeśli kto ciekawy, czemu to mnie właśnie Ania Sobecka powierzyła zaszczyt napisania krótkiego wstępu – odsyłam do dedykacji nr 329. To się nazywa intuicja!

Appendix

Jako się rzekło w pierwszym akapicie, AKW nie tylko dedykacje skrzętnie zbierał. Równie chętnie ich udzielał. Oto kolejne wyzwania dla Anny Sobeckiej – ***Xięga dedykacyj pióra Mistrza Andrzeja***. Wiem, że materiał źródłowy rozproszony, a część obdarowanych trwale nieobecna. Ale przecież jakaś część tego dorobku literackiego jest do uchwycenia. Piszę o dorobku literackim bez zawieszającego cudzysłowu, bo i dedykacja może być mini-dziełkiem sztuki, choć to już zależy od wielu okoliczności. A na dobry początek, nie bez pewnej dumy, proponuję zaczątek kolekcji – dwie spośród dedykacji, które AKW ofiarował niżej podpisanemu.

Rok 1976: *Modele i formuła. Szkice o młodej poezji lat sześćdziesiątych* :

Władkowi Zawistowskiemu (który tę książkę SAM kupił) – z niejakim zażenowaniem (acz serdecznie)

Rok 1983: *Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „nowych roczników"*:

Adzikowi Zawistowskiemu, który jest jednym z głównych bohaterów tej książki – serdecznie.

Sopot, lipiec 2023
Władysław Zawistowski

Katarzyna Gościniewicz

Andrzej Wołosewicz

KSIĄŻKA-POMNIK

Żyję już długo i dużo w życiu widziałem. Czasami nawet myślę, że zbyt dużo, aby cokolwiek mogło mnie zaskoczyć szczególnie jeśli idzie o książki, nad którymi się pochylam, których dotykam, które wącham. Jestem bowiem – przyznaje bez skruchy – z kultury Gutenberga. Niektórzy może pamiętają, że była taka. To pisze o sobie, ale dokładnie taki nastrój, nastrój *minionego,* które głęboko w nas tkwi i które to *minione* żywi nas i jest naszym tlenem póki jeszcze możemy czytać znajduję w pierwszym akapicie tekstu Władysława Zawistowskiego otwierającego niesamowitą książkę „Dedykacje (dla Andrzeja K. Waśkiewicza)". To tę książkę mam na myśli pisząc o *niemożliwości* zaskoczenia. A jednak! Pochylam się oto nad książką „Dedykacje", książką pomysłu i autorstwa Anny Sobeckiej, która zadała sobie trud zebrania w jedną pozycję wydawniczą - najprościej pisząc - dedykacji, którymi opatrzone są książki, które ich autorzy darowywali Andrzejowi Waśkiewiczowi. Tak to wygląda od strony pomysłu i konstrukcji „fabularnej". Możesz zatem Czytelniku pomyśleć o niej jak o zwykłej książce, tyle że z trochę inną, nietypową treścią. Ale to nieprawda. Jest to swoista *historia życia literackiego* widziana od strony, od której nie dane jest nam jego oglądanie na co dzień. Oczywiście zapewne wielu może pochwalić się jakimś tomikiem z dedykacją czy inną książką z takąż, ale dwa są powody, że „Dedykacje" są niepowtarzalne. Po pierwsze dotyczą jednego obdarowanego (ponad 2 tysiące dedykacji!) – Oczywiście Andrzeja Waśkiewicza – a raczej obdarowywanego, bo – po drugie - rzecz dzieje się na przestrzeni półwiecza!

Zawistowski w swoim tekście wprowadzającym („Trudna sztuka (otrzymywania) dedykacji") zauważa w tych jakże krótkich tekstach, jakimi są najdłuższe nawet dedykacje, coś znacznie ważniejszego i ciekawszego od tego, czym oczywiście dedykacje nam się na pierwsze czytanie jawią i czym na owo pierwsze czytanie rzeczywiście są, czyli przypisem do książkowego podarunku, autorskim przypisem: to jest dla Ciebie. Zawistowski widzi w dedykacjach – i od razu pokazuje to na kilkunastu wybranych przez siebie przykładach – świat literatury od *wewnętrznej* strony biocenozy literackiej (pożyczam to określenie od śp. Leszka Żulińskiego). To jest punkt widzenia, z którego nie jest nam dane obserwowanie życia literackiego, dlatego że dedykacje nie podlegają, ja przynajmniej nie znam takiego przypadku, głębszej analizie. Tutaj jednak Zawistowski w swoim wstępie to zrobił i to po mistrzowsku. Warto by całość jego tekstu przytoczyć. Mamy tam choćby możliwość przyjrzenia się kto z wielkich literatury, co dzisiaj już wiemy, bo stało się to oczywistością, aplikował swoimi tomikami do Waśkiewiczowej uwagi. Dedykacje stały się na przestrzeni obejmującego je półwiecza formą rozmowy konkretnych poetów (i pisarzy) oraz środowiska literackiego z Obdarowanym. A jeśli tak, jeśli widzimy w „Dedykacjach" nie tylko grzecznościowe formułki będące ledwie „opakowaniem" ale przed wszystkim ich treść, to otwiera się przestwór możliwości. Jedni wspominają wspólne z Waśkiewiczem chwile literackiego zachwytu i delektują się tym. Inni liczą, że z tych zachwytów coś udzieli się ich tomikowi przy spolegliwej Andrzejowej lekturze. Pojawiają się tu różnorakie formy i sposoby zachęty od wprost i bez ogródek wypowiadanych („z życzeniami dobrej lektury", „polecam Twojej uwadze" itp.) po bardziej zawoalowane. To wszystko powoduje, że mamy dostęp do tych linii i napięć (bo i takie w dedykacjach występują) międzyludzkich relacji fundowanych literacką wspólnotą przeżywanego i czytanego słowa, które samej literaturze i nawet krytyce nie bywają dostępne ponieważ tu – w „Dedykacjach" - często schodzimy na poziom relacji bardziej osobistych, intymnych, dotykających spraw i relacji, którymi nie epatujemy w oficjalnym obiegu naszego literackiego gaworzenia. Przytoczę – idąc za przykładem Zawistowskiego – swoje wybrane przykłady (dedykacje są ponumerowane, podaję więc ich numery, aby łatwo było je odnaleźć w „Dedykacjach" a także dlatego, że nie będę cytował pełnej bibliografii darowanej pozycji, której dotyczą; interesuje mnie tutaj wyłącznie sama treść, reszta jest do odszukania i doczytania):

„73. Drogi Andrzeju, zgodnie z przyrzeczeniem posyłam Ci „Redę". Bij po niej, ile wlezie! Postaram się nie być dłużny (podobnie jak za „światopogląd felietonowy", który – po chwili złości – dał mi sporo przyjaznej satysfakcji). Nie powinniśmy hołdować koleżeństwu (przyjaźni?) złudnie – bo przecież mamy inne widzenia literackie – wygładzonemu. Bądź zdrów! Pozdrów także ode mnie i Teresę Twoją żonę. Napisz do nas parę zdań. / Zbigniew ? PS. Czy i kiedy puścicie w „Nadodrzu" przesłaną kolumnę „Redy" – jako że niektóre wiersze są z tego almanachu, który lada dzień ukaże się w sprzedaży! Za późno zauważyłem, że druk tego egzemplarza trochę na bakier> Wybacz. / Zb. / Kołobrzeg, 17.IV. 69 r."

„88. Andrzeju, może opozycjonista nie powinien się do tego przyznać, ale „Próba uzasadnienia" podoba mi się, niektóre wiersze nawet bardzo. Nie podoba mi się tylko ta w posłowiu zapowiedź odwrotu, kto wie, czy nie zawierająca w sobie poetyckiego zła. Myślę, że gdy kiedyś zrobisz wybór swoich wierszy, sięgniesz przede wszystkim do takich, jak w „Próbie uzasadnienia", do wierszy, a nie do „formulizmów". W każdym razie serdecznie Ci dziękuję, że nagle mogę Cię zobaczyć jako poetę. „Próba uzasadnienia" nieco zachwiała moim sądem o Twojej poezji. Bardzo się z tego cieszę, choć zdaję sobie sprawę – po tym posłowiu – że niekoniecznie tym stwierdzeniem muszę Tobie sprawić przyjemność, w każdym razie nie teraz, w obecnej chwili rozwojowej. ? Jeśli znajdziesz chwilę czasu i chęci, napisz, proszę, jak widzisz moje „Ciążenie". Łudzę się, czy nie, że to moja najlepsza książka? No cóż, złudzenie ma także w sobie odrobinę poezji i coś tam z naszych wewnętrznych potrzeb spełnia. / Bądź zdrów! / Zbigniew Jankowski /Kołobrzeg, 15. II. 70."

„97. W-wa, 25. VI. 70. /Andrzej, wysyłam ci pierwszą, to nie znaczy, że jeszcze będzie ich więcej – książeczkę, z bólu wydartą i z konieczności. Byłeś jednym z b. niewielu, który chciał tej książki. Wydałem i teraz niczego w niej nie zmienię. / Przesyłam Ci taką poszarpaną, niekształtną, ale własną. / Trzeba teraz marzyć, aby wiersze te zrozumiano i przyjęto. Wcale nie z uwielbieniem, ale tak, jakby je ktoś sam pisał. Bo zgodzisz się, kto żyje, ten nie może czytać inaczej od tego, kto je pisał. To wieka konieczność. / Tyl, Andrzej, ja i Alicja. / Z krwi własnej przesyłam Ci pozdrowienia, Twój Leszin. / Egzemplarz1. Drugi posiada Krynicki. / 25. VI. 70. J. Koperski."

„128. Stary! / Żeby było prędzej przetelefonowałem Twój adres do sekretariatu „Hybryd" i myślałem, że wszystko OK. Okazało się jednak, że wszystkie „Programy" z „Hybryd" podpieprzono – co jest o tyle pocieszające, że Leszinowych publikacji (z wyjątkiem tych na toaletowym papierze) nikt nie brał. / Przesyłam Ci więc tomik z mojej autorskiej rezerwy z jedną prośbą: pisz sam. Nawet jeśli napiszesz bzdury wiadomo będzie z jakich pozycji. Jeśli dasz rzecz do recenzji komuś kto jest lub był związany z ruchem „N. R." to bez względu na to czy napisze źle czy dobrze – będzie źle. Recenzja pozytywna narazi mnie na zarzut klikowatości i „recenzji koleżeńskich" (patrz ostatni „Merkuriusz") negatywna będzie wyglądała na „odegranie się". Lepiej niech to zrobi ktoś z zewnątrz. / Pozdrowienia – Bohdan Urbankowski."

„1220. Na pohybel Balcerowiczowi Onych! /AKW – Jędrku / jesteśmy steranymi weteranami Hybryd (chimera mirabilis, znam Leonardo) po coś się trudził! / A jednak żal wierszy, których nie napisałem / W zeszłym roku miałem słoneczny udar, / pociemniały mi oczy, z trudem piszę. /W dodatku doczepiła się wredna cukrzyca. / Z przyjaźnią i miłością i czułością - / Janusz Żernicki / Tęzniopolis 30 października 1998 r. / To moje opus magnum, korekta fatalna, ale się starali."

„1369. Szanownemu Panu / Andrzejowi Krzysztofowi Waśkiewiczowi / z podziękowaniem za bardzo miłe spotkanie podczas XVIII Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK „Lubniewice 2000". / Zawstydził mnie Pan swoją wiedza i erudycją, a jednocześnie zmobilizował do dalszej pracy nad sobą! / Chyba jeszcze warto powrócić do zapomnianych stron i strof! / Z prawdziwą sympatią, serdecznością i zażenowaniem przekazuję Panu swoje pierwsze „dziecko" wydawnicze / -redaktor almanachu autorka paru wierszy i prezes płockiego RSTK / B.

Ciszyńska / Lubniewice, 18. 10. 2000."

„1478. Drogiemu Poecie, / Panu Andrzejowi K. Waśkiewiczowi / tych kilka słów, przedmiotów i snów (niech śni się ocalenie!) / - z podziękowaniem z Oddech Ukryty we krwi i życzeniach – niech zawsze będzie Jutro! / Paweł Tański. W Toruniu, w dniu 28 urodzin / 22 lipca 2002 r. / Drogi Panie Andrzeju, Ogromnie, z całego serca dziękuję za rewelacyjny tomik Pańskich wierszy Widmowe światło wspólnoty"! Są to utwory znakomite!!! / Szczególne wrażenie zrobiły na mnie : „to się powiększa", „oddech", „ukryj się we krwi", 'nieobecność", „tam gdzie nas nie ma", „ciemność", „noc" i „Tadeusz Peiper". Są to układy pięknych zdań, które mną wstrząsnęły i sprawiły, że czułem się jak w „Dasein". Intensywne chwile „tu – teraz – bytowania"! Dziękuję! Serdecznie Pana pozdrawiam / Paweł Tański."

„1760. Andrzejowi książeczkę napisaną w całości w ponurym pruskim więzieniu w Katowicach w latach 1973-1977, stąd tyle kolorów, bo cela byłą ciemna, a za blindami chmury dymu… /ofiaruję Zbyszek / 30. XI. 2006 r. Zbigniew Szymański."

„2000. Dla Pana Andrzeja K. Waśkiewicza, / który tworzył historię literatury lubuskiej / i który jest jednym z bohaterów tej książki / - z szacunkiem i świadomością długu, / autorka / w czerwcu 2011. Małgorzata Mikołajczak"

Zostawiam te dedykacje bez komentarza, aby wybrzmiały swą literacko-życiową gęstością.

Dwie uwagi, które przypomniały mi się kiedym szukał klucza do napisania tych kilku słów o tak nietypowej książce.

Wśród dedykujących swoje tomiki poetyckie Andrzejowi znajduje się (pozycja 131) 35 letni wówczas Edward Balcerzan (poeta, teoretyk literatury, wykładowca akademicki) ze swoim tomikiem „Późny wiek" (1972), który niemal ćwierć wieku później w „Zuchwalstwach świadomości' (2005) tak napisze o dwóch tytanach krytyki literackiej: „Któż nie narzeka? Podaż masy tekstowej przekracza możliwości konsumpcyjne najofiarniejszego czytelnika. Dawno temu paru entuzjastów o benedyktyńskiej sile woli miało opinię czytających wszystko „jak leci" (Andrzej Krzysztof Waśkiewicz i Wojciech Kawiński) Odnosiło się to jednak tylko do poezji."

I u tegoż samego Balcerzana znajduję nieliczny komentarz do dedykacji jako formy literackiej: „Nie pamiętam, czy poznałem najpierw poezję czy osobiście poetę. Chyba jednak poezję, jego „*Godzinę jastrzębi*" na pakunkowym papierze, kwadratowy Edwardowi Balcerzanowi", autorowi *Podwójnych interlinii* i *Granicy na moment*, szczególnie wierszy *Opis wydarzeń* i *Słowa przybysza z dołu*, czytając to pomyślałem, że nieznajomy warszawianin wie, jak się obchodzić ze słowem, umie jeden gatunek zapakować w inny; w dedykacji przemycić recenzję (..)." („Z*uchwalstwa* świadomości", s. 101)

Po kilku dniach lektury „Dedykacji" tak o nich pomyślałem: Książka-Pomnik, poszukując czegoś, co można by dodać do wyczerpującego tekstu Zawistowskiego. Taki tytuł oddaje bowiem wszystkie możliwe do pomyślenia i dostrzegalne w rzeczywistych swych relacjach niuanse pozwalające w bardzo nietypowy sposób i z bardzo nietypowego „miejsca" obserwować funkcjonowanie Andrzeja Waśkiewicza w galaktyce literatury, która Go otaczała, a której był jedną z centralnych Gwiazd.

Andrzej Wołosewicz

Katarzyna Gościniewicz

Eugeniusz Kurzawa

DEDYKACJE DLA WAŚKIEWICZA

Gdy dowiedziałem się, zresztą u samego źródła, że Anna Sobecka szykuje książkę pt. „Dedykacje" mającą zawierać adnotacje różnych osób, artystów kierowane ongiś do poety, krytyka i jednocześnie jej męża, nieżyjącego już Andrzeja K. Waśkiewicza, wyobraziłem sobie, iż będzie to zbiór wierszy rozmaitych twórców adresowanych do Waśkiewicza. Utworów, które mają zwykle na samym początku króciutki wpis, zazwyczaj kursywą, że dany utwór jest przypisany przez autora jakiemuś adresatowi, innemu poecie, myślicielowi, czasem ukochanej lub przyjacielowi. Dlatego z pewnym oporem przyjąłem propozycję napisania refleksji na temat – jak wiem - już promowanego w Gdańsku najnowszego dzieła A. Sobeckiej. Bo cóż mógłbym powiedzieć – zastanawiałem się na wyrost – o dedykowanych wierszach powstałych w różnych latach, w różnych poetykach. Że je coś łączy (poza adresatem przesłania)? Że są uogólnieniem jakiegoś zjawiska literackiego, społecznego?

Tymczasem poczta przyniosła w końcu książkę, która po otwarciu okazała się czymś zupełnie innym, niż przewidywałem. Skąd pomyłka? Z pewnością z powodu wąskiego myślenia na temat tego, czym jest dedykacja. Ponadto wpadłem we własne sidła. Otóż w 2016 r. zebrałem i przygotowałem do druku lubuską część spuścizny krytycznoliterackiej A. K. Waśkiewicza pt. „O literaturze lubuskiej. Szkice, recenzje i inne teksty". Tamże, w końcowej części, zamieściłem rozdział „Wiersze dedykowane Andrzejowi K. Waśkiewiczowi". Z podobną myślą – porządkująco-dokumentacyjną – jaka przyświecała A. Sobeckiej w jej książce. Tychże dedykacji było dziewięć, ich autorów tylko sześciu. Po późniejszej weryfikacji (dzięki A. Sobeckiej) okazało się, iż dedykacji było w sumie dziesięć (autorów nadal sześciu). Jednakże chodziło wówczas wyłącznie o poetów lubuskich. A o ilu mówilibyśmy w skali kraju? Ot, ciekawostka lub kolejne zadanie dla niestrudzonej redaktorki i badaczki Anny Sobeckiej. Może warto byłoby dowiedzieć się czegoś na temat dedykacji „trwałych" kierowanych do AKW, takich, które dzięki drukowi w prasie lub książce są nierozerwalną częścią struktury czyjegoś wiersza.

Anna Sobecka zajęła się natomiast elementem „nietrwałym", odręcznym, i to nie wiersza, lecz spontanicznie zapisywanym komunikatem umieszczanym (jak każe zwyczaj) na stronie tytułowej lub przedtytułowej tomiku, książki artystycznej, naukowej, nadbitki, a nawet tytułu prasowego. Taki wpis pod adresem kogoś bliskiego, poważanego, a nawet okazjonalny jest tradycją polskiej (i zapewne nie tylko) literatury. Jak starą, jak trwałą – nie wiem, nie badałem. Jednakże od samego początku swego udziału w życiu literackim kraju między Bugiem a Odrą obserwowałem to zjawisko, brałem w nim skromny udział. Żeby je ocenić chociażby na jednostkowym, ale z pewnością reprezentatywnym przykładzie Andrzeja Waśkiewicza, należałoby przeprowadzić skrupulatne badania treści i form dedykacji. Jest ich – łącznie z tzw. Upominkami zawartymi w Aneksie – 2060. Bardzo dużo! Wyobrażam sobie, że można by spośród nich wyodrębnić wpisy na stronach tytułowych i przedtytułowych tomików poezji oraz pozostałych różnych książek (niekoniecznie literackich), wpisy w innych miejscach danego wydawnictwa lub na różnorakich drukach (czasopismach, nadbitkach). Z kolei wśród dedykacji można by wyróżnić proste („Koledze Andrzejowi…") lub rozwinięte. Życzeniowe, z podziwem, wdzięcznością (także za coś, o czym nie mówi się w zapisku), ale też z wyraźną obawą (jak krytyk przyjmie i oceni darowaną pozycję). Mogą ujawnić się wpisy zwykłe, formalne, ale z pewnością nie zabraknie skomplikowanych, zawiłych, czytelnych tylko dla odbiorcy, oraz wręcz poetyckich (niekiedy rymowanych). Nie jestem jednak w stanie dokonać takich szczegółowych rozróżnień, gdyż musiałbym przeczytać, ocenić i precyzyjnie zakwalifikować zapis po zapisie całą tę benedyktyńską pracę Anny Sobeckiej, która wszystkie dedykacje zebrała, ułożyła w kolejności, opatrzyła notami wyjaśniającymi. Tego się nie podejmuję. Pozostaje ogólny rzut oka na zjawisko w kontekście Andrzeja K. Waśkiewicza.

Dedykacje obejmują ponad pół wieku aktywnej działalności literackiej poety i krytyka Waśkiewicza. Poczynając od dwóch wpisów z 1961 dokonanych przez kuzynkę Hannę Waśkiewicz – naukowczynię z KUL oraz – tu od razu mocne uderzenie – poetę Jana Brzękowskiego z Paryża. Zauważmy, iż odbiorca dedykacji ma wówczas dopiero 20 lat. Właśnie zadebiutował wierszem „Odejście" w „Zarzewiu" (1961, nr 46, s. 11), a rok później szkicem krytycznym o poezji Mirona Białoszewskiego pt. „Droga do mylnych wzruszeń" („Współczesność" 1962, nr 19, s. 9). Warto dodać, iż kontakt z Brzękowskim zaowocował w latach późniejszych pracą magisterską Waśkiewicza na poznańskiej polonistyce właśnie na temat twórczości jednego z filarów Awangardy Krakowskiej, a także – dzięki temu samemu poecie – współpracą A. K. Waśkiewicza ze znakomitym londyńskim wydawnictwem emigracyjnym „Oficyna Poetów". Potwierdzają to późniejsze dedykacje zarówno Jana Brzękowskiego, jak i wydawców „Oficyny Poetów" – Krystyny i Czesława Bednarczyków. Rok później znajdujemy jeszcze tylko trzy dedykacje, ale wśród nich Tymoteusza Karpowicza, który ma „nadzieję, że spotkamy się na łamach »Odry«". Zapewne się spotkali. W kolejnym roku (i następnych) dedykacji przybywa, ale początkowo są to głównie wpisy dokonane przez kolegów po piórze z zielonogórskiego środowiska literackiego (J. Koniusza, Z. Czarneckiego, T. Jasińskiego, T. Kajana, Z. Trziszkę, Z. Ryndaka, E. Wachowiaka, J. Kotlicę i in.). Choć pojawia się S. Grochowiak, M. Nowakowski, K. Gąsiorowski, J. Kurek.

Wpisy kończą się oczywiście ze śmiercią A.K. Waśkiewicza w 2012 r. Wśród ostatnich dedykacji, z tego właśnie roku, odnotujmy podwójny przekaz – Jerzego Leszina Koperskiego i jego córki Magdaleny na książce Leszina „Życie: Od – Do", wpis Stefana Jurkowskiego na „Studniach Andersena", notkę Wojciecha Kawińskiego na własnych wierszach, także Andrzeja Tchórzewskiego i ostatni – Jerzego Szatkowskiego.

Na przestrzeni półwiecza Waśkiewicz zdobył (?), otrzymał ponad 2000 dedykacji. Wśród nich, jeśli rzucić okiem na indeks nazwisk, który się w tym wypadku znakomicie przydaje i sprawdza, nie brak największych w literaturze polskiej. Sprawdźmy, kogo m.in. indeks odnotowuje. Jest prof. Edward Balcerzan, Stanisława Barańczak, prof. Konrad Górski, prof. Maria Janion, Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz, Tadeusz Śliwiak, Marek Wawrzkiewicz, prof. Jan Kurowicki, są wspomniani już Stanisław Grochowiak, Jan Brzękowski, Jalu Kurek i wielu innych. Wydaje mi się jednak (trzeba by sprawdzić, policzyć, zaklasyfikować), iż w zbiorze Sobeckiej dominują nazwiska debiutantów i osób drugiego literackiego planu, słowem tych twórców, którzy próbowali się wspiąć na Parnas, m.in. wysyłając swe dedykacje do postaci znaczących, redaktorów, wydawców. Do Waśkiewicza przez kilka lat z rzędu trafiały (z powodu jego prac edytorskich) tomiki autorów omawianych corocznie w antologii „Debiuty poetyckie" (ok. 40, 50, 60 poetów rocznie!). Zapewne nie brakowało wśród książek przesłanych redaktorowi antologii pozycji opatrzonych dedykacjami. Podobnie w przypadku serii „Pokolenie, które wstępuje", którą AKW współredagował z Jerzym Leszinem. Ukazało się 11 serii „Pokolenia", każda zawierała tomiki sześciu poetów. Wystarczy przemnożyć. A przecież Andrzej Waśkiewicz uczestniczył – jako redaktor i współinicjator – w wielu innych przedsięwzięciach literackich skutkujących drukiem książek, czasopism, almanachów, antologii. Indeks mówi nam również, kto ofiarował Waśkiewiczowi najwięcej dedykacji. Należą do nich Krzysztof Gąsiorowski, Zbigniew Jankowski, Wojciech Kawiński, Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, prof. Jan Kurowicki, Kazimierz Nowosielski. Do rekordzistów należą prof. Janusz Kryszak (30) i Jerzy Leszin Koperski (34).

Wracam na chwilę do początku powyższego akapitu, do miejsca, gdzie wyraz „zdobył" opatrzyłem znakiem zapytania. Otóż znając przez kilka dekad Andrzeja, nie bardzo mogę się zgodzić z autorem wstępu do pracy A. Sobeckiej, że zbieranie dedykacji przeszło u Waśkiewicza „w rodzaj pasji (nałogu?), polegającej na skrzętnym zabieganiu o kolejne dedykacje i kolekcjonowaniu książek z wpisami już otrzymanymi". Spędziłem z Andrzejem wiele czasu podczas rozmaitych zjazdów literackich, seminariów, wieczorów i nie przypominam sobie owego skrzętnego zabiegania o wpisy. W ogóle czegoś takiego nie kojarzę! Także z czasów bywania w mieszkaniu na gdańskiej Morenie nie pamiętam, wśród setek rozmów, żadnych naszych debat o „zdobycznych" autografach. A rozmawialiśmy godzinami i niemal o wszystkim. Wydaje mi się, iż ta aktywność Andrzeja, jeśli już należy ją wyszczególnić, występowała raczej przy okazji, była czymś dodatkowym, natomiast nie odważyłbym się jej zaliczyć do jego szczególnych nałogów.

Ogromna praca A. Sobeckiej jest czytelna, przejrzysta, łatwa „w obsłudze". Poza informacjami praktycznymi zawiera ilustracje (przerywniki) umieszczone w treści książki, jak też całostronicowe kolorowe reprodukcje dedykacji na samym końcu wydawnictwa. Pokazuje to naocznie, jak wyglądają owe wpisy, z jakim (niekiedy) rozmachem były dokonywane, mówią coś o autorach sympatycznych notek. Słowem otrzymaliśmy rzecz niepowtarzalną, wyjątkową, nie wiem bowiem, czy powstało drugie podobne dzieło w literaturze polskiej. Pozycja A. Sobeckiej jest kolejnym kamieniem milowym ustawionym na drodze mającej ocalić pamięć o twórczości jej męża.

Eugeniusz Kurzawa

Anna Sobecka „Dedykacje (dla Andrzeja K. Waśkiewicza", Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Zbigniew Joachimiak

CIENIE, CZYLI POEMAT KATARZYNY KORCZAK

Jak to zrobić? Jak napisać o swojej rodzinie, pochodzeniu, o drżeniu wewnętrznym, gdy stajemy w obliczu wielu istnień przed nami, a dzięki którym pojawiliśmy się na świecie i wciąż trwamy? O tych wszystkich, o których, po głębokich i rzetelnych badaniach, po przejrzeniu swoich archiwów, po kwerendzie w głąb czasu i wszerz w przestrzeni wiemy już jasno, że nie byli na próżno nie tylko dla nas, ale dla całego ich otaczającego świata? Jak to wszystko przedstawić, aby nie popaść w historyzm, w suche dziennikarstwo ani też literackość. Jak to zrobić, gdy ma się za sobą długotrwałe doświadczenie dziennikarskie i już wie, że samo pisanie jest okrawaniem z rzeczywistości opisywanych faktów? Jak to zrobić, gdy ma się lekturowe doświadczenie i widać jak na dłoni, że napisanie literackiej opowieści nie sięga do głębin rzeczywistości, z której chcielibyśmy wydobyć do dzisiejszej pamięci tamten, już nieodwołanie przeszły świat? Ostatnio popularny jest gatunek pisarski zwany fikcyjną powieścią historyczną i, szczerze mówiąc, rozumiem autorów podejmujących tę drogę, chyba najbliższą uczciwej, solidnej interpretacji przeszłości, bowiem z jednej strony trzyma się mocno faktów, a z drugiej - wprowadza nie do odtworzenia osobiste przeżycia i wydarzenia bohaterów. Krótko: łączy fakty i fikcję. Ale, jak dowodzi praktyka, jest to droga kompromisów, tracą na sile fakty, fikcja jest ograniczana.

Jaką drogę wybrała Katarzyna Korczak w swojej fascynujące opowieści rodzinnej?

Gdy byłem jeszcze studentem szkoły nauczycielskiej popadłem w dramatyczny (bo chwilami obustronnie histeryczny) konflikt z wykładowcą dydaktyki. Omawialiśmy na zajęciach temat myślenia (czyli też pisania, wyrażania się w tekście, bo to zawsze jest forma myślenia), czy zasadniczo jest werbalne, jak twierdziła wykładowczyni, czy obrazowe, za czym ja, jako początkujący poeta, się opowiadałem. Ten dawny spór w pewnym sensie nadal we mnie trwa. Niełatwo zaprzeczyć wielkiej funkcjonalności koncepcji werbalnej, ale gdy szukamy głębiej, mocniej, bardziej totalnie, to wydaje się, że myślenie najbliższe spontanicznej wyobraźni jest jednak obrazowe.

Książka *Cienie* ożywiła te dawne pytania, bo układ, kompozycja i zawartość są zastanawiające.

Dlaczego Katarzyna Korczak, bardzo doświadczona dziennikarka, reporterka, nie siadła do komputera i *po bożemu* nie napisała długiego, bogatego w opisy faktów, artykułu historycznego, reportażu z przeszłości? Odpowiedź wydaje się dość oczywista i prosta. Doświadczenie pisarskie, a jednocześnie wrażliwość, uświadomiły jej, że słowem nie sięgnie tego wszystkiego, co odkrywała w trakcie żmudnych badań przeszłości rodzinnej. Potrzeba jak najlepszego utrwalenia zebranej wiedzy uświadomiła jej, że słowo nie wystarczy. Że słowo nie odda jej emocji, jej przeżyć, gdy kompletowała materiały. I pomimo swojego pisarskiego przecież warsztatu pojęła, że on jest nie wystarczający. Tak dalece weszła w opisywany temat, że werbalny poziom myślenia o nim okazał się niewystarczający. Pozostało jej wejść w fikcję *słowności,* w poezję?

Niekoniecznie.

Poszukała formy i uruchomiła jako narzędzie myślenie obrazowe i do takiego przymusiła czytelnika, niejako spowodowała, aby nie zawisł tylko na słowach, ale wszedł w obrazy i, tym samym, uruchomił własne myślenie obrazami. Aby poczuł te same wzruszenia, zaskoczenia, estetyczne objawienia, smutki i refleksje, które odczuwała Autorka, komponując swoje dzieło. Nie zrezygnowała przy tym ze swojego prawa do interpretacji, co dzieje się w samym tekście i, to niekiedy zastanawiające, gdy np. obok obrazka opisuje słownie jego zawartość; w ten sposób wskazywała swoje preferencje percepcyjne, estetyczne i po prostu podkreślała, co ją fascynuje.

Czy Katarzyna Korczak napisała poemat?

Książka jest wieloskładnikowa. Są tu zwykłe opisy, zestawienia faktów, biograficzne wątki, komentarze odautorskie i ze strony bohaterów, a przede wszystkim znajdujemy tu ogromną liczbę zdjęć i skanów, czyli obrazów. Wszystkie elementy są wielopoziomowe, są *tu i teraz*, lecz też są metaforami. Są dosłownościami i przenośniami. Dają wielopoziomowe odczucia i możliwości interpretacyjne. Możemy te elementy brać dosłownie, albo jako donosy z przeszłości, ale też jako przesłania do naszych czasów, do nas, do czytelników.

Cienie wzruszają na wielu poziomach, a to z powodu swej lirycznej narracji, a to wzbudzania w nas własnych wspomnień, a to z powodu cytowanej pieśni lub utworu poetyckiego, a to z podobieństwa biograficznego, a to z oryginalności przytaczanych opowieści, a to wreszcie, co jest silną stroną książki, przywołania, nieistniejącego już, świata materialnego. Któż dzisiaj wie, co to jest przestawianie pieca, któż to wie, jak robiło się łańcuchy bożonarodzeniowe, jak wyglądał ten czy inny budynek, który już nie istnieje lub całkowicie uległ przemianie? Kto wie o pewnych powiedzonkach prababci Katarzyny Korczak rodem z dalekich Kresów.

Cienie, to nie tylko wspomnienia i przypomnienia, to przede wszystkim ocalanie, przedłużanie istnienia świata, który upiera się, aby odejść w zapomnienie. Temu uporowi Katarzyna przeciwstawia swój upór nadając przeszłości wymiar ciągłości i trwania.

Jak się zastanowić, to Katarzyna Korczak realizuje jeden z ważniejszych obowiązków pisarskich, jakim jest przetwarzanie swoich myśli i przeżyć w fakt mnemotechniczny.

W rozmowach Katarzyna Korczak wypierała się narracyjnego charakteru książki. W pewnym sensie ma rację, to nie jest opowieść realistyczna w XIX wiecznym sensie. Jest to bardzo realistyczna narracyjna opowieść poetycka: to wielki poemat natchniony myśleniem obrazowym.

Zbigniew Joachimiak

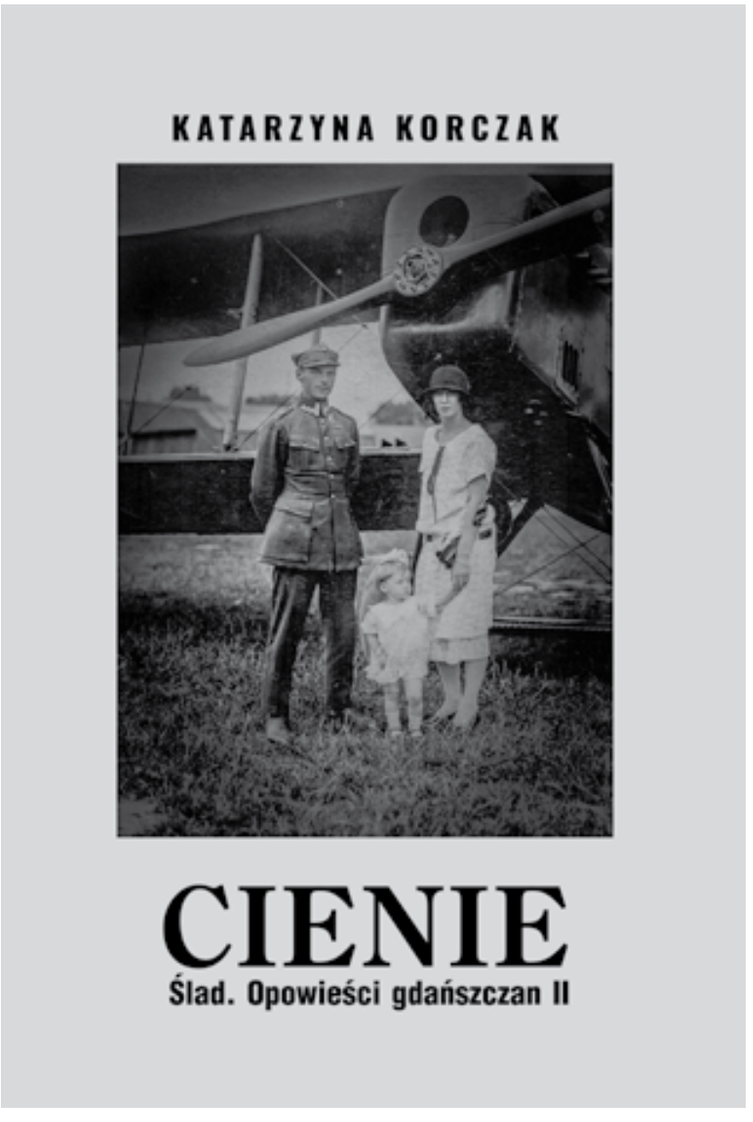

KOMU POTRZEBNA JEST POEZJA?

Jan Stanisław Smalewski

Na tak zadane pytanie mógłbym pewnie od razu odpowiedzieć słowami znanych mi poetów: Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, czy też na przykład Krzysztofa Gąsiorowskiego. Nasza noblistka W. Szymborska niejednokrotnie wypowiadała się, że poezja jest swoistym rodzajem sztuki dla sztuki, Różewicz głosił, że dla poety, jak dla każdego artysty - a poeta jest w przeciwieństwie na przykład do aktora, artystą, bo tworzy - słowo jest materiałem twórczym, bez którego żyć nie można. Tak, jak nigdy nie wiadomo na początku procesu twórczego, co z tego zamysłu powstanie, jaki wiersz, o czym będzie, jakiej klasy dzieło uda się stworzyć.

Krzysztof Gąsiorowski, z którym miałem przyjemność parę razy spotkać się i podyskutować, a nawet wymienić tomiki, twierdził, że nie zna czasu, w którym poeta tworzyłby dla pieniędzy. Nawet wówczas, gdy jako nadworny twórca – wierszokleta podejmował się chwalenia zasług, bądź męstwa swego pana, co najwyżej robił to dla chleba i napitku. I podobnie jak wędrowni trubadurzy opiewając piękno, dobro i heroizm, niósł rozrywkę, czym przy okazji sam się bawił.

Zatem poezja potrzebna jest przede wszystkim samemu poecie. Poeta pisząc wiersz, spełnia się w nim duchowo, odgaduje swój magiczny świat dążeń i pragnień, daje wyraz swoim namiętnościom i pokusom. A że przy okazji pokazuje innym, jak głęboka jest studnia jego osobowości, to już inna sprawa, gdyż wcale nie chodzi przecież mu o to, by z niej wodę pito. Chodzi tylko, by w razie potrzeby mogli ją z niej czerpać inni.

Opublikowałem w tym roku dwie książki prozatorskie i gdyby nie poproszono mnie o udział w współredagowaniu kolejnej antologii poezji powiatu słupskiego, zupełnie nie znalazłbym czasu na poezję. Ja twórca, który swój życiorys literacki rozpoczynał od poezji, mam coraz mniej czasu na pisanie wierszy. Mam go i coraz mniej na czytanie wierszy innych poetów. Poezja coraz częściej stanowi margines moich zainteresowań literackich także i z innego powodu, innego niż brak czasu. Z powodu braku, a raczej niedostatku interpersonalnych więzi z innymi poetami. Niedostatku, który z kolei sam sobie funduję, poszukując w poezji wartości z tak zwanej górnej półki lub środków artystycznych godnych mojego wysublimowanego smaku i doświadczenia.

Obserwując czasami w Internecie to, co wokół poezji się dzieje, śledząc mody i doszukując się jakichkolwiek tendencji rozwoju współczesnej poezji, upewniam się jedynie w przekonaniu, że gatunek ten ma się w naszej literaturze całkiem nieźle, ale tylko dlatego, że w szkołach wciąż jeszcze młodzież uczy się wierszy, a w lekturach obowiązkowych nadal ważne miejsce zajmują poeci klasyczni, w tym nasi nobliści i wieszcze. No i także dlatego, iż poezja jest gatunkiem zbliżonym do piosenki, zwłaszcza tej współczesnej typu disco polo czy rap.

Poezja ma się też dobrze, bo bez poezji, a przynajmniej jej nośników podstawowych, typu rym, rytm, wersyfikacja (zwrotka) czy pointa trudno byłoby obejść się przy takich okazjach szczególnych, jak składanie życzeń, wyznawanie sobie miłości i uczuć, czy też chociażby uprawianie satyry na potrzeby dokuczania komuś ze znajomych, bądź przeciwników politycznych.

To wszystko powoduje, że poezja ma się ogólnie nie najgorzej, chociaż wcale nie tworzy to podstaw do przydawania jej jakichkolwiek artystycznych wartości, nie mówiąc już o tych wartościach z tak zwanej górnej półki. Wręcz przeciwnie nawet i nie chciałbym być gołosłowny, wystarczy wejść na strony niektórych lokalnych grup zrzeszających twórców – wierszokletów, by się upewnić, jak dalece czasami ich wiersze pozbawione są dobrego smaku, nie mówiąc już o warsztatowych ułomnościach wynikających z kompletnego nieprzestrzegania jakichkolwiek reguł i nieznajomości zasad pisania wierszy.

O tak zwanej „Częstochowie" wie niby każdy, ale co tam, łatwizna nie zderzająca się z krytyką, jak niegdyś bywało, zachęca do paplaniny jeszcze bardziej ponurej i prostackiej niż sama „Częstochowa", a możliwość bezkrytycznego upowszechniania swojej grafomanii poetyckiej w Internecie powoduje, że każdy może próbować pisać, publikować i wysyłać swoje teksty innym.

Nie neguję tego trendu całkowicie, ba, nawet staram się go zrozumieć z punktu widzenia psychologii, gdyż po pierwsze – co nie jest zabronione, jest przecież dopuszczalne, czemuś tam zawsze służy. A po drugie – moim skromnym zdaniem każdy ma prawo spróbować czegoś, na co ma ochotę, tym bardziej w sztuce. A nuż kiedyś coś z tego wyniknie, nuż znajdzie się nauczyciel, który wskaże właściwą drogę, lub sam tworzący wreszcie kiedyś zauważy, że można, a nawet należy czynić to lepiej.

Do kunsztu, perfekcji dochodzi się latami, dochodzi się poprzez wiedzę, naukę i doświadczenie oraz... nagany otrzymywane od innych. Pochlebstwa co prawda są w tych portalach poetyckich, twórczych, czymś na porządku dziennym, ale z czasem także można się zorientować, od kogo pochodzą i ile są warte: czy to tylko kolesiowskie przyzwolenia i popularne lajki, czy też zachwyty od kogoś, kto ma w tej materii coś do powiedzenia, np. od nauczyciela.

No i jest też jeszcze jeden powód, dla którego należy akceptować wszelkie formy sięgania po pióro, w tym przypadku w celu tworzenia choćby grafomanii, są nią względy, pobudki i potrzeby wynikające z rozwoju osobowościowego, z potrzeb wewnętrznych, duchowych zwłaszcza, związanych z własną jaźnią, własnym widzeniem świata, reagowaniem na rzeczywistość (otoczenie, środowisko, przyjaciół) za pomocą wierszowanych tekstów, czytaj wierszy.

Wiersz bowiem od prawieków był podstawą – podobnie jak piosenka, zwłaszcza ballada – do wyśpiewania, a w tym przypadku wyrzucenia z siebie tego, co nam w duszy gra. Wiązał się z wrażliwością śpiewającego (piszącego), który dając upust słowny swym emocjom, odreagowywał jednocześnie w decydujący sposób od stanów ducha wpychających go w depresje lub odciągał od kierowania ku innym demonom.

Dobry psycholog po lekturze wiersza młodocianego poety zawsze jest w stanie powiedzieć na przykład, co dolega autorowi, z jakimi problemami osobowościowymi się on boryka. Mniemam, że w przypadku wielu osób dorosłych, gdyby tylko ktoś chciał (gdyby psycholodzy się tym zajmowali) także można by było dawać diagnozy naprawcze.

Wiemy już zatem, że wśród rzesz, ogromnych zresztą (szacowanych na kilka, kilkanaście tysięcy) piszących wiersze, zdecydowana większość sięga po pióro, traktując to jako zabawę, w wyniku potrzeb wewnętrznych, osobowościowych, i są to rzesze wierszokletów – ludzi szczególnie wrażliwych na wszystko, co wokół nas się dziwnego dzieje. Zatem ludzi, którzy chętnie uczestniczą, bądź uczestniczyliby w kształtowaniu naszej rzeczywistości, w lepszym świecie, w bardziej obfitującej w miłość, przyjaźń i dobroć codzienności.

Poetów, którzy wspięli się na wyższe piętra sztuki poezji jest dużo mniej. Kilkanaście lat temu szacowano ich liczbę na około setki, dzisiaj śmiem twierdzić, że z racji rozwoju sztuki warsztatowej kształtowanej także przy pomocy Internetu, może ich być około pół tysiąca. Wybrać spośród nich najlepszych, którzy zakwalifikowaliby się do pierwszej dziesiątki, nikt z krytyków się raczej nie waży, bo to i profesji krytyka zawodowego już dzisiaj nie ma i samoweryfikacja poprzez zakłócenia w systemie wydawniczym, publikatorskim, i popularyzatorskim jest jakby nieobecna w życiu publicznym. Jak to się mówi: gusty, guściki kształtują zapotrzebowanie na poezję, w tym także na dobrą poezję, która rzecz jasna za dobrą może być uznawana tylko przez innych dobrych (rozumiejących warsztat twórczy) poetów, czy w ogóle odbiorców poezji.

Tym sposobem dobrnąłem do ostatniego ogniwa, czyli do odbiorcy poezji. Kim są, czy w ogóle jeszcze istnieją i jak się ma sytuacja z nimi? Jak oceniać to na podstawie czytelnictwa poezji w bibliotekach, czy też na podstawie uczestnictwa w spotkaniach autorskich z poetami?

No cóż, gdybym był studentem polonistyki, może pokusiłbym się właśnie o napisanie pracy na temat „Komu dzisiaj potrzebna jest poezja?". Pracę taką należałoby oczywiście podeprzeć obszernymi badaniami na próbach wybranych grup społecznych, opiniach wydawców, nauczycieli, czytelników itp. A ponieważ ten etap (pisania prac) mam dawno za sobą, mogę czerpać jedynie z relacji ustnych, obserwacji i doświadczeń własnych.

Relacje z rozmów z innymi twórcami wskazują na wiele ciekawych refleksji. Np. część z moich rozmówców uważała, że poezja jest jak każda sztuka potrzebna dla nich samych. Tworząc, spełniają się w niej. I to bez względu na to, jakie korzyści owo tworzenie im przynosi. Na pewno nie materialne, bo takich twórców – poetów, którzy utrzymywaliby się dzisiaj z wydawania swoich wierszy wskazać nie potrafię.

Poezja jako sztuka ma dzisiaj tak samo trudno jak muzyka, malarstwo, grafika, rzeźba itp. Musi trafić na swojego odbiorcę, fana, wielbiciela czy znawcę.

Z moich obserwacji wynika, że od lat, od kiedy państwo przestało zajmować się literaturą w sensie jej promocji, poezja ma się dobrze w aspekcie samoobrony przed zniszczeniem. Właśnie te elementy, psychologiczny i wartościujący emocje twórcze poetów wyniesione ze szkoły i wykorzystywane w ogólnie pojętej kulturze społecznej, pozwalają poezji przetrwać, rozwijać się i poszukiwać dróg wyjścia z impasu, w jakim wraz z całą pozostałą literaturą się ona znalazła.

Z obserwacji spotkań autorskich poetów z czytelnikami mogę wynieść i to spostrzeżenie, że od czasów młodości Wisławy Szymborskiej, narzekającej kiedyś w jednym ze swoich wierszy, że na jej spotkania przychodzi tak mało czytelników, też się nic nie zmieniło. Na ogół bez względu na nazwisko poety, na jego spotkaniu bywają przede wszystkim najbliżsi, znajomi i znajomi organizatorów. Wygodnictwo czytelników spowodowane współczesnym zalewem przez inne środki przekazu, powoduje, że bardzo trudno ich wyciągnąć z domów, zwłaszcza na „jakieś tam" słuchanie czy czytanie wierszy, co przecież do najbardziej wyrafinowanych form sztuki nie należy.

Od dawna już nie dziwi, że na spotkania z poetami w Warszawie, Gdańsku i innych dużych miastach przychodzi mniej czytelników niż na przysłowiowej prowincji. Chociaż i na prowincji dobrze też nie jest.

Dowodzi to także naszych wysublimowanych gustów. Gustów różnych osób bez względu na prezentowane środowiska i profesje. Upodobań artystycznych, które nosimy w sobie niezależnie od tego kim jesteśmy, ale często także od tego kim chętnie byśmy się stali, gdyby to było możliwe.

Nie sprawdziłem tego, nie wiem, ale podobno – tak twierdzą bibliotekarze – wiersze czyta o wiele więcej czytelników spośród młodzieży niż osób dorosłych. I ten element mnie szczególne cieszy, bo to świadczy o tym, że mamy wrażliwą młodzież i co byśmy na temat jej przyszłości nie mówili, w jej sercach dominuje dobro i miłość. A przyszłość przecież należy do młodzieży.

Jan Stanisław Smalewski

Andrzej Walter

ÓSMY DZIEŃ ADRIANNY JAROSZ

Jestem, który jestem. Siódmego dnia odpoczywam. Ósmego dnia otwiera się przed nami fascynujący świat poezji Adrianny Jarosz. Czy poezja jest właściwym miejscem na czułość i jej utrwalanie na kartkach papieru? Być może jedynym.

Ta poetka jednak z czułością przenika zanikające światy, maluje obrazy baśniowe i realne przeplatając rzeczywistość z magią, wspomnienie z przemijaniem i wrażliwość na krzywdę z pieśnią o naturze. Właściwie pyta Boga o cały Wszechświat i nasze w nim miejsca, a do tego upomina się o tych: najbiedniejszych, wykluczonych i zapomnianych. Ta mistrzowska poezja jest tylko dla wybranych, dla ludzi sztuki, dla outsiderów, wrażliwców, którzy w wielości pejzaży i barw odnajdują swoją treść i sens, tudzież nową rzeczywistość.

Adrianna Jarosz wskrzesza z niepamięci umarłe kultury, pewnych ludzi wyciąga z mgieł przeszłości, ich ponoć nieważne historie, ich życie, ich miłość i ich umieranie, ich marzenia, przy okazji opowiadając w wierszach: o Tobie, o nas, o sobie, snuje nić poezji w zwyczajności przemijania, w niesprawiedliwości zakleszczenia nas w czasie i przestrzeni zawsze nie tej, zawsze nie właściwie dobranej, a może wręcz nieistotnej. Poezja obrazu i mgły, baśni i dziwnych opowieści, nieistniejących jeszcze słów oraz przestrzeni języka, odkrywanych metafor i fraz niepokoju. Nie przypadkiem przywołuje jako motto Georga Orwella cytując, że

Ważniejsze od przetrwania jest zachowanie swojego człowieczeństwa

Człowieczeństwo, to klucz do sztuki tworzonej przez Adriannę Jarosz, człowieczeństwo, jako coś co kurczy się, kruszy bądź zostaje nam odebrane przez: czasy i technologię, przez tak zwany postęp i nowoczesność, przez porzucanie lektur, opuszczanie bibliotek, wyrzucanie książek. Człowieczeństwo w swej różnorodności odsłon, wymiarów czy wystąpień. Powołane z Bieszczadzkich bezdroży i tysięcy innych ucieczek od cywilizacji i wszechświata tworzonego bezdusznie przez człowieka w tej orwellowskiej wizji unicestwienia ducha.

Pokrył mnie kurz, Panie. Pokrył umysł i serce,
lecz póki śnię, oddycham nadzieją.

(...)

Nikt nie wie, Panie, jak słaby jest szew czasu.

Mówią, że nić zerwie się, nim krawiec snów
naprawi dzieło mgielnych prządek.

(...)

Póki oddycham, krawiec szyje.

Póki oddychamy, krawiec uszyje tak, jak sami wybierzemy. Czy wybierzemy: modne, silne, przebojowe, czy może: słabe, wątłe i ukryte. Miłość rodzi się w ciszy, piękno nie umiera, prawdy od lat pielęgnowane stają się - ciężarem albo przestrogą – Ty wybierasz, krawiec snów jedynie może podpowiedzieć, ale Twoja wolna wola jest potężna, choć wydaje się tylko mgnieniem. Póki oddycham (...)

Adrianna Jarosz dyskutuje z nami w sposób szlachetny, nienachalny i delikatny. Prezentuje malarskość w poezji jako świadectwo czasów, kultur i bytów, a sprawą odbiorcy jest jego na to wrażliwość, właściwe rozpoznanie i późniejsze poszukiwanie: kto i dlaczego, a właściwie i po co był tu i przeminął. Może nam się tylko wydawało?

Nie ma nic pewnego. *Stoisz na brzegu / pociąga cię bezkres.* Nasze życie rozpięte pomiędzy końcem i początkiem. Pamiętajcie o tym. Codzienność i pęd rzeczywistości, spadające kartki kalendarzy zdają się o tym zapominać, albo choć nie myśleć, wypierać tę jedyną faktyczną prawdę. Poetka nie tyle chce nam ją przypomnieć ile wszczepić pod skórę jako busolę sensualizacji naszego istnienia w świecie skasowanych wrażliwości, w świecie zanikania poezji, defraudacji dusz i niwelowania stanów poszukiwań nieskończoności. To bardzo mądre i ważne przesłanie. Idea wręcz najważniejsza, w świecie wyalienowanym realizacją potrzeb i mnożeniem materii. Baśń czy legenda być może więcej nas mogą nauczyć niż wyrachowane programy edukacyjne nowoczesności wraz z przemysłowym hodowaniem nowego człowieka. Tylko jak ocalić te baśnie i legendy w świecie, w którym trudno ocalić książki?

„Krawiec snów" Adrianny Jarosz z 2021 roku to bardzo dobry tom, tom równie udany jak tomy poprzednie, acz świadczący o ciągłym dojrzewaniu poetki, poetki mi bardzo bliskiej i bratniej, z tej minionej już krakowskiej, *rodzikowo-kajtochowej* macierzy, z *Nagliskałkowej* rzeczywistości i wawelskiej wrażliwości na: czas, przestrzeń, człowieka i przemijanie, z tej dawno zapomnianej stolicznej krakowskiej *manany* i oswajania czasu magią zamyślania, która rozleniwia ludzi z biegiem Wisły. Oboje tam niejako zaczynaliśmy, a to niczym skaza na pancerzu, doskonałe znamię nadające charakteru i właściwości, wypaczenie tyleż szkodliwe, co zmysłowe i pozwalające oglądać sprawy z dystansu i z odległości. Spleen się przecież uszlachetnia i nigdy nie umiera. Zakażeni Krakowem takimi pozostają. To jednak dygresja, odrobina subiektywnej prywaty, w tym naszym coraz uboższym w tego typu refleksje literackim świecie.

Adrianna Jarosz ukształtowała się na bardzo odrębną, niezależną i wielce oryginalną poetkę XXI wieku. Jaka szkoda, że właśnie takie poetki nie są nominowane do tych niby głośnych nagród, a nominuje się wierszyki banalne, lekkie łatwe i przyjemne, wierszyki o niczym i słowa nic nie warte. Nominuje się kluczem personalnym, a nie wartościującym, kluczem koteryjnym, a nie merytorycznym, pod merytoryczny się jedynie podszywając frazesami i pustosłowiem. No cóż. Wszyscy nie przetrwamy. Zachowajmy zatem swoje człowieczeństwo.

Emigrujmy wewnętrznie (i zewnętrznie) wobec *poezjopsujów* i sitw językowych. Róbmy swoje. Zachwycajmy się dla przykładu: Adrianną Jarosz, Joanną Nowocień, Magdaleną Pocgaj czy Anną Nasiłowską, a nie poetkami, którymi nam się każą zachwycać różne dziwne gremia w tym kraju. Słowacki wielkim poetą był, to wiemy. Nasza gombrowiczowska rzeczywistość jak wiemy jest wiecznie żywa i doskonale prosperuje wśród skarlałej krytyki literackiej i pozostanie taką na tej pustyni książkowych dziejów z wiadomych już względów. Trudno. Zachwycić się można jednak tym, co zachwyca naprawdę. Sztuka to wolność i nikt nam jej nie odbierze.

O takiej wolności pisze też i Adrianna Jarosz, której sylwetkę chciałem tu nieco przybliżyć, bo warto. Szukajmy zatem ocalenia swego człowieczeństwa, słów prawdy i piękna metafor, a nie poezji sztucznej od imitacji, a taką jawi się często poezja dziś nagradzana, której dla wyrównania samopoczucia również nikt nie czyta oprócz kilku mało istotnych statystycznie maniaków jak niżej podpisany

Niskie ukłony dla wszystkich, pięknych i bogatych, jak też tych ukrytych i przemilczanych, ale zwłaszcza dla wszystkich poetek i poetów, którym zawsze „nie po drodze"...

Andrzej Walter

Roman Warszewski

BOCZNY TOR

Hermosillo, północny Meksyk. Daleko od boga, blisko USA. Ostatnia większa stacja kolejowa przed El Paso – miastem, skąd przez zieloną granicę można dostać się na drugą stronę. Do miejsc, gdzie meksykańskie sombrero w jednej chwili zamienia się w komputerową konsolę – w nowoczesność i dostatek. Gdzie – jak wielu uważa – zaczyna się raj. Czy na pewno?

Dla tych, wśród których stoję i których nagrywam, Hermosillo jest tylko przybudówką do kolejowej bocznicy. To nie tylko meksykańska bocznica, to tak naprawdę jedna z wielu bocznic świata (takich jak np. Melilla w Afryce Północnej, Lampedusa na Morzu Śródziemnym, Wyspy Kanaryjskie wiadomo gdzie czy Puszcza Białowieska wiadomo jeszcze bardziej), gdzie wciąż gromadzą się uciekinierzy, lub po prostu ludzie. Ilu ich tu jest! Tłum-niteczka, tłum rozciągnięty w sznureczek, a właściwie sznur. Są nie tylko z Meksyku, przyjechali z całej Ameryki Środkowej. Wielu, by się tu dostać, przemierzyło nawet dwa, trzy tysiące kilometrów. Ciężarówkami, czyli *en camiones*, pieszo i także pociągami, oczywiście towarowymi. Z Salwadoru, Gwatemali, Hondurasu, Nikaragui. Kto wie jeszcze skąd. W tym roku jest ich szczególnie dużo. Bo susza. Bo bieda. Bo klimat się ociepla i na południu jest za gorąco. Bo ktoś, kto po drugiej stronie na północy mieszka już kilka lat, ich zachęcił. Napisał (jeśli umiał pisać), albo (co dużo łatwiejsze) zadzwonił z wypasionego smartfona: „Przyjeżdżaj. Tu jest lepiej. Pracę jakąś złapiesz. A jak masz pracę, po jakimś czasie będziesz miał wszystko!"

Teraz ma się zacząć ostatni etap ich podróży. Więc tłoczą się po obu stronach hermosillskiej bocznicy. Wypatrują towarowego pociągu, który ma tu przyjechać, by za jakiś czas ruszyć na północ. Tam, to jasne, będzie następny kłopot, kolejna obawa, kolejny strach, jak przejść na drugą stronę. Teraz jednak trzeba skupić się na tym, co ma zdarzyć się za chwilę. Ile tych strachów, lęków i obaw już było po drodze? Kto by je zliczył? Zresztą nie ma co się do tego cofać, bo teraz strach i niepewność są właśnie tu.

Jak poznać ten właściwy pociąg, skoro wszystkie są takie podobne? Jak dobrze odbić się od żwirowego podłoża, żeby – jak pociąg będzie jechał – nie wpaść pod koła? Bo trzeba się spieszyć, to jasne. Nie ma co czekać, aż się zatrzyma. Dachy wagonów mogą być już zajęte. O w miarę dobre miejsce będzie trzeba walczyć będzie trzeba się porozpychać, bo jechać na północ chce każdy. Każdy, kto setki lub tysiące kilometrów na południu wszedł na te tory (na tę drogę), chce pojechać dalej.

Sprawdzam, czy dyktafon się kręci, a oni rozmawiają:

– Rany, ilu nas tu…

– Ile nieszczęść przy jednym torze!

– Nieszczęść? Ile nadziei!

– Jasne! Najważniejsze, żeby nie pomylić pociągu.

– Już dwa razy się pomyliłem, musiałem zawracać.

– Jadę już trzy dni.

– Trzy dni to pestka. Ja jadę cały tydzień.

– Tydzień to też mało. Ja jadę już dwa tygodnie.

– Od wczoraj nic nie jadłem. Może coś masz, *compadre*?

– Ważniejsze jest picie. Woda. Woda, *la vida*. Bo woda to życie.

– Jak w tym upale nie pijesz, zaczyna ci ciemnieć w oczach i wszystko, nagle, staje się bez znaczenia.

– Wtedy możesz zsunąć się z dachu wagonu i wpaść pod koła.

– Nawet tego nie zauważysz.

– Humanitarna śmierć. Bezbolesna.

– A dachy, wiadomo, są najlepsze.

– Pod warunkiem, że masz coś, co chroni cię przed słońcem.

– Najlepszy jest kaptur i gogle.

– Hutnicze?

– Jak nie masz innych, mogą być hutnicze.

– Pierwszą zasadą jest to, że nie wolno pomylić pociągu, a drugą, żeby mieć jak najmniejszy bagaż.

– Dlaczego?

– Żeby móc szybko uciekać, jak ktoś cię napadnie.

– Ci, którzy wczoraj rzucili się na mnie, cali byli ubrani na czarno. Chcieli pieniędzy. Mówili, że jak im nie dam, to mnie zabiją. Błagałem ich o litość.

– Jak dostaniesz się w ręce takich zbirów, to masz szczęście, jak ujdziesz z życiem.

– Tu nikt nikogo nie zna. Jak kogoś zatłuką, nikt tego nie zauważy.

– Mafia jest wszędzie. Na całej trasie.

– To nowa mafia. Mafia pociągowa – *la mafia de los trenes*.

– Mówią, że najgorsza.

– Bezlitosna.

– Tych bez kasy, po prostu, wrzucają pod koła.

– Potem się mówi – nieszczęśliwy wypadek.

– A najgorsze jest to, że każdy opowiada tu coś innego.

– Nigdy nie wiadomo, kto ściemnia, a kto chce ci pomóc.

– Pomóc nie chce ci nikt. Każdy myśli tylko o sobie. To jasne. Bo każdy jeden dla drugiego jest konkurentem.

– Uwaga!

– Pociąg nadjeżdża!

– To ten do Nogales!

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Lokomotywa ma taki wyciągnięty ryj…

– Nogales też może być. Może jest nawet lepsze od El Paso.

XXX

– Jedzie! Jedzie!

– Jak wskakiwać, to teraz!

– Pociąg życia!

– Co ty. To pociąg zabójstw i gwałtów.

– Pociąg śmierci!

– Ale pociąg. Pojedzie do przodu.

– Nie gadać! Ruszajcie się!

– Jest w porządku, trochę zwalnia.

– Damy radę, *compadre*! Spokojna głowa!

– Najpierw trzeba podbiec, a jak zrównasz się z pociągiem, odbij się i wskakuj!

– Chwytaj się czego możesz!

– Chwytaj się tego żelastwa!

– Przyjechałem dziś nad ranem i od razu jest pociąg!

– Masz, chłopie, farta!

– Dlatego mi pomagasz, podpowiadasz?

– Tak, bo jak obok masz kogoś, kto ma szczęście, część tego szczęścia spływa na ciebie.

– Co mi jeszcze powiesz, *compadre*?

– Jak już będziesz w pociągu, cały czas musisz być czujny.

– W domu została żona i czworo dzieci.

– Wiesz, najlepiej śpi się w pustych wagonach po drobnicy.

– Zasada numer trzy: w drodze za dużo nie gadaj. Zamiast gadać, lepiej słuchaj, co mówią inni.

– Wiesz, dobrym wyjściem jest udawanie, że śpisz, albo że jesteś bardzo zmęczony.

– To prawda. Za sen i zmęczenie nieraz dobrze się schować.

– Wziąłem ze sobą kompas.

– Kompas? A skąd go masz?

– Ukradłem w sklepie z bronią, bo słyszałem, że ostatni odcinek, do granicy, nieraz najłatwiej przejść pieszo.

– Po co ci kompas? Tu nie kompas potrzebny, tu potrzebne jest szczęście. Jak najwięcej szczęścia.

– Niedługo się przekonasz.

– Albo się nie przekonasz.

– Dlaczego?

– Bo… nie zdążysz.

XXX

– Nikt nie jest tu u siebie.

– Nikt nie wie, co go czeka. Zasada numer cztery: Ani przez chwilę nie sądź, że nic ci nie grozi.

– Zachowuj czujność.

– Odjazd!

– Co za ulga!

– Nareszcie!

– Za dziesięć godzin powinniśmy być na miejscu.

– O ile bóg będzie nam sprzyjał.

– Jaki bóg? Boga od dawna nie ma. To, co z nami się dzieje, najlepiej to pokazuje.

– Biali mają boga. To my boga nie mamy.

– Kiedyś mieliśmy, ale on odszedł.

– Odszedł? On kopnął nas w dupę!

– Nie jesteś biały?

– Nie, *soy mestizo orgulloso*. Jestem dumnym Metysem.

– Takim, któremu bóg jest niepotrzebny?

– Ani trochę.

– Przez 25 lat mieszkałem w USA. Niestety, jednego dnia mnie deportowali. Teraz znów wracam na północ. Tak daleko jak się da.

– Życie w Hondurasie jest bardzo skomplikowane. Dlatego z moją dziewczyną stamtąd uciekamy i tyle ryzykujemy.

– W Gwatemali też jest beznadziejnie.

– A w Salwadorze?

– Oj, lepiej o tym nie opowiadać.

– Boję się.

– Jest tak ciemno.

– Kiedy znów będzie dzień?

– Kiedy pojawią się wreszcie góry, które pokażą, że tam są już Stany Zjednoczone?

– Najlepiej, *amor*, jeszcze śpij. Tak zrobił mój znajomy. Spał i spał, a jak się obudził, był już po drugiej stronie.

– Tak, jak traficie na dobry pociąg, tak właśnie może się zdarzyć.

Wyłączam dyktafon, a w myślach dodaję: „Śpij, śpij do oporu. Niech na razie nic cię nie budzi. I niech będzie to ten dobry, szczęśliwy pociąg. Dojedźcie tam, dokąd chcecie!"

Roman Warszewski

Jolanta Stelmasiak

Trzy sukienki dla Kopciuszka

Sukienka I

suknia balowa Kopciuszka
ten cholerny błękit
nie jest ci w nim do twarzy

podświadomie marzysz
o czerni Morticji Adams

zakładasz spodnie

Sukienka II

zgubiła buciki

potem kierunek w dół
gdzie czarna woda
i chłód wybawienia

z obcego ciała
z obcego świata
do światła

Sukienka III

brzydka kobieta
kupuje marzenia

przymierza
wiesza w szafie

po śmierci staruszki
na śmietnik trafią

nigdy nie noszone
sukienki balowe

Maria II

niekochane kobiety
zazdroszczą psom

w ich snach
pobrzękuje łańcuch

tak dobrze czasem
być suką

Wiersze rozproszone

w liściach
rosie
w drzewach

zostaw
nie zbieraj

Powódź

na każdym kroku
mnie dotyka

tonę
w pogodnym dniu

Przemysław Kulczak

NOWOŚĆ

Stara mewa wróciła do miasteczka z zimowiska, gdzie przespała prawdopodobnie całe pół roku, od października do marca. Może nawet więcej, bo wróciła pod koniec maja. I od razu niby uderzył ją szok, a niby nie, ponieważ szybko uświadomiła sobie, że to po prostu podmuch wiatru ją uderzył, chcąc ją zdmuchnąć. To był stary wiatr, wyraźnie strzelało mu w kościach. Miasteczko też było stare – mewa już je widziała w październiku i dalej było takie, jak wtedy. Może poza jednym drapaczem chmur, który tam budowali: na szczycie zamocowano dźwigi i dobudowywano kolejne piętro. To były ewidentnie nowe dźwigi i stawiały one ewidentnie nowe piętro.

Mewa usiadła na koślawej skale. To była bardzo stara skała, stara jak sam świat, bo poprzednio też tutaj stała. Ptaszysko rozejrzało się i szukało swego starego gniazda i swych starych kompanów, ale na razie niczego nie mogło dostrzec. Dostrzegło za to szarą chmurę, która szybko pędziła po niebie – i to była całkowicie nowa chmura, takiej jeszcze nigdy nie było. Ale niewiele rzeczy było nowych. Okazało się, że wszędzie są tylko stare budynki, stare ulice, stare samochody. W zatoce przyszedł przypływ i to też był zupełnie stary przypływ. Był tak stary, że gdyby mewa przyleciała tu w czasach Hammurabiego, to ten przypływ też by tu był. Zdumiewające.

I oto nagle na horyzoncie pojawiła się nowość: wschodzące słońce. To musiało być nowe słońce, bo aż lśniło z nowości. Takiego słońca nigdy tu jeszcze nie widzieli. Ale inne rzeczy były okropnie stare.

Ptak zatoczył jedno koło nad miastem, albo dwa, ale ciągle nic. Kiedy tak krążył, zobaczył jednak kolejną nowość: to był wulkan, który wybuchał. To musiał być nowy wulkan, prosto z salonu. Lawa i dym, które z siebie wyrzucał też były nowe, spod igły: nigdy wcześniej takich nie było.

Dzień mijał, nowe słońce wzniosło się, przypłynęło parę nowych chmur i kilka nowych ptaków, ale mewa żadnego z nich nie znała, bo były przecież nowe. W tym czasie zauważyła, że w miasteczku jest wiele starych drzew, bo wszystkie garbiły się ze starości. Liście, które wypuściły były niby nowe, ale niby też stare, bo widziano już kiedyś takie same liście.

Po południu mewa znów usiadła na starej jak świat koślawej skale i tym razem było tam coś nowego: ze staruszka - padającego deszczu – w małym wgłębieniu na skale pojawiła się mała kałuża wody i ona z pewnością była nowa. Co z tego, skoro góry wznoszące się wszędzie dookoła nad miasteczkiem były obrzydliwie stare i pomarszczone. One były tak stare, że gdyby je zapytać o ich młodość, to by chyba powiedziały, że już nie pamiętają kiedy to było. Czy za czasów dinozaurów? Nie wiedziały, co to są dinozaury. Za czasów Juliusza Cezara? A nie, wtedy to już one były stare jak świat. To teraz są pewnie stare jak co najmniej dwa światy, jak nic.

Zawiała wieczorna bryza i mewa wyczuła, że to jest z kolei nowa bryza, bo jeszcze takiej nie czuła. Znalazła też w końcu swoje stare gniazdo, które teraz wyglądało jak nowe, bo je schludnie uprzątnęła, a nie przyleciał jeszcze żaden inny ptak, który mógłby ewentualnie zrobić tam bałagan.

Zaszło nowe słońce, pojawiły się stare dobre gwiazdy i stary księżyc. Niby się świecił, ale był jakiś mdły, wytarty i zużyty. Staruch i tyle. Spadł nowy deszcz, a rano wstało słońce, ale jakieś takie stare. Mewa widziała, że to słońce ledwo zipie i bardzo ciężko dyszy.

W międzyczasie odpłynął absolutnie nowy odpływ i w oddali ukazały się też nowe skały. Przypomnijmy, że nad miasteczkiem górował całkiem nowy drapacz chmur, który drapał stare i nowe chmury swoimi ostrymi jak żyletka, nowiutkimi dźwigami, które jednak skrzypiały, jak gdyby udawały, że są stare, a przecież nie były takie.

Mewa w kolejnych dniach porobiła wiele nowych kółek nad miasteczkiem, urządziła jeszcze lepiej swoje stare gniazdo. Widziała jak kilka razy wstawało nowe słońce i wiele razy jak wstawało stare słońce. Zdarzał się też nowy, piękny księżyc. Niebo wydawało się stare, ale dokładnie jeden raz wyszły na nim niebywale nowe gwiazdy. Ich błyszcząca scyntylacja była niesamowita. Niesamowite też, jak piękne potrafią być rzeczy nowe. Ptaszysku przypomniały się te wszystkie rzeczy, bo gdy opuszczała miasteczko w październiku wszystko rosło i to było nowe, a teraz, gdy wróciła, znów wszystko spadało, jakby było stare. Tak stare jak jakiś schorowany stary dziad. Dodać jednak warto, że nowy drapacz chmur absolutnie nie spadał – on ciągle rósł i rósł, łaskocząc swymi starymi zardzewiałymi dźwigami, nowiutkie chmurki, które płakały i śmiały się jak niemowlaki. Na starych drzewach kołysały się teraz zielone nowe liście. Na nowych drzewach też były nowe liście, chociaż niektóre zaczynały się już robić stare. Może przez to, że to właśnie stary wiatr nimi kołysał. A ten zgrzybiały starzec jak kogoś zacznie kołysać, to od razu postarza innych.

I mewa latała tak nad miasteczkiem jeszcze bardzo długo. Od tego latania jej skrzydła zaczęły się robić stare. Dobrze, że chociaż dziób miała całkiem nowy – spiczasty i naostrzony. Sama jednak nie wiedziała, czy jest stara czy nowa, ale miasteczko na pewno było stare, jak wszystkie budynki w nim (oprócz nowego drapacza chmur oczywiście). Mewa zdążyła wypatrzyć jeszcze jakąś zupełnie nową górę wśród tych wszystkich obmierzłych pomarszczonych starowin-gór, ale sama czuła, że zaczyna się starzeć, bo już coraz mniej jej się chciało.

Ptak był zmęczony tym, że wszystko się zmienia. Ciągle huśtawka: parę razy coś było nowe, a potem znów robiło się stare. I tak od nowa. Istna przeplatanka nowości i starości. Dziś słońce jest nowe, a jutro już stare. Tylko miasteczko, koślawa skała i prawie wszystkie góry zawsze były stare. Nawet wiatr lubił płatać figle i to był nowy, a to znów stary. Nawet wulkan czasami wydawał się stary, bo był pomarszczony jak inne góry i podobno pamiętał jeszcze prymitywnych przybyszów na drewnianych łodziach. Nawet lawa i dym zrobiły się stare, chociaż czasami z wulkanu wylatywał całkiem nowy dym. Ogólnie to był jednak stary, siwy dym. Tylko jedno się nie chciało zmienić: nowy, jędrny, gibki i sprężysty drapacz chmur.

I można by tak w nieskończoność, a tu nagle zdarzył się dzień dziwny, przełomowy, kiedy wszystko, ale to absolutnie wszystko było stare. Mewa zrobiła się tak stara, że mogłaby wnukom opowiadać godzinami historie z przeszłości. Drzewa były stare jak stare baby ze wsi, spadające liście były stare jak paskudne brązowe stare dziady z przychodni lekarskiej, góry, skały, odpływy i przypływy były tak stare, że można było przypuszczać, że nigdy się nie urodziły, wiatr, słońce, gwiazdy i księżyc były tak stare, jak stare nieużyte osły w Kirgistanie, a chodniki, ludzie, samochody i wszystkie budynki w miasteczku były tak stare jak podstarzałe wielbłądy, które dźwigają turystów w Egipcie. Dodatkowo wulkan i wiatr zupełnie się zestarzały. Staruchem było całe miasteczko i niebo nad miasteczkiem. I wszystko było stare oprócz dwóch rzeczy: nowiuteńkiego drapacza chmur, na którym zamontowali ostatnio migoczące światełka oraz nowa przyczepa starego dziada, która bądź co bądź była jednak trochę zardzewiała. A, no i jeszcze oczywiście nowa książka obrazkowa jakiegoś dzieciaka z centrum. To razem trzy rzeczy. Nie zapominajmy jednak o nowym i pięknym drapaczu chmur, z którego potem zniknęły stare dźwigi.

Przemysław Kulczak

Katarzyna Gościniewicz

Małgorzata Bobak-Końcowa

Złamana

Dominice Lewickiej-Klucznik

Możesz być mało kłopotliwa, zapewniać że wyleczysz się
na własny rachunek, ale jedną ręką szmaty nie wykręcisz.

Możesz być cierpliwa, dzielna, pokorna do szczytu marzeń.
schować pod poduszkę wszystkie piekące warstwy
i zaciśnięte usta, ale wtedy nikt nie domyśli się,
żeby umyć ci włosy i skrócić paznokcie.

Pociesz się, że jesteś singlem.
Bez wyrzutów wyj po nocach i sikaj z bólu.
Masz ten komfort, więc zluzuj.

Dobrze zaliczyć morfologię i rezonans. zdać celująco
i mieć poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Na początek.

Przecinek

Niedługo mam wizytę, ale wolałabym uniknąć. Usiądę
z pewnością się rozpłaczę, a doktorka będzie patrzeć.
Tyle już widziała i nie dojrzy człowieka

Wiesz, jak się ma taką intuicję,
to można samemu,
raczej nie ma pomyłek.

Zaczynasz nosić informację w oczach.
Dokładnie opisujesz co czujesz.
Nikt kurwa nie rozumie.

Otrzymujesz współczucie i chcesz je upchnąć
na lepszą okazję.

Przećwiczę kwestie.
Wszystkie miejsca mam już odkryte.
Układam się do dialogu.
Do nowej więzi.

Z gabinetu

Annie Tlałka

Przyszłam do pani,
bo zabrakło szerszej perspektywy,
a teraz czuję jakbym otwierała
zardzewiałą kłódkę źdźbłem trawy

Tak, przemawiają do mnie mądrości
dalekiego wschodu.
Tyle w nich czułości, przestrzeni.
Jeśli kilka osób mówi, że trzeba udać się lekarza,
to wypada zdobyć się na refleksję;
usunąć migdałki, ząb mądrości,
stanąć przed lustrem i powiedzieć
coś modnego o miłości.

Czuje się pani zagubiona?
Proszę nie wkręcać żarówki w mysią norę,
tylko usiąść na wygodnej kanapie.
Sama ją pani wybrała.
Kolor przyjemny, neutralny.
Materiał miły w dotyku.

Może przestanie Pani mówić,
że spotkania ze mną są inspirujące, ale nieetyczne.
Bo takie pajacowanie to strata czasu
dla obu stron
i nie można brać za to pieniędzy

Proszę się wygadać.

Marek Piechocki

XV

I tak to, Irku, już koniec lata. Zaraz jesień, którą to porę roku bardzo lubię. Cudność przyrody,
która ma zamrzeć na kilka miesięcy, ale pyszni się kolorami, tym innym niż latem słońcem, nićmi babiego lata, krzykiem na niebie ptactwa odlatującego od nas gdzieś tam, dokąd nasze myśli biegną i tęsknota…

I dlatego swoje do Ciebie listy postanowiłem ubarwić jesienią w obrazach mojego brata Juliusza, którego przecież znasz. Jego i jego malarstwo. Jakże piękny cykl „"Zima" pokazał kilka lat wstecz w foyer Filharmonii Gorzowskiej.

Rok 2007 – niewielki tomik, wydrukowany w domu, „Sytuacje" i w nim miniaturka o jesieni:

Łośno

/jesienne/

Zamiast listu
piszę do ciebie obraz

Pejzaż z moich lasów
drugą stronę jeziora z pochylonymi bukami

Z palety tylko ugry i czerwienie

Odcienie zieleni zostawię na list o wiośnie

Może polubisz „Jesień Jezierzycką"
która pysznić się będzie w pracowni
nim ją zapakuję by posłać tobie

Jezioro Jezierzyckie to niewielki, zabagniony zbiornik wodny w pobliżu Łośna, pośród lasu.
Pełna dzikość. Szuwary, teren wokół bagienny. No i te buki po przeciwnej stronie… Jeżdżę tam rowerkiem na swoje odosobnienia…

I jeszcze o jednej muzyce Ci napiszę. Żydowskiej. Chasydzkiej. Wiele jest jej w internecie i często słucham. A w mojej płytotece niezwykły dwupłytowy album: Symcha Keller „Bramy".
Już Ci pisałem o rabinie Abrahamie Skórce i co mówił na temat tego, co ewentualnie nas czeka po odejściu z tego świata, teraz zacytuję fragment komentarza do płyt:
„Muzyka na tej płycie swoje korzenie ma w muzyce chasydzkiej. Ruch chasydzki to najpiękniejszy owoc mistyki żydowskiej, to świat, w którym muzyka stanowiła drogę do raju. Rabi Nachman z Bracławia mawiał: „Jest wiele dróg prowadzących do Boga i wiele wspaniałych komnat, ale w tych wielkich komnatach czasami łatwo się pogubić, a przecież jest jedna mała skromna komnata – komnata pieśni i muzyki. Wystarczy przez nią przejść, aby stanąć u wrót raju".

Już pierwsza pieśń zachwyca, jej autorem jest łódzki kantor Frojmowski – „Szachrit Szabat", którą niezwykle przejmująco śpiewa Symcha Keller. W internecie można znaleźć teledysk nagrany w pustej, zapewne nieczynnej, synagodze, później w górskim pejzażu.

Symcha Keller, polski kantor, rabin z niezwykłym życiorysem – Krzysztof „Motor" Skowroński – rockman, założyciel kapel Katharsis (reggae) i Space, bardzo aktywny undergroundowiec.
Po odkryciu swoich żydowskich korzeni zaczął pobierać lekcje prowadzenia modlitw u głównego kantora łódzkiej synagogi, Izaaka Frojmowskiego. Później, w latach 1988-1992 studiował w szkołach religijnych w Izraelu i USA.

A dla mnie najważniejszą jest jego muzyka. Wyobraź sobie, że z gminy żydowskiej w Łodzi dostałem jego numer telefonu i mogłem porozmawiać, zadać pytania, na które nigdzie nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Między innymi o święto, które już niedługo w kalendarzu żydowskim. Jom Kipur. Dzień Pojednania. Przebaczenia. Niezwykle ciekawe, zaskakujące obrzędy, ich skutki w przyszłym życiu… i cudowna pieśń (muzycznie i słownie) z tej świątecznej okazji:

L'maancha

Przebacz nam
Boże nasz
my nędzni wołamy dziś
Miłość swą
okaż nam
ze względu na Chwałę Twą

Me ciało dziełem twych rąk
a dusza ma
tchnieniem twych ust
do Ciebie więc
wołamy dziś:
miej miłosierdzie
nad dziełem twych rąk

Tak długo słuchałem tej pieśni w oryginalnym wykonaniu – to Eitan Katz, kantor żydowski – i po polsku, aż nauczyłem się melodii na pamięć i niekiedy gram sobie ją na pianinie. Jestem przekonany, że spodobałaby się i Tobie. A może tam, gdzie jesteś, jakieś chóry ją śpiewają?

XVI

Kiedyś tak napisałeś:

Trwanie

Każdego dnia
odchodzą od nas bliscy
nie możemy ani im
ani sobie pomóc.

Każdego dnia słyszymy
stamtąd wołanie,
które zagłusza dzwonów
histeryczne bicie.

Zamykamy okna,
otwieramy okna
i każdego dnia
w to niby życie gramy.

I choć podobno jest tam cudnie
choć girlandami tam strojne bramy
schodzimy z parapetów
i na nich
z powrotem stawiamy kwiaty.

Trwamy…

To mój ostatni list do Ciebie. Pozwól, że zacytuję na koniec znakomity wiersz Aldy Merini
(Alda Giuseppina Angela Merini (1931-2009). Kartka z tym wierszem od kilkunastu lat leży na moim biurku, obok laptopa – czytam go w chwilach zwątpień:

x x x

Niech będzie cisza na ziemi
wokół poety który umiera w rozpaczy
wolny od przebaczenia.

Bo któż przebaczy poecie
że patrzył w gwiazdy
że wierzył w trwałą miłość
jak w zaczarowane zamczysko?

Kto wybaczy poecie
że po latach palących klęsk
wyszedł z użycia
chociaż w zmysłach
pozostał zwycięzcą?

To wiersz, Irku, o nas, którzy piszemy wiersze. Jedni je rozumieją, inni nie. Zostają po nas jak Twoje w tomie, „Odpowiedź na pytanie Hamleta", który czytam, wracając do niego od czasu do czasu, i może jak moje książce pt. „Przedstawienia", które ktoś kiedyś przeczyta.

Marek Piechocki

Marian Bednarek

WYDARZENIE ARTYSTYCZNE

Jak ja się bałem zanim te klocki do mnie przyjechały, jak ja się bałem. A najbardziej ceny za transport się bałem, bo dzisiaj wszystkim właścicielom wszelkich opałów odbija z tymi cenami. Na szczęście ten właściciel zachował się przyzwoicie i przy życiu mnie zostawił. Od razu pomyślałem *czy przyjazd drewna kominkowego może być Wydarzeniem Artystycznym?* Tak. Tak pomyślałem, ale niekoniecznie z udziałem orkiestry dętej, czy czegoś tam podobnego. Trzeba najpierw ułożyć scenę ze starych desek, na którą wysypią się z samochodu wszystkie ciężkie kloce z dębu i buku. Ale nie daj Boże jak jakiś kloc spadnie na świętą zieloną trawę gospodyni, to zaraz wielki wrzask roznosi się po okolicy, jakby zranioną trawą była. Spektakl przerwany. A cała służba porządkowa, czyli ja i kierowca bagażówki idziemy do gospodyni na dywanik. Publiczność ogrodowa poirytowana, zrzuca z siebie postrzępione liście i podgniłe jabłka w formie protestu. Ptaki wystraszone. A to przecież publiczność bardzo delikatna, trzeba o nią dbać a nie straszyć biedulki. Kierowca skasował za drewno i odjechał.

Miną godziny, zanim wszystko wróci do normy sprzed spektaklu – gdzie przestrzeń jest cały czas otwarta jak wszystkie bramy i dziennikarze są dopiero na tropach nowych trendów w sztuce. Scenografię z klocków wywożę ze sceny na taczce (kilkanaście kursów), kryjąc ją pod zadaszeniem szopy, gdzie doczeka się dramatycznych scen w spektaklu „Zima". Pojedyncze deski sceny wywożę w ciemny kąt ogrodu, gdzie maliny już na mnie czekają, kołysząc się, jakby wszystko już wiedziały o tym tragicznym upadku kloca na świętą trawę i teraz chcą mnie pocieszyć soczystym pocałunkiem. Całą twarz mi obcałowały i ręce gdy się w nie zaplątałem. Niektórzy artyści mają przerąbane. Nie zadbałem o wielki hałas *Wydarzenia* na You Tube i Facebooku, ani o nadużywanie słowa „masakra" jak niektóre trywialne głupki to robią prawie w każdym zdaniu. Mam dość tego masakrowania codziennie każdego słowa, aż ucho mi się zwija w jakąś wykoślawioną formę, gdy to słyszę. Stoi taka obok mnie znajoma prykwa i masakruje i masakruje. Co wypowie to zaraz zmasakruje, *masakra… masakra*...aż krew się leje. Zapluty tym wylewem masakry ledwo utrzymuję świadomość kim jestem.

Jakaż ulga gdy między malinami mogę sobie postać i posłuchać jak szeptają… na czym życie polega (poza masakrą trywialności). Ich czerwone i piękne główki, powinny się znaleźć na plakacie reklamującym moje *Wydarzenie Artystyczne* z klockami. Tak sobie nagle pomyślałem, jakby mnie coś olśniło, kończąc moją przygodę z drewnem.

Marian Lech Bednarek wrzesień, 2022

LEWY PRAWY

Lewy prawy, lewy prawy, lewy prawy. Oddycham powietrzem lewy-prawy. Widzę jak idą miliony lewych i prawych. A ja? Ja jadę do wnuka na mecz i przyciskam pedały lewy, prawy, lewy prawy i gazuję. Tyle razy to moje kibicowanie mu obiecywałem, ale nigdy mi się nie udało, bo zawsze światy lewego i prawego zderzały się ze sobą za mocno, aż wypadałem z mojego boiska prywatności. Teraz wreszcie jadę. Każdy dzień to huśtawka egzystencji lewy-prawy, lewy-prawy, kosmos biegających za piłką, do szaleństwa. To już niemal uniwersalny rytm, według którego toczy się życie milionów Polaków, gdzie każdy dzieciak chce być lewym strzelającym bramki, wielką gwiazdą z dziewiątką na plecach. Ale świat lewego i prawego nigdy się nie połączą. Bo co tu jest do łączenia? On kopie piłkę a ja dziury w ogrodzie kopię łopatą, by zasadzić krzak czarnej porzeczki. Ale też nie obchodzi mnie życie lewego, bo on zawsze będzie lewym z przewróconą szóstką na plecach, czyli dziewiątką, a ja będę jakimś prawym, bez numeru, czyli tym nieznanym, może na szczęście? Wolę wkopywać do ziemi krzak, z którego na wiosnę wykwitną czarne małe piłeczki do zjedzenia, a nie do kopania. Choć przyznam, lubię piłkę nożną. I w młodości dużo w nią grałem, ale niestety, nie pamiętam już żadnego numeru koszulki.

Dojeżdżam do stadionu. Lewy prawy, lewy prawy pedał pod stopami pracują. Wita mnie córka i prowadzi na trybuny. Jej mały lewy już gra. W czarnym stroju, drobny, chudziutki jakiś wygina się, kręci nogami, przygnieciony aż za bardzo tą dziewiątką na plecach. Ale widać że gwiazda lewego w nim świeci, choć pada deszcz. Kibice (w większości rodzinki grających małolatów) skuleni pod parasolami wrzeszczą, klaszczą, gwiżdżą, mruczą, skomlą. Mnie to nie rusza. Widziałem tylko gmatwaninę pogubionych nóg i parasol w mojej ręce. Drużyna wnuka wygrała 2 zero z jakąś drużyną z innej wioski. To znaczy że lewy nadal króluje na świecie. Pogratulowałem wnukowi wygranej, uściskaliśmy się. Kiedy już lewizm i prawizm całkowicie wymieszały mi się w głowie, pomyślałem, że będę zawsze skazany na bycie między lewym a prawym, gdzieś pośrodku, gdzie lewe rodzi prawe, a prawe rodzi lewe. Spakowałem się, uruchomiłem samochód, nacisnąłem lewy pedał sprzęgła, prawy pedał gazu i odjechałem z ulgą, jako już nie całkiem do dupy dziadek. A nade mną piłka słońca, z ledwością przebijała się przez chmury.

Marian Lech Bednarek, październik 2022

GARDEROBA

Wstąpię do majtek wojennych. Ciekawe gdzie mnie wyślą i jakie będę miał przygody? Mogę zginąć, to fakt. Ale jak przeżyję, to mogę wstąpić do spodni wojennych. Te to dopiero dokazują, któż przed nimi ucieknie? Chyba tylko sukieneczki rezolutne, które spodniaków owijają sobie dookoła palca, jak chcą. Spodniak to spodniak. Niech nadepnie na minę nogawki i wyleci w powietrze, przecież wiedział do jakich spodni wstąpił. A jak mu się nie podoba, to wtedy buty wojenne wezmą go w opiekę i poprowadzą tam gdzie trzeba się bić za wolność i demokrację homo butusa i innego homo. Po takich doświadczeniach można wstąpić do koszuli wojennej. Tutaj też nie ma żartów, pełno guzików, dziurek, mankiety, wzorki, koronki, kołnierzyki, wszystko jak celny wystrzał w akcji sabotażowej. W tej koszuli wojennej to w koszulizmach jakichś się obracamy jak obłąkani. Każda głębokość jest niebezpieczna, bo cholera wie, gdzie taka ręka w koszuli nagle zacznie grzebać i tłamsić coś, że koszula zaraz cała ubabrana.

I tak człowiek błąka się i walczy. Ale czuje że czegoś mu brak. Spojrzy w lustro i już wie, że marynarki wojennej mu brakuje. No to wstępuje do marynarki wojennej, eleganckiej, ze złotymi guzikami, nad falami oceanu rozchełstanej. Z każdej kieszonki wystaje stosowne działo przeciwlotnicze i rakieta. A na plecach małe lotnisko z samolotami, bo to przecież lotniskowiec, marynara wojenna. No to strzelać trzeba! Strzelać! Nie wiem kogo ustrzelę? Ale teraz jestem już całkiem ubrany w tą marynarę i mogę się bić, jeśli trzeba będzie, choćby w obronie własnej teściowej. Pociągnę serią z karabinu aż mewa spadnie na pokład. Wkrótce dopłynę do jakiegoś brzegu, jak będę miał szczęście. I pójdę sobie gdzieś na piwko. Oczywiście. A co? Laski będą się za mną oglądać i tyle. A tchórze i maminsynki niech mi zazdroszczą takiego ubranka. Ta biała furażerka na głowie jak kapelusz damski, robi wrażenie, że aż szczena opada. Marynarka wojenna Armii Światowej to nie byle co. Człowiek jest już całkiem ubrany, kompletny w tej swojej międzynarodowej garderobie militarnej i gotowy do prezentacji wystrzału swojej gęby, torsu i całej reszty. Potem przechodzi do kuchni, albo do pokoju z telewizorem, by obejrzeć najświeższe wiadomości z pola bitwy, a raczej z pola masakry, uuuffff… Przydałaby się jakaś rewolucja w modzie, by te ciuchy bardziej się uśmiechały a nie przepocone cuchnęły tylko zasraną wojną.

Marian Lech Bednarek X.2022

O LITERKACH

Skończyłem wiersze o literkach (grudzień 2022). Teraz te literki powróciły już jak kury do swojego kurnika alfabetu: ZGJADEJWZ-PRYOSXMNLT itd… poplątanego totalnie. I tam sobie wysiadują. Każda ważniejsza od drugiej i piękniejsza. Czekają na słówka, by wyrwać się z tego zasiedziałego kurnika literek na wolność. Czy myśl ta jest zachęcająca do dalszego pisania? Myślę że tak ,że aż dupa jak nie wiem co? Po prostu dupa i tyle. Dupa – cztery litery na wolności to bardzo dużo. Ludzie! Cztery litery na wolności. Czy wiecie co to jest?! Ciągle zamknięci w tych swoich więzieniach różnego kalibru społecznego i psychologicznegp, w tych swoich wycackanych złotych klatkach, a dupa na wolności ha ha (bo tak właśnie powiedziałem) dostała życie. Zawsze tak było. Dupa na wolności. To jeden wielki wstyd dla odczuwających jeszcze coś takiego jak wstyd. Mógłbym powiedzieć „ludzie". Ale „ludzie" przejadło mi się jakoś, przeżarło, znudziło. Nie ma w tym słowie już czegoś wzruszającego, tylko sam strach, sam strach w tych sześciu literkach. O Panie Boże, coś Ty stworzył? Dupa bardziej mnie zainspirowała i poruszyła, żeby uwolnić jej cztery literki do działania. Niech żyje dupa! Ale bez żadnego cudzysłowia, bo dupa w cudzysłowiu, to żadna prawdziwa literatura. Nikt takiej nie będzie czytał, gdzie rządzą same cudzysłowia i pupa tylko pupuje.

No i które teraz literki wypuścić na wolność?,bo kurnik cały aż drży. Może „iskra"? Taki błysk zaraz czuć i chęć do życia. Pięć literek a tyle radości. No dobrze, dobrze. Ale co dalej? Co z tego wynika?, z tych słówek wypuszczanych przeze mnie na wolność? Chyba to, że język, że literki muszą być ciągle wyzwalane, w ruchu. Nikt nie lubi niewoli, a zwłaszcza język. Cóż, to przecież oczywiste, żadne tam odkrycie Ameryki. Może jedynie w tym, że dałem ponownie wyzwolić się myśli o Ameryce, która ciągle chce się sama w sobie odkrywać. I która też się męczy ze swoim kurnikiem literek alfabetu. Ko ko ko ko… już słyszę tą gderaninę, to szuranie, szelest, dziobanie, aż ktoś się zlituje i wypuści jakąś literkę na wolność pod samą Statuą Wolności. Ale uwaga! Byle nie dostał za to w łeb, bo czasy niebezpieczne, wojny, więc pytanie brzmi: co to za wolność? Tej odpowiedzi można trochę znaleźć w mojej ostatniej książce *„LITERKI" wiersze gimnastyka języka*. Ale kiedy ona się ukaże i w jakim wydawnictwie? Tego jeszcze nie wie nikt.

Marian Lech Bednarek *12.2022*

KURY I KOT

Podchodzą mi kury pod gardło, biedne, wytarzane w tym jajoskowycie jak psy, a ja nie mam im nic do powiedzenia, nic zabawnego i sensownego, nic co by ulżyło ich losowi, same wyszczerbione noże moich dowcipów. To wstyd jak na XXI wiek. I ten jego wszelki postęp w różnych dziedzinach, a zwłaszcza w dziedzinie informacji. Mówię takiej pierzastej „O, zobacz słońce takie jak twoje jajko". A ta odpowiada z kurzą pogardą „ E, nie zupełnie ty kokomanie. Moje są bardziej owalne, śmu, śmu, śmu". I z tą niedocenioną przeze mnie kurzą inteligencją odchodzi ze swą gromadką, kołysząc się jak pokonane wojska Napoleona, którym wtedy pod Moskwą brakło piór w skrzydłach. Tylko że ona ma to gdzieś, po prostu człapie sobie gdzieś.

Zostałem sam, z kotem, któremu zaglądam w oczy, by sprawdzić która godzina jak to robił pewien Chińczyk w opowiadaniu Baudelaire. Tylko że ja mam akurat innego kota i inne czasy. Medytuję więc jak przejść ponad kotem i ponad nowymi przepisami prawa, które co chwilę wchodzą w życie. Jak kot chciałbym ich nie dotykać. Wiem że to mrzonka, ale bez mrzonek byłbym jak kura bez jajka. I w ogóle nie doceniłbym tej „głupiej" gazety, leżącej mi teraz na kolanach, w której oprócz różnych skandali pełno lasek uśmiecha się do mnie by mi wytknąć mój los. Ach nastolatko, nie wiem ile masz lat, ale wiem że jesteś nastolatką i przewracasz teraz do góry nogami ten głupi świat

O ty, który nie chcesz być ośmieszony, teraz właśnie w tym momencie ośmieszasz się.

Marian Lech Bednarek

UPAŁ

Upał to takie coś, że słowa wylewają się na ciało, lepią się, latają jak ciężkie muchy żeby usiąść gdzieś na jakimś temacie i wyssać go lub co najmniej nadgryźć. Każdy opis pogody będzie tylko opisem gęstej, gorącej zupy. Starzy ludzie w tych swoich zacienionych altankach trajkoczą na całego, jakby byli dziećmi upałów, bo córka przyjechała z Niemiec na urodziny matki, więc nie podskakuj tu panie Upał! – bo my tu tego… Ich czupurność i swada unoszą się nad domami, przedzierają przez krzaki i docierają aż do mnie. Zadziwia mnie to. Moja głowa! – ktoś krzyczy.

Dookoła wyrastają nowe domy, ale sprawcy po paru godzinach nie wytrzymują i umykają z budowy. Niektórzy w ogóle uciekają przed robotą. Naprzeciw moich okien ekipa jak z PRL-u lata tylko do sklepu po piwko. Ich rechot co chwilę rozrywa powietrze a disco-polo z radyjka skleja to wszystko do kupy i szafa gra, lecz robota leży.

Ponieważ nie mam z kim rozmawiać o upale, bo nie da się o upale rozmawiać i napadają mnie ciężkie bóle głowy, piszę właśnie o upale, jakbym się chciał przebić przez jakiś mur ostatniego ratunku, złapać byka za rogi. Tymczasem upał jest zupełnie aliteracki, przynajmniej dla mnie. Można pisać o upale z daleka, ale nie o upale w upał. Kolor nieba dalej przypomina gęstą, gorącą zupę. Mantruję „Hare Kryszna, Hare Kryszna…", by sobie jakoś pomóc w tym karmicznym kotle, do którego podobno sam się wrzuciłem i pływam w nim jako ten skwarek świadomości.

Niewzruszone galaktyki cóż mogą pomóc w upale, gdzie samemu trzeba rozstrzygać we wszystkich sprawach. Niech mój kapelusz przeciwsłoneczny będzie miał z 2 metry średnicy, pomyślałem. Co to jest? Przecież to nie fantazja. Ciężki jest. Poruszam się w nim jak satelita. Upał wszystkich przenika. Słoneczniki na sąsiednim polu przemawiają znaną tragedią van Gogha. Wszyscy uciekają przed upałem.

W telewizji tylko o nim trąbią i jęczą, nawet gdy chodzi dosłownie o Putina czy Grecję. Prezenterzy już nie wiedzą jaką przybrać pozę i jaką najmodniejszą koszulę założyć by coś o nim sensownego z siebie wykrztusić. Ten kulinarny potwór jest wysłannikiem bogów, byśmy nie przestali podskakiwać na ich patelni jak skwarki.

Mozolnie przebijam się przez słowo „upał" jak górnik w ciemnym chodniku. Wydobycie trwa. Nie wiem ile jeszcze wydobędę sensownych słów, które coraz bardziej przypominają mi owady zastygłe w bursztynie. Chmury przesłoniły bezlitosną żółtą wesz, czyli słońce z wiersza Różewicza. Powiał lekki wiaterek. Hare Kryszna, Hare Kryszna… zamantrowałem.

No i zaczął kropić deszcz.

Marian Lech Bednarek, lipiec 2015

Jan Stanisław Smalewski

KAMIEŃ I MIŁOŚĆ – WTEDY I TERAZ TAM I TU

Poemat

Była to pora, gdy mężczyźni przeciągali się leniwie,
a kobiety zachłyśnięte solidną dawką seksu
popadły w lekkie odrętwienie.
Była to pora, gdy przyjemności następowały jedna po drugiej
i nikt nie dopuszczał myśli, że może stać się coś niedobrego.

Była to pora, kiedy nie myślało się o śmierci
i nie odwiedzało umarłych, żywym wydawało się,
że będą wiecznymi.
O tej porze stało się – urodził się kamień.

wtedy i teraz

Kamieniu którego podniosła ludzka dłoń
Kamieniu zaklęty w krzyż – na którym wisi Chrystus z woli Ojca
Kamieniu krążący w przestworzach i wymierzony w Ziemię
Kamieniu niemocy – mylonej z filozofią
Kamieniu pokutny – nie zawsze stojący przy drodze
Kamieniu wołający o pomstę do nieba
Kamieniu chłodu piwnicznych głębi i cmentarnych mogił
Kamieniu karzący – z niesamowitych opowieści
Kamieniu niezgody sąsiedzkiej – na przykład o polną miedzę
Kamieniu toczący – czyniący koło i wszelką powtórność
Kamieniu kruszący – sypiący piaskiem w oczy
Kamieniu wszelakiej mądrości – tronów i ołtarzy
Kamieniu dobra – spadający z serca po odpuście winy
Kamieniu zła – przywracający pamięć
i ty kamieniu którego imienia nie przywołałem
bądź z nami – zdradzonymi

tu i tam

Znasz to wędrowanie na pamięć Jest w tobie
Nigdy się nie zaprzesz tej wędrówki z cieniem
Znasz to stukotanie koła na kocich łbach kamieni
Znasz chybotanie wozu na wybitym trakcie

Droga to daleka – utoczyć kamieniem
stukotem żelaznej obręczy u wozu
utoczyć jej kawał przybliżyć
ugłaskać łby kocie po deszczu
na krawężniku usiąść do kamiennego przepustu
choćby doutykać
Dotarłem tam – siedzę
dłonią gładzę jej pierś zapadniętą
zagubionej w czasie odnalezionej w marzeniach

teraz

Mówią że kamień to jak bochen chleba
z miłością go równać
chytrze udomowić
Ogrzany dłonią odpowie drżeniem serca
położony przy ogniu zaśpiewa

Kamień i miłość Obojętność i uczucie
Kamień jest od chłodu od ciepła jest miłość
a że serca stygną stają się kamienne
chleb smakuje wtedy jakby był jałmużną

Zimny jest chleb w domu tego
gdzie kamień stołu dłonie chłodem parzy
gdzie w mrocznych wnętrzach nietoperze sumień
Gdzie się ciepłe łoje w stearyny warzy

wtedy

Była to pora wierzy postnych
Chlebem pachniało i zaczynem z dzieży
Ludzkie pisklęta siedziały u stołu
Dwanaście ich było – niczym apostołów

Była to pora wieczornych pacierzy
Różańcem boleści stukano do nieba
Pachniało zaczynem przaśnego chleba
Pisklęta czekały oczekując cudu

Świat się kołysał i trząsł jak osika
Po źródlanej wodzie łódką liścia płynął
Drżały ludzkie pisklęta jakby chłód je dopadł
- wtedy to właśnie zrodziła się miłość

teraz

Miłości łaskawa – która przyzwoliłaś Chrystusowi
przeobrazić wodę w wino
nam zaś pozwalasz radość zamienić w śpiew
a smutek w modlitwę
Miłości – która uczysz nas wędrować po bezkresach
pukać do drzwi i otwierać najtrudniejsze bramy
Miłości – która wyprowadzasz życie z podcieni w pełną jasność
przydajesz barw młodości zesrebrzasz wiek dojrzały
i pozłacasz starość
Miłości matki – w głębinach której jeszcze nikt się nie utopił
Miłości dziecka – której matczyna pociecha świeci nawet w noc
niczym Gwiazda Betlejemska
Miłości – dla której życie poza sensem ma smak gorzkich piołunów
Miłości – którą nagradza się świętych
Miłości bolesna – wynagradzająca cierpiących nagłym ukojeniem
Miłości bez roszczeń właszczących drugie serca
Miłości wyniosła – z którą warto przejść się między maluczkimi
Miłości cicha – potajemnie karmiąca wilcze szczenięta
a ptasim piskletom wyznaczająca lot orła
Miłości głęboka – bez potrzeby ratowania się tlenem znad wód
ciężkiego stania
Miłości syta – dla której poeta odda legowisko swoich wierszy
I ty miłości której imienia tu nie przywołałem – nie opuszczaj poezji
w niej bowiem jest klucz który wszystko odmyka

PROZA

Waldemar Jagliński

NIEBIESKIE WODY

Fale i wiatr jak ryczący mur. Jak wyrok i filary więzienia. I bezkresny *Świat Śmierci*. Jak spieniony i mglisty obraz kary zrodzonej z niedosytu i rozżalenia. Kary za zniszczenie *Odwiecznego Porządku*. Jak stwórcza i bezduszna zarazem *niebieska moc* co pochłania każdą bladą dłoń. Dłoń wyciągniętą błagalnie *ku milczącemu Niebu*. Fale i wiatr, i już tylko spóźnione wołanie…

Drugim biegunem jest kołysanie do długiego snu. Chwiejba do snu o *Nowym Świecie*, chociaż żywe wciąż twarze i fantomy *Upadłych* chyboczą się przy wysokich, żywicznych ścianach *Jedynego Domu*. Chociaż mocarne jeszcze niedawno ręce ześlizgują się po nich, choć bezowocnie próbują sięgać *aż do gromady świetlików*. Chociaż widać wciąż ciemne, krzaczaste głowy, sitę spojrzenia zmrużonych oczu i rozwarte w niemym krzyku usta. *I nowe duchy Olbrzymich Potomków Nieba i Ziemi, zjawy spiżowych, żarłocznych dziedziców. Na ołowianym, ciężkim nieboskłonie, jak w skrzydłach wielkiej złotawej ćmy, widać głos Niebios: łamiące się Wewnętrzne Drzewa Olbrzymich Żarłaczy, ich obraz z obrazu, ich przeobrażenia jak przebłyski aktu łaski. Widać też liczne grzechy przeszłości, co długo unoszone były na szerokich niebieskich skrzydłach ich ojców.*

Kołysani zaś w *Jedynym Domu* mówią o sobie: *ziarno!* albo *garść!* Żyją tam z małym blaskiem łuczywa, suną cicho po smolistych, dusznych izbach. I płyną, i płyną, i marzą wciąż i śnią. Zmierzają ku nowym dziejom. I od dawna mówią sobie: *Zdążamy ku świeżej zieleni porastającej świat u podnóża niezniszczalnych Błękitnych Gór! Płyniemy ku zieleni wyrosłej ze srogich wód. Ku zieleni dającej nowy oddech. Nowe życie!*

Nieliczni wybrańcy, albo blade *ziarna* unoszone falami, czekają ciągle *na pierwszy Promień. Na świat bez deszczu. Na Nowy Poranek skąpany w złocistym cieple.*

Pierwszym szczęśliwcem i marzycielem jest starszy, siwobrody mężczyzna. Wybrańcy nazywają go *Odpoczynkiem* albo *Pocieszycielem*. To człowiek prawy i sprawiedliwy, a więc *największy ulubieniec Niebieskich Wysokości. Ten, który posłuchał Niebieskiego Ojca i zbudował Pływający Dom. Jedyny Dom.* Ale to również *mąż i ojciec*. Jak czasem przyznaje, jest *pocieszycielem siedmiorga i piastunem rozkrzyczanych braci mniejszych, co po brzegi wypełniają tebah.* On jest *Prologiem*.

Towarzyszka siwobrodego to *Przyjemna, matka trzech rosłych synów*. Ta oto najczęściej *nosi światło w Jedynym Domu. Rozjaśnia pracę i odpoczynek wybrańców. Jak małe słońce dogląda i ogrzewa całe domowe stworzenie*.

Pierwszym jej synem jest *Biały*. *Pocieszyciel* zaś patrzył kiedyś w niebo i mówił: *To ojciec ludzi Północy, w mych mglistych wizjach przyszłości żyjących w świeżej zieleni porastającej skały i równiny w wielkim, Nowym Świecie*. Drugi to *Orlonosy, ojciec ludów piasku, ludzi wybranych przez Elohim. Przez Niebieskiego Orła o gwiaździstych skrzydłach i słonecznym spojrzeniu.* Trzecim synem zaś jest *Czarny*. *Pocieszyciel* mówił do swoich: *To zalążek ludzi Południa.*

Kobiety synów *Przyjemnej* krzątają się w mrówczej pracy. Ich mężowie mówią, że *są one jak wieczne kwiaty. Jak ciepłe, pomocne promienie w długim mroku oczekiwania. Są one nadzieją świata leżącego jeszcze w naszych marzeniach, u stóp dalekich Błękitnych Gór!*

Śniący na jawie wybrańcy widzą Siwobrodego, swego pocieszyciela. Pierwszy mężczyzna w *Jedynym Domu* wspina się *ku świetlikom*. W silnych dłoniach trzyma kruka. Dobrze wie, że *Promień żyjącego wciąż Słońca rozbłyska w uśpionym świecie burzy, a wiatr nie goni szarozielonych, spienionych rumaków. Stalowy świat zamarł w krótkotrwałym, złocistym świetle.*

Pocieszyciel wybrańców staje na czarnym dachu swego małego domu, unosi ramiona, szepcze coś do zbudzonego światła i wypuszcza ptaka. Kruk znika pod ołowianymi chmurami, żyje jednak nadzieja. Jest ona *jak zielone marzenia o niebieskich górach.*

* * *

Czarny ptak jak zwątpienie. Jak otchłań bez drogowskazów z gwiazd. Siwobrody *Pocieszyciel* nie widzi szmaragdowej gałązki. Nie widzi *Nowego Lądu.* Pusty dziób kruka otwiera się i wyrzuca niskie, chrapliwe *kra, kra!* Mężczyzna patrzy w czarne oko – obojętność skrzydlatego posłańca spycha go powoli w smolistą ciasnotę.

Stalowa powierzchnia wód znowu ożywa. Porusza się jak gigantyczny potwór. Lecz nie wyłania się już z niej żadna mocarna dłoń, żadna krzaczasta głowa i nadzieja *żarłocznych potomków Nieba i Ziemi.* Pędzą już białe grzywy falistych rumaków, oddech wiatru mocniej omiata *Jedyny Dom.* Znika złocisty korytarz - otucha dzieląca ciężkie chmury.

Słowa *Pocieszyciela* zamierają na drżących, bladych wargach. Ludzie opuszczają głowy i światła łuczywa. Siwobrody tuli jednak strapione dusze. Pociesza słowem i wskazuje *gromadę świetlików* – gdzieś wysoko, a może i całkiem blisko żyje przecież *Świat Najwyższego Ojca*. A ich *Jedyny Dom* walczy wciąż ze spienionym, morskim potworem. I dopóki tak jest, żyje również nadzieja.

* * *

Śniący na jawie wybrańcy widzą Siwobrodego, swego pocieszyciela. Pierwszy mężczyzna w *Jedynym Domu* znowu wspina się *ku świetlikom*. W dłoniach trzyma gołębia. Znów *Promień żyjącego wciąż Słońca rozbłyska w uśpionym świecie burzy*. A pocieszyciel wybranych staje na czarnym dachu swego małego domu, unosi ramiona i wypuszcza białego ptaka. Gołąb znika pod kłębiącymi się jeszcze chmurami. Nadchodzi czas wielkiego oczekiwania.

Jedyny Dom wspina się wytrwale na grzbiety fal, rozbija je tak, jak rozbija się wściekłość morskich potworów. Tak mówią do siebie wybrańcy. Tak pocieszają się *w osiem dusz* w ciasnych, smolistych izbach. I czekają, i płyną, i marzą wciąż i śnią. Zmierzają *ku nowym dziejom. Ku niewidocznym jeszcze błękitnym szczytom.*

A po długiej nocy nastaje dzień. Światło nieśmiało przebija się ku sfalowanej wciąż powierzchni stalowoszarych wód. Spomiędzy ołowianych chmur wytryska pierwszy silniejszy promień i uderza w morze. Posępny obraz ożywiają żółtopomarańczowe refleksy. Na złocistej ścieżce promienia pojawia się biały ptak.

Czarny dach *Jedynego Domu.* Stoi tam teraz czterech mężczyzn. Chwile zwątpienia przeplatają się z nadzieją. Wybrańcy patrzą w jaśniejącą przestrzeń. Uczepieni żywicznych świetlików – czekają na powrót białego posłańca.

To *Orlonosy* jako pierwszy dostrzega *gałązkę oliwną. Ślad Nowego Lądu. Zielony azyl. Znak Nowego Czasu.* Radosny krzyk młodego wybrańca mówi wszystko. *Pocieszyciel* uśmiecha się szeroko.

Biały posłaniec ląduje na jego ramieniu i wypuszcza z dziobu *symbol nadziei.* Potem wznosi się ponad *Jedyny Dom* i w jednym uderzeniu serca staje się uskrzydlonym, złocistym duchem. *Największym Pocieszycielem.* Zdumienie wybrańców wieńczy nowy radosny okrzyk. I dziękczynienie *Niebieskiemu Ojcu.*

* * *

Błękitne Góry to nie sen. To *Nowa Nadzieja* i prawdziwy ląd! Stałe oparcie dla utrudzenia i wiary. A żywiczny *Jedyny Dom* znajduje w nich ostatnią przystań. Wieczny spoczynek po długiej walce z wodami. I z każdym nowym wschodem wrasta w nie, staje się ich małym sercem.

Osiem dusz chłonie Nowy Świat – to jedna z ważniejszych myśli *Pocieszyciela*. A świat ów wygląda tak, jak w marzeniach *wybrańców* przez długie noce i dnie żyjących w ciasnych i ciemnych izbach *Jedynego Domu.* W smolistym *tebah,* którego wysokie drzwi zamknął kiedyś sam *Najwyższy. Na żywiczne belki położył niebieską pieczęć, swój podpis. Znak ów osłabiał i odrzucał nawet Żarłoczne Giganty* – mówili sobie wybrańcy, kiedy wody podniosły już *Jedyny Dom.*

Wybrańcy zrywają *pieczęć Niebios, Złotą Obręcz, która otwiera się pod dotykiem Pocieszyciela.* Potem otwierają wszystkie wrota *tebah – bracia mniejsi* zalewają góry i zieloną dolinę. Gdy wody wciąż opadają, zwierzęta próbują badać świeże połacie lądu. Siwobrody zbiera swoich i mówi: *Tęczowa armia śpiewających, porykujących i pełzających odchodzi. Idzie dalej, ku błękitnym horyzontom.*

Pierwsi ludzie *Nowego Świata* wyprawiają pierwszą ucztę. Siedzą przed pierwszym domem zbudowanym z *duszy tebah. Pocieszyciel* wybiera dorodne zwierzęta i składa ofiarę *Najwyższemu.* Niebo i wody stają się niebieskie, a ciepły, lekki wiatr pieści twarze wybrańców. Ludzie jedzą i śpiewają aż do zachodu.

Wtedy *Przyjemna* prowadzi wszystkich nad *Nowe Morze* rozciągnięte pod zielonym klifem. Jego wody wciąż są niebieskie, chociaż ogniste rozbłyski zachodnich promieni tańczą już tu i tam na delikatnych falach. A pierwsi ludzie tego świata stoją na szerokiej, piaszczystej plaży i chłoną świeże powietrze, chłoną *cały nowy czas.*

Krzyk *Białego* przywraca czujność *siedmiorga*. Przenika go zimny, pierwotny strach. Pierwszy syn *Przyjemnej* wskazuje ciemniejący horyzont. Ciemnoszarą, skalistą wysepkę, która zaczyna żyć. Ponad czarne zęby skał podnosi się atletyczny *Olbrzym Żarłacz. Potomek Nieba i Ziemi równy siedmiu mężom! Siłacz o kamiennych pięściach! Niszczyciel ludzi i zwierząt!* Obok niego powoli powstaje drugi, zradza się z odwiecznego zła, które dotąd dawało mu tchnienie.

Ludzie uciekają z plaży. Drżące stopy zsuwają się z wilgotnych skał klifu. Rośnie strach, łzy brużdżą blade policzki…

Pocieszyciel odwraca się ku morzu: chce zatrzymać *Żarłacze* choćby na chwilę. Chce się poświęcić *dla siedmiorga*. Do-

strzega wtedy, jak niebieskie wciąż wody unoszą się nagle w gwałtownej fali. Jak strzelają ku ognistemu niebu. Jak spomiędzy spienionych szczytów żywiołu wyłania się trzeci *Olbrzym*.

Ten wygląda jednak inaczej: jest prawie biały i otula go przejrzysty, złoty płaszcz. Płaszcz jak tarcza i zbroja.

Pocieszyciel stoi i patrzy. Inni zatrzymują się jak on. Zdumienie pierwszych ludzi wypiera ich strach. Widzą dużego mglistego *niby - motyla, niebieską nowinę* co zawisła nagle nad wielką, krzaczastą głową *cudownie wynurzonego*. Ponad bicie serca wznosi się własny szept *Pocieszyciela*:

- A oto nad Nowym Olbrzymem, jak w skrzydłach wielkiej złotawej ćmy, pojawił się nowy głos Niebios: świeże Wewnętrzne Drzewo, twór o trzech pniach! Lśniące, tęczowe dzieło! Oto obraz z obrazu duszy. Jakże piękny! Stworzony przez Wysokich Skrzydlatych. To dzieło jest jak akt wielkiej, ojcowskiej łaski. Jak nowa nadzieja!

A *Nowy Olbrzym* skacze na plecy *Żarłaczy*, złocistymi pięściami rozbija ciemne, krzaczaste głowy i powala martwe ciała. Niebieskie Wody przebijają się jeszcze w coraz szerszym, ognistym zachodzie. Pochłaniają dwie ciemne postacie, zamykają się nad nimi na zawsze.

Nowy Olbrzym upada na kolana i wznosi ku niebu mocarne ramiona. Z rozpalonego nieboskłonu strzela złoty promień: rozpływa się jak królewskie wody po jasnym ciele *Nowego*. Obrońca ludzi powstaje powoli i w czerwonych refleksach dziennej gwiazdy rusza pod skały klifu.

Osiem dusz cofa się odruchem *braci mniejszych*. Odruchem zamierzchłej przeszłości, gdzie światło myśli tłumił jeszcze pierwotny mrok strachu. Ale wilgoć skał znów zatrzymuje odwrót. Ludzie wstrzymują oddech.

Wtedy to *Przyjazna* dostrzega *nowe więzi* i zaczyna się szeroko uśmiechać. *Olbrzym* już wcześniej pochyla się nie opodal, nad kępami świeżych, szmaragdowych traw. Tam, gdzie rosną już wielobarwne kwiaty.

* * *

Kołysanie się mocarnego ciała, długie i pewne kroki po rudawym piasku, ciepłe oddechy i perspektywa ptaków. Perspektywa *uskrzydlonych* i pojednanych.

Pocieszyciel siedzi na prawym barku *Nowego Olbrzyma*. Mocarny przyjaciel śmieje się do niego i patrzy niebieskimi oczyma. *Pocieszyciel* spogląda w lewo - widzi uśmiechniętą twarz *Przyjaznej*. Piękna żona pierwszego mężczyzny nosi błękitną suknię. W prawej dłoni trzyma żółte i czerwone kwiaty – pierwszy dar od nowego obrońcy ludzi. Wokół nóg siłacza w beztrosce biegają młodzi wybrańcy – *nadzieja Nowego Świata. Zielony Prolog.*

Piła, wrzesień – listopad 2022

Katarzyna Gościniewicz

Agnieszka Moroz

(Recenzje z instagramowego bloga Poławiaczka książek)

Annie Ernaux „Lata"

Uratować coś z czasów, w których się już nigdy nie będzie.

„Lata" Ernaux to rodzaj osobistego traktatu o niemożności znalezienia punktu zaczepienia na osi czasu i samotności jednostki, która pozostaje bezradna wobec tempa jego upływu. To próba przyłapania czasu na gorącym uczynku za pomocą skrawków wspomnień i zapisanych w nich konkretnych szczegółów: smaków, zapachów, kolorów i marek produktów, używanych w różnych okresach życia, tytułów czytanych czasopism i książek, melodyjek reklamowych i propagandowych haseł z radia, migawek plakatów, gazet i telewizji, mieszających jak w tyglu obrazy podstarzałego Sartra, Jaruzelskiego w okularach mafiozy, kawy z mlekiem, którą Serge Reggiani popijał na boulevard Saint-Germain i poplamionej niebieskiej sukienki Moniki Lewinsky...

Ernaux zdaje się szukać najlepszego sposobu odmierzania czasu na indywidualnym, przynależnym jej odcinku. Niezależnie od tego, czy odlicza go centymetrami obcinanych włosów, długością rozrastającego się inwentarza posiadanych przedmiotów, loterią mód, przemian społecznych i politycznych, w których mimowolnie uczestniczy, stopniem blaknięcia starych szkolnych fotografii i zanikania w pamięci nazwisk osób, które na nich widnieją, czy wreszcie ilością przyjmowanych wraz z wiekiem leków, nie jest w stanie przejąć nad nim kontroli ani przeniknąć jego natury.

„Lata" Annie Ernaux to także książka o tym, jak każda z nas nieuchronnie staje się tą kobietą, którą tak bardzo nie chciała się stać. O utknięciu w ślepych machinach schematów, prowadzących tylko w coraz to nowe schematy. O instynktownym owczym pędzie i nieswoich marzeniach, które wszyscy podświadomie przejmujemy. Bo skoro społeczeństwo tej właściwej, „naszej" chwili uważa je za prawdę objawioną, do której w sztafecie pokoleń nie dobiegli dziadkowie ani rodzice - na tym tle jakże staromodni i dziaderscy - to znak, że właśnie za nimi trzeba podążać.

To wreszcie prywatny raport o stanie świata (w którym rację bytu straciło pojęcie nowości) i kolejnych pokoleń jego mieszkańców, którzy czując się siewcami oświecenia, pozostają tak naprawdę pyłkiem w Nietzscheańskiej klepsydrze wiecznego powrotu.

Fredrick Backman „Niespokojni ludzie"

Każdy, kto kiedykolwiek brał kredyt wie, że aby go dostać trzeba... mieć pieniądze. Drogie produkty kredytowe obniżające stopę procentową, wkład własny, stały etat i odpowiednio wysokie zarobki - to standardowe warunki, jakie bank narzuca przyszłym kredytobiorcom. A przecież pożyczka jest najbardziej potrzebna właśnie bankrutom!

Ten powszechnie akceptowany dziś absurd, w powieści „Niespokojni ludzie" zmienia ostatnią iskierkę nadziei w groźną iskrę, która wznieca pożary w kilku głowach. Oto, jak rodzą się naprawdę, ale to naprawdę głupie pomysły...

„Niespokojni ludzie" to bezsprzecznie powieść o potencjale filmowym. Coś na kształt skrzyżowania szalonego „Biegnij, Lola, biegnij!" z bezkompromisowymi „Dzikimi historiami". Jeszcze bardziej chciałabym jednak zobaczyć jej realizację na deskach teatru. Ta czarna komedia z kapitalnie wykreowanymi bohaterami i trafnymi (choć nieszczególnie świeżymi czy odkrywczymi) spostrzeżeniami na temat nietrwałości więzi partnerskich, samotności we dwoje i macierzyństwa w realiach współczesnego świata, mogłaby tam należycie wybrzmieć.

Dla mnie „Niespokojni ludzie" to przede wszystkim opowieść o bolesnym zderzeniu z dorosłością, która wymusza na nas podporządkowanie swoich marzeń z beztroskich młodzieńczych lat faktom. A fakty są takie:

1) w młodości mieliśmy akwarium z rybkami, które zdechły co do jednej. Teraz mamy dzieci;

2) dzieci kochają nas choćby tylko za to, że jesteśmy ich rodzicami, ale i tak nie chcemy ich zawieść;

3) wszyscy kochają Ikeę, ale nawet tam trzeba mieć pieniądze;

4) możesz obejrzeć film Lyncha o ludziach z głowami królików i uznać, że zaczniesz pracować jako królik albo spróbować napaść na bank bezgotówkowy. Sam zdecyduj, co jest głupszym pomysłem.

Książce „Niespokojni ludzie" daleko do ideału i z pewnością nie zadowoli większości doświadczonych czytelników, ale mnie rozbawiła. Czasami to wystarczy.

Valerie Perrin „Życie Violette"

Kiedy pani pod koniec podstawówki opowiedziała nam o Picassie i okresie błękitnym (...), postanowiłam, że reszta mojego życia będzie błękitna - opowiada Violette, a czytelnik już przeczuwa, że ten plan się nie powiódł. Albo raczej, że się powiódł, ale nie w takim sensie, w jakim ów błękit interpretowała bohaterka. Dorosła Violette zdaje się bowiem odziana w niebieski smutek...

Jej opowieść to historia o egzystowaniu na peryferiach- na drugim planie życia, z istnienia którego wszyscy zdajemy sobie sprawę, ale któremu na co dzień nie poświęcamy uwagi. O losach sieroty, której „niewiele potrzeba", o mieszkaniu przy szlabanie kolejowym, obok którego zawsze się tylko przejeżdża. O pracy dozorczyni cmentarza i jej pomocników. O bezdomnych kotach. O ludziach, po których zostają tylko urywki wspomnień i daty wyryte na wieczność w ciężkich kamiennych tablicach. O lęku, który nie pozwala nam żyć w zgodzie ze sobą ani podążać za marzeniami. O tajemnicach, niedopowiedzeniach i pozornie błahych błędach, które potrafią zaważyć na całym życiu...

Mimo to „Życie Violette" czyta się przyjemnie i lekko. Styl pisania Valerie Perrin ma w sobie delikatny i niespieszny liryzm w duchu francuskich piosenek, jakimi czytelnik ma chęć się otoczyć w chłodny styczniowy poranek. Całość autorka przyprawiła ponadto szczyptą wysoce przeze mnie cenionego, czarnego humoru, obudowanego wokół cmentarnej tematyki (byłam pod wrażeniem tego, z jaką kreatywnością ogrywa ten motyw, pisząc np. o samotnych kobietach, specjalizujących się w podrywaniu wdowców, którzy odwiedzają groby żon-nieboszczek czy o nastolatkach, przychodzących tam, by wywoływać duchy).

Gdyby nie dłużyzny, bez których powieść mogłaby się znakomicie obejść, „Życie Violette" zajęłoby wysokie miejsce w moim prywatnym rankingu.

Łukasz Orbitowski „Chodź ze mną"

Książki Orbitowskiego to opowieści stworzone do słuchania. Ujęte w konwencję monologu snutego przez jednego z bohaterów, który wraca wspomnieniami do przeszłości, płyną i wciągają niczym bystry nurt, rozchodzący się w strumyczki migotliwych, ozdobnych anegdot. Z przyjemnością wysłuchałam najnowszej z nich w formie audiobooka, w kapitalnej interpretacji Wojciecha Mecweldowskiego!

„Chodź ze mną" to historia romansu studentki stomatologii, Heleny Kreft i kapitana radzieckiego okrętu wojennego, Koli Narumowa – dwojga zakochanych, którzy postanowili, że zwiążą swoje losy na przekór całemu światu. Co ciekawe, autor oparł wątek romantycznej ucieczki tych dwojga do Szwecji na pokładzie skradzionego jachtu na prawdziwych wydarzeniach!

Zakazane uczucie, rodzące się w PRL-owskiej Gdyni, w lokalach, w których kelnerki roznosiły wódkę i plastry szynki konserwowej. Pojedynki na harpuny, pożyczone perły, pierwszy telefon stacjonarny i telewizja oglądana przez szybę sklepowej witryny. Konkurs o tytuł Najmilszej dziewczyny, podczas którego kandydatki smażyły jajecznicę dla jurora Cybulskiego i tajemniczy pojazd ufo z „Amerykańcem", który pewnego dnia tak po prostu spadł z nieba... Wszystkie te smaczki i sentymenty minionej epoki składają się na barwne, porywające tło powieści Orbitowskiego, na którym podziwiamy poczynania duetu charyzmatycznych bohaterów.

„Chodź ze mną" to jednak coś więcej niż tylko zabawna opowieść pełna fabularnych twistów i charakternych postaci. Ukazuje ona jak w ślad za obsesyjną miłością kroczą częstokroć: zawiść, zazdrość i destrukcyjne pragnienie zemsty. To również obraz nierozerwalnego łańcucha czasu, w którym przeszłość pozostaje nieodwracalnie związana z przyszłością, a drzewo genealogiczne ma gałęzie wprost proporcjonalnie długie do korzeni.

Żeby jednak nie przecukrzyć, muszę wspomnieć, iż poirytował mnie wprowadzony do powieści – niejako na siłę – realizm magiczny. Miał on za zadanie zamaskować uwidaczniający się w końcówce *lazy writing*, wyrastający prawdopodobnie z braku pomysłu na przekonujące wyjaśnienie zaskakującego przebiegu zdarzeń. Zamiast logicznego rozwiązania kluczowego wątku, czytelnicy dostają zatem rozczarowujące Hokus-Pokus…

Zofia Mąkosa „Makowa spódnica. Siostry"

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tradycja nakazuje kobietom przyjmować nazwisko męża. Zupełnie jakby wraz z zamążpójściem stawały się jego własnością. Lektura drugiego tomu dylogii „Makowa spódnica" uświadomiła mi jednak, że przez wieki kobiety nie miały nawet... własnych imion!

Teoretycznie je im nadawano, ale w praktyce nikt się nimi nie posługiwał. W XVII-wiecznej Europie żony i córki stanowiły bowiem część inwentarza, a kiedy „wiedzące" zielarki czy akuszerki zaczęto posądzać o czary i przeprowadzać nieuczciwe procesy, spisywano rzekome wiedźmy za pomocą określeń, takich jak: owczarzowa, rymarzowa, stara praczka, wdowa po Macieju Fliegerze, stara Girgin, mała Girgin itd.

Najnowsza powieść Zofii Mąkosy maluje piękne oblicza na owych białych plamach zapomnianych twarzy, ukazując trudną drogę kobiet do samostanowienia i godnego życia. Ich najważniejszą reprezentantką jest Rozala, która postanawia, że zostanie cyruliczką, mimo iż jest to zawód zarezerwowany dla mężczyzn. Symbolem siły i niezależności staje się zaś tytułowa makowa spódnica, którą należy nosić z dumą.

Kibicując Rozali, poznajemy jednocześnie dalsze losy innych, świetnie wykreowanych postaci z pierwszego tomu, takich jak balwierz Tytus, chłopiec imieniem Jakub, znaleziony w lesie przez przypadkowych wędrowców czy garbuska Wiga. Czytelnicy dowiadują się wreszcie, kto doprowadził do śmierci Doroty. Mogą także zgłębiać starannie oddane realia życia w XVII-wiecznej wsi (wspólne przędzenie gospodyń, mielenie żołędzi na mąkę czy usuwanie kamieni z pańskich pól) i mieście oraz poznać ówczesną kulturę pogranicza - głównie bliskich memu sercu terenów Brandenburgii (zachwyciły mnie opisy bartniczych rytuałów i atmosfera polowań na jelenie!).

Mąkosa wplotła do swojej powieści postaci historyczne, urozmaicając w ten sposób jej pieczołowicie tkane tło, a boleśnie realistyczny świat płonących stosów ubarwiła magicznym pierwiastkiem - domowymi duszkami, leśnymi boginkami i niesamowitym odejściem Wigi. Największa siła jej powieści tkwi jednak w przypominaniu, że kobiety nigdy nie były „dodatkami" do mężczyzn, a ich życie jest równie ważne i prawdziwe.

Tatiana Tibuleac „Lato, gdy mama miała zielone oczy"

Oczy mojej brzydkiej mamy były pozostałościami mamy obcej, przepięknej.

Kiedy rok szkolny w liceum Aleksego nareszcie dobiega końca, chłopak myśli już tylko o wakacyjnym wypadzie do Amsterdamu z dwójką przyjaciół. Zamierza poznawać miasto, odwiedzać coffee shopy i deliryczne krainy, a na końcu pójść wreszcie do łóżka z kobietą, choćby to była jedna z tych wystrojonych w perukę i spandex. Ostatecznie jednak ląduje zupełnie gdzie indziej - w wiejskim domku we Francji, gdzie spędza lato w towarzystwie znienawidzonej matki...

Naprawdę nie chciałam czytać tej książki. „Słuchanie" jak w pierwszych rozdziałach Aleksy opowiada o swojej mamie z nienawiścią i zarzeka się, że mógłby ją zabić, dotykało mnie - jako matkę jedynego syna - niemal osobiście. Z każdą stroną lepiej poznawałam jednak historię tych dwojga i nie mogłam już przestać czytać. Rozumiałam więcej i więcej, a poetycki tekst płynął jak muzyka, okrążając mnie ze wszystkich stron i zamykając na polu słoneczników na zawsze...

„Lato, gdy mama miała zielone oczy" to intymna opowieść o opuszczeniu i powrocie. O dojmującej samotności i inności, którą na przekór wszystkiemu można dzielić. O beznadziejnej tęsknocie za tymi, którzy odeszli i za tym, co nie wróci, a jednak istnieje poza czasem, w naszej pamięci.

Piękny, poetycki język pełen fraz, które ma się ochotę bez końca cytować oraz impresjonistycznych obrazów, przesyconych światłem słonecznego lata i kolorami wiejskiego domku gdzieś na południu Francji, nadaje powieści wyjątkowy smak!

Czytajcie, jeżeli chcecie przeżyć małe książkowe katharsis. Gdy jesteście gotowi płakać i jeśli lubicie się śmiać, śledząc drobne sytuacyjne śmieszności i zwykłe ludzkie słabości. Tibuleac odwzorowuje je znakomicie! Tak jakby czerpała garściami z czyjegoś życiorysu. Być może faktycznie to robi.

Andrew Smith „Księżycowy pył"

Kiedy Władimir Komarow został przymuszony do dokowania w kosmosie statkiem Sojuz 1, pełnym niebezpiecznych wad technicznych, dla upamiętnienia 50. rocznicy rewolucji październikowej, miał 26 godzin na kontemplację własnej śmierci, po czym zaczął spadać w pełnej świadomości, z prędkością 650 km/h.

Co się stało z innymi astronautami - dziećmi misji Apollo, które spadły na Ziemię w mniej dosłownym sensie? Dlaczego w 1969 roku polecieliśmy na Księżyc, a dziś tego nie robimy? Na te i wiele innych pytań odpowiada Andrew Smith w fenomenalnym reportażu „Księżycowy pył".

Jego opowieść rozpoczyna się w dzień upalnego lata - 20 lipca 1969 roku, kiedy to wraz z przyjacielem odbywa szalone przejażdżki rowerowe w oczekiwaniu na dalszy ciąg księżycowej transmisji i informację, że Neil Armstrong wreszcie postawił stopę na srebrnym globie. Gdy tego wieczoru Smith siada na ganku swojego domu w piżamie w niebieskie kosmiczne statki i patrzy na tarczę Księżyca z myślą „Armstrong i Aldrin teraz tam są", zdaje sobie sprawę, że od tej chwili świat zmienił się bezpowrotnie. Wspomnienie tych godzin będzie następnie powracać do niego przez całe życie, aż postanowi odnaleźć dziewięciu nadal żyjących astronautów, którzy stąpali po Księżycu i sprawdzić, jak potoczyły się ich losy.

Książka „Księżycowy pył" jest pełna zaskoczeń. Zanim ją przeczytałam, byłam przekonana, że astronauci z misji Apollo to dzieci szczęścia, które oddychają powietrzem o wysokim stężeniu satysfakcji. Do diabła, przecież ci ludzie dotarli na Księżyc! Ale Smith odwraca tę perspektywę, pytając: „Dokąd iść, kiedy było się już na Księżycu?". I jak się okazuje to pytanie ciąży większości owych szczęśliwców, a każdy z nich radzi sobie z nim w zupełnie inny sposób.

Edgar Mitchell zamienił naukę na newageową mistykę z hologramami i Tańcem Uniwersalnego Pokoju (który autor musiał odtańczyć, śpiewając: jestem Słońcem, jestem lśnieniem...). Alan Bean został malarzem, próbującym uchwycić na płótnie sceny z księżycowych misji. John Young stał się kosmitą w pełnym sensie tego słowa. No i jest jeszcze Buzz Aldrin. Latał na Księżyc, ale nie potrafi zrobić kawy... To trzeba przeczytać!

Agnieszka Moroz

Agnieszka Moroz – literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka Marszałka Województwa Lubuskiego i (dwukrotnie) Prezydenta Gorzowa Wlkp. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@polawiaczkaksiazek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

Adrian Skoczyński

Sutra Serca – albo laicyzacja z chińską charakterystyką w soczewce mitorealizmu

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Owo proste i zwięzłe przysłowie dotyka jednej z najbardziej problematycznych i trudnych do zlustrowania prawd – czyli kwestii relacji pomiędzy ludźmi a Bogiem (tudzież bogami). Pomimo aktualnego tryumfu ateizmu za Wielkim Murem, Yan Lianke nie powątpiewa o ciężarze gatunkowym wspomnianej relacji i zaprasza czytelnika do świata, w którym bogowie nie tylko istnieją, ale oddychają, martwią się i cierpią na amnezję, zupełnie jak ludzie.

Z właściwym mieszkańcom Państwa Środka pragmatyzmem i rozmachem, Yan Lianke bierze na swój warsztat nie tylko bóstwa chińskie, ale także Jezusa czy Mahometa, tworząc w ten sposób mozaikowy panteon bóstw, które pomimo swych różnic, wspólnymi siłami starają się uczynić świat lepszym.

Jak wygląda chińska, mitorealistyczna relacja bóstw z ludźmi? Jak Wang bogom... i jak bogowie Wangowi?

Religia w "objęciach" państwa

Świat przedstawiony Sutry Serca to skąpo oświetlona scena, na której obok ludzi i bogów występuje także trzeci – ale nie trzecioplanowy aktor – to jest polityka. Akcja powieści toczy się bowiem w fikcyjnym Centrum Kształcenia Religijnego, powstałym przy położonym w centrum Pekinu Uniwersytecie Administracji Publicznej.

Placówką kieruje wyznaczony przez władze dyrektor Gong:

Dyrektor Gong początkowo pracował w Akademii Wychowania Fizycznego, ale ponieważ Uniwersytet Administracji Publicznej znajdował się bliżej jego miejsca zamieszkania, przeniesiono go właśnie tam. Specjalizował się w sporcie ludowym, który starał się przemycić do programu edukacji religijnej. Wykorzystując zgromadzone na przestrzeni lat doświadczenie, w ubiegłym roku rozpoczął prace nad monografią *Sportowe przeciąganie liny jako metoda łagodzenia konfliktów międzywyznaniowych*.[1]

Mimo iż dyrektor Gong nie jest religioznawcą ani czcicielem żadnej z wyznawanych przez swoich podwładnych religii,

(...) odkąd przeniesiono go ze znajdującej się poza Piątą Obwodnicą Akademii Wychowania Fizycznego do tymczasowo afiliowanego przy Uniwersytecie Administracji Publicznej Centrum Kształcenia Religijnego i awansowano z adiunkta na profesora, lepiej niż ktokolwiek inny zdążył poznać zbiorową mentalność każdej z religii. Grupę buddystów cechowała łagodność i przywiązanie do konwencji, taoistów arogancja i swobodne podejście do życia. Katolicy i protestanci mieli szczególną skłonność do zacierania granicy między dobrem i złem, do tego publicznie odgrywali zgodną rodzinę, a za zamkniętymi drzwiami najchętniej by się nawzajem powyrzynali. U muzułmanów z kolei uderzał egoizm i ambicja, by prześcignąć innych.[2]

Życie studentów oraz kadry uczelni kierowanej przez aparatczykowego "wuefistę" siłą rzeczy obraca się wokół rywalizacji sportowej. Organizowane przez dyrektora Gonga zawody w przeciąganiu liny z miesiąca na miesiąc kuszą uczestników coraz wyższymi nagrodami finansowymi, toteż z czasem, nawet mniej entuzjastyczni uczniowie ulegają sportowej gorączce.

W powietrzu dało się wyczuć napięcie i determinację. Duchowi mistrzowie nie byli już dostojnikami religijnymi, wysłannikami tego czy innego boga; lina, którą dzierżyli w dłoniach, ściągnęła ich na ziemię, do ludzkiego świata zwycięstw i porażek. Nawet najbardziej posunięci w latach mnisi i kapłani,

zasiadający w pierwszych rzędach, powstawali z miejsc i gromko wykrzykiwali: „Dawaj! Dawaj!", by dodać animuszu młodym.

W końcu, po długich zmaganiach, jedna z drużyn osiągnęła wyraźną przewagę. Protestanccy pastorzy, bladzi z wysiłku jak Matka Boska w najtrudniejszym momencie porodu w stajence, byli bliscy przeciągnięcia imamów na drugą stronę.

– Allahu, dlaczego nie pomożesz swoim wiernym synom! Allahu, dlaczego nie pomożesz swoim wiernym synom!3

Religia z centrum życia swoich wyznawców zamienia się zatem w pretekst, czy też pozbawioną znaczenia etykietkę, będącą nie tyle rdzeniem ich tożsamości, co raczej wejściówką na dobrze płatne, świeckie zawody.

A kiedy do nieba płyną tylko skargi i usilne prośby, bogowie milczą. Tryumfy święci natomiast "integracja międzyreligijna w społeczeństwie socjalistycznym".

Między bogami, pieniędzmi i miłością

Głównymi bohaterami powieści jest dwójka osieroconych, wkraczających w dorosłość studentów, którzy od dziecka wychowywali się we wspólnotach religijnych, tj. raczej pomiędzy bogami niż ludźmi. Yahui to żarliwa buddystka, a uganiający się za nią Mingzheng to ekscentryczny adept taoizmu.

Kiełkujące pomiędzy wyznawcami dwóch największych religii Chin uczucie zostaje wystawione na liczne próby. Obok restrykcji religijnych i zderzenia z bogami, kochankowie zderzają się także z chińską rzeczywistością. Chęć wtopienia się w tłum "zwykłych par" wymaga bowiem wedle chińskich standardów posiadania własnego mieszkania oraz dobrze płatnej pracy.

– Chciałabyś zostać w Pekinie i uczyć się tu dalej, prawda?

Yahui przytaknęła skinieniem głowy.

– Naprawdę jesteś nowicjuszką i nie masz jeszcze osiemnastu lat? – kontynuował.

– Mam – odpowiedziała Yahui.

– Zapytam cię więc poważnie: czy chciałabyś wstąpić do Partii?

Yahui osłupiała.

– Ale jakiej partii?

Dyrektor Gong zaśmiał się:

– A to jest jeszcze jakaś inna partia?[4]

Zarówno Yahui jak i Mingzheng są nieustannie wodzeni na pokuszenie obiecującego sukces oraz pieniądze konformizmu i... oboje tej pokusie ulegają. Miejsce "starych bogów" zajmują z czasem "nowi bogowie": pieniądze i stabilizacja. Nauka płynąca z życia na kampusie Centrum Kształcenia Religijnego brzmi bowiem: to pieniądze rozwiązują wszystkie życiowe problemy, a nie Bodhisattwa czy Laozi.

Mimo iż ostatecznie Yahui i Mingzheng porzucają pogoń za chińskim rajem (czyli kuriozalnie drogim mieszkaniem w centrum Pekinu i ciepłą posadką), to cena, jaką płacą za powrót na łono religii jest bardzo wysoka – z biegiem akcji oboje własnowolnie dokonują aktu autokastracji, który w świecie mitorealizmu jest rodzajem mrocznego proroctwa mówiącego, że stanowią oni ostatnie pokolenie ludzi gotowych na poświęcenie swego życia bogom.

Sutra... czy kandydatka do indeksu ksiąg zakazanych?

Już po kilku stronach lektury może uderzyć czytelnika fakt, że Sutra Serca wbrew swemu tytułowi, nie jest wcale zbiorem świętych prawd. Obrazoburcze dialogi między poszczególnymi bóstwami czy autorskie opisy ich "perypetii" mogą być dla bardziej konserwatywnych czytelników stosunkowo odstręczające. Warto jednak odnotować, że w odróżnieniu od europejskich pisarzy, Yan Lianke najzuchwalej podszedł nie do chrześcijaństwa, ale do buddyzmu – vide scena wysłania Bodhisattwy do pracy w burdelu (de facto, jeden z najbardziej przejmujących i poruszających obrazów w tej książce). Nie można zatem odmówić tworzącemu za Wielkim Murem pisarzowi odwagi w realizacji swojej wizji artystycznej. W Sutrze Serca to opowieść rządzi niepodzielnie tak ludźmi, jak i bogami.

– Spójrzmy na to jak na opowieść – kontynuował, wyciągając nogi z krwawej kałuży. – W końcu wszystkie te wasze religie polegają na snuciu opowieści i wierzeniu w nie, nieprawdaż? Bez opowieści nie byłoby bogów. Wiara to opowieść. Świat rządzony jest przez opowieść. Ludzie żyją na świecie dla opowieści.5

Sutra Serca to lektura długa i usiana wieloma, niejednoznacznymi meandrami. Snop światła rzuca na tę pogrążoną w mroku opowieść posłowie tłumaczki – dr Joanny Krenz – pt. Sutra Serca – Przyczynek do egzegezy, w którym sinolożka pochyla się nie tylko nad samą książką, ale również nad obrazem kraju, w którym to dzieło powstało i potencjalnym wpływem jego realiów na świat przedstawiony.

Oprócz wiernie przetłumaczonej warstwy tekstowej, na uniwersum Sutry Serca składają się także piękne, tradycyjne chińskie wycinanki autorstwa Shang Ailan, które układają się w rodzaj transcendentnego komiksu, przedstawiającego historię miłości pomiędzy Bodhisattwą a Laozi. Po co bogowie mają ze sobą walczyć, kiedy zamiast tego, mogą się w sobie zakochać?

Można krytykować Yan Liankego za narracyjną brawurę i ingerowanie w życiorysy bogów, ale kto wie, czy te same bóstwa nie są mu wdzięczne za prawo do cieszenia się słodyczami zarezerwowanej dotychczas tylko dla śmiertelników miłości.

Adrian Skoczyński

Yan Lianke, Sutra Serca, tłum. Joanna Krenz, PIW, Warszawa 2023.

---

1 Wszystkie cytaty za: Yan Lianke, Sutra Serca, tłum. Joanna Krenz, PIW, Warszawa 2023, s. 61.

2 Tamże, s. 65.
3 Tamże, s. 72.
4 Tamże, s. 147.
5 Tamże, s. 244.

Elżbieta Musiał

Navigare

Powróciłam do poetyckich refleksji **Andrzeja Kosmowskiego** po dziewięciu miesiącach. Mniej więcej tyle czasu upłynęło od ukazania się jego tomu **„jeszcze jedna noc"**. Lubię w poezji wiecznotrwałe rozmyślania o „żeglowaniu" „*stąd / do tamtąd / zgodnie ze wskazówkami /empirycznej geografii*". Chętnie więc wniknęłam ponownie w aurę tej liryki i zespoliłam się z dojrzałością rozważań, zwłaszcza że jak na tarczy zegara widać w nich zmieniające się postrzeganie świata zależne od położenia, w jakim znajduje się bohater liryczny. To perspektywa decyduje w dużej mierze o jego pejzażu wewnętrznym i samych wierszy. A są one lustrem stanów myślowych i konceptualnych narratora, uzmysławiającego sobie wagę powiązań z otaczającą go rzeczywistością. Przewartościowania, do których dochodzi, zyskują wymiar również duchowy. Bo jest to wyprawa w głąb siebie, najbardziej bezkresna, jak „*szlak ku nicości*".

płynąć
chociażby dany ci akwen
był już nie większy od
szklanki z wodą
na stoliku nocnym

płynąć
chociażby jedynym wiatrem
zaplątanym w twoje żagle
był coraz płytszy oddech

płynąć
chociażby nawet morze
straciło wiarę w swoją
własną misję

płynąć

(*navigare*, s.15)

Zwykle przy czytaniu ofiarowanych mi i należących do mnie książek zaznaczam fragmenty, które rezonują ze mną bądź w jakiś sposób charakteryzują autora i dzieło. I tym razem w tomiku Andrzeja znalazły się „ołówkowe" ślady mojej z nim rozmowy. Na użytek tekstu skorzystam z niektórych zakreślonych cytatów. W powyższym wierszu zadziwiła prostota, z jaką wypowiadane są wcale niełatwe konstatacje. Bo jak dookreślić psychikę czułą na ubywanie, jak mówić o dochodzących do głosu biologicznych ograniczeniach, które kompensowane są coraz dłuższymi chwilami zadumy nad istotą życia. Jak zmierzyć się z wewnętrznym morzem, gdy „*przypływ / odpływ / zaskakująca nieistotność wiatru / zaskakująca nieistotność nas*". Uderzająco trafna diagnoza stanu ducha zawarta jest i w tych kilku słowach zawieszonych w spirytualnych przestrzeniach. Z jednej strony autystycznych, a z drugiej otwartych na nieskończoność. Czy to nie zadziwiające, że język poezji zdolny jest łączyć pozorne przeciwstawności i ogarniać wszystko metaforą? Ten fenomen znajduję w wierszach Andrzeja Kosmowskiego, które są poezją w czystej postaci. Poezją, która dokonuje się również w czytelniku.

i kim się staniesz
gdy nieprzychylne wiatry wepchną
twoją śmigłą łódź
między wyniosłe słupy heraklesa
i nagle otworzy się tajemnicza
księga bezkresnego wzburzonego oceanu

(geografia antyczna albo ojcowskie przestrogi dla eutymenesa z massalii, fragm., s. 23)

Andrzej już we wcześniejszych tomach (np. „Atlantyk jest wszędzie" z 2016, „ocean zdjął wiatr z moich żagli" z 2020/2021) w swoim obrazowaniu uciekał się do nieprzeniknionego misterium morza, jakby w tym żywiole najlepiej przeglądał się jego własny; „*powierz swoje oczy gwiazdom / i wodzie / falującej w odwiecznym rytmie*". Dawniej wiele pływał i opływał lądy. Nic więc dziwnego, że „oceaniczną" przenośnię przyhołubił jak coś własnego. A trzeba przyznać, że w jego wykonaniu przemawia do wyobraźni. Jest tyleż samo obrazowa, komunikatywna, co i nieuchwytna, tajemnicza, niemal bezimienna. Mamy tu do czynienia z metaforą totalną i pojemną. Pomieści i samotność, znikomość i kruchość życia wobec potęgi oraz lęki i niewyrażalne. A nawet wszystkie wewnętrzne mapy.

bezgwiezdne niebo
ciemność we mnie
jest chyba zazdrosna

(**** bezgwiezdne niebo*, s. 33)

Raporty wewnętrzne lirycznego „ja" nie są wyłącznie zmaganiem się z upływem czasu czy pogrążaniem w NOWEJ OBECNOŚCI, one nawet bardziej są oswajaniem jej, wejrzeniem w nią czy też wyceną wartości wcześniej odraczanych. Obserwujemy, jak dochodzi do zmiany zapatrywań, przeformatowania. Pomagają w tym bodźce tak subiektywne, jak i zewnętrzne. I jedne, i drugie wpływają na kształt i kondycję psychiczną podmiotu. Niepodobna by niedawne zderzenie człowieka z wirusem covid i „*dług tlenowy*" nie odcisnęły swojego piętna; „*kwarantanna – / na naszej ławce / tylko para wróbli*" (**** kwarantanna*, s. 47). Praktyki pushbacków na granicach również znalazły miejsce w refleksjach. Jakież było moje zdziwienie, gdy dowiedziałam się, co było impulsem do napisania wiersza cytowanego poniżej. – Jest chyba najstarszy w tym zbiorze – wyjaśnił Autor. – Powstał ponad 20 lat temu w Teksasie i tyczył płotu między USA a Meksykiem. I nagle stał się aktualny.

dopiero skutecznie wymieciony
na drugą stronę zasieków
płacz
znów staje się godny
humanitarnych wzruszeń
dwa państwa z zapałem
grają w zbijaka
i nie biorą jeńców

(*granica*, fragm., s. 89)

Małe i duże impulsy wpisują się w ten liryczny świat. A niekiedy intensywne przeżycia spadają w wiersz niczym mocne akcenty: „*wigilijna śmierć*", „*sylwestrowy pogrzeb*" i „*poczucie zdrady / prawdziwsze / niż moja wiara*". Presja zewnętrzna i wewnętrzna pracują jak koła napędowe nieustającego poetyckiego namysłu. „Stań się kim jesteś" głosił współczesny filozof Gilles Deleuze. Kim jesteś wobec nowych okoliczności – chciałoby się dodać. Tak, uzmysłowienie sobie wszech siebie we wszech rzeczywistości jest bodaj głównym nurtem poezji Andrzeja, nurtem, który zasilany jest przez zdarzenia codzienne i nadzwyczajne.

z każdym krokiem
tamta niedokończona rozmowa
sprzed niespełna roku
o istocie bytu
sensie trwania
i dziedzictwa
gwałtownie zatopiona
ostatnią covidową falą
niezrozumiałą jak błysk noża
w rękach szaleńca
intensywniej domaga się
niemożliwej kontynuacji

(*zaduszkowy poranek*, fragm., s. 70, 71)

Są więc te i inne wiersze, z tego i wcześniejszych tomików swoistą kroniką, poetyckim zapisem ubywania i godzenia się na upływ czasu, Heraklitowych (co do zasady) zmian i niezliczonych wypraw w głąb siebie. Ale i uznaniem logosu, tej wewnętrznej racjonalności prowadzącej do wzrastania.

nigdy nie ufaj czasowi
nigdy nie ufaj naszym czasom
róże zawsze więdną
zbyt wcześnie
zwłaszcza te szklarniowe

(*czas pandemiczny*, fragm., s. 40)

Myślące wiersze i myślenie wierszem proponuje nam Andrzej Kosmowski również w tym, ósmym poetyckim tomie z 2022 roku **„jeszcze jedna noc"**, na którego okładce widnieje obraz Marii Wollenberg-Kluzy o znamiennym tytule „Ucieczka z miasta".

Elżbieta Musiał

Andrzej Walter

Wojna to stan umysłu

„Wojna to stan umysłu, w którym przemoc, strach, gorycz, nienawiść i ból rezonują równie namacalnie jak radość, spokój, przyjaźń i miłość w świecie, który na co dzień nas otacza. To odwrotność normalności, zaprzeczenie tego, co kojarzymy z równowagą. Można nie być na wojnie, jednocześnie jej doświadczając, można też tam być, jej nie dostrzegając. Ja byłem i doznałem…"

Tak rozpoczyna swoją niesamowicie napisaną opowieść pułkownik Marcin Szymański, autor dwóch znakomitych książek opisujących - wojnę w Afganistanie, dwudziestoletnią wojnę pomiędzy NATO a … no właśnie, a kim? Afganistanem? Czy imperium zła, którym stał się światowy terroryzm, ale o tym za chwilę. Przyjrzyjmy się przez moment autorowi.

Nazywam się Marcin Szymański, byłem dowódcą grupy bojowej w Afganistanie. Chcę Ci opowiedzieć historię, która jest częścią tragicznych kolei losu tego kraju. Lata temu, kiedy jako młody oficer zaczytywałem się w wojennej literaturze, trafiło w moje ręce kilka pozycji opisujących walki w Hindukuszu. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie te historie. Przeczytałem szereg zeszytów dokumentujących krwawe doświadczenia Rosjan i Brytyjczyków. Jeden z anglosaskich tytułów w tłumaczeniu na język polski brzmiał „Wojownicy górskich dróg". Ten przekaz mocno zapadł w moją pamięć. Czytałem po nocach, bez wytchnienia – nie przypuszczałem wówczas, że stanę się jednym z nich: „wojowników górskich dróg". Nie spodziewałem się też, że moja historia wypełni kolejny rozdział afgańskiej opowieści.

W góry trafiłem w dwa tysiące ósmym roku, dowodząc batalionem piechoty. Dobrze pamiętam dzień, w którym na jednym z poligonów wezwano mnie do namiotu dowódcy Wojsk Lądowych. Generał uścisnął mi dłoń i powiedział: „Panie Szymański, pojedzie pan ze swoim batalionem do Afganistanu, szykujcie się". Trudno opisać to, co czułem, słysząc te słowa. Domyślałem się, że to się wydarzy, z drugiej jednak strony człowiek nigdy nie jest gotowy na taką wiadomość. Za kilka miesięcy mieliśmy się znaleźć w legendarnym Hindukuszu… Miałem wykorzystać ten czas, aby przygotować dowodzoną przeze mnie jednostkę i siebie samego do wielkiej próby. Nie byliśmy komandosami rodem z filmowych produkcji, nie byliśmy elitą elit ani nawet agentami tajnych służb. Nie było wokół nas żadnej otoczki, legendy – żadne media, żadna chwała, żadne spektakularne akcje. Stanowiliśmy zwykłą, cholerną piechotę, którą nikt się zbytnio nie przejmował. Byliśmy chłopakami od czarnej roboty, nikt z nas nie marzył o pochwyceniu bin Ladena, nikt też nie miał złudzeń co do tego, że dokonamy jakiegoś wielkiego przełomu.

Nie da się zrozumieć dzisiejszych czasów, pojąć szerokiego spojrzenia na XXI wiek nie rozważając tego, co wydarzyło się 11 września 2001 roku i tego co nastąpiło potem, a trwało aż do „przedwczoraj", czyli do wycofania się wojsk koalicji, a finalnie amerykanów z Afganistanu. Byliśmy na wojnie. Nasze państwo, Polska, również przez dwadzieścia lat pozostawało (jako członek NATO) w stanie wojny. Czy ktoś z was, czytelników, to zauważył? A może zapytam inaczej, czy choć to zauważał w swej codzienności? Znam odpowiedź, wszyscy znamy, ale może warto pochylić się nad tymi wydarzeniami, nad światem w wersji globalnej i nad tym, po cóż nam w ogóle była cała ta awantura? Wiem, wiem, wylano już na to tony atramentu, zadrukowano setki stron, wyśmiano Amerykę i Amerykanów, tę przedziwną wojnę nowych czasów oraz całość tych dwudziestu lat wsadzono do archiwum dziejów, a to ogromny błąd. Ten odległy kraj, dziki i nieprzystępny, leżący na styku współczesnych (niemal wszystkich) imperiów (albo ich interesów) okazał się być areną ważnych wydarzeń o echu światowym i międzynarodowym. Przecież my przegraliśmy tę wojnę!? A może jednak nie? Czy ma to dziś jakiekolwiek znaczenie? Ja sądzę, oczywiście, że ma ogromne. Pan pułkownik Szymański sądził podobnie i zdecydował się napisać (już dziś) dwie książki. I to jakie książki. Książki napisane praktycznie przez profesjonalnego pisarza, pozwalające snuć rozważania czy Pan pułkownik jest lepszym żołnierzem, dowódcą i wojownikiem czy lepszym bajarzem, opowiadaczem i pisarzem. Piszę to oczywiście zdystansowany do tych rozważań, acz książki pochłonąłem błyskawicznie, narracja jest gęsta, wielopłaszczyznowa, pytająco-rozważająca i myśląco dziwiąca się światu i jego objawom, a jednocześnie jakaś taka domowa, choć niełatwo o to na wojnie, to przyjaźń i wartości czujemy podskórnie, przygodę – świetnie opisaną mamy na tacy, do tego mamy setki refleksji, zaskoczeń, zwrotów akcji i reportażu, że hej, żywego, pełnego, opisanego z polotem, fantazją i finezją. Doprawdy nie wiedziałem, że nasze Wojsko Polskie ma dziś w swoich szeregach takich pisarzy. Autorowi zatem, z całego serca gratuluję i czekam na trzecią książkę, bo wiem, że powstaje. Wróćmy do wojny.

W sieci znajdziecie tysiące materiałów oceniających i opisujących te wydarzenia. Afganistan jako kraj, kraina nigdy nie miał szczęścia do spokoju. Nie będę się cofał zbytnio w swoim spojrzeniu historycznym. Ograniczę się do perspektywy własnego życia i własnych doświadczeń. Wojna sowietów z lat osiemdziesiątych była jednym z głównych czynników bankructwa systemu komunistycznego i tego co się wydarzyło potem, po przyjściu do władzy Gorbaczowa, upadku Muru Berlińskiego i transformacji systemowej z socjalizmu na kapitalizm. Mało? Rosjanie tę wojnę również przegrali. Amerykanie, walcząc z nimi wtedy zakulisowo sami stworzyli zalążki atmosfery do rozwoju światowego terroryzmu właśnie tam. Potem nastąpił 11 września 2023 i jakkolwiek by na to nie spojrzeć był to bezprecedensowy atak na nasz świat i naszą cywilizację Zachodu. Późniejsze akty terroru w Londynie i innych miejscach Europy tylko to potwierdziły. Zatem czy naprawdę ta wojna była bez sensu? Na wszystko należy patrzeć z perspektyw wielu lat, perspektyw mądrze ocenianej historii oraz rozsądnych analiz geopolitycznych. Wtedy widzimy więcej, oglądamy dalej i jesteśmy w stanie uchwycić całość. Wtedy też można się nauczyć czym są: honor, ojczyzna, patriotyzm, przyjaźń, miłość i tęsknota, wymieniając przykładowo cechy kształtowane przez ważne opowieści o ważnych wydarzeniach i ludziach, którzy to przeżyli będąc częścią większej, czasem trudnej do ogarnięcia całości, która do

czegoś zmierzała. Tak było i z tą przegraną, straconą, sprzedaną czy zmarnowaną (niby) wojną w Afganistanie. Jak to jest, że po tej wojnie nastąpił wzrost średniej długości życia w Afganistanie: z 56 lat do 64 lat. Wzrost PKB: od około 4 miliardów dolarów w 2002 roku do ponad 19 miliardów w 2020, wzrost wskaźnika alfabetyzacji z 8% do 43%, spadek śmiertelności niemowląt: z 53 procent do 23 procent na 1000 żywych urodzeń, wzrost liczby szkół z 3000 do 18000, a liczby uczniów do 9,7 miliona z czego 42 % stanowią dziewczynki. To oczywiście są sukcesy. Były i porażki, z czego największą są ludzie, którzy zginęli, nierozwiązane stare problemy i jak podnosi wielu nieadekwatność osiągnięć do poniesionych kosztów.

Spójrzmy jednak na nasz kraj, na Polskę, co myśmy zyskali będąc częścią NATOwskiej koalicji? W mojej opinii bardzo wiele, w tym rzecz bezcenną – dzisiejsze bezpieczeństwo wobec przyśpieszających wydarzeń na świecie czyniących ten świat miejscem niestety coraz mniej bezpiecznym. O konsekwencjach dalej idących przekonamy się dopiero w przyszłości, może nie takiej odległej.

Pułkownik Marcin Szymański w swoich bardzo dobrych dwóch książkach „Na sprzedanej wojnie" oraz „Zakładnicy piekła" zabiera nas nie tylko do Afganistanu, na wojnę, na przedziwną wojnę, wojnę jakiej nie znaliśmy, ale zabiera nas też w ów „stan umysłu", do swojego pięknego świata – świata umiejętności dostrzegania uroku zwyczajnego wschodu słońca, świata głębokich duchowych przeżyć, mądrych refleksji, przemyśleń i widzenia spraw z ogromną wyobraźnią, z należytym dystansem i pytaniami, które przy okazji umiejętnego przekazania swoich osobistych wrażeń zadaje nieustannie czytelnikom, nawet pomiędzy wierszami. Widzę wyraźnie, że obaj jesteśmy z pokolenia jasnej strony mocy i walka z imperium zła jest w nas zakodowana. Pan Marcin

wałczył karabinem, potem dowodzeniem, strategią i instytucją, ja walczę jedynie piórem i to jest być może na dziś walka przegrana, ale dzięki taki autorom i takim postawom, a i też takim książkom podtrzymuje u siebie czasami wiarę w sens tej walki. A imperium zła to nie tylko Talibowie, Bin-Ladeny i Al.-kaida. To też marazm, obojętność, pogarda, brak pokory, kreowanie świata bez książek.

Szymański studiował w Stanach Zjednoczonych. Opisał taką scenę z tamtego czasu. Amerykański dowódca przyjechał kiedyś do tych żołnierzy i wprosiwszy z sali naszego Polaka – rodzynka, studenta zapytał jego amerykańskich kolegów – czy wiecie dlaczego „on" jest lepszy od was? Zapadło milczenie: - bo „on" czyta książki... Zatem powtórzmy już ten truizm. To książki kreują wyobraźnię, rozwijają słownictwo, umiejętność wyrażenia swoich myśli i nastrojów oraz bogactwo międzyludzkiej komunikacji. Książki czynią to najlepiej i niepowtarzalnie. A na potwierdzenie moich rozważań znów oddajmy głos pułkownikowi Szymańskiemu:

Ta wojna bardziej niż jakakolwiek inna toczyła się w umysłach ogarniętych jej koszmarem ludzi. W jądrze ciemności tkwią ludzkie emocje – nie ma tam racjonalnych kalkulacji. Goryczy, strachu, nadziei i nienawiści nie wyraża się cyframi. Będę więc kierował się w swojej ocenie poglądem człowieka, który doświadczył tego, czym jest wojenna rzeczywistość afgańskiego piekła. Nie dotknę polityki i ekonomii – pozostawię tu osąd specjalistom z tych dziedzin. Moją perspektywą pozostaną emocje i wartości.

Od dnia, w którym odleciał z Kabulu ostatni samolot, dręczą mnie trzy banalnie proste w swojej wymowie pytania. Czy było warto? Dlaczego się nie powiodło? Co straciliśmy? Od kilku tygodni czytam, słucham, szukam odpowiedzi gdzieś głęboko w sobie. Czy warto było postawić but na górskiej ścieżce w Hindukuszu? Odpowiem na to pytanie nie jako strateg czy polityk – wyłożę to, co myślę jako żołnierz. Aleksander Sołżenicyn sporo pisał o wolności. Zaznał świata bez niej, więc ufam jego osądom, choć nie we wszystkich kwestiach. Jedną z szerzej komentowanych jego wypowiedzi było wystąpienie na Harwardzie w 1978 roku. Mnóstwo lat temu – cóż to więc ma wspólnego z NATO, z wojną w Afganistanie? Otóż Sołżenicyn w gorzkich słowach przepowiedział zmierzch zachodniej cywilizacji – wskazał kryzys wartości jako podstawowy czynnik przyspieszający erozję systemu. Jego wypowiedź doczekała się wielu interpretacji, jedna z nich głosi, że kolejna wojna może pogrzebać zachodnią cywilizację. Nie ma tu mowy rzecz jasna o obracaniu w gruz europejskich stolic. Przedmiotem destrukcji ma być system wartości – kręgosłup moralny, na którym budowano fundamenty europejskiej tożsamości. Czy Afganistan jest tą właśnie wojną? Czy warto było kolejny raz sprawdzić, czy Sołżenicyn miał rację? Skala zaangażowania Zachodu i rozmiary porażki obficie karmią moje obawy.

I tutaj powinniśmy dziś wszyscy wstawić ogromną pauzę – przestrzeń do rozważań i namysłu. Sądzę, że zachodnia cywilizacja pogrzebie się sama, bez potrzeby wojny czy katastrofy tego typu: wystawiając wszystko na sprzedaż, stawiając na wszechogarniającą komercję, niszcząc korzenie, z których się ta cywilizacja wywodzi (a i owszem: judeochrześcijańskie), wierząc bezrefleksyjnie w naukę, technologię czy tak zwany postęp.

Kłaniają się tu słowa Peters Gretchen ze słynnej książki „Seeds of Terror" „Amerykanie mają zegarki, Talibowie mają czas"... które również przytoczył pułkownik Szymański.

Tyle, że powoli mamy tego czasu coraz mniej. Coraz głośniej syczy chiński smok, amerykańskie imperium zdaje się być na początku końca, a ludzie... no cóż, ludzie bez książek zaczynają być coraz głupsi, coraz podatniejsi na każdą półprawdę nagłośnioną medialnie na ekranach telewizji czy internetu, czy choćby własnych smartfonów, które stały się smyczami i obrożami jak z wizji katastroficznych zamierzchłej już literatury, a jak się okazuje wciąż aktualnej, tyle, że coraz mniej tu takich, z którymi da się o tym porozmawiać. Do tego dochodzą nowe atrakcje, pandemie, ruscy watażkowie, poligony pokroju zakończonego Afganistanu i toczącej się Ukrainy, a wkrótce głodu w Afryce i katastrof humanitarnych związanych z migracjami. Przyszłość nie jawi się zatem różowo. Powracamy zatem do konkluzji, że wojna to stan umysłu, a kiedy patrzę na to, co dziej się dziś ze światem: na „wojnę" prawicy z lewicą, PiS z PO, czy demokratów z republikanami w USA oraz wierzących z niewierzącymi, czy też kiedy patrzę na zaciekłość i temperaturę emocjonalną tych sporów nie wróżę dobrej przyszłości nam jako ludzkości. Wystarczy przypomnieć sobie co działo się jakiś czas temu w Waszyngtonie po wyborach. Spójrzmy jeszcze na pewną wojnę pokoleń w tak dynamicznie zmieniającym się świecie i na malejące statystyki urodzin i może wtedy mamy jakiś półpełny obrazek - koszmarek. No cóż, wojna to stan umysłu, a współczesny człowiek chyba zbyt długo chował się w czasie względnego pokoju i zaczął się z tego braku czytelnictwa potwornie nudzić, a owo znudzenie prowadzi go w coraz dziwniejsze rejony eksploracji. Obym się mylił.

Zachęcam do lektury książek pułkownika Marcina Szymańskiego „Na sprzedanej wojnie" (2022) oraz „Zakładnicy piekła" (2023), obydwie nakładem Wydawnictwa Bellona i obydwie w formie e-booków na czytniki, do tego dodam, że nie przypadkiem owe książki są przez czytelników bardzo wysoko ocenione, właściwie powinny być uznane za bestsellery wydawnicze, ale taki status dziś też się kupuje, co jest dalece żałosne i to właśnie kupczenie wszystkim powoduje psucie między innymi rynku wydawniczego i rozsądzania co jest dobre, a co jest chłamem. Potem mamy na listach bestsellerów nie dające się czytać pozycje literackich celebrytów lansowanych przez pewne salony poszukujące nie dobrej książki, a plugawego języka, który uznawany jest za nowatorski. Na szczęście czytelnik wie swoje, a póki co ta przestrzeń internetu jest jeszcze w miarę wolna i kierując się tymi kryteriami można wyszukać świetne książki bez kierowania się tym całym blichtrem przemysłu wydawniczego, który przecież też ledwie dyszy z uwagi na statystyki i poziom czytelnictwa.

Pułkownik Szymański napisał książki prawdziwe, szczere, żywiołowe, napisał je bardzo dobrze i profesjonalnie, z niekłamanym talentem literackim, z pazurem pisarskim i fenomenalnym instynktem reportażowym i narracyjnym. To jedne z lepszych książek, które ostatnio ukazały się na rynku, a biorąc pod uwagę wagę i powagę opisywanych wydarzeń z pewnością warto po nie sięgnąć.

Nie zapominajmy. Wojna to stan umysłu.

I tylko od nas zależy czy znowu gdzieś i kiedyś wybuchnie.

Andrzej Walter

Marcin Szymański „Na sprzedanej wojnie".

Wydawnictwo Bellona. Warszawa 2022, stron 350. ISBN: 9788311165267

Ze stron Wydawcy:

Pierwsza książka nawiązująca do porażki misji NATO w Afganistanie.

Wojna to stan umysłu, w którym przemoc, strach, nienawiść i ból rezonują równie namacalnie jak radość, spokój i przyjaźń w świecie, który na co dzień nas otacza. To odwrotność normalności, antyteza harmonii.

Marcin Szymański spędził w Afganistanie ponad rok. Dowodził grupą bojową i pracował jako doradca wojskowy z afgańskimi oficerami. W swoich dziennikach prezentuje wielopoziomowe spektrum wojny w Hindukuszu. Dynamikę zmagań z Talibami relacjonuje z perspektywy żołnierza, lidera i bacznego obserwatora ludzkich zachowań. Dziennik stanowi nasycony osobistymi refleksjami autentyczny obraz. To przekaz, który pomaga zrozumieć co tak naprawdę się wydarzyło.

Zdecydowanie lektura dla tych, którzy nie tylko oczekują barwnej relacji, ale również pragną zrozumieć, jak doszło do fiaska kampanii NATO w Afganistanie.

Marcin Szymański „Zakładnicy piekła".

Wydawnictwo Bellona. Warszawa 2023, stron 360. ISBN: 9788311169173

Ze stron Wydawcy:

Marcin Szymański powraca z drugim tomem wspomnień z misji w Afganistanie. Tym razem opowiada o doświadczeniach nabytych podczas miesięcy spędzonych wśród mieszkańców podnóża Hindukuszu. Jak żyli i co myśleli ludzie w kraju, w którym prowadzono eksperyment społeczny zwany wojną? Jakiej rzeczywistości chcieli, a z jaką przychodziło im się zmagać? Z czym konfrontowali się żołnierze powracający z misji do rodzin w Polsce? Jak wojenne przeżycia trawiły umysł dowódcy?

***

Pewnej sylwestrowej nocy trzech przyjaciół podejmuje decyzję o powrocie do piekła, z którego właśnie wrócili.

Jednym z nich jest Marcin, który po kilku miesiącach spędzonych na południu Afganistanu jako dowódca grupy bojowej postanowił zacząć kolejną przygodę w miejscu, z którego poprzednio chciał się wyrwać. Trafia na pokład stanowiska dowodzenia zwanego Gwiazdą Śmierci. Początki nie były łatwe, jednak szybko przestawił się na nocny tryb życia i zaaklimatyzował się wśród natowskiej elity

w „teamie nietoperzy".

Pewnego dnia dostaje kopertę z klauzulą US Secret, a w niej kwit, który wywróci wszystko do góry nogami. Ma zostać doradcą wojskowym afgańskiej armii. Jeśli nie wiecie, czym jest body snatching, Autor Wam opowie.

Jaką podjął decyzję? Wrócił do kraju? Został w piekle, aby narażać się i budować coś od zera? Jak to się stało, że padł ofiarą strzału znikąd? Kto przełożył ten element układanki?

„Zakładnicy piekła" to książka o ludziach – ich słabościach, emocjach i nadziejach. Uniwersalny zapis wojennej rzeczywistości, z której trudno uciec, a jeszcze trudniej do niej powrócić.

Zbigniew Kresowaty

Tańcząca w chmurach

Po lekturze wierszy zawartych w tomiku pt. ***Tańcząca w chmurach*** Sławomiry Sobkowskiej - Marczyńskiej z Poznania, wydanym w 2022 roku w Wydawnictwie POETARIAT w Wieluniu, pod redakcją Marii Duszki, aż się chce zapytać autorkę - **kim jesteś?** Okazuje się, że to była gimnastyczka artystyczna, dziennikarka, germanistka. Sławka zdobyła w przeszłości tytuł mistrzyni Polski, była też finalistką mistrzostw świata i Europy w gimnastyce artystycznej (pierwszą polską finalistką w historii tej dyscypliny sportowej), za co została odznaczona Złotą Odznaką Międzynarodowej Federacji Gimnastycznej. Dziś jest też na pewno poetką, choć to przecież nie zawód. Poeci czerpią inspirację z przeróżnych źródeł i wykonują rozmaite zawody. ***Kto ty jesteś?*** - to tytuł filmu w reżyserii Ryszarda Filipskiego, w którym grała Sławka. Bardzo ceniłem go jako aktora, z wyjątkowym grymasem i zadziorną osobowością w owych czasach. Szczególnie pamiętam jego wspaniałą rolę Hubala. Jedna z teorii o artystach różnych profesji mówi, że osoby mówiące językiem poetyckim, mogą mieć przeróżne skojarzenia, zależnie od swej nabytej profesji wykształconej, a czasem nabytej konsekwentnym treningiem. Tacy artyści pojmują język metafory w szczególny sposób. To, jak się wydaje z mej obserwacji, wyjątkowe dusze, jakby mityczne, ogarniają nieco więcej z wyobraźni, a tego potencjał drzemie zapewne w ich genach. Taką osobą jest poetka „Sławka", jak ją nazywają w środowisku literackim Poznania.

Tak sobie myślę, czy ludzie nie wątpiący w intuicję innych, to wyjątkowi rozmówcy z odrębną wyobraźnią? – Coś w tym jest! – Otóż dostałem w prezencie do rąk znakomity tomik poezji wprost od poetki, spisany w zwartej formie, bardzo świeży, pełen wyrazistych i cennych, niezwykłych metafor. Sławka zadebiutowała w 2021 roku. Widzę, że to poetyka niezagmatwana w metafory, bardzo czytelna i zawiera czasem wręcz ciepłe ujęcio-przesłania.

Wiersze nastrajają bardzo romantycznie i odzwierciedlają ważne sprawy prospołeczne. Notabene poetka nie dąży do strików i tzw. udziwnień. Czytelnik dostaje wiersze klarowne, spisane oryginalnie i bardzo ciekawie zmetaforyzowane, co wciąga, a dziś to jest rzadkością. Tym samym ten liryczny tomik płynie wprost, jak się wydaje, ze szczerości osobowej. Treści sensu stricto liryczne wypływają z jej nastawienia do otoczenia. Poetka nie „ustawia się" do innych twórczości poetów, jak widać jest oczytana w literaturze. Pisze swoją szczerą dynamiką, bardzo dojrzałe teksty, mimo oszczędności w słowach, co tworzy efekt świeżości. Ta jej Atlantyda leży gdzieś za plecami, tańczy między znaczeniami o silnej osobowości Herkulesa, który jakby stoi za jej plecami i unosi ją na rękach w górę, a ona tańczy pomiędzy powalonymi budowlami, rzeźbami i widzialnymi pozostałościami – jakby z góry.

Tomik na papierze kredowym podzielony jest na części:

Tchnienie nieba (str.7), Moje imię jak przesłanie (str. 30), Przygasanie (str. 42), W lustrze (str. 64), Pastelowe wspomnienia (str. 59).

Okładka tomiku Sławomiry Sobkowskiej - Marczyńskiej 2022 r.

Poetka rozprawia o otoczeniu, o prawych sprawach natury człowieka, ale co ciekawe, przez pryzmat miłości, co wyjątkowe, czego dziś się nie spotyka. Dotyka pojęcia miłości, czasem bardzo wyraźnie, innym razem prozaicznie. Gdzieś tam tańczy obok twórcy Atlantydy, Posejdona, gdzieś na niebiańskim Palatynacie. Skąd te moje dygresje? To dlatego, że ukryta jest w tych wierszach mitologia i jej charakter. Marzenia o istotach, które zstępują z gwiazd ciągle towarzyszą metaforom poetyckim autorki.

Każdy poeta wplata w wiersze doświadczenia ze swojego bytu, zapożycza też z otoczenia. Staje się on wyrazicielem spraw „tu i teraz", przez pryzmat czasu obecnego, choć pisze często w czasie przeszłym. Rzecz jasna - poezja, to podróż w czasie i przestrzeni ekstra kosmicznej.

W wierszu ***Mój świat*** (str. 8) pisze:

to kilka ważnych osób w sercu
zbieranych latami
to parę rzeczy niekoniecznych
i wiersze

Natomiast w wierszu pt. ***Sam na sam*** (str. 10)

świątynia wypełniona ciszą
siedzę w kąciku

anioły szepcą paciorki
święci w obrazach zamknięci
pachnie kadzidłem
mury takie mocne
sklepienie gwiaździste wysoko
witraże opowiadają swoje historie
jest błogo
gdy nałapię się tej ciszy
to już pójdę
żeby się podzielić z ludźmi

- Autorka tomiku wychodzi poza szum tego świata, uczy pokory do miejsc „uświęconych", co zapewne tyczy się Sztuki przez wielką literę „S"... Parafrazując: święci uświęcają obrazy. Pachnie kadzidłem wojny? – Pachnie strachem? – Choć mury takie mocne…, a witraże opowiadają inne historie, które spoczęły w preświątyniach i postświątyniach. Natomiast na zewnątrz wydaje się być błogo. Ale wcale tak nie jest. Stamtąd przecież przyszła się schować.

Zawsze najważniejszą odpowiedzialność za spokój bierze jeden człowiek, być może poeta i wartość jego Sztuki. Znana poetka, Marianna Bocian, powiedziała mi znamienne, bardzo wartościowe słowa: ***Kiedyś tylko Sztuka uratuje ten świat.*** Tymczasem współczesny piosenkarz śpiewa wraz z publicznością: ***Cały ten świat nie jest wart nic…*** Zatem warto sobie uświadomić, co daje cisza i jej głębia, ale gdzie ją umieścić w dzisiejszym kosmosie? – Gdzie ją odnaleźć? – skoro jest coraz więcej szumu nienawiści i szczęku zbrojeń, słychać coraz mocniejszy zgrzyt różnych jaźni świata...

Kiedyś oznajmiłem i oznajmiam dalej, że przecież ***człowiek rośnie tylko w ciszy.***

Większość wierszy poetki traktuje o miłości, nawet o grze miłosnej, o jej cielesności, o domysłach i wartościowaniu słowa „kochać". Ale to trzeba przeżyć w sobie – wydaje się, że autorka przeszła przez ten trud. Poetka często wymienia słowo **miłość**, jego wartość, jak w wierszu pt. ***Może kiedyś*** *(str. 19)*. W tym wierszu, autorka pisze w ostatniej frazie: *„a ty mi siebie nie zabieraj"* – Daje to do myślenia, że nie można ograniczać miłości i wszystkiego co z nią się wiąże. Natomiast w wierszu pt. ***Nie ma*** (str. 23) mówi, że nie ma drogi łatwej, zwłaszcza tej dla miłości, każda jest inna i jedyna, o czym w ferworze spraw cyberkomputeryzacji na zabój zapominamy.

Zatem ów tomik jest nie tylko wspominaniem miłości przeszłej i obecnej, ale też jej wartości w standardzie bytu prozaicznego. I żeby znaleźć w sobie tyle siły i czasu na prawdziwą wartość kochania, to naprawdę obecnie ewenement. Poetka, jakby uzasadnia miłość, że ona jest potrzebna, zasadna i jedyna, że prowadzi byt od zarania, dziś inna, zwłaszcza w sferze konsumpcji, której przecież też podlega wartość miłowania.

Zaniechania (str. 35) to tytuł wiersza, który jest uzmysłowieniem wartości bólu i modlitw, na wskroś istnienia tu i teraz...

powieszone na krzyżu pragnienie
pojednania ziemi i nieba
współistnienia w pokoju

przybite do drzewa modlitw
przykazanie o miłosierdziu

pogrzebane przez zaniechania
w rozpostartych ramionach

Tak! – Okazuje się, że samo pragnienie może być bólem, w celu osiągania pojednania spraw przeróżnych: romantycznych i tych prozaicznych. To osiąganie może być takim znakiem dodawania nieba do ziemi. Żeby zaistniał jeden czas dobrego „twórstwa" we wszystkim. Okazuje się, że to tylko pragnienie, że od chwili istnienia świata nigdy nie było pokoju, bodajże kilka dni. Człowiek ściera się z samym sobą, z własną naturą i jej sensem w sobie samym. Pytanie: czy warto? - i na ile warto? – za jaką cenę? - Wciąż mamy rozłożone ramiona i jeszcze długo tak będzie, aż do ich bólu.

– Poetka uzmysławia nam zatem sieć spraw do tzw. nieprzegapienia.

W wierszu ***Nie przegapić*** (str38).

Chodzi o to
by nie przegapić
drogowskazów
prowadzących
ku krainie
spokojnego sumienia
(…)

W tym zbiorze, trafiamy do wierszy tzw. moralnych, do cudu prawdziwego istnienia w kosmosie bytu. Nie przegapić człowieka i jego wartości. Jakże często zapominamy o tym lub zamieniamy te wartości moralne na obowiązek bytu za wszelką cenę, a przecież są kierunkowskazem. Jak śledzę dzisiejsze zapisy poetyckie i nową metaforykę, mało dziś się o tym mówi, a o wartości serca się nie wspomina wcale; wrzawa w pogoni za światem rzeczy materialnych i oby górę brała brzydota i zakamuflowany fałsz - to rzeczy wyzwolone. Mówi się w sztukach coraz bardziej o kierunku na modny nihilizm, zaborczość owocuje kłótniami oraz rozbojami z pełną atencją krwi.

W wierszu pt. ***Wszędzie i zawsze*** poetka dodaje (str. 41):

między porankiem a wieczorem
w nocnych zanurzeniach
w dźwiękach harmonii
w echa dysonansie
pomiędzy słowem a jego znaczeniem
mimo brakującego czasu
między śnieniem a spełnieniem
w chęci i w czynie

tam wszędzie i zawsze
jest miejsce i czas
na dobro

– I tak naprawdę tą frazą można zakończyć omawianie książki oraz przypominanie tego, co najważniejsze w niej, bo tyczy się to spraw stricte codziennych. Podmiot liryczny ujawnia się bardzo okazale. Sprawy, które sankcjonują nasz dotychczasowy pobyt na ziemi są jasne, ale nie są brane dosłownie pod uwagę. Natomiast w dalszej części tomiku oznaczonej ***Przygasanie (str.42)*** następują tytuły wierszy:

Smutek, Domy bez miłości, Niczyja, Plastikowi, Listopadowe myśli, Wspomnienie (…) w tym szeregu kilka wierszy bez tytułu.

Reasumując: Zbiór wierszy, który zawiera 74 strony, jest znakomitą księgą rodzaju miłości i pochodnych moralnych zapisów. Zapisów, które nazwałbym modlitwami i prośbami człowieka do boga, mężczyzny do kobiety, szacunku do spraw „świętych", etc. … Poetka jest osobą, która podjęła się wysiłku i sukcesywnej znojnej pracy nad własnym niebanalnym ciałem, tym samym nad kondycją duszy i całą formą istnienia, bo to idzie w parze. Osoba, która nie wyrzekła się własnego wysiłku nad rzeźbą i sprawnością oraz bystrością umysłu, jest godna uwagi.

Następuje pytanie: czy zbiór wierszy autorki Sławki Sobkowskiej jest nostalgiczną podróżą przez stan rzeczy obecnych? – Być może tak, ale ta podróż częściowo została spełniona dzięki pracy nad swoim istnieniem. Jest to tomik o zapisie zrozumiałym i o cennych metaforach. Jako urodzona gimnastyczka balansuje i raczy czytelnika niezwykle finezyjną poetyką, która bywa romantyczna, a innym razem pełna niepokoju, wypływa ona wprost z duszy, bo właśnie duchowość powinna przede wszystkim dotykać współczesnego człowieka. Czy tak na pewno jest? - wypływa to z wierszy Sławomiry Sobkowskiej – Marczyńskiej.

Zbigniew Kresowaty

Sławomira Sobkowska – Marczyńska, Tańcząca w chmurach,
Wydawnictwo FUNDACJA POETARIAT, Wieluń 2022 r. Redakcja: Maria Duszka, ilustracje Radosław Barek,
ISBN 978 – 83 – 965541-3 - 0

Katarzyna Gościniewicz

Mateusz Wabik

Protesty społeczne na smutno i wesoło

Debiutancki tomik wierszy urodzonego w 1984 roku Andrzeja Woźniaka pt. „Aikido" ukazał się w 2022 roku wspólnym nakładem wydawnictw papierwdole i Katalog Press. Wcześniej poeta dał się zauważyć podczas różnych konkursów - był nominowany do Nagrody Fundacji Dużego Formatu, został laureatem Nagrody Publiczności w XXVII Konkursie im. Jacka Bierezina, a także brał udział w finale Połowu 2021 zorganizowanym przez Biuro Literackie. Poeta urodził się w Warszawie, w której mieszkał do dziś jak można było przeczytać na czwartej stronie okładki jego tomiku.

Na zapis wierszy Woźniaka miała wpływ międzywojenna awangarda, gdyż poeta z rzadka używał znaków przestankowych. Także w jego wierszach nie pojawiały się duże litery z wyjątkiem wstępów do kilku z nich zapisanych kursywą. Gdzieniegdzie w poezji Woźniaka dochodził do głosu słupkowy zapis różewiczowski, a także reminiscencje nowofalowe i te związane z poetykami twórców należących do roczników 60-tych, gdyż w jego poezji pojawiał się narracyjny, a nawet anegdotyczny styl. Żartobliwy styl anegdot także często kojarzył się ze skeczami kabaretowymi, poezją artzinową z lat 80-tych, czy dowcipami. W poezji Woźniaka pojawiały się także wtręty z języka angielskiego, wulgaryzmy, język potoczny, a nawet lingwistyczne nawiązania.

W „Aikido" Woźniaka można było przeczytać m.in. o amerykańskim handlarzu oprogramowaniem komputerowym, fantastycznych wydarzeniach, problematyce tyranii i uchodźców, konflikcie izraelsko-palestyńskim, protestach społecznych, kleszczach atakujących mężczyznę śpiącego na trawie. Nierzadko wiersze dotyczące spraw międzynarodowych przeradzały się bardziej w poetycką kpinę, niż w polityczną satyrę np. w stylu Bożeny Ptak.

W wierszu pt. „piosenka o chujni europejskiej" Woźniak nawiązywał do jednego z motywów kampanii przedwyborczej polityków Prawa i Sprawiedliwości w 2023 roku, którym było żądanie od Niemiec zapłaty reparacji wojennych za II wojnę światową. W mocno hiperbolicznym stylu podmiot liryczny wiersza zażądał od zaborców „dwa biliony euro za każdy rok zaborów". W wierszu także znalazły się reminiscencje społecznej debaty z ostatnich miesięcy związanej z tym, czy Polska miała przyjmować uchodźców co chcieli narzucić wszystkim krajom czołowi politycy Unii Europejskiej. Podmiot liryczny wiersza narzekał, że Polska przyjęła ośmiu uchodźców w 2020 roku i musiała ich żywić, ubierać, a także pokazywać im obóz w Oświęcimiu. Mimo, że tych uchodźców w Polsce było niedużo to i tak znaleźli się Polacy narzekający na ów gest jakby Woźniak chciał pokazać, że dla Polaków nie była ważna ilość przyjętych uchodźców, ale sama czynność przyjęcia. Polskie narzekanie wiązało się ze stereotypem wiecznie niezadowolonego i narzekającego Polaka, ale także strachem przed obcymi i dyktatem Unii Europejskiej, którą przez ostatnie miesiące straszyła Telewizja Polska, a prawnicy w radio próbowali wytłumaczyć, że żadnego dyktatu unijnego nie mogło być w żadnym kraju, gdyż każda umowa międzynarodowa czy przepis unijny, żeby mógł gdzieś obowiązywać powinien wcześniej być ratyfikowany przez parlament danego kraju. W wierszu także pojawiło się wspomnienie zwycięskiego remisu w meczu piłki nożnej na Wembley z Anglią w październiku 1973 roku i napomknienie, że Polska w krytyce polityki unijnej zastąpiła Wielką Brytanię. Mimo wielu wątków wiersz Woźniaka nie wydawał się przeładowany różnymi nawiązaniami, raczej wydawał się błyskotliwy w powiązaniu tych wszystkich, wspomnianych wątków by ukazać polskie niezadowolenie z polityki unijnej.

Do krótkiego wiersza „small dance" został dołączony dłuższy, sprozaizowany wstęp dotyczący protestu 21-letniej szwedzkiej studentki Elin Ersson, która zablokowała start samolotu mającego lecieć z Göteborga do Stambułu w 2018 roku. Na pokładzie samolotu znajdował się deportowany Afgańczyk, który ze Stambułu miał odlecieć do Kabulu. Do protestu szwedzkiej studentki dołączyła także drużyna piłkarska znajdująca się na pokładzie. Krótki wiersz po sprozaizowanym wstępie rozpoczynał się od ukazania strachu stewardessy z samolotu przed wyrzuceniem jej z pracy jeśli samolot nie wystartuje i reakcji polskich pasażerów na to zdarzenie, że „legia warszawa kocha czarny afgan", co znaczyło, że kibice Legii Warszawa rozsmakowali się w mocnej odmianie haszyszu zwanego „czarnym afganem". Sprozaizowany wstęp i krótki wiersz pokazywały kontrast pomiędzy Szwedami biorącymi chętnie w proteście społecznym, a Polakami, których to niezbyt interesowało. Kłopoty na pokładzie samolotu zbywali ironicznym żartem, co pewnie było związane z polskimi sprawami. Niektórzy niegdysiejsi bohaterowie walczący o wolność Polski w latach PRL-u ukazywani w mediach byli po okresie transformacji ustrojowej jako karierowicze, cwaniacy a nierzadko jako zdrajcy. Reakcja Polaków pokazywała nie tyle inercję, kpiarstwo, tylko niemożność powzięcia decyzji w obliczu protestu społecznego i nieufność do tego rodzaju działania.

Wiersz „żeby coś przeżyć nie musisz wychodzić z domu" odnosił się do plastra do kinesiotapingu mającego pomóc chorym w leczeniu, który był używany przez terapeutów w leczeniu dolegliwości mięśni i stawów. Według podmiotu lirycznego wystarczyło się takim plastrem oblepić, żeby coś przeżyć. Na pewno nie można było posądzić Woźniaka o jakąś mało etyczną kpinę z chorych i cierpiących, gdyż on pewnie kpił z wolnego rynku leków, sprzętu medycznego i różnego rodzaju preparatów, które miały pomagać ludziom i leczyć, a wiele z nich nie pomagało. Może to była też kpina z czyjejś hipochondrii.

Jeśli chodziło o sprawy polityki, a także protestów społecznych z nią związanych to Woźniak inaczej niż poeci Nowej Fali, czy nieco późniejsi twórcy jak Bożena Ptak, czy Zbigniew Joachimiak, ale także poeci urodzeni w latach 60-tych je traktowali. Poeci z Wybrzeża, czy z Nowej Fali szukali słusznych postaw, negowali autorytaryzm i tyranię, poeci z „Brulionu" i ich akolici, czy naśladowcy w ogóle odżegnywali się niegdyś od związków twórczości z polityką, a także przeciwstawiali się różnym opcjom politycznym lub je ośmieszali, a Woźniak podobnie jak poeci artzinowi i totartowi, albo Darek Foks ze spraw polityki i historii układali farsę, w której ukazywali mechanizmy władzy i ucisku, albo wskazywali na przywary naszego narodu. Do tego humor Woźniaka był przeciwstawieniem się czarno-białej polityce, która zdominowała nasz kraj i media, w których zamiast dyskusji zawitała propaganda. Czy nikt nie pomyślał, że spłata reparacji wojennych byłaby prostą drogą do terytorialnych żądań niemieckich, które były napędzane taką samą propagandą jak za czasów okupacji? Jeśli film „Heimkehr" z 1941 roku zdrajcy Igo Syma wmawiał Niemcom, że mniejszość niemiecka na ziemiach polskich przed 1939 roku była prześladowana, to przecież o samo robiły wszelkie związki wypędzonych w Niemczech, które ukazywały Polaków i Sowietów jako ciemiężycieli narodu niemieckiego. W czasie obostrzeń grałem w międzynarodową grę internetową i natknąłem się na Niemkę z Frankfurtu nad Menem, która taką propagandę antypolską związaną z wypędzeniem z Polski jej rodziny rozsiewała

Małym minusem dosyć udanej i ciekawej poezji Woźniaka w tomiku „Aikido" był jakikolwiek brak wskazania pozytywów w Polsce, polskim narodzie i historii Polski, albo konfrontacji różnych postaw i punktów widzenia. Być może było to spowodowane wyborem takiej krytyczno-prześmiewczej poetyki, ale jakby nie było, to robienie poezji ze skrajnych postaw, wypowiedzi skazywało na nieobecność w polskiej literaturze czegoś innego, umiarkowanego, borykającego się z trudnościami, czy też sporów o wizję przyszłej Polski.

Mateusz Wabik

Andrzej Woźniak, Aikido, Ligota Mała 2022

Katarzyna Gościniewicz

Mateusz Wabik

Inflacja przemilczeń

Tomik wierszy „Księżyc Grzybiarek" (nie doszedłem do tego dlaczego rzeczownik „Grzybiarek" był w tytule napisany z dużej litery) Agaty Jabłońskiej został wydany w 2023 roku przez wydawnictwo papierwdole i był jej czwartą książką poetycką. W tomiku poetki zostały ponadto wykorzystane czarno-białe, artystyczne fotografie Katarzyny Norki Niedźwieckiej. Za debiutancki tomik pt. „Raport wojenny" z 2017 roku Jabłońska otrzymała Wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius i Nagrodę im. Kazimiery Iłłakowiczówny. Ponadto poetka zajmowała się historią sztuki i pracowała w Muzeum Narodowym w Krakowie. Niestety „Księżyc Grzybiarek" był dopiero pierwszą książką poetki jaką przeczytałem, gdyż od lat nie byłem na bieżąco z nagradzanymi tomikami. Przeważnie czekałem jak je rzucą do taniej książki na ul. Grodzkiej, gdzie mogłem kupić taniej. Poza tym dobrej poezji nie przeszkadzało nie bycie z nią na bieżąco. No ale dostałem ją od wydawnictwa papierwdole jako bonus do handlu książkami.

W poezji Jabłońskiej wszystko było pisane z małej litery, jak przystało na poezję kolejnej przedstawicielki współczesnej awangardy, ale poetka nie zrezygnowała zupełnie ze znaków przestankowych, gdzieniegdzie w jej wierszach pojawiały się przecinki i kropki, ale także kropki stawiane nieco wyżej niż zwykłe, tak w środku pomiędzy górą i dołem miejsca na literę. Te wyżej położone kropki zastępowały zwykłe kropki, przecinki czy średniki. Poetka nie unikała naleciałości z języka potocznego i obcojęzycznych wtrętów zapewne z języka ukraińskiego (nie był to rosyjski co poznałem przez ukraińskie „i").

Jabłońska w „Księżycu Grzybiarek" (mimo, że nie doszedłem do tego, dlaczego rzeczownik „Grzybiarek" w tytule był napisany z dużej litery, to postanowiłem pozostać przy zapisie autorki) albo pisała o sobie jakby się komuś przedstawiała, albo ukazywała czym był Kraków. Poetka pisała także o lodówce, miłości, codzienności, zakupach, przyrodzie, wojnie na Ukrainie, leśnej ściółce, czynności pisania, sytuacji politycznej w Polsce. Jednakże jej wiersze nie wypełniało takie statyczne, opisowe pisanie jednotematyczne, ale w jej wierszach czuć było niezwykła dynamikę językową i przeplatanie się tematyk. Ponadto jej wiersze były pełne wtrętów i dygresji. Także nie obce jej były gry językowe, odnoszenie się do napisów z tablic informacyjnych, czy wulgaryzmy. Można stwierdzić, że nie uciekła w totalny język jak wielu neolingwistów, którzy w swoich wierszach przedstawiali głównie język, lekceważyli znaczenie, ale bazowała na jakichś doświadczeniach i sytuacjach i tylko lekko wybiegała w kierunku lingwistycznych pomysłów.

W poezji Jabłońska jawiła się jako „ostra laska", albo „sąsiadka dziwaczka" („no cześć"), która chciała sprostać odgrywaniu wielu ról w życiu („moja głowa jest jak niewygasły wulkan"). W Krakowie, w którym sprawy tętniły szybszym rytmem, niż w miejscu, gdzie wcześniej mieszkała zbiegały się „fraktale faktów" („zozulja"). Zainteresowana była „empatyczną erotyką", której nie myliła z miłością („miłość w czasach wymierania gatunków"), świadoma była, że „świat/ma trochę praw, których warto przestrzegać", żeby się nie stoczyć na dno („zraniona gorzknieje"), ale tego świata można było mieć dość. To co było według niej podłe: „źle się dzieje w prasie. szołbizie i na uczelni" („ostatnio z Polski nawet bielik spierdala i dlaczego o tym piszę") można było przemilczeć. Według niej milczenie wobec ważnych spraw było wyborem, nie jak kiedyś, kiedy pisanie o tym co dolegało było wyborem. Mimo, że w tomiku Jabłońskiej mieliśmy do czynienia bardziej z taką pianą językową, świetnie napisaną, ale bardzo powierzchniową, po przeczytaniu książki niewiele zostało w głowie (przecież za taką poezję nieszkodliwą dostawało się nagrody, bo nieszkodliwość dzisiaj to bunt) to niekiedy w tym rozległym strumieniu świadomości – pojawiały się zastanawiające drobiazgi, niepospolite frazy, wtręty z podświadomości. Gdyby nawiązać do tomiku „Regio" Tadeusza Różewicza z końca lat sześćdziesiątych i zawartych w nim utworów autotematycznych o poezji – „Na powierzchni poematu i w środku", czy „Poezja ma zdrowe rumieńce" i z tej perspektywy czytać wiersze Jabłońskiej, to jej poezja oscylowałaby na granicy zdrowej, efektownej, festiwalowej poezji i poezji cierpienia i mroku. Dużą zaletą tomiku Jabłońskiej była zmysłowość języka mimo deklarowanej ostrości.

Mateusz Wabik

Agata Jabłońska, Księżyc Grzybiarek, Ligota Mała 2023

Mateusz Wabik

Funeralne pisanie (notka)

„Mammografia" Krystiana Kajewskiego to książka sylwiczna napisana po śmierci Leokadii Kajewskiej, matki autora. Znaleźć w niej można było zapisy dziennikowe, pamiętnikowe wspomnienia z dzieciństwa, nieco mniej frywolne niż w „Abcdali" krótkie opowiadania związane z różnymi twórcami, także fragmenty esejów o sztuce i literaturze, ale także sporo wierszy w tonacji elegijnej na poły klasycyzujących, na poły barokowych, w których poeta rozpaczał po śmierci matki. Znalazł się także w tomie Kajewskiego utwór dramaturgiczny „Ludzka tragedia" inspirowany „Boską komedią" Dantego, którego bohaterowie przemierzali piekło, ale również wywiad z samym sobą. Także Kajewski jak w „Abcdali" komentował bieżące sprawy polityczne i rozpaczał z powodu niskiego poziomu – według niego – polskiej literatury współczesnej. Oprócz wspomnianych inspiracji, Kajewski nawiązywał do „Dziennika żałobnego" Rolanda Barthesa, z którego wziął porównanie osieroconego syna do więźnia obozu koncentracyjnego. Pisanie dziennika, wierszy dotyczących zmarłej zarówno pozwalało się autorowi oswoić ze śmiercią bliskiej osoby, ale także matka powracała we wspomnieniach z dzieciństwa i z często opisywanego dnia śmierci, kiedy dostała ataku serca w busie na trasie Ożarów – Ostrowiec Świętokrzyski. Tom poświęcony matce autora wydawał się w wielu fragmentach na wyższym poziomie niż niezbyt udany debiut „Abcdali", ale jednak był zbyt przeładowany tekstami i raczej wydawał się bardziej ważny dla autora jako przezwyciężenie traumy i pamiątka po zmarłej, niż dla czytelnika, który jednak mógł nie być zainteresowany tak obszerną książką (ponad pięćset stron) w tym sylwicznym stylu. Bardzo drażniło podczas lektury przekonanie o własnej wybitności Kajewskiego, ponieważ kultura i literatura, pisanie utworów literackich czy malowanie obrazów nie było związane ze słownikowo-leksykonową znajomością historii sztuki i siłą z jaką się podziwiało dane dzieła. Kajewski także zmienił znaczenie tytułowego rzeczownika „mammografia", który w jego pojęciu odnosił się do pisania o zmarłej matce, a w rzeczywistości oznaczał badanie diagnostyczne związane z badaniem piersi podczas diagnozowania raka. Być może autor chciał pokazać czytelnikowi, że pisanie o zmarłej matce było tak bolesne jak diagnozowanie raka.

Książka „Mammografia" na pewno była jedną z ciekawszych pozycji w Polsce o tematyce funeralnej w ostatnich czasach, zapewne także była zbiorem tekstów bardzo ważnych dla rodziny zmarłej, ale również dla pedagogów i psychologów związanych z wychowaniem utalentowanych literacko dzieci. Można ją polecić nauczycielom z podstawówki na zebrania, na których omawiano by to jak nie wychowywać dziecka na geniusza. Krystian Kajewski powinien zdać sobie sprawę, że istniało coś takiego jak krytyka literacka, współczesna epoka, która stawiała wymagania przed autorami. Powinien kontynuować poważne podejście do tematu i spróbować sił w humanistycznych esejach, albo reportażach związanych z sytuacjami kryzysowymi, ponieważ w tym był bardzo dobry, a prozę o artystach pozostawiłbym utalentowanym literacko studentom historii sztuki, a antypowieść wydawała się już wyrobioną sprawą.

Mateusz Wabik

Krystian Kajewski, Mammografia, Puławy 2023

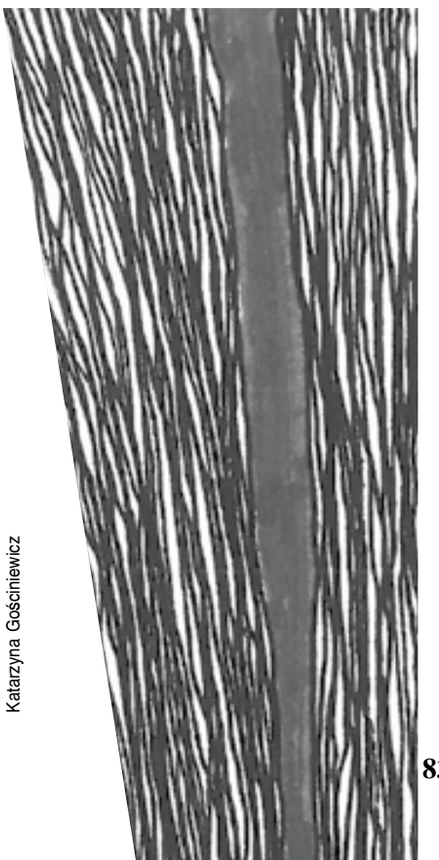

Katarzyna Gościniewicz

Tadej Karabowicz

Nadzieja i moc ocalenia

Tom wierszy mieszkającej i tworzącej na Podlasiu Krystyny Gudel „Pęknięcia i szczeliny" (Warszawa 2023) ukazał się w Wydawnictwie Ars/3 w opracowaniu graficznym poetki Agnieszki Herman. Jest on ważnym głosem twórczym autorki współczesnej, tworzącej w Suchowoli na Podlasiu – miejscu urodzenia bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W swojej twórczości Krystyna Gudel opisuje nadzieję i moc ocalenia człowieka przed pęknięciami i szczelinami życia. Szerzej, tom najnowszy znanej autorki podlaskiej jest próbą zastanowienia się nad tym, co nas spotyka w życiu oraz co dzieje się z tego powodu w naszych sercach. Tom jest także wyraźnym zwróceniem uwagi na ograniczanie praw człowieka w obecnych dwuznacznych czasach, takich jak prawo do ciszy, do ekologii, prywatności, własnego zdania i zaprzeczeniu globalizacji.

Krystyna Gudel jest poetką i regionalistką, inicjatorką Suchowolskich Saloników Literackich, Konkursu Poetyckiego im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki, Pleneru Artystycznego w Centrum Europy. Prowadzi warsztaty dla dzieci, spotkania autorskie z dorosłymi, Wydała 11 zbiorów poetyckich: „Sady pozostawione" 2003, „Stopy na ścieżkach" 2008, „Tam rodziły się tęsknoty" 2011, „Stąd" 2015, „Którędy do domu?" (wiersze dla dzieci) 2016, „Pielgrzymka codzienna" 2018, „Ziemi swojej i ludziom" 2019, „Jeszcze z tobą zatańczę" 2020, „Spacery kota Mateusza i inne wiersze" (wiersze dla dzieci) 2020, „Pęknięcia i szczeliny" 2023, „Smutny ogryzek i inne wiersze" (wiersze dla dzieci) 2023. Za działalność na rzecz kultury została uhonorowana dwukrotnie przez Kapitułę SAP Nagrodą im. Bolesława Prusa. Jest dwukrotną stypendystką Marszałka Województwa Podlaskiego (2019, 2023). W 2023 roku obchodzi jubileusz 20-lecia pracy literackiej. Ważność jej poezji na mapie literackiej polega na odważnym pisaniu o toposie przyrody i człowieku wtopionym w jej rytm.

Tom wierszy lirycznych Krystyny Gudel „Pęknięcia i szczeliny" jest książką osobistą. Znajduje się w niej 40 numerowanych wierszy, które nie posiadają tytułów. Niektóre z nich są dedykowane bliskim osobom poetki. Można więc książkę tę porównać do poematu, gdzie zbiór poszczególnych utworów układa się w wartką osobistą opowieść o sobie i świecie. Książka poetycka posiada wyraźną trójdzielność. W pierwszej części autorka zawarła utwory osobiste, o jej konotacjach i zachwytach nad przyrodą. W drugiej umieściła wiersze dedykowane osobom bliskim i przyjaciołom. Trzecią część zajmuje refleksja historyczna i wypowiedzi o dniu codziennym. Zasadniczo poetka jest wierna swojej dotychczasowej literackiej dogmatyce, w której ważne miejsce zajmuje jedność emocjonalna z krajobrazem, nierozłącznie związanym z egzystencją człowieka.

Odnosząc się do tytułu tomu najnowszej książki poetki Regina Kantarska-Koper napisała: „W szczelinę wszystko może biernie wpaść, ale nic się nie zatrzyma. Może to być metafora położenia współczesnego człowieka w świecie. Ale można też interpretować je inaczej, optymistycznie. Wyobraźmy sobie np. drewniany barak, w środku jest ciemno, ale przez szczeliny między deskami sączy się światło i w tej smudze widzimy ruch kłębiącego się kurzu i szczelin. Zachęcam do sięgnięcia po najnowszy zbiór wierszy Krystyny Gudel, tym bardziej że skuteczność szeptu – a taki jest ton tych wierszy – jest większa niż krzyku, który najczęściej jest wyrazem czy oznaką słabości, bezradności i braku kontroli. Ta poezja jest stonowana, taktowna, nienapastliwa, pobudza czytelnika do myślenia, do zwrócenia uwagi na coś, czego, być może, dotychczas nie dostrzegał".

Tematem przewodnim tomu „Pęknięcia i szczeliny" jest filozoficzna refleksja i przemyślenia poetki opisujące otaczającą nas naturę. Widzimy to w otwierającym książkę utworze (***trawy poddają się). Pozorna cisza powiewów wiatru ponad trawami, będąca alegorią toposu przyrody, zwiastuje jednakże niepokój o los wędrujących nasion traw. Jak w biblijnej przypowieści, mogą one upaść na skały i nie wydać owocu, mogą trafić między ciernie i nie rozwinąć się. Ale mogą także upaść na ziemię żyzną i wydać obfite plony:

trawy poddają się
powiewom i podmuchom
jak los człowieka

w nieprzewidzianej
wędrówce ich nasion
przystanki i postoje

w pęknięciach i szczelinach
rodzi się życie

(s. 5)

Rzeczownikowe konotacje i symbole słów „pęknięcia i szczeliny" są metaforą przewodnią całego tomu poetyckiego Krystyny Gudel. Zapewne w najprostszym rozumieniu emocjonalnym oznaczają one przerwanie ciągłości jakiejś ważnej dla poetki struktury (powierzchni?). Jednakże w symbolicznym kodzie znaczeniowym są one istotną przestrzenią metafizyczną. Dlatego w utworze (***pożyczę oddech wiosny) wybrzmiewa ontologia spotkania z wiosenną przyrodą. Wiosna odradza życie i daje nową nadzieję człowiekowi. Dlatego poetka nie waha się wybiec boso „na spotkanie z mgłą" – oznaką majowych poranków i wschodzącego nad ziemią wiosennego słońca. Bowiem mgła dla poetki jest przestrzenią mityczną, unoszącą się ponad filozofią bytu i strukturą rzeczywistości:

pożyczę oddech wiosny
i ptasi jazgot
w kwietniowych zawołaniach

w pamięci
zachowam majową biel
czeremchy i konwalii

w brzozach się zadurzę
i w jaśminach

a na spotkanie
z mgłą wybiegnę boso

(s. 7)

Transcendentność przyrody w twórczości Krystyny Gudel posiada wyraz osobisty. Jest ogniwem poznawczym, który poetka w tak wyraźny sposób sakralizuje. Przyroda jest cząstką emocji i przeżyć. Jest opowieścią o raju, który dotykamy i doświadczamy w kontaktach z „osikowym zagajnikiem", „błyskawicą a potem tęczą". Ale wiersz poetki nie jest idyllą, a jest opisem sytuacji tragicznej. Opowiada o reakcjach kobiety z przyrodą, „która nie słyszy", „chwiejności brzezinowego / młodniaka obfitości motyli" bowiem odjęty jest jej zmysł słuchu. Jednakże sercem, „wie / że istnieje śmiech szept / krzyk szum huk i trzask":

chwiejność brzezinowego
młodniaka obfitość motyli
na kwitnącej kępie oregano
trzmiel w kielichu liliowca
drżenie osikowego zagajnika
przy starej chacie ślad
błyskawicy a potem tęcza

kobieta która nie słyszy

wie
że istnieje śmiech szept
krzyk szum huk i trzask

wie że istnieje

(s. 21)

Temat przyrody w zbiorze, jako motyw przewodni, ustępuje miejsca dedykacjom. Chciałbym zwrócić na nie uwagę, bowiem Podlasie jest krainą, gdzie mieszkali, bądź mieszkają wybitni współcześni poeci. Właśnie dla nich poetka poświęca swoje strofy, by podkreślić ich udział w „obrzędzie poezji", jak mawiał Czesław Miłosz. Pierwszy z takich utworów dedykowany jest Janowi Leończukowi, poecie i tłumaczowi, autorowi wielu tomów poetyckich i prozy:

pamięci Jana Leończuka

kiedy zostaje słowo wielbiące
łany zbóż i traw pokosy
mgłę burze i deszcz
kryształy porannej rosy

kiedy zostaje uśmiech
choć ból doskwierał do bólu
w zasięgu brzeg widnokręgu
i myśli krążące jak w ulu

kiedy zostaje dobro
ukryte w mądrych radach
inaczej być nie powinno
inaczej nie wypada

a kiedy już tylko wspomnienie
wywoływane z pamięci
kiedy już tylko pustka
i łza w oku się kręci

(s. 31)

Drugi wiersz autorka dedykuje znanej podlaskiej poetce Józefie Drozdowskiej. Słynie ona z mistrzowskiej prozy sytuacyjnej i nastrojowych wierszy. Ale legendą jej twórczego zamyślenia są ulubione koty. Stąd w utworze Krystyny Gudel znalazła się taka bezpośrednia dedykacja:

Józi i jej kotom

gałązka jesionoklonu drgnęła
pojawił się skrzydlaty gość

przywitał się przekręcając łebek
i jakby się ukłonił
jego koralikowe oczka
mrugnęły kilkakrotnie

co miało to znaczyć w pierwszy
dzień Wielkiej Nocy

czy przybył sprawdzić jak sobie
radzi jak mają się jej koty
może pokrzepić w czasie zarazy
zostawić nadzieję i moc

pokój z tobą
gołębico grzywacza

(s. 43)

Obie dedykacje mają podglebie panegiryczne, sławią bowiem czyny i wydarzenia znanych autorce z autopsji postaci literackich. Dedykacje poetyckie przybliżają nas do trzeciego obszaru zainteresowań literackich Krystyny Gudel. Są to tematy historyczne i refleksjne.

kiedy się skończy czekanie
i można będzie jak przedtem
otworzyć drzwi i dzielić się
sobą jak chlebem

kiedy już będzie po wszystkim
i będzie można być blisko
pod rękę wziąć i w objęcia
i tulić się i ściskać

i będą marce i kwietnie
maje kwitnące jak były
wspominać będziemy
że takie nam się marzyły

więc niech się spełniają marzenia
te bardzo wyczekiwane
by znów można było oddychać
wilgocią fal morskich nad ranem

ławeczkę odnaleźć znajomą
przywołać bukiety wspomnień
przywitać się z chmarą wróbli
być blisko być w sobie

(s. 46-47)

W utworze (***ile ważą słowa) Krystyna Gudel zwraca uwagę na to, że poprzez ponadczasowość poetyckiej wypowiedzi, można uzewnętrznić więcej, niż poprzez sytuacyjny komentarz polityczny:

ile ważą słowa
ile czyny

ile świadectwo
prawdy ile kłamstwo
i donos

ile śmierć
a ile dramat

ocalonego

(s. 58)

Tom „Pęknięcia i szczeliny" zamyka utwór (***uchodźcy pragną pokonać). Wiersz opisuje niedawne wydarzenia związane z próbami nielegalnego przekraczenia przez uchodźców na polsko-białoruskiej granicy państwowej. Sytuacja ta rozkołysała emocje w społeczeństwie polskim na „za i przeciw", wobec uchodźców. Jak się potem okazało, była zaplanowana przez władze białoruskie w Mińsku. Miała polegać na destabilizacji polskiej granicy w przededniu planowanej napaści Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. Poetka podeszła do tematu w sposób poruszająco osobisty. Językiem poezji zastanowiała się, jak odczytywać niejasne wydarzenia polityczne i jak im sprostać. Autorka przedstawiła pewien wycinek wydarzeń z granicy, dotyczący rzeki Świsłocz. Porównała rzekę do biblijnej przeprawy Narodu Wybranego przez Morze Czerwone. Poetka stwierdziła, że Morze Czerwone rozstąpiło się przed uciekinierami z niewoli egipskiej, a rzeka Świsłocz nie rozstąpiła się przed uchodźcami. Autorka podkreśliła tym samym, że nie sprostaliśmy wyzwaniu naszych czasów, i nie otworzyliśmy dla uchodźców „szlaku / wędrownego" przez „nasze" Morze Czerwone. Stąd utwór dotyka socjologicznej paraboli, takiej jak zbiorowe sumienie i indywidualne patrzenie na rzeczywistość polityczną. To nieprosty głos na temat uchodźców na granicy polsko-białoruskiej w 2022 roku:

uchodźcy pragną pokonać
granicę przez szczeliny
podkopy pęknięcia i dziury
Świsłocz nie rozstępuje się
jak Morze Czerwone
jej dno stanowi szlak
wędrowny
bardziej na śmierć
niż na życie

Mimo ważkiego zakończenia tomu trudnym utworem (***uchodźcy pragną pokonać) chciałbym przytoczyć wypowiedź krytyczną Reginy Świtoń o cechach nadziei z e-portalu literackiego „Poeci w sieci": „Otwieram dziesiąty tomik Krysi Gudel i jestem oczarowana jego tematyką. To, co autorkę chwyta za serce, mnie też. Mam w oczach obraz – wielbicielkę przyrody siedzącą na schodkach domku na kolonii. Tropi myśli i układa je w wersy (wiersz 5). Podąża za głosem wilgi, gdy gwiżdże na deszcz, słucha trznadla i płaczliwego głosu dzięcioła, a w skrzydłach dudka widzi barwy i wzory. Kradnie ciszę, aby nie spłoszyć sójki i śpiewającego kosa. Bogactwo skrzydlatych przyjaciół utrwala na kliszy i przesyła dla mnie w liścikach e-mailowych. Przy pomocy sugestywnych porównań, przenośni, epitetów metaforycznych, utrwala piękno rodzinnej ziemi, zatrzymuje się w zachwycie nad jego urodą. Odnajdziemy w jej tomiku strofy pachnące sytością pór roku, sonety opiewające uroki letnie i zimowe (wiersz 20 i 21). Usiądźmy przy werandowym stole jesienią (wiersz 7), zachwyćmy się wszelkim dobrem, jakie daje nam przyroda. Bezimienna kobieta to Krysia, która siada na krześle, ustawia taboret, a w pobliżu miskę na owoce. Pracuje „*z zamkniętymi / oczami*", a "*na wpół otwarte buzie mirabelek / jakby się cieszyły, że nadszedł ich czas*" (wiersz 9). Z tą kobietą idziemy do sadu, gdzie wspomnienia płyną jak ze źródła. *Tu niegdyś wyznania / pachniały jaśminem / pocałunki / miały smak papierówki. W otulinie "rozochoconych winogron"*, zapachu lilii, razem z mężem spędza swój czas. Podaje mu kawę, dedykuje mu swój wiersz (wiersz 20 i 21). Młodych tu nie ma. Oni wciąż on-line. W tomiku są też wiersze – ukłony w stronę przodków i starych przedmiotów, a nawet drzew (...)".

Należałoby w pełni zgodzić się z tą wypowiedzią. Jest to bowiem dyskurs szczery i pojemny, ważny i głęboki. Opowiadając o tomie wierszy Krystyny Gudel krytyczka dotyka jeszcze jednego tematu, mającego żywe umocowanie w dziejach literatury polskiej. Jest nim renesansowa lipa Jana Kochanowskiego, synonim poezji, symbol mitycznego raju, miejsce narracji poetyckiej i trwania. Taką swoją lipę renesansową posiada także poetka Krystyna Gudel. Widzi ona poprzez jej rozłożysty cień, padający od konarów na przyrodę podlaską, pachnące konwalie i jaśminy. Są to symbole uniwersalne i subiektywne, klarowne i proste, wnikliwie wplecione w świat kręgów zaczynających się w sercu poetki. To mityczna przestrzeń podwórka, drogi, wody w strumieniu, niezgłębionego nieba – słowem całego wszechświata zdążającego ku wieczności.

Tadej Karabowicz

Krystyna Gudel, Pęknięcia i szczeliny, Wydawnictwo Ars3, Warszawa 2023, ss. 64. ISBN 978-83-955246-7-7

Mateusz Wabik

Wielki modelarz

Najnowszy tomik wierszy Marcina Świetlickiego pt. „Sierotka" ukazał się pod koniec czerwca 2023 roku nakładem wydawnictwa Wolno, ale dopiero o tym dowiedziałem się kilka miesięcy później, gdyż wcześniej nie natrafiłem na żadną informację na ten temat i kupiłem go kilka miesięcy po premierze, która nie została zaakcentowana specjalnie w mediach, pismach kulturalnych i literackich. Po prostu wszedłem do Wikipedii, a potem na portal Allegro i sprawdziłem, czy krakowski poeta nie wydał czegoś nowego ostatnio, ponieważ poprzedni tomik „Ale o co ci chodzi?" ukazał się cztery lata temu, a niegdyś tomiki z wierszami autora „Zimnych krajów" ukazywały się częściej. I okazało się, że nie pomyliłem się. Podtytuł tomiku Świetlickiego informował czytelnika, że książka zbierała wiersze napisane w latach 2019-2022, ale Świetlicki nie podejmował tematyki pandemii koronawirusa, a wojna na Ukrainie została potraktowana zdawkowo. Po poprzednim, wspomnianym już przeze mnie tomiku poety, w którym znalazło się sporo wierszy na tematy polityczne, społeczne, polemiczne z patriotyzmem itp., można się było spodziewać, że i w następnym pt. „Sierotka" takich wierszy będzie sporo. Tymczasem w nowym tomiku poeta starał się nie podejmować zbyt często tematyki politycznej, patriotycznej, skupiając się na wspomnieniach z dzieciństwa, filmach, spacerach z psem, swojej samotności, wierszach autotematycznych czy dopisywaniu kolejnych wersji starych tekstów. To co się stało w nowym tomikiem w porównaniu do poprzedniego przypominało o dawnej wolcie Świetlickiego, którą opisywali skrzętnie krytycy literaccy w latach 90-tych, kiedy po wydaniu „Zimnych krajów", w której znajdowało się wiele tekstów politycznych i społecznych, w następnym tomiku „Schizma" Świetlicki zagłębił się w sferę prywatną i odcinał się od wymogów jakie stawiali mu krytycy. Wówczas poeta przestał być głosem pokolenia, ale w każdym następnym tomiku jego wierszy można było zauważyć pewne stałe tematy, pewien stały charakter podmiotu lirycznego – jego odrębność i nie przystawalność do świata o czym pisali w swoich tekstach w różnych książkach Marian Stala, Piotr Śliwiński, czy Aleksandra Polewczyk. W najnowszym tomiku także nie brakowało polemik z innymi ludźmi, dąsów, zgrzytań zębami, najeżania się, ale Świetlicki unikał np. wierszy z nazwiskami. W porównaniu do poprzedniego tomiku, który był bardziej dosadny i rezonerski, w tym znalazło się sporo tekstów klimatycznych, wyciszonych, pisanych jakby po rozmyślaniach w nocy.

Jednym z najciekawszych tekstów w „Sierotce" była na pewno krótka proza poetycka „Mały modelarz". W mistrzowskim stylu Świetlicki zogniskował w tym tekście kilka sfer znaczeniowych. Po pierwsze wiersz po prostu można było przeczytać jako wspomnienie dziecinnych zabaw modelami wyciętymi z czasopisma dla modelarzy „Mały Modelarz". Po drugie zaś jako pochwałę swojskości i polskości, gdyż te tekturowe modele samolotów, czołgów przynosiły wiele frajdy młodzieży mającej smykałkę do majsterkowania i modelarstwa. To zadowolenie z zabawek produkcja polskiej podmiotu lirycznego zostało przeciwstawione tym, których nie zadowalały zabawki polskie, marzyli o „nieosiągalnych zabawkach" zapewne produkowanych w USA lub Europie Zachodniej, które bywały dostępne w sklepach „Pewex" ale za amerykańskie dolary, marki zachodnioniemieckie, franki francuskie lub specjalne bony, na których widok zagraniczni turyści mieli mocno zdziwione miny. Świetlicki uważał, że polskimi zabawkami można się było bardzo dobrze bawić. Sam pamiętałem z lat 80-tych, z podstawówki na os. Kościuszkowskim, że takie wycinanie i klejenie pojazdów pancernych z tektury z „Małych Modelarzy" mogło sprawiać frajdę. Miałem kolegów w klasie, którzy uwielbiali modelarstwo, ale bardziej napełnianie tych modeli saletrą i podpalanie ich, przez co wybuchały niczym pojazdy na polu bitwy pod ostrzałem z broni przeciwpancernej lub kiedy płonęły kiedy zrzucono na nie bomby z samolotu. Sam smykałki do modelarstwa nie miałem. W moim przypadku i wielu kolegów, nie liczył się kraj produkcji tylko atrakcyjność zabawki. Wiadomo, że miniaturowe samochody – potocznie zwane „resorówkami", „resorkami" lub „resorakami" firmy Matchbox były najlepsze, kiedy urządzało się wyścigi. Miałem samochodzik Pontiac Trans Am i żadna znana mi resorówka jego nie przebiła. Późniejsze miniaturki samochodów z początku lat 90-tych, sprowadzane z Tajwanu były ogólnodostępne, ale nie były zbyt szybkie i nie miały dobrych resorów, a plastikowa karoseria zastąpiła metal. Jednakże nie pamiętałem, by ktoś narzekał na żołnierzyki polskich firm, czy te kilkumilimetrowe, czy kilkucentymetrowe. Pomyśleć, że kiedyś można było iść do sklepu zabawkowego i kupić całą nazistowską armię z żołnierzykami wielkości kilku centymetrów w kolorze granatowym i w charakterystycznymi hełmami, które wszystkim kojarzyły się z nocnikami. Oczywiście nie pamiętałem, by ktoś tych Niemców jakoś nobilitował, na pewno wśród młodzieży wojska polskie i brytyjskie były bardziej doceniane. Wiadomo za mojego dzieciństwa ten kto miał komputery firmy Atari czy Commodore czuł się bardziej do przodu i bardziej na czasie. Ale polskie gry planszowe z tamtego okresu, niekiedy będące spiratowanymi grami z Zachodu lub innymi ich wersjami były także bardzo dobre i niektóre atrakcyjnością dla małolatów przerastały ówczesne gry komputerowe, weźmy np. „Labirynt śmierci", w którym wędrowało się po labiryncie budowanym w trakcie gry z losowanych kartoników, czy „Magię i miecz", w której to grze walczyło się z postaciami fantastycznymi, ale także rzucało się czary. Akurat polskie zabawki związane z wojskowością miały spore wzięcie wśród młodzieży w latach 80-tych. Kolekcjonowało się te kilkumilimetrowe figurki żołnierzy, niektórzy bardziej zaawansowani wprawiali się w ich właściwym malowaniu. Wiersz Świetlickiego, mimo, że nie do końca pokrywał się z moim doświadczeniem był prawdziwy, można było na pewno spotkać w Polsce młodych ludzi, którzy snobistycznie wywyższali się, gdyż rodzice i wujkowie przywozili im zza granicy zagraniczne zabawki. Tematyką przypominał nowelę Henryka Sienkiewicza „Janko Muzykant", w której bohaterowie uwielbiali zagraniczna muzykę i wszystko co francuskie, ale nie poznali się na talencie wiejskiego, polskiego chłopca mającego zamiłowanie do gry na skrzypcach, który został zakatowany na śmierć za kradzież skrzypiec. W wierszu Świetlickiego nikt nie umarł, gdyż „Mały Modelarz", z którego wycinało się modele kartonowe był w przeciwieństwie do skrzypiec w XIX wieku powszechnie dostępny. W tytule wiersza „Mały modelarz" zmieniono tytuł czasopisma „Mały Modelarz" – zastąpiono w drugim członie tytułu dużą literę małą, przez co tytuł bardziej odnosił się do podmiotu lirycznego niż do tytułu czasopisma, choć jak najbardziej z tytułem czasopisma tez się mógł kojarzyć.

W wierszu o niemieckojęzycznym tytule „Der Doppelgänger", który znaczył „Sobowtór" Świetlicki porównał cień, który towarzyszył mu w młodości do siebie starego. Ukazał w wierszu niemożność porozumienia się pomiędzy tymi dwoma postaciami młodej i starszej wersji samego siebie i niemożność dawania sobie młodemu wskazówek. W psychoanalizie Carla Gustava Junga cień mógł być synonimem podświadomości i wiersz wskazywał jasno, że każdy w sobie nosił zalążki siebie samego tyle, że starszego. Przez zaakcentowanie obrazu cienia wiersz trochę się kojarzył ze starymi horrorami w rodzaju „Nosferatu symfonia grozy" z 1922 roku w reżyserii Friedricha W. Murnaua, w którym gra świateł na planie filmowym wyolbrzymiała cień, co miało pogłębiać mroczny nastrój filmu.

Wiersz „Odpady i odpadki" był kolejnym wierszem Świetlickiego o swoim osamotnieniu w dużym mieście i przeszkadzaniu innym artystom:

„Owszem, ja mam świadomość: jest wielu i wiele,
co wolą, żebym w ogóle nie
był, zachowują się tak,
jakbym istniejąc, odbierał im prawo
do jakiegoś zasiłku i jakiejś dotacji"

W mieście artystów jak dawniej był postrzegany Kraków, rywalizacja środowiskowa wydawała się tak ostra, że każdemu poecie, muzykowi, malarzowi przeszkadzały najbardziej - nie słabo utalentowane osoby, ale ci najwięksi, którzy mogli odbierać innym zainteresowanie krytyki i widowni. To już nawet nie chodziło o Świetlickiego, tylko krakowski klimat po 1989 w różnorakich środowiskach twórczych. Nie chodziło nawet o największych, ale każdy kto czymś zabłysnął był poddawany ostrej środowiskowej krytyce. Niektórzy artyści także byli sobie winni różnym przytykom, gdyż grali w różne środowiskowe gry, wśród muzyków można było znaleźć niejednego artystę, który uważał się za lepszego od wielu światowej sławy twórców, zbierających laury i ciągle koncertujących i twierdził, że splot różnorakich okoliczności spowodował, że sam niewiele osiągnął, a najbardziej to, że urodził się w Polsce. Będąc Anglikiem czy Amerykaninem osiągnąłby więcej. W wierszu Świetlicki raczej poruszano tematykę samotności artysty, jeszcze raz przywołując młodopolski topos artysty będącego ponad tłum, ale z pewną współczesną zmianą, teraz tłum uważał się być ponad artystę i był mądrzejszy od niego. Tak jakby polskie życie artystyczne uległo wpływowi mieszczańskiej kultury niemieckiej, w której aż tak bardzo nie wypadało być artystą. Do tego współcześni literaturoznawcy wyszkolili tak młodych krytyków, że oni odwrócili się od polskiej twórczości, niejeden z nich pomyślał już tysiąc razy o swojej lepszości od polskich poetów współczesnych, pisarzy, czy artystów, gdyż napisał doktorat, czy habilitację. Poeci i artyści po transformacji ustrojowej przestali być potrzebni.

Mimo wielu ciekawych wierszy w tomie „Sierotka", najbardziej zastanawiał wspomniany wcześniej wiersz „Młody modelarz", który można (chyba) przeczytać autobiograficznie. Zamiłowanie modelarskie z dzieciństwa mogło mieć wpływ na pewne cechy poezji Świetlickiego. O jego poezji często pisano, że była agresywna, ostra i polemiczna, zaznaczająca silnie swoją odrębność, ale rzadko zwracano uwagę na jej komunikatywności, jasność i precyzję w wyrażaniu (poza pewnym błędem topograficznym w „Oplutym (44)", gdyż kiedy stanęłoby się w Krakowie na samym środku Rynku Głównego – o czym pisał poeta w wierszu, będącym także tekstem piosenki Świetlików - stanęłoby się nie na środku placu, ale wewnątrz Sukiennic, które sytuowały się od lat w środku Rynku Głównego), pewne cechy stylu, które brano raczej za styl młodzieżowy, niż udane konstrukcje językowe. Wielu poetów rozmaitych młodych pokoleń próbowało naśladować styl Świetlickiego, ale żaden z nich nie osiągnął jak on takiej precyzji językowej, takiego napięcia pomiędzy różnymi frazami, w których płynność, przechodziła w poszatkowanie języka, wrażliwość w agresję, coś zwykłego w coś zastanawiającego, kiedy kolejne zdanie wiersza mimo, że nie wypływało logicznie z poprzedniego pasowało do wcześniejszych fraz.

Mateusz Wabik

Marcin Świetlicki, Sierotka, Lusowo 2023

CIENIE STRUKTURĄ WYRYSU CZASU

Zbigniew Kresowaty

Tom wierszy Edmunda Borzemskiego **MARATON CIENIA** niewątpliwie budzi refleksje witalne i przywołuje chwile rozstania. Czujemy tu zapach, westchnienie, oddechy i szelest wielu sylwetek osób sportretowanych obserwacjami poety w przeszłości i obecnie. Wiem o tym dużo, ponieważ żegnam się i ja z Wielkimi przyjaciółmi… Tak było ostatnio latem, pozostał mi Muzy mojej pachnący cień po ciężkiej nocy, kiedy odeszła po „wielkich mękach" na drugą stronę horyzontu, pozostawiając głęboki oddech swego czasu u mojej twarzy oraz dotyk smukłej dłoni.

- Wielką bezwzględność czasu widać wyraźnie w całej książce. Mówię książce, bo to 128 stron poezji, na grafikach Wojtka Kowalczyka. Tom wydany nakładem **Biblioteki Publicznej im. E. Smołki w Opolu.** Wiersze odczytuję jako nieubłagalność dookolnego ruchu i wartości kreacji koła zamachowego. Inne grafiki to stacje, przystanki i rozdwojone tory kolejowe, obok pojedynczych budynków w pustym wyludnionym polu. Tła odjazdu z torami, tam i z powrotem... Krzyżujące się czarno – białe misternie oddane cienie, to jakaś pamięć i ryty wspomnień. Tu Pamięć króluje, jest ona znakiem względności czasu. Tutaj cienie posiadają wiele z człowieka: ruch muskularnych ciał, zapach, kolor, dotyk, zdziwienie, te szczegóły w dodatku objawiają się nam bardzo różnokształtnie, z treściwą misterną fakturą, jakby z esencją kosmiczną? – To rzeczywistość, to trwanie, które trzeba dostrzegać wokół wyobraźni, która kieruje losem. Duchy przeszłości, które nie koniecznie widzimy o 24.oo w nocy – Ale czy tak jest? – czy świat nie jest złożony ze złudzeń, z cybernetyki, z chwili?

- Ten tom poetycki Edmunda Borzemskiego wskazuje, że jednak najważniejszy jest czas, jego prędkość... W tym tomie poetyckim pomiędzy słowami w odcieniach różnokolorowych i tych tradycyjnych cieniach czarno – białych, (bo to też kolor), tyle że ostrzej niesiony przez światło. Dobrze wiemy, że tylko poeta różnych profesji może zauważyć to zjawisko, przywiązując do niego uwagę, dopatrując obecności wszech cieni. To zagadnienie empiryczne, o czym wie snujący tezy metamorfoz... Cienie z teorii względności(?). Jest jakaś energia, która tworzy tunel światła dla rożno - zmiennego obrazu. Natomiast poeta pyta o cienie(?) wysiłkowe do Maratonu. Nasi przyjaciele, lub współmałżonkowie, odchodzą w wielkie morze tajemnic, które jest kosmosem częściowo pojmowanym na stronach biblijnych, a refleksje podpływają po takim akcie do nas całkiem osobno, jak małe łódeczki, z napisem nazw na burtach...

- Podpływają i powstaje wiele zapytań o odmęty wieczności – Wiersze poety to modlitwy z zapytaniami: Gdzieś w tunelach czasoprzestrzeni umieścili przecież swoją Pamięć - ich byty, które ciągle trwają, bardziej w nas. Nie wiem, czy tę książkę omawiać w kontekście jakiegoś rozliczenia pożegnań, umykania do tajemnej mety?...

Poeta zapisał, a może opisał Wielki **Maraton** (Miasto) **cieni**, które przemykają wciąż przez jego dom, które wkradają się w każdy przedmiot, w sen Jawny. Być może tańczą te cienie empiryczne, i maja jako cienie tylko tutaj swój byt, może nawet nam się zdają w/g przećwiczonej wizji bajek z dzieciństwa? – Później zapełniają puste kartki szeptanych odcisków wierszy…

- Przytoczmy zatem definicję **MARATONU**:

Poetycki portret Edmunda Borzemskiego wyk. Zbyszek Kresowaty - „Krezbi"

- Maraton to miejscowość w Grecji. Według Herodota po zwycięskiej dla Greków bitwie z Persami właśnie **pod Maratonem** w 490 r. p.n.e., armia perska zaokrętowała i wypłynęła w kierunku bezbronnych Aten. Widząc to, Grecy udali się, co sił w nogach, do miasta, przybywając na miejsce praktycznie równocześnie z okrętami perskimi. Bieg ten stał się podstawą romantycznych historii, według których posłaniec Filippides pobiegł do Aten, by opowiedzieć o zwycięstwie i poinformować Ateńczyków, że płynie ku nim flota perska. Po przekazaniu tej wiadomości padł martwy.

– Natomiast tom wierszy Edmunda Borzemskiego to bardzo urokliwe refleksje dziania się różnych urokliwych żyć, jakby trwały one wciąż życie po życiu. Urokliwy tom poezji tym bardziej, że pełen grafik znanego artysty **Wojciecha Kowalczyka,** jako znakomitego rysownika i cenionego grafika nurtu surrealistycznego z Krakowa, co znakomicie kojarzy się z zawartością wierszy Edmunda Borzemskiego. Porcja tych prac nasuwa niesamowite dygresje i buduje, jakby wnikliwie dalszą narrację podmiotową i puenty. Tutaj grafikony są cieniami i wyrysami skomplikowanego trenu czasu. Artysta grafik wręcz „dyżuruje" na stronach wielu tomików poety Edmunda Borzemskiego, ujmują one dobrze poetykę tego autora, jakby ilustrowały intuicję poetycką. Ten świat bardzo czytelnie wyłania się na dobre po przeczytaniu wierszy Te ilustracje to takie byty na Jawie(?)… Czasem wycieniowane, tudzież postaci, są kształtem odbitych mechanizmów – A to bardzo ciekawe osobne tajemnice, które dopowiadają metaforycznie treści...

- Należy zapytać, czy cienie wyobraźni, zarówno poety jak i poety grafika, są tandemem o podobnym kształcie? - Wejdźmy zatem w treści interesującej książki. A może poeta chce powiedzieć, że cały ten świat nic nie jest wart, bo jest coś takiego na Ziemi jak iluzja, która szybko umyka pod Maratonem… Pozostaje tylko podmuch pamięci dotąd, póki żyjemy w tej iluzji, a ona brodzi w nas? - Może ci, którzy odchodzą, są w innym wymiarze stoją na zawsze niewidoczni za naszymi plecami...

- Napisał poeta, w dedykacji osobnej, dla mnie takie oto słowa:

Życie jest puste jak kartka
Dopóki nie wpiszesz w nie
Drugiego człowieka

Zatem kusi mnie omówić niektóre wiersze, które jakby sankcjonują problem lub fenomen cieni Maratonu. Autor poruszył świadomie wartość tego słowa, odnosząc się do biegu kreacyjnego i bohaterskiego. W swoim zbiorze wskazuje on wielu przyjaciół, znaczących w życiu wiele, przywołuje każdego mijanego w/g osobowej sylwetki ongiś i charakterystyki ulubionego koloru…

- Wiersze tu przemykają wycieniowane przez struktury koloru ich żywota. Refleksja zawarta lirycznie ulatuje w kosmos jednej wielkiej galaktyki portalu Pamięci.

Wspomnijmy wiersz pt. **Do Anioła Stróża** (str. 14)

Amegonie*/ Aniele Stróżu mój,/
choć czas niby nie ma /

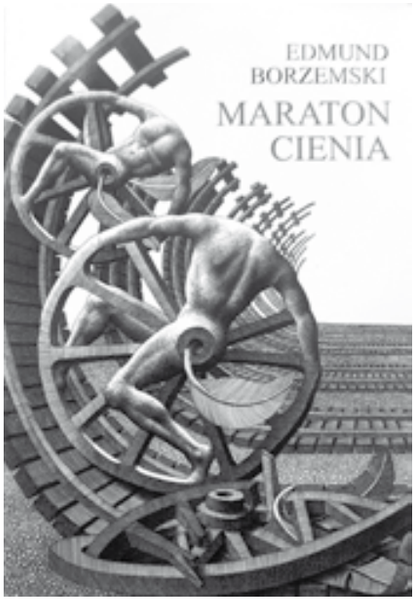

nad Tobą władzy,/ to jednak wystrzępił Ci/
skrzydła.//Zmęczony staniem przy mnie -/tak
po ludzku/ za moimi plecami/sączysz wino.//
Gordyjskie węzły/moich grzechów/
ognistym mieczem przetnie/
może tylko/archanioł Michał.

*__Amegon__ – imię przypisane Aniołowi Stróżowi, zaczerpnięte z książki Harry'ego Dudy.

- Otóż poeta widzi także cień i mówi **O Edenie inaczej** – To tytuł wiersza (str. 15)

(…) Niech archanioł Gabriel/ z Amegonem/
ustanowią tu wreszcie/ Twój porządek/
Wtedy bez obawy/ dotknę znowu/
drzewa wiadomości - / nie rodzi już
bowiem owoców, / a ich resztki/ i tak od
wewnątrz toczy/ robak ateizmu. /…/

- Autor tekstów „Maratonu" odnosi się także do wartości **słowa** – ileż to słów napisano na temat **słowa** i jego wartości - wiersz (str.18), brzmi:

Jak sekwoja trwa/ ponad wiekami. /
Było pierwsze/ i będzie ostatnie.//Lecz
z ludzkich ust/ jak z procy - niebezpieczne:/
może zabić i Goliata,/ i Dawida.
(30.09 – 1.10. 2022)

- Poeta bywa zawsze na szlaku, „nie spóźnia się na wiersz" (Krzysztof Karasek), zauważa intensywny ruch i jakby chce się włączyć z doczesności do biegu ku empirycznej lub sakralnej wieczności…

Tutaj kolejny rozdział pt. **ONA** (str.19)

Wiersz pt. **Na szlaku** (str.22)

Pamięć zapala znicze/niewidzialnie
obecnych./ Ożywają. /I trwa intensywny
ruch./Doczesność i wieczność,/ żywi i umarli/
mijają się bezkolizyjnie.//Nad płynnością
ruchu/ czuwa policjant – /śmierć.

- Jest tak, że nie da się uniknąć refleksji, zwłaszcza w lirykach, i zwłaszcza nad bliskimi. Edmund Borzemski w części **POŻEGNANIE Z OJCEM** (str. 27)poświęca Jemu 5 treściwych wierszy, porównując Go nawet do alpinisty. Później następują wiersze pomieszczone jak w poemacie, tu oznaczone tytuły rzymskimi cyframi: **Ojcu na urodziny, Pamięci mego Taty I**, **Pamięci mego Taty II, Pamięci mego Taty III,**

Wiersz **Pamięci mego Taty III,** (str. 33):
Bumerang przeszłości/ posłusznie powrócił./ Wróciłeś, Tato, /do domu/ wspomnieniem/przez zamknięte drzwi.//Też były zamknięte,/ gdyś przeszedł przez nie/ na niewidzialna stronę.//Każde z osobna/ wspomnienie/ nizało się chwila po chwili/ na pajęczą nić./ Skrzypnęły drzwi – /do pokoju/ weszła Mama./Usiadła w najdalszym/ kącie przestrzeni./ Spostrzegłem kroplę/ drżącą skałę/jej twarzy.

Tacie w drugą rocznicę śmierci

– Poeta oddaje tu część swemu dozgonnemu autorytetowi, który jest zawsze. Może przytoczmy zatem część wiersza (str. 34) :

(…) Stoję przed drzwiami/wpatrzony/
w niewidzialną dla innych/ plamę krwi -/
ostatni zapis Ciebie/…/ Wspomnienia/jak
Łazarz/ wywołany z grobu/wstają?/…/

- Tutaj następuje później kolejna część książki pt. **PO NICH I DO NICH.** (str. 35) – To długa lista cieni o bardzo kolorowych charakterach. Cienie nie muszą być przecież czarno – białe. Edmund Borzemski podjął się maratonu w szerszym kontekście czasu, zestawiając osoby obok których podąża i zatraca się wręcz w jego WEHIKULE, w jego migających cieniach, i nie ujawniają się one do końca złożonego biegu wydarzeń… dzień i noc, noc i dzień, chwila, godzina… wyrwa życia w kosmosie wszechbytu(?)

- I jak widzę następują tu cienie wierszy zatytułowanych w żywej jeszcze Pamięci. Autor - zapisał najcenniejsze „wspominki" o swoich najważniejszych osobach, kiedy byli u steru swego życia mieli wpływ na życie poety – Jest tu tekstów dużo, zatem oto tytuły wierszy:
Kolejny list do Babci Anny, Pamięci mego Stryja Edmunda, W rocznicę zamachu (Pamięci św. Jana Pawła II), Wyrwa, Dla Danusi Kobyłeckiej wiersz I, Dla Danusi Kobyłeckiej wiersz II, Epitafium dla Mieczysława Kosza*,Wspomnienie o Bolesławie Leśmianie, List do Jacka Lubarta Krysicy, Reguiem dla Jacka, Wymknąłeś się Pamięci Zygmunta Malona - Przyjaciela rodziny, Pamięci Bronisławy Matuszewskiej, Pamięci Piotra Myszyńskiego, Okno z widokiem na morze, Pamięci Agnieszki Osieckiej, Pamięci Henryka Rachwała – Ojca mego przyjaciela, Pamięci Barbary Ruszeckiej, Wiadomość, bez tytułu, Pamięci Krystiana Szafarczyka, Epitafium (Pamięci Piotra Szczepanika) *Którego poeta dobrze znał* **, Znowu odejście, Rozsypana paczka, Wizyta** (Pamięci Janusza Wójcika), **II Zapowiedź wizyty, III Rydwan, O profesorze Marianie Zembali wspomnienie S. E. Borzemskich.**

Dostrzegam na tej części takie „non – stop" - Wielką kreację cieni , charakter tych cieni, i klimaty gdzie wodzirejem obserwuje, jakby z obrazu Jacka Malczewskiego – Mityczna Tanatos prowadzi tym samym cały maraton... Czuję zapach tych zwiędłych cieni, choć są kolorowe i jedyne w swoim rodzaju biegną. Widzę pośród nich wyraźnie sylwetkę samego poety Edmunda, patrzę na cały bieg jego oczami – a on z radosnym żalem – On wyraźnie radosną ma twarz, choć w oczach żal, choć pojawia się tu bezsenność, wtedy maraton przeradza się w dziwny karnawał Hello Wynn, ale i on biegnie… Ten karnawał będzie trwać bardzo długo, bo całą wieczność i trwanie tego „Dziwnego świata".

- Następuje kolejny rozdział pt. **LIRYKI Z PAWIEM W TLE**
- Poeta i lektor budzi się we własnych cieniach, pragnie jakby jeszcze raz je rozpoznawać, a nawet tańczyć z nimi - robi to za pomocą bardzo ciekawych modlitw - wierszy. Pokazuje jednocześnie nam szkołę pisania wierszy z wiedzą, wtapia się sam w swój własny cień.

Mój cień (str. 69):
(…)
Za bramą pusta ulica/śni o ruchu,/od czasu
do czasu się budząc/ z pandemicznej
śpiączki.// Nasz wspólny los/ - cienia
i mój -/ byłby do zniesienia,/ gdyby nie
pazury chwil/ wbite w nasze grzbiety.

I zaraz następuje tekst wiersza (str. 71)

* * *

Na kartce dnia/rozlewa się /kleks zmierzchu./
Moje myśli/ jak nietoperze/ bezszelestnie /
utulają w noc// Echosonda wspomnień/
działa niezawodnie,/wyprzedzając
wyobraźnię.// Nad ranem/ wrócę pod sufit/
i złożę skrzydła,/by przespać dzień.

Poeta przemienia się w nietoperza, żeby lepiej pojmować noc i siły archaiczne(?).

- Otóż rozdział **LIRYKI Z PAWIEM W TLE** (str. 68) poprzedzone są grafiką, na której widnieje tor, gdzie po jednej stronie toru i po drugiej widnieją surrealistyczne stacje, podkłady dla torów to walizki. Pakuje się poeta i będzie tym torem wyruszał w nieznane, już widzi własny cień i dużo walizek spakowanych…
- Ubolewam, ale muszę ze szczerości to oznajmić: Autor poeta, historyk i pisarz podsumowuje swój dorobek, liczy cienie i ich elementy, czy to jego ostatni pawia śpiew? – a może raczej donośny krzyk łabędzia na nowiu?… przed wejściem w **Dolinę snu** (str. 77)

Rzeczywistość/jak kłusownik/zostawia na ciebie/pułapki./ Z determinacją zająca,/ walczącego z czasem/o życie,/uwalniasz się/z wnyków dnia./Poraniona - /uciekasz/w dolinę snu.

Reasumując: Zatem co uderza w tym zbiorze; stos wierszy poświęconych Osobom Bliskim, tym którzy odeszli lub są jakby zasłużeni dla spraw poety i jego edenu domu. Nie da się uciec od twierdzenia, że poeta rozlicza swoje życie, rozmienia na wspomnienia, ma coraz więcej bezsennych nocy i dni zamienionych się w noce, co zresztą nie wabi i być może nastraja bardziej kontrowersyjnie. A może to tylko złudzenie? – może poeta oświadcza, że jest bogaty w doświadczenie bycia tu i wtedy, czyli wczoraj – teraz? Nie chce powiedzieć, ze jest zmęczony tym maratonem. Wspomnienia o Ojcu są bardzo oryginalne, wywarzone i dziękczynne stosowne do charakteru tej postaci (znałem ojca Edmunda). Poeta wyraźnie nasuwa sobie myśl. Żeby zbliżyć się do swoich „niebiańskich przyjaciół" uważa, że czas być przygotowanym przed mityczny Maratonem. Trzeba odpuścić sobie i im grzechy, przetańczyć z ich cieniami - co też nie odbiera poecie nadziei i refleksji iście sumiennych, może nawet pobożnych. Poeta chce być pokornie ufny i oczekiwać następnych spotkań po projektori maratońskiego biegu, być może poza ich za horyzontami wieczności. Tomik ten to iście taki skuteczny bieg do swej okolicy, rzeczywiście nie odbiera ten tytuł Edmundowi nadziei, ale najważniejsze, że podnosi go na duchu, jakby ze swego spełnionego obowiązku. Bo cóż poeta może dać swoim przyjaźniom, czy bliskim zauroczeniom za całe życia – tylko wiersze, jako modlitwy za nich do Parnasu.

Zbigniew Kresowaty

Roman Warszewski

Jedwabne tu i teraz. Kopniaki duże i małe

Wybrałem się do Jedwabnego. Nie w lipcu, w czasie gdy co roku obchodzona jest tam rocznica okrutnej masakry, której w 1941 roku Polacy dopuścili się na miejscowych Żydach, swoich sąsiadach, lecz nieco później: chciałem zobaczyć jak to miejsce wygląda na co dzień, bez nadwymiarowego zgiełku.

Byłem w kilku miejscach podobnych zdarzeń, podobnych mordów – np. w Srebrenicy na Bałkanach w czasie Wojny Bałkańskiej lat 90.–tych, albo w Uchuraccay, w wysokich Andach, gdzie niepiśmienni Indianie keczua zatłukli grupkę dziennikarzy, którzy chcieli rozwikłać niektóre sekrety brudnej wojny, którą w latach 90.-tych XX wieku rząd w Limie wypowiedział partyzantom spod znaku Świetlistego Szlaku.

W Srebrenicy, gdy ją odwiedziłem, wojna już dobiegła końca. Już nikt do nikogo nie strzelał, co najwyżej rozminowywano najbliższe okolice niewielkiego miasta. Na miejscu nie było sprawców nieszczęść, ani ich rodzin, bo znów – choć pogrążone w żałobie – było to miasto muzułmańskie. Nie było więc kogo pytać, co myślą o tym, czego dokonali, lub – w najlepszym razie – czemu biernie się przyglądali. Sprawcy zabójstw ośmiu tysięcy muzułmańskich mężczyzn i chłopców mieszkali już w Belgradzie, gdzie roztopili się w tłumie, albo, po tym co im udowodniono, nie wyszli jeszcze z więzień.

Natomiast w Uchuraccay, gdy po raz drugi trafiłem tam po latach, o zabójstwie reporterów z Ayacucho nikt zdawał się nie pamiętać. Nastąpiło całkowicie – może faktyczne, a może tylko udawane? – wyparcie niesławnych wydarzeń sprzed kilku lat.

– Jaka masakra?

– O czym pan mówi?

– Tu nic takiego nie miało miejsca? – usłyszałem z bardzo wielu ust. A gdy pokazałem książkę, którą na ten temat napisałem, powiedziano, że to pewnie jakiś fake–news. (To słowo, o dziwo, było tam znane). Miałem nawet kłopot z tym, by jako przybysz z zewnątrz, przekroczyć granicę wioski.

Znajomy – zresztą z profesorskim tytułem – który dzieciństwo spędził w okolicach Jedwabnego, ostrzegał mnie przed planowaną eskapadą. Mówił, że miejscowi nie lubią, gdy ktoś do nich przyjeżdża z daleka i rozpytuje o wiadome zdarzenia sprzed lat. Podobno, jak nie ma się szczęścia, można wtedy nawet zarobić w dziób, albo samochód na obcych rejestracjach może zostać obrzucony kamieniami – nawet kostką brukową. Był bardzo sceptyczny:

– Po co ci to? Po co będziesz ryzykował?

Dlatego przed wyjazdem postanowiłem się nieco uzbroić. Ale nie w kostkę brukową. Zebrałem z półek siedem książek, które tematycznie były związane z Jedwabnem i postanowiłem jeszcze raz je przewertować:

Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka Jana Tomasza Grossa,

My z Jedwabnego, Anny Bikont,

Złote żniwa i *Strach* znów Jana Tomasza Grossa,

Czarna ziemia. Holocaust jako ostrzeżenie Tymothy'ego Snydera i

Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota Pawła Piotra Reszki.

Przez lata trochę się tego nazbierało. Chciałem się przygotować, jakbym miał okazję w Jedwabnem z kimś bardziej dogłębnie podyskutować.

Masakra tysiąca sześciuset Żydów z 10. lipca 1941 roku po raz kolejny stanęła mi przed oczami. Polscy sąsiedzi swych żydowskich sąsiadów – zachęcani przez Niemców – pogonili widłami i kopniakami do wielkiej obory, którą następnie zaryglowali i podpalili. Jak to możliwe? Jak do czegoś takiego mogło dojść? W biały dzień? W środku lata? Czy podpalacze nie słyszeli krzyków żywcem palących się ludzi? Czy to, co robili ani trochę ich nie przerażało? A może… to wszystko nieprawda?

Właśnie taki wariant wyparcia historycznej prawdy obrała co najmniej część współczesnych mieszkańców Jedwabnego. Bo gdy dojechałem na miejsce i samochód zaparkowałem w dyskretnym, mało widocznym miejscu,, ilekroć chciałem któregoś z przechodniów zagadnąć na temat wydarzeń z 10. Lipca 1941 roku, spotykałem się z tym samym, z czym spotkałem się na drugiej półkuli, w nazwijmy to tak, dzikiej andyjskiej krainie, w Uchuraccay.

– Jaka masakra?

– Zabójstwa?

– O czym pan w ogóle mówi?

– To jakieś wymysły i bzdury!

Po takich słowach za każdym razem następowała ucieczka potencjalnego rozmówcy. A gdy wskazywałem na miejsce pamięci tam gdzie kiedyś stała ta okrutna stodoła, słyszałem:

– To nie żaden pomnik, to tylko kupa kamieni!

Powiedzieć, że było to straszne, to nic nie powiedzieć. Po kilkunastu próbach podjęcia rozmowy, zorientowałem się, iż chodzenie po uliczkach miasteczka i wyciąganie przechodniów do tablicy, nie ma większego sensu. Nie szukałem noclegu. Po około trzech godzinach ruszyłem w drogę powrotną. Oczywiście mogłem odnaleźć osoby mniej przypadkowe – z władz miasteczka, z lokalnej, nazwijmy to tak, elity. Ale mnie nie chodziło o wybranych. Chciałem posłuchać głosów z ulicy. I nic z tego nie wyszło.

Chciałem tą podróżą sobie coś wyjaśnić, a pozostałem z jeszcze większymi pytaniami. Jak do tego wszystkiego mogło dojść? Jak to, co zaszło w Jedwabnem, było możliwe? To jasne, że wojna wszystko potęguje i wielu ludzi najnormalniej odziera z człowieczeństwa, na wierzch wywleka najgorsze instynkty. To wszystko prawda. Zaraz za tym nasuwała się jednak refleksja: ale mimo to, mimo wszystko…

Holocaust, którego epizodem była masakara z Jedwabnego, i to jak w nim zachowali się Polacy, to wielka rana w polskiej historii XX wieku, niezależnie od tego, ile szukalibyśmy usprawiedliwień, tłumaczeń, i ile razy byśmy przeliczali drzewka z Yad Vashem: jakoś nie chce być ich więcej niż sześć i pół tysiąca. Są to sprawy, których upływ czasu nie wybieli, a najlepszym rozwiązaniem byłoby przyjęcie tego wszystkiego na tak zwaną klatę i [powiedzenie, że to, co było już się nie odstanie, ale nic takiego już na pewno się nie powtórzy. Choćby nie wiem co.

Ale czy takie stwierdzenie nie byłoby stwierdzeniem na wyrost?

U źródeł i na samym dole nieszczęść, o których piszę, znajdowały się nie okrucieństwo, lecz bierność i obojętność. Przymykanie obu oczu na zło, które rozplenia się wokoło. Te ziarna nieszczęść obecne są do dziś. Tylko czekają, żeby wykiełkować i zalać nas wyrastającym z niego chwastem. Oczywiście tak obecność ma inny wymiar niż w czasie wojny, bo tak jak już pisałem, wojna wszystko potęguje i wynaturza. Rozdaje największe kopniaki, używa największych wideł. Kopniaki, których tylu z nas teraz nie dostrzega są dużo mniejsze.

Ile dzieci ginie z rąk rodziców i opiekunów? Kamilek, Andrzejek, Mareczek, Agatka i Basia. Ile zakatowanych na śmierć dzieci już było, a ile jeszcze będzie? Nie odbierają swych śmiertelnych razów i batów w próżni. To dzieje się obok, za ścianą, na oczach tych, którzy oczy uparcie odwracają. Potem słyszymy:

– To była taka dobra rodzina. Nic nie wiedzieliśmy, nie byliśmy świadomi, co tam się dzieje.

Naprawdę?

Wielkie kopniaki i widły (którymi w Jedwabnem Żydów gnano do stodoły) zaczynają się od kopniaków małych i przemilczanych. Ostatnio w redakcji odwiedziła mnie pani, która przyszła się poskarżyć i wypłakać. Opowiadała, jak to każda wizyta u niej jej ponad trzydziestoletniego syna kończy się – pod byle pretekstem – wymierzeniem jej serii kopniaków i biciem okularów. Nie jest osobą samotną. Także ma „dobrą rodzinę". Taką, która od lat udaje, że nie widzi tego co się dzieje, bo tak jest jej łatwiej, wygodniej. Przecież zawsze można się zdrzemnąć, przymknąć oczy, albo po prostu włączyć ten wielki znieczulacz – telewizor, czyż nie? Lepiej jak jest spokojnie i miło.

Ta sama obojętność, która w czasie pokoju może spowodować pojawienie się kilku siniaków, w czasie wojny jest drogą do Jedwabnego.

Roman Warszewski

Roman Warszewski

Rodowód. Pisarka, która nie została królową

Znana pisarka meksykańska Elena Poniatowska w tym roku ukończyła 91 lat. Właśnie otrzymała niezwykle prestiżową nagrodę Carlosa Fuentesa. Miejscowa prasa, mimo jej lewicowych upodobań, od lat nazywała ją księżniczką meksykańskiej literatury – przyznane wyróżnienie tylko to potwierdziło. Niewiele osób jednak pamięta, że gdyby w Polsce przywrócono monarchię, to właśnie Elena Poniatowska miałaby największe szanse zostania królową Polski.

Jak to możliwe?

Rzecz w tym, ród, z którego wywodzi się Elena, zapoczątkował Stanisław, syn najstarszego brata króla Stanisława Augusta Poniatowskiego – Kazimierza Poniatowskiego. Sejm polski w 1764 roku – podczas koronacji Stanisława Augusta – przyznał pełnoprawnym aktem ustawodawczym jego pięciu braciom i ich potomstwu godność książąt Rzeczypospolitej. Jednak tylko dwaj z nich, Kazimierz i Andrzej, wstąpili w związki małżeńskie, przez co tylko ich zstępni mieli prawo do dziedziczenia tego tytułu. Król Stanisław August Poniatowski był skory do pomocy rodzinie. zaopiekował się dwoma bratankami, jednak do historii przeszedł tylko jeden z nich – Józef, syn Andrzeja. O Stanisławie Poniatowskim, synu najstarszego brata króla Kazimierza ślad, na długie lata zaginął.

Na ślad zaginionego potomka króla wpadł dopiero nie kto inny jak Marian Brandys w czasie jednej z wizyt we Florencji. W kościele świętego Marka wskazano mu nagrobek bratanka króla Stanisława Augusta Poniatowskiego – Stanisława. Zdziwienie było wielkie. Było wszak wiadomo, że Józef, drugi bratanek króla, spoczywa na Wawelu. Ale imiennik króla – Stanisław? Kto to w ogóle taki?

Ciąg dalszy zdziwień miał miejsce w Paryżu. Tam na rue Berton Brandys natrafił na pałac książąt Poniatowskich di Monte Rotondo, w prostej linii potomków księcia Stanisława, którego grób widział we Florencji. Jego ciekawość podrażniona została do ostateczności. Ruszył śladem, którego de facto jeszcze wtedy nie miał, a rezultatem jego poszukiwań stała się książka *Nieznany książę Poniatowski,* stanowiąca bezcenny przyczynek do poznania dziejów Meksykanki Eleny Poniatowskiej.

Brandys portretuje Kazimierza, ojca księcia Stanisława, jako wielkiego ekscentryka – człowieka, który z łatwością podejmował się różnych ryzykownych przedsięwzięć – m.in. jako pierwszy sprowadził do Polski ananasy i małpy. Jego syn wychowywany był jednak z dala od ekscentryczności i rozrzutności ojca przez matkę Apolonię. To od niej Stanisław miał oddziedziczyć skłonność do oszczędności, zaradność w interesach oraz purytańskie wartości. Do dziś zachował się jeden portret matki i syna. Wyszedł spod pędzla nie byle kogo – Marcello Bacciarellego. Staś – zgodnie z konwencją epoki – jako golutki cherubinek, podtrzymuje na nim matce koszyk z kwiatami.

Kilkanaście lat później, czując, że meandryczna polityka króla-stryja skończy się fiaskiem i że dojdzie do rozbioru Polski, wyjechał do Włoch, do Rzymu, gdzie nabył stary pałac przy via della Croce oraz znajdującą się opodal Porta de Popolo rezydencję, do dziś nazywaną willą Poniatowskiego. Stanisław – bogaty, przystojny – stanowił w tym czasie bez wątpienia znakomitą partię. Mimo to przez długie lata nie wykazywał skłonności do żeniaczki, przez co u wielu zyskał miano dziwaka. Ożenił się dopiero grubo po 50.–tce, z Cassandrą Luci, żoną szewca z sąsiedztwa, który regularnie katował swoją małżonkę. Ta pewnego razu ścigana przez męża uzbrojonego w nóż szukała pomocy u kamerdynera Stanisława. Wtedy Stanisław zaproponował jej azyl w pałacu. I tak to się zaczęło.

Magda Melnyk w biografii Eleny Poniatowskiej pisze: Związek z plebejką (…) oznaczał w tym czasie batalie prawne. Książę wynajął prawników, żeby ułożyli się z panem Venturinim [mężem Cassandry] w sprawie zrzeczenia się praw małżeńskich. Szewc przystał na tę propozycję chętnie, ponieważ oznaczała dla niego lukratywne zadośćuczynienie (...).W życiu Stanisława zaczął się nowy etap.

Na świat przyszło pięcioro dzieci: Izabella, Karol, Konstancja, Józef i Michał. Z punktu widzenia trwania rodu było to bardzo istotne. Po śmierci Józefa poniatowskiego w 1813 roku, to Stanisław był jedynym męskim potomkiem króla Stanisława Augusta. Czworo z latorośli przyszło na świat już we Florencji, dokąd Stanisław i Cassandra wkrótce się przeprowadzili. Na południe od miasta, w słynnym regionie Chianti Poniatowscy nabyli stare opactwo San Lorenzo – istnieje do dziś i oferuje niezbyt drogie noclegi w szykownych apartamentach, a w Livorno willę Maurogordato powiązaną z feudalnymi dobrami, dzięki którym rodzina zyskała tytuł Monte Rotondo. To tam Stanisław zmarł i nawet przez pewien czas był pochowany. Dopiero jakiś czas potem jego grób przeniesiono do Florencji, gdzie w latach 50-tych XX wieku ujrzał go Marian Brandys.

Najzdolniejszym z potomstwa księcia Stanisława – zwanego niekiedy Starym Królem – okazał się Józef. Niepowtarzalna atmosfera Florencji, gdzie wzrastał dała mu wszystko, czego potrzebował. Został świetnym tenorem i kompozytorem. Stworzył 12 oper, z których najsłynniejszą była *Don Desiderio*, wystawiana także w Polsce.

To on jako jedyny z pięciorga rodzeństwa dochował się syna – znów Stanisława, który – zapoczątkował francuską linię Poniatowskich, z której wywodził się także jeden z francuskich ministrów spraw zagranicznych. Stanisław bardzo dobrze się ożenił. Magda Melnyk: Jego wybranką została Leopoldin Le Hon, córka ambasadora królestwa Belgii we Francji, hrabiego Charlesa Le Hon oraz jego żony Fanny. W rzeczywistości Leopoldine była córką diuka Charlesa de Morny, który hojnie obdarował pannę młodą.

Ślub Stanisława Poniatowskiego z Louise Leopoldine odbył się w roku 1856. Młodzi zamieszkali w Paryżu w ambasadorskiej rezydencji przy ulicy de Milan. Tu na świat przyszło troje ich dzieci: Catherine, Charles i Andre.

Gałąź rodu, z której wywodzi się Elena swój początek bierze od tego ostatniego. Andre uczył się u jezuitów i w renomowanym liceum Condorceta. Szczęście mu sprzyjało. Świetnie obstawiał na wyścigach konnych. Z czasem stał się posiadaczem rumaka o imieniu Priam. Priam przyniósł mu fortunę. Po jednym z wygranych przez Priama wyścigów, ledwie dwudziestoczteroletni Andre Poniatowski zarobił taką fortunę, że był w stanie kupić pałacyk przy ulicy Balzaca, w którym jego przyjaciel Claude Debussy skomponował potem dramat liryczny *Peleas i Mezalinda*.

Andre sprawdzał się także w biznesie. Jeździł do Afryki Południowej i do USA, gdzie w Kalifornii poznał pochodzącą z zamożnej rodziny przedsiębiorców Elizabeth Sperry, która niedługo potem została jego żoną. Państwo Poniatowscy w Ameryce mieszkali osiem lat, ale po tym czasie postanowili wrócić do Francji. Zza oceanu przywieźli niemała fortunę i towarzyszyło im troje dzieci: Stanislas, Casimir i Andre junior. W Paryżu urodziło się ich czwarte dziecko: Jean, zwany też Johnnym – przyszły ojciec Eleny.

Jej matką była Paulette Amor – córka Lulu Iturbe Amor – zamożnej Meksykanki, której rodzina została zmuszona do wyjazdu do Europy po rewolucji meksykańskiej z 1910 roku. Paulette z Jeanem poznali się w 1930 roku w Paryżu na balu u Edouarda Rotschilda.

Magda Melnyk pisze: *Zdecydowanie nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale na pewno wpadli sobie w oko. Szczupła wręcz eteryczna Paulette Amor idealnie wpisywała się w ówczesny kanon urody. Jej ciemne włosy obcięte do linii brody okalały zgrabną głowę, orzechowe oczy przyciągały oczy. (...) Gdy razem weszli na parkiet, w jego jasnobrązowych oczach czaiła się nieśmiałość, a ruchy zdradzały niepewność. Paulette miała wrażenie, że tańczy z pluszowym misiem. Mimo to dała zaprosić się na randkę*.

Paulette miała pewne wątpliwości, czy po tym jak Jean-Johnny jej się oświadczył, powinna za niego wyjść. W końcu jednak przystała na to, choć... na ślub – wzbudzając konsternację – spóźniła się o całe trzy kwadranse! Nazajutrz po ceremonii ruszyli w podróż poślubną do Algierii. 19 maja 1932 roku w Paryżu na świat przyszło ich pierwsze dziecko – Helena Elizabeth Louise Amelie Paula Dolores. Czyli Elena Poniatowska.

Ale skąd Meksyk? W jaki sposób Elena, potomkini ostatniego polskiego króla, trafiła za ocean?

Jeden z powodów jest oczywisty: matka Meksykanka i jej rodzina, która pozostała w Meksyku. Co jednak z resztą powodów?

Zadecydowała o tym II wojna światowa. Rodzina Poniatowskich najpierw aktywnie stawiała opór Niemcom, a po kapitulacji w czerwcu 1940 roku, zeszła do podziemia. Stan, najstarszy syn księcia Andre, trafił do niemieckiego więzienia pod zarzutem antyniemieckiej dywersji. Tylko cud uratował go przed wyrokiem śmierci. W wywinięciu się kostusze, pomógł mu baron Reichhofen, którego Andre znał jeszcze sprzed wojny. Ale atmosfera wokół rodziny wyraźnie gęstniała.

Kierunek ewakuacji był oczywisty, sam się nasuwał. W Meksyku czekała przecież matka Paulette, która już wcześniej opuściła Francję. Jakimś cudem bez większej zwłoki udało się zdobyć bilety na statek z Hiszpanii na Kubę. Stamtąd Paulette z dziećmi i Johnnym do celu polecieli rozklekotanym samolotem, który w drodze jakoś się nie rozpadł.

Był rok 1941. Elena dotarła do swej drugiej ojczyzny, gdzie znów zamieszkała w czymś w rodzaju pałacu – w Domu o Trzech Wieżach przy Calle Berlin w centrum Ciudad de Mexico. Miała niecałe 10 lat.

Zaczęła się jej długa, mozolna droga, która przed chwilą doprowadziła ją do nagrody Carlosa Fuentesa.

Jak do tego doszło?

To już nie rodowód, to już całkiem inna historia. Pozostawmy ją na inną okazję.

Roman Warszewski

Cytaty przytoczone w eseju pochodzą z książki Magdy Melnyk, *Meksyk moja miłość. Historia Eleny Poniatowskiej*, Osnova, 2022

Katarzyna Gościniewicz

W numerze prezentujemy prace Katarzyny Gościniewicz

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 4 (81) 2023

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Andrzej Walter,
Mateusz Wabik,
Jerzy Lengauer,
Marian Lech Bednarek
Andrzej Wołosewicz

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Baltox Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,
joalike@gmail.com

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.
Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (45)

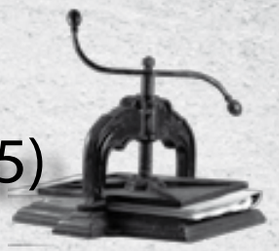

Chorzy na suwerenność…? Tak to przynajmniej wygląda we wstępniaku *Metoda chińskiego rabusia* nieocenionego Pawła Lisickiego w „Do Rzeczy" (nr 48/2023), piśmie opatrzonym nadtytułem „Tygodnik Lisickiego" (nie wiem co prawda, jak ów nadtytuł rozszyfrować – czyżby Lisicki z własnej kieszeni ową redakcję utrzymywał? - ale z pewnością nie świadczy on o skromności redaktora naczelnego), w którym pomieszczone zostały takie oto dywagacje poświęcone proponowanym reformom traktatów UE: „Metoda polega na tym, żeby przez ciągłe drobne zmiany i pozornie nieznaczące reformy pozbawić państw narodowych tego, co jest największym skarbem: samodzielności i podmiotowości. W ten sposób suwerenność zostaje wydrążona ze swojej treści". By to osiągnąć Bruksela (a w istocie – bo przecież to pewnik „zjednoczonej prawicy" – Berlin, a może nawet Zachód) pragnie pozbawić państwa członkowskie prawa weta, co pozwoli utemperować – zwłaszcza w perspektywie kolejnego rozszerzenia Unii - niezdrowe tendencje do zachowania suwerenności przez kraje „nowej Europy".

Czy rzeczywiście jest to problem najistotniejszy? Z punktu widzenia części polityków z krajów, które po 1989 roku weszły w skład Unii, może to być kwestia zasadnicza. Choć państwa te przystąpiły do wspólnoty dobrowolnie akceptując reguły gry, ci politycy pragną owe reguły zmieniać, co zresztą, gdy dochodzą do władzy, mogą próbować budując wokół swych programów koalicje innych uczestników zabawy. Stąd wielokrotnie demonstrowana przez Kaczyńskiego nadzieja na „nowe rozdanie" po kolejnych eurowyborach – tyle, że nie spełniona, choć przecież nie brakowało dążeń do sklecenia takich sojuszów w obszarze pozaeuroparlamentarnym, gdy działacze „zjednoczonej prawicy" inicjowali lub wspierali spędy koleżanek i kolegów eurosceptycznych ugrupowań z krajów UE. Warto wspomnieć, że przed laty we Wiedniu odbyła się taka konserwatywno-prawicowa impreza zorganizowana pod patronatem i ze wsparciem finansowym Moskwy żywo zainteresowanej perspektywą rozluźnienia więzi europejskich. Hasłem wywoławczym takich inicjatyw jest zawsze „obrona suwerenności". I w taki sposób próbuje się zrealizować paradoksalną ideę Międzynarodówki Nacjonalistów, której rzecznikiem prasowym jest u nas „Tygodnik Lisickiego" (choć nie tylko on…).

Suwerenności Polski zagraża zresztą nie tylko UE, ale także WHO, o czym dowiadujemy się podczas lektury zamieszczonego w tym samym numerze pisma artykułu Mariusza Jagóry Czy WHO zagraża naszej suwerenności?: „WHO dąży do zmiany charakteru Światowej Organizacji Zdrowia z ciała doradczego, które wydaje zalecenia, na organ zarządzający, którego decyzje będą prawnie wiążące; rości sobie prawo do absolutnego i niekwestionowanego przywództwa we wszystkich decyzjach związanych ze zdrowiem, ale nie tylko. Na podstawie niezwykle niejasnej koncepcji „Jedno Zdrowie", w której zawierają się zdrowie zwierząt, ekosystem, obawy o poziom CO2 i zdrowie ludzkie, WHO będzie mogła ogłosić wprowadzenie stanu zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym oraz utrzymywać go tak długo, jak uzna to za stosowne". Istny horror, a w dodatku ekologizm i zoofilia, by o dżenderze nie wspomnieć! Na alarm bije też Wojciech Reszczyński publikujący w „Sieciach" (podtytuł: „Największy konserwatywny tygodnik opinii w Polsce" nr 48/2023) felieton Glajszachtowanie Europy: „Niemiecka polityka realizowana za pomocą UE odsłoniła wreszcie swoje prawdziwe oblicze. Poprzez zmiany traktatów chce za wszelką cenę zatrzymać emancypacyjne plany Europy Środkowej i ważną rolę, jaką odgrywa Polska w procesach integracji tych krajów w ramach Grupy Wyszehradzkiej. (…) Europoseł Jacek Saryusz-Wolski, który na znak protestu zrezygnował z udziału w dalszych pracach Komisji Spraw Konstytucyjnych PE, zwraca uwagę na rewolucyjny charakter zmien traktatowych oraz ideologiczne podłoże, którego celem jest zmiana społeczna i antropologiczna w Europie po wprowadzeniu w życie nowych traktatów. To przede wszystkim wdrożenie ideologii komunisty i trockisty Altiero Spinellego, wroga państw narodowych, demokracji i chrześcijaństwa, oraz pełna akceptacja dla rewolucyjnych zmian w sferze kulturowej, której symbolem jest pojęcie „gender"". I oto dżender się odnalazł! Super!

Tropienie „komunisty" Spinellego stało się na łamach pism „prawicowych" jednym z ulubionych zajęć. Bo rzeczywiście, był Spinelli (1909-1984) członkiem partii komunistycznej, z której został wydalony za krytykę stalinizmu jeszcze przed II wojną światową, zaś, po aresztowaniu go przez reżim Mussoliniego, stał się współautorem postulującego zjednoczenie Europy „Manifestu z Ventotene". I choć faktem jest, że do parlamentu europejskiego startował z listy Włoskiej Partii Komunistycznej, to jednak nie jako jej członek, lecz jako kandydat niezależny. Za sprawą jego aktywności dokonało się w 1984 roku przekształcenie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG) w Unię Europejską po przyjęciu wspólnotowego traktatu stanowiącego realizację „Planu Spinellego". Ale cóż – nasi „prawicowi" milusińscy znajdują szczególne umiłowanie w fałszowaniu ludziom życiorysów i z pewnością są im bliżsi potomkowie rodu duce Mussoliniego (nawiasem mówiąc w młodości związanego z ruchem socjalistycznym) niż ktokolwiek, kto miał choćby przelotny związek z organizacjami komunistycznymi. Można to od biedy zrozumieć, ale nie usprawiedliwia to świadomego i uporczywie rozpowszechnianego kłamstwa. Tak, Unia Europejska jest wdrożeniem w życie idei wcielonych w traktacie powołującym ją do życia i przekształcającym wspólnotę w związek państw, które wiążą nie tylko kwestie gospodarcze.

Osobnym problemem jest pytanie o trwałość wykształconych w XIX stuleciu „państw narodowych", o których los troszczy się Wojciech Reszczyński, a których dominacja w życiu kontynentu miała miejsce w latach 30. ubiegłego stulecia, gdy wykształciły autorytarne formuły zarządzania społeczeństwami i raźnie maszerowały na pola bitew. Dlatego też należy pamiętać o tym, co tutaj wydaje się najistotniejsze. Otóż u podłoża powstania struktur, które przekształciły się w obecną Unię Europejską była próba rozwiązania dylematu: suwerenność państw narodowych czy pokój. I nie należy zapominać, że podwaliny wspólnoty powstały w kilka zaledwie lat po hekatombie II wojny światowej – te doświadczenia były wówczas żywe i na tyle bolesne, że oczywistym było poszukiwanie sposobu zapobieżenia w przyszłości ich powtórki. Dziś – niemal osiemdziesiąt lat po zakończeniu tej wojny, w czasie, gdy Europa tak długo żyje w zasadzie po raz pierwszy w swej nowożytnej historii w okresie pokoju, tamte doświadczenia są znane jedynie z podręczników, literatury i filmu (tak nawiasem: moja mama z zasady nie oglądała, wówczas czarnobiałych, filmów wojennych powtarzając, że widziała to na żywo i w kolorze…).

W tym kontekście ważnym wydaje się pytanie o to czym jest suwerenność we współczesnym świecie. Jeśli bowiem uznać ją za wartość nieredukowalną i wyabsolutnioną, wówczas okazać się może pułapką. Trudno sobie dziś wyobrazić państwa doskonale suwerenne i niezależne, nie wchodzące w sojusze i wspólnoty, nie tworzące bloków. Kwestią zasadniczą jest dobrowolność uczestnictwa w takich związkach. Państwa naszego regionu wiedzą dokładnie czym jest funkcjonowanie we wspólnocie narzuconej nazywanej w minionym okresie „naszym obozem" (w którym Polska byłą „najweselszym barakiem"). Natomiast Unia Europejska jest wspólnotą wybraną dobrowolnie, choć nie bez politycznego ciśnienia, jakim było zagrożenie dominacją rosyjską. Obecnie, gdy trwa wojna o Ukrainę, w której z jednej strony występuje autorytarna Rosja zdająca sobie sprawę z faktu, że bez opanowania Kijowa nie ma szansy na odbudowę imperium, z drugiej zaś wciąż jeszcze demokratyczny – przed możliwym „nowym rozdaniem" – Zachód wspomagający Ukraińców militarnie, owo zagrożenie rosyjskie stało się realne: teza, że po pokonaniu Ukrainy przyjdzie kolej i na Polskę, zwłaszcza suwerenną i niezależną od Brukseli czy Berlina, jest tezą wysoce prawdopodobną, a zatem pozostawanie w zachodnioeuropejskiej wspólnocie, która jest czymś więcej niż formalne sojusze jakie zawierają ze sobą odrębne państwa, stanowi fundament naszej (wspólnotowej) racji stanu.

Oczywiście, można marzyć o „Polsce mocarstwowej" czy budowie „Katolickiego Państwa Narodu Polskiego" i podśpiewywać sobie, że „imperium, gdy powstanie, to tylko z naszej krwi", ale sądzę, że taka perspektywa to groźna dziecinada. Co nie znaczy, że nie możemy w ramach UE pilnować swych narodowych interesów i że musimy rezygnować ze swej podmiotowości – wręcz przeciwnie. Lecz by to było możliwe, musimy respektować podstawową zasadę, jaką jest dochodzenie z naszymi partnerami do konsensu, a to akurat w naszej kulturze, zwłaszcza w kręgach narodowo-konserwatywnych, traktowane jest jako porażka. Dlatego praktycznie zrezygnowaliśmy z uczestnictwa w Trójkącie Weimarskim, a kultywujemy pomysł o szyldzie „Trujmoże" i podtrzymujemy wiarę w realną moc będącej w rozsypce Grupy Wyszehradzkiej, której ma przewodzić, oczywiście, Polska. Bo jak nie ona, to kto?

Leszek Szaruga

Spotkanie z diabłem?

Krzysztof Szymoniak

Tak. Z całą pewnością ani w ich, ani w jego życiu nie była to zwyczajna znajomość. Powiedzmy, że nie była to znajomość jedna z wielu, czy w jakimkolwiek sensie przypadkowa. On – z bagażem doświadczeń, z rozpoznawalnym nazwiskiem i sporym dorobkiem. Oni – młodzi, zdolni, szukający swojego miejsca na ziemi. Kto ich dobrze poznał, a przy tym właściwie rozumie motywy ich działania, ten może zaryzykować twierdzenie, że nic – albo prawie nic – w tej znajomości, a właściwie trwającej już wtedy kilka lat przyjaźni, nie było zwyczajne ani tym bardziej przypadkowe. Nawet pamiętna wyprawa na Szczeliniec Mały1, pod koniec września 1986 roku. Chociaż okoliczności jej towarzyszące mogą na pierwszy rzut oka wyglądać jak następstwa jednego tylko faktu, u którego źródeł legł przypadek. Tak się bowiem złożyło, że On, główny organizator tej wyprawy, nie dotarł wówczas na Szczeliniec z przyczyn od siebie niezależnych. Wszystko więc, co sobie umyślił w tej materii wobec Nich, odbyło się wtedy bez niego lub zupełnie inaczej.

Powiedzieliśmy już, że nie była to znajomość przypadkowa. Jednym słowem nie był to związek prowadzący jego uczestników znikąd do nikąd, płynący od niewiedzy do niezrozumienia, zaczynający się byle jak, kończący się byle gdzie i z byle kim. Nic z tych rzeczy. Taka znajomość, a zwłaszcza przyjaźń, jeżeli miałyby obfitować w niezrozumienie i pełną przypadkowości niewiedzę, czy bylejakość, nie mogła być ich udziałem. Nic więc dziwnego, że On stał się na długie lata częścią ich artystycznego i metafizycznego kosmosu. Tego kosmosu, który otwiera się ku wartościom.

Ponieważ byli zaprzyjaźnieni z Henrykiem W., często jeździli do Warszawy na dłuższe i krótsze z nim spotkania, najczęściej w jego domu, gdzie także nocowali. Tam rodziły się różne pomysły. A Henryk W. niemal od samego początku zapraszał ich na wyprawy w góry.

– Nie dosyć, że spotykaliśmy się u niego w domu, to jeszcze proponował nam wspólne poznawanie świata. I to miała być jedna z kolejnych, wydawałoby się, interesujących podróży – wspomina Jan. – Henryk zaprosił nas na tę wyprawę bardzo konkretnie, chyba nawet listownie. Wyznaczył miejsce spotkania i godzinę. Zapewniał, że będzie tam więcej osób. Nie wiedzieliśmy dokładnie kto, bo poza Zdzisiem G., którego znaliśmy od kilku już lat, resztę uczestników tego spotkania na Szczelińcu mieliśmy zobaczyć po raz pierwszy. No i tak, jak było umówione, Jacek, ja i Wojtek, pojechaliśmy pociągiem do Kłodzka. A stamtąd w pobliże Szczelińca dostaliśmy się chyba autobusem. Potem już tylko szliśmy. Najpierw równinami, nie bardzo znając drogę.

Ponieważ pomysłodawca przedsięwzięcia nie dojechał, wyprawa przebiegała w oczekiwaniu na jego przybycie. Nawet wiele godzin później, gdy już rozgrywało się to, co jeszcze dzisiaj *przypomina imprezę z piekła rodem*, wszyscy byli przeświadczeni, że lada moment Henryk zmaterializuje się między nimi.

– Idąc Górami Stołowymi, w końcu doszliśmy do Szczelińca – mówi Jacek. – Była bardzo ładna pogoda. Taka przyjemna aura wczesnej jesieni. I oczywiście nic nie zapowiadało nagłej zmiany temperatury. Byliśmy tam kompletnymi amatorami turystycznymi. Byliśmy źle ubrani na taką eskapadę i nie to mieliśmy w głowie, co trzeba.

– Organizatorem tego był Henryk W., a my traktowaliśmy go jak przewodnika – dodaje Jan. – Stąd też nikt z nas nie zastanawiał się nad planem wycieczki, nad trasą, nad tym, że pod jakiś dach trzeba wrócić przed nastaniem nocy.

Wiedzieli tylko, że mają dotrzeć na szczyt. Nie mieli pojęcia, co będzie dalej. Słońce obdzielało ich hojnie swoim światłem i ciepłem, czas upływał miło i beztrosko. Ciągle czekali na przybycie Henryka licząc, że coś się takiego przydarzy, co ureguluje sytuację. A że Henryk się nie pojawiał, a godziny mijały, to Zdzisław przejął w końcu inicjatywę i poczęstował wszystkich grzybkami halucynogennymi.

*

Około godziny 17 na pełnym zdradliwych rozpadlin płaskowyżu Szczelińca Małego spotyka się dziewięć osób: Jan, Jacek, Wojtek, Zdzisław G., jego kolega z żoną, czyli Kaj i Sandra oraz Tomek S. z warszawskiej Galerii „Dziekanka". Przybysze z Bydgoszczy są prawie bez śniadania i na pewno bez obiadu. Puste żołądki nie najlepiej rokują przed rozpoczynającym się właśnie eksperymentem kulinarnym. A w menu są tylko surowe grzybki. Niewiele. Dla każdego po garstce, dla niedowiarków po dwie. A każda garstka to około 80 sztuk niezbyt kalorycznej rośliny.

Nikt nie zadaje pytań. Żadnych wątpliwości. Panuje pełna beztroska.

Bardziej niż zdrowy rozsądek, do świadomości siedmiu młodych mężczyzn i dwóch młodych kobiet dociera efekt niezwykłości miejsca i czasu. Wzmacnia to jeszcze fakt, że wszyscy stoją na szczycie wąskich skał, a między nimi zioną tajemniczym mrokiem liczne przepaście. Szczeliny mają po kilkanaście metrów głębokości. Poza tym, nic się nie dzieje. Słońce świeci, jest ciepło i przyjemnie. Ludzie stoją bez możliwości zrobienia kilkunastu kroków w prawo czy w lewo. Skały milczą. Nikt jeszcze nie wie, nie domyśla się nawet, że te małe, skalne poletka, po których nie bardzo można chodzić, właśnie uwięziły dziewięć osób rozsypanych na niewielkiej przestrzeni.

Przybysze z Bydgoszczy znają w tym gronie tylko G. To im najwyraźniej nie przeszkadza, bo aura jest niezwykle miła, wręcz ujmująca. Mają wrażenie, że oto zatapiają się w baśni C. S. Lewisa, że wkraczają do „Opowieści z Narni". Wszystko wokół jest bardzo ciepłe, przytulne i obiecujące. Osobliwe wrażenie robi na nich para młodych ludzi o urodzie elfów. Kaj i Sandra są niemal jak z innego świata. Przypominają Kaja i Gerdę z „Królowej śniegu". Sandra jest jak medium, która jakimś szczególnym rodzajem własnej duchowości i wewnętrznego skupienia odmienia nastrój tego miejsca. Jest jak osoba, która ma w sobie zaklęty czar mitu, czegoś, co dla wszystkich stanowi tajemnicę, a z drugiej strony jest intrygujące i pasjonujące.

Ale to dopiero początek.

Jacek zjada 130 grzybków, wnosząc na Szczeliniec nieskrywane przekonanie, że TO na niego zadziałać nie może. W pewnym momencie – mając ciągle jeszcze pragmatyczne nastawienie do inicjatywy G., że to nie działa, że tu się nic nie ma prawa wydarzyć, nad czym nie byłby w stanie zapanować – nagle traci rezon. Dopada go niezwykła iluminacja. Na otaczających go skałach widzi setki małych, poruszających się chińskich smoków. Skały te niemal w jednej chwili zapełniają się żywymi, misternie utkanymi stworzeniami z mitologii chińskiej. Smoki są długie, kolorowe i mienią się. W tym momencie Jacek traci orientację. Nie wie, jak na to reagować, bo to, co widzi, jest sprzeczne z jego niewzruszonym pragmatyzmem. Przez moment jeszcze wierzy, że to jakaś sugestia, ale kilka chwil później już wie, jest już przekonany, że małe, kolorowe, poruszające się misternie utkane chińskie smoki to realna rzeczywistość.

Jan zjada 80 grzybków. Po jakimś czasie, w trakcie rozmowy z kolegą G., orientuje się, że jego rozmówca ma głowę całą ze skał. A z tej głowy coś jeszcze zaczyna się wyłaniać, coś jakby stwory nieziemskie. Patrzy na Jacka, a Jacek też już nie ma normalnej głowy, tylko taką, jak na obrazach Arcimbalda[2]. Głowę Jacka tworzą dziwne przedmioty, dziwne stworzenia, jakieś kamienie. Całość jest zupełnie odrealniona. Wszystkie twarze, na które patrzy Janek, nieustannie się zmieniają. Żadna nie jest stale tą samą twarzą. Wystarczy, że osoba coś mówi, a natychmiast w konstrukcji jej głowy zachodzą zmiany. Wystarczy, aby Janek powziął przekonanie, że rozmawiający z nim właściciel głowy mówi nieprawdę, a twarz rozmówcy od razu się zmienia. Wszystko jest uzależnione od nastroju, od wypowiadanych słów, od tego, co się dzieje w zasięgu wzroku i słuchu Jana.

Wojtek zjada swoją porcję jako pierwszy. Wkrótce nadchodzi kryzys. Odbywa się to w jego przypadku bez specjalnych halucynacji. Tylko dookolnie zbierane wrażenia wydają mu się wyraźnie spotęgowane. Stoi na swoim kawałku skały cały czas świadomy, ale ma też uczucie zatrzymanej płyty. W jego umyśle czas przestaje płynąć. I jeszcze to poczucie zamurowania. Nie wie jak długo stoi, a stoi nieruchomo. Wie natomiast, że opuściła go wola, aby się poruszyć. Więc nie porusza się. Jest zamurowany. Stoi i próbuje obserwować to, co się dzieje z nim i wokół niego.

Czas mija. Henryk W. nie nadchodzi. Nie materializuje się. Spotkanie na Szczelińcu Małym mimo to wyraźnie się rozkręca.

Jacek pierwszy raz w życiu doświadcza halucynogennej iluminacji. Jest tym faktem raczej zadziwiony. Jest zdziwiony samym sobą. Jasność dnia jeszcze nie przepadła, więc góry widzi z dalszej odległości, ale smoki są blisko, może je niemal dotknąć ręką. Smoki są małe, misterne, a góry są duże i przybierają ludzkie kształty. Pogoda jeszcze sprzyja wyprawie. Ciepły, słoneczny dzień stopniowo wtapia się w zapadający zmierzch. Wszystko dąży do miłego, rozniecionego wyciszenia. Rozniecenie owo przybiera formę emocjonalnego postrzegania świata zewnętrznego. Przenika go Wszystko, a Wszystko jest miłe.

Janek najpierw odczuwa nastrój sympatycznej baśniowości, ale później, kiedy już widzi ludzi o zmienionych twarzach, a skały zaczynają się ruszać, a ze skał zaczynają wychodzić jakieś stworzenia, wówczas ogarnia go lęk. Atmosfera pierwszych wrażeń nagle pryska jak bańka mydlana. Pojawia się element grozy. Nienazwany jeszcze, ale już dojmujący. Wojtek nadal się nie porusza. Nadal jest zamurowany. Stoi i próbuje obserwować to, co się dzieje z nim i wokół niego. Być może nie wie nawet, że zbliża się drugi kryzys. Gdy się z niego obudzi, będzie leżał przy ognisku. Wracając do świadomości będzie miał wrażenie, że leży w płytkim grobie, przed chwilą wykopanym, a dookoła niego po spalonej ziemi wędrują oddziały wojska.

Czas właściwie już nie mija. Z tym czymś, co nazywamy czasem, dzieje się coś dziwnego. Henryk W. nadal nie nadchodzi. Nadal się nie materializuje. Zapada zmrok. Ważą →

Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania, jeszcze wiecej, *** Mig

się losy wyprawy. Jak w dawnych procesach osądzających czarownice wszyscy zebrani na Szczelińcu Małym wbrew własnej woli zostaną wkrótce poddani próbie ognia i wody.

Temperatura powietrza zaczyna gwałtownie spadać. Na szczęście ktoś z przygotowanego wcześniej drewna rozpala ognisko. Wszyscy czują potrzebę przybliżenia się do ognia, więc ludzki krąg zacieśnia się wokół płonących polan i gałęzi. Niemal jednocześnie z ogniem pojawia się zacinający, lodowaty deszcz. I jest tak, jak w opowieściach o cierpieniach dusz potępionych – z jednej strony parzący ogień, z drugiej lodowaty chłód. Z przodu ciepło, z tyłu zimno. Jacek uświadamia sobie, że ogień stał się czymś, co ma ich ocalić, uratować przed grozą zabójczego zimna. Zrozumiał jednocześnie, że czas się zatrzymał, że on i jego przyjaciele, że wszyscy razem przestali istnieć w strukturze czasu, że zostali złapani w pułapkę i że zostaną tu na zawsze. Między ogniem a mrozem. Wie, że oto znalazł się w czeluści piekielnej lub w otchłani czyśćca. Patrzy w ogień i teraz dostrzega w nim palące się ludzkie szczątki. One są źródłem ocalającego ciepła, ale to ciepło bierze się z tego, że ktoś inny płonie, spala się.

I zrozumiał.

– Zostaliśmy złapani w szatańską pułapkę, z której już nigdy w życiu nie wydostaniemy się.

Janek osiąga podobny stopień samoświadomości.

– Jesteśmy nie tylko uwięzieni w miejscu, ale i w czasie. To jest koniec. Tak będzie zawsze. Przerażające uczucie. Z jednej strony obrzydliwe, mokre zimno, a z drugiej strony piekące, obrzydliwe ciepło. Niekończące się cierpienie. I strach. I przekonanie, że to się nigdy nie skończy.

Wraz z deszczem przychodzi burza z błyskawicami. Ktoś nad ogniskiem rozciąga plandekę, żeby deszcz nie zdusił płomieni. Niebo żarzy się ogniem wyładowań elektrycznych. Janek i Jacek nie mają wątpliwości, że tak musi wyglądać piekło albo czyściec. Jacka ogarnia nagle rozpaczliwa chęć ucieczki z tego miejsca. Jest przeświadczony o tym, że trzeba natychmiast biec przed siebie. Dokądkolwiek. Byle tylko wydostać się z pułapki, która okazała się piekłem. Janek jakąś resztką zdroworozsądkowej świadomości opanowuje te emocje. Wie, że nie należy tego próbować na własną rękę, bo dookoła są rozpadliny. Za granicą światła czai się przepaść.

*

Jacek: To trwało całą noc. Nikt oczywiście nie spał. I wszystko to działo się tak – to nastawanie świtu i odczucie ulgi, że wreszcie zaczyna być widno, że burza ustała, że przestał padać deszcz – jakbyś przechodził z piekła do czyśćca.

Janek: Nagle wróciła normalność.

Jacek: To trwało jednak bardzo długo, dłużej niż wskazywałby czas realny. To był czas psychologiczny, czas wyobraźni. Zupełnie inny wymiar. A my z jednej strony byliśmy uwędzeni, śmierdzieliśmy potwornie od dymu i palącej się zawartości drewna, a z drugiej strony byliśmy przemoknięci na wylot. Z jednej strony byliśmy przegrzani, a z drugiej strony przemarznięci.

Janek: Miałem tam przedziwne doświadczenia. Walczyłem na przykład z kawałkiem drewna, które nagle ożywało, emanowało jakąś dziwną siłą. Także ten ogień, z którym – wydawało mi się – muszę walczyć. Wiedziałem, że albo on mnie pokona, albo ja jego jakąś siłą, mocą wewnętrzną obłaskawię. Rękę wkładałem do ognia i miałem uczucie, że on się cofa, a potem znowu słabłem, więc on się na mnie rzucał.

Jacek: Tam był jeszcze pewien miły moment, zanim się pojawiła groza piekielna. Była z nami na Szczelińcu para młodych ludzi – Sandra i Kaj. I w pewnym momencie ona zaczęła coś śpiewać przy ognisku. To wyglądało zupełnie naturalnie, jakbyśmy znaleźli się wśród elfów, w jakiejś krainie, której wcześniej nie znaliśmy. A działo się to, zanim zaczął padać deszcz i zanim zaczęły bić gromy. Śpiew i taniec Sandry wprawił nas w pogodny, beztroski nastrój, dlatego to przełamanie później było tym bardziej wstrząsowe, wręcz tragiczne. Bo odczucie znalezienia się w sytuacji, która jest poza czasem i nie rokuje żadnych nadziei i będzie trwała wiecznie, to jest ta kara przeżycia piekła.

Janek: Poprzez coś bardzo przyjemnego, baśniowego wręcz, zostaliśmy wciągnięci w jakąś diabelską historię.

Jacek: Nie pamiętam, abym kiedykolwiek z jakiegoś miejsca chętniej, radośniej i szybciej uciekał. Miałem wtedy odczucie, że przeżycie metafizyczne dane mi jest poznać od strony piekła. Jeżeli ktoś byłby niedowiarkiem i nie wierzył w ogóle w istnienie innej rzeczywistości, poza rzeczywistością materialną, no to za karę takiego odczuwania rzeczywistości musi to poznać z najgorszego dna. I tak właściwie wtedy myślałem, że jeżeli w coś by się nie wierzyło, to wystarczy tylko patrzeć w ogień, żeby wszystko zrozumieć. Bo w tamtym ogniu wszystko było, wszystko płonęło. Wszystko, co w zasadzie było dopełniającą się tragedią ludzką. Wszystko to było widać w ogniu.

Janek: I wreszcie ten pojawiający się świt, w który nie wierzyliśmy przez całą noc. Nagle, po tym wszystkim, pojawia się świt, jako cud.

Jacek: To jest ważne. Nikt nie wierzył, że świt nadejdzie i nasz świat powróci. To była właśnie ta największa kara. Siła tej sugestii była mordercza.

Wojtek: To nie było chyba takie wyraziste w moim przypadku, ale pamiętam to do dzisiaj. I nadal jest to przeżycie o dużej sile rażenia. Motywy tamtego zdarzenia raz po raz ujawniają się na moich obrazach. Odczułem na własnej skórze pewien moment, ale czy to do mojej wyobraźni tak przemówiło, że to… ja może bym jeszcze raz zżarł takie grzybki. Ale pamiętam tamto zdarzenie i wiem, że na pewno nie było to wszystko przyjemne. A świt? To było jak nagły powrót do zdrowia z ciężkiej choroby.

Jacek: Wiem, że kiedy tam byłem, uwięziony w czasie i przestrzeni, to równocześnie starałem się w wyobraźni być w swoim pokoju, w domu, czyli w miejscu, do którego nigdy już nie uda mi się powrócić. Miałem świadomość, że ten pokój, w którym mam swoje książki, płyty, w którym pracuję, pozostanie miejscem wiecznej tęsknoty. Byłem jak Odyseusz i jego Itaka.

Janek: Za dużo było tam różnych elementów, które się zgadzały, niby przypadkowych, a jednak było ich za wiele, żeby uznać to za przypadek. Żeby uznać to tylko za halucynogenne działanie grzybków. Za dużo naraz pojawiło się różnych elementów tamtej rzeczywistości, żebyśmy mogli uwierzyć, że to wszystko stało się przypadkowo. Absolutnie nie mieliśmy co do tego wątpliwości. Nawet potem, gdy już doszliśmy do stanu normalności, która okazała się nieprawdopodobną szczęśliwością, wiedzieliśmy, że tamto, co się już skończyło, to nie był żaden przypadek. Że to było coś, co musiało się zdarzyć.

Jacek: To było prawdziwe katharsis. I później, gdy dochodziły nas różne głosy ludzi, którzy rozmawiali z osobami w tym uczestniczącymi, to okazało się, że właściwie dla nich wszystkich było to coś naprawdę traumatycznego.

Janek: A poza tym jedno, co mogę powiedzieć o tym zdarzeniu, co zresztą od razu, bo w momencie, gdy zeszliśmy na dół, odczuliśmy, to przekonanie, że nie ma nic wspanialszego jak normalna, nudna rzeczywistość, która nas otacza. Wtedy właśnie doceniliśmy wszystkie te przyjemności, które już w normalnym życiu przestały być przyjemnościami. I zaczęliśmy na nowo doceniać to wszystko. Jakieś drobiazgi, przyjazną temperaturę, bycie razem, normalną rozmowę, nawet milczenie obok siebie, ale w jakimś spokoju, w harmonii. Tam, na górze, wszystko nam zabrano, wszystko to zburzono.

Jacek: Miałem odczucie, że jesteśmy tak bardzo pogrążeni w jakiejś złej czeluści, że nie mamy prawa zobaczyć spokojnego światła dnia. Że to jest kara i nie mamy możliwości nawiązania kontaktu z jakimkolwiek dla nas ocalającym elementem wyobraźni. Po prostu jest ciemność, czeluść i koniec. Miałem świadomość, że istnieje Bóg, ale ten Bóg już został tak daleko odsunięty, oddalony od nas, że stał się czymś nieosiągalnym, ostatecznie zaprzepaszczonym.

Janek: Nie mieliśmy po prostu wątpliwości, że to była absolutnie sprawa diabelska. A diabeł jawił się wśród fajerwerków ze wszystkimi efektami specjalnymi, jakie można sobie wymyślić. Jednym słowem – pełnia wrażeń. Natomiast Bóg, który, jak można powiedzieć, nas ocalił, pojawił się jako świt, jako coś spokojnego. Po piekielnych fajerwerkach tylko jasna cisza i żadnych efektów. Ani wiatru, ani błysków, kompletna łagodność, zacieranie grozy i lęku. Zacieranie chaosu, czyli tego wszystkiego, co nas na górze wykańczało. Po prostu nastąpiło zakrycie tego ciszą i jasnością świtu.

Jacek: Można powiedzieć, że zanurzyliśmy się, nie z własnej woli, w świat pogaństwa, w którym przez chwilę uczestniczyliśmy. I właściwie to wracanie potem do normalności, ten świt, to było niemal jak pojawienie się horyzontu dla naszego rozumienia przeżycia religijnego. Ono było w nas, jako chrześcijaństwo wzięte z naszego dziedzictwa, ale wtedy ponownie w sobie je odnaleźliśmy. To wtedy wyglądało tak, jakby muł w wodzie opadł i wszystko stało się dla nas czyste, klarowne, jasne. Właściwie, jakby z niedowiarków staliśmy się ludźmi, którzy mieli możliwość wnikliwego zobaczenia tego, jak jest naprawdę. Odnoszenie się z niewiarą do takich właśnie, bardzo obrazowych przedstawień scen sabatu, czy scen związanych z praktykami szatańskimi, wtedy zaowocowało namacalnością przeżyć. A przeżyliśmy to, żeby na koniec zrozumieć, czym jest stan pełnej normalności. Żeby zrozumieć, że normalność jest cudem.

Janek: Wynika z tego, że Bóg nam bez przerwy się objawia, tylko my nie chcemy lub nie potrafimy tego zobaczyć. A diabelstwo raz nam się ukazało i już wystarczy. I nie chcemy do tego wracać.

Krzysztof Szymoniak

[Tekst powstał w roku 2010 na podstawie rozmowy przeprowadzonej (i nagranej) z trzema głównymi bohaterami tej opowieści. Tekst ten nigdy wcześniej nie był publikowany.]

1 Góry Stołowe, pasmo górskie w Sudetach Środkowych, w Czechach i w Polsce; nazwa ta jest stosowana tylko w polskiej klasyfikacji fizycznogeograficznej; budują je leżące poziomo górnokredowe piaskowce kwarcowe, z przewarstwieniami margli; efektem wietrzenia przewarstwiających piaskowce margli, bardzo słabo odpornych na działanie czynników zewnętrznych, jest tworzenie się płaskich powierzchni – stoliw, położonych na różnych wysokościach (stąd nazwa gór). Składają się z 2 poziomów morfologicznych; ponad niższym, rozleglejszym (ok. 700-750) wznoszą się na wysokość 100-150 metrów fragmenty zniszczonej pokrywy, tak zwanego górnego piaskowca ciosowego. I są to: Szczeliniec Wielki (919 m) i Szczeliniec Mały (896 m), Skalniak (915 m) i Błędne Skały (850 m). Powierzchnia szczytowa górnego poziomu jest spękana i silnie zwietrzała, stąd labirynty skalne i oryginalne skałki, liczne głębokie szczeliny, do 18 metrów – wąwóz Piekiełko w Szczelińcu Wielkim. Na podstawie: Wielka Encyklopedia PWN, tom 26, s.89.
2 Giuseppe Arcimboldi – ur. Ok. 1530 roku w Mediolanie, zm. w roku 1590; malarz włoski; wykonywał prace malarskie dla katedry w Mediolanie i w Como; pracował na dworze Habsburgów w Pradze, gdzie tworzył portrety oraz kompozycje figuralne o treści rodzajowej lub alegorycznej, zestawione z różnych nieożywionych przedmiotów; jego eksperymenty stanowiły jeden z etapów rozwoju martwej natury jako osobnego gatunku malarskiego, były również bliskie poszukiwaniom surrealizmu. Na podstawie: Wielka Encyklopedia PWN, tom 2, s. 253.

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

O dawnej krytyce słów kilka... Krytycznie

Michał Skrętek

Jakiś czas temu, w moim domowym księgozbiorze, przeprowadzałem kwerendę bibliograficzną. W czasie tych osobliwych poszukiwań natrafiłem na publikację z serii „*Krytyka XX i XXI wieku*", a konkretnie felietony zebrane Kazimierza Wyki, pt. „*Tylnym pomostem*". W podzielonym na pięć części zbiorze moją uwagą przykuła zwłaszcza część pierwsza, zawierająca artykuł opublikowany przed wojną, w „*Tygodniku Ilustrowanym*", zatytułowany „*Felietonomania*". Wyka nie tylko przedstawia tam własną koncepcję felietonu, jako gatunku literackiego, ale także, wytaczając najcięższe krytyczno-literackie działa, usadza felietonistów na ławie oskarżonych formułując pod ich adresem zarzut nadużywania ekscytacji, jako formy przyciągnięcia czytelnika. „Felieton jest przeżytkiem impresjonizmu literackiego... – pisał Kazimierz Wyka w powyższym artykule – sztuką łechtania czytelnika wyszukanymi, coraz nowymi wrażeniami"[1].

Osobiście uważam, że takie podejście jest niczym więcej, jak roszczeniem sobie prawa do arbitralnego wydawania sądów, dotyczących tego, kto jest felietonistą, a komu do niego daleko. Co jest felietonem, a co jedynie do tego miana aspiruje. Można, oczywiście utyskiwać co do treści, wdawać się w akademickie dyskusje, dotyczące formy. Jeśli przyjmiemy tę perspektywę, automatycznie stawiamy się, względem konkretnego dzieła oraz jego twórcy, w pozycji „meta" – ponad omawianym zagadnieniem.

Tekst Kazimierza Wyki ukazał się, na łamach „*Tygodnika Ilustrowanego*", na przełomie lat 1937/38, a więc w 20-leciu międzywojennym – epoce, w której na salonach literackich brylował, m.in. Tadeusz Boy-Żeleński (1874-1941) – wzór dla późniejszych felietonistów. Urodzony w 1910 roku Kazimierz Wyka miał, na pewno, możliwość osobiście spotkać Żeleńskiego, starszego od autora „*Felietonomanii*" o blisko cztery dekady.

Tadeusz Boy-Żeleński był z wykształcenia lekarzem, to z jego inspiracji powstał w Polsce, m.in. pierwszy bank mleka kobiecego. W pewnym okresie swego życia, zafascynowany literaturą francuską, ostatecznie stał się autorytetem w dziedzinie jej interpretacji i przekładu. Blisko cztery pokolenia, w tym moje, korzystało z tłumaczeń autorstwa Boya-Żeleńskiego podczas omawiania „*Świętoszka*", czy zaczytując się Balzakiem. Zmierzam do tego, że to pasja tworzy profesjonalizm, a nie odwrotnie.

„Każde szanujące się pismo posiada nadwornego felietonistę... – pisał Kazimierz Wyka w „*Felietonomanii*" – delegowani do tego zadania członkowie zespołu redakcyjnego nie posiadają żadnych danych na felietonistów... felieton nie wymaga specjalnego przygotowania, ani (na pozór) talentu, coraz gęściej pisują go ludzie pozbawieni dowcipu, przekonywującej prostoty w podejmowaniu zagadnień, własnego i jasnego stylu, a więc wszystkiego, co prawdziwy felietonista posiada"[2]. Dalej mamy różnicę między felietonem, esejem, sprawozdaniem, a recenzją... Dywagacje dotyczące miałkości gatunku, który raz okazuje się zbyt zwięzły, aby nie zanudzić czytelnika, drugi raz jest „po prostu pasożytem", żerującym na wspomnianych gatunkach, odbierając ich twórcom przestrzeń do artystycznego wyrazu. Słowem wszystko, czego można się spodziewać po krytyku, będącym niespełnionym pisarzem.

Obawiam się, że gdyby Kazimierz Wyka dożył roku 2023, lub chociażby początkowych lat naszego stulecia, gdy wynaleziono Facebook, Instagram i YouTube, mogąc zapoznać się z niektórymi spośród internetowych publikacji, z pewnością zrewidowałby swe poglądy, nie mając zbyt wiele do dodania. Dzisiaj każdy, kto ma komórkę, to dziennikarz a posunięta do granic absurdu skrótowość przeszkadzała, już sześćdziesiąt lat temu, Ryszardowi Kapuścińskiemu. Autor „*Hebanu*" niczego nie nienawidził tak bardzo, jak przekazywania – zawierających się w najwyżej dwóch akapitach – depesz agencyjnych dla PAP. Z tego też powodu rozwinął się literacko, dając się poznać, jako autor: „*Buszu po polsku*", „*Chrystusa z karabinem na ramieniu*", czy „*Wojny fudbolowej*" – bowiem Kapuściński to nie tylko „*Cesarz*".

Dzisiaj jest jeszcze szybciej, możemy patrzeć dalej, ale czy to znaczy widzieć więcej ? Zmarły na początku tego roku prof. Aleksander Krawczuk (1922-2023), utytułowany historyk starożytności – autor m.in. „*Pocztu cesarzy rzymskich*" – w książce „*Stąd do wieczności*" zawarł ciekawy tekst, zatytułowany „*Magister Platon*". W prowokacyjnym tonie Krawczuk opisuje dokonania wielkiego filozofa, zestawiając je jednocześnie z bliższymi naszym czasom, wymaganiami stawianymi studentom.

Pisma Platona to z reguły dialogi. Przekonamy się o tym, sięgając, po: „*Ucztę*", „*Państwo*", „*Obronę Sokratesa*", czy „*Sofistę i politykа*". „Owszem – pisał Aleksander Krawczuk w „*Stąd do wieczności*" – merytorycznie Platon zawsze pisałby rzeczy genialne... ale żaden profesor, żadna komisja kwalifikacyjna i egzaminacyjna nie miałaby ani prawa, ani odwagi stwierdzić, że prace te mogą stanowić podstawę choćby tylko magisterium"[3].

Dzieła Platona, chociaż nie brakowało im oryginalności spojrzenia na opisywaną rzeczywistość, były pozbawione schematycznej struktury i rygorów, charakterystycznych dla prac naukowych. Można oczywiście twierdzić, że rozwój jest możliwy wyłącznie w oderwaniu od utartego szlaku schematycznego myślenia, jak było to w przypadku słynnego „Salonu Odrzuconych" – wernisażu, na którym zaprezentowano te prace plastyczne, które nie znalazły uznania w oczach francuskich akademików. „Dziś nie sposób uprawiać nauki poza instytucją zwaną nauką. – pisał ks. prof. Michał Heller w mini rozprawie „*Jak być uczonym ?*" – I w życiu tej instytucji trzeba brać udział..."[4]. W przeciwnym razie zostaniemy zepchnięci na margines, jako pariasi, bojący się konfrontacji własnych poglądów i przekonań.

Drugą z zasadniczych kwestii jest czas potrzebny na napisanie, czy namalowanie dzieła, bez względu na jego formę. Dzisiaj nie do pomyślenia byłoby kilkuletnie oczekiwanie na obraz lub fresk, jak to było w złotym wieku kultury i sztuki – epoce włoskiego renesansu. Prace nad freskiem w Kaplicy Sykstyńskiej zajęły Michałowi Aniołowi cztery lata (1508-1512), a kolejne sześć (1534-1541) poświęcił na stworzenie, w tym samym miejscu, dzieła „*Sąd Ostateczny*". Tak, jak wynalezienie druku przez Gutenberga, stopniowo „odbierało" ludziom pamięć, tak dzisiaj postęp technologiczny niweluje różnicę między zwykłym śmiertelnikiem a geniuszem. W żadnym wcześniejszym momencie historycznym, i nie mówię tu o czasach Platona, Michała Anioła, czy nawet Kapuścińskiego, ale o okresie minionych dwudziestu, czy trzydziestu lat. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tylu możliwości wyrażania swoich myśli, potrzeb i dążeń, nie ograniczających się jedynie do ich artystycznej ekspresji.

W opublikowanym w 2012 roku, na łamach „*Gazety Wyborczej*", tekście: „*Co z tego, że wiedzą, jeśli nie potrafią ?*", prof. Klaus Bachmann zadaje prowokacyjne, tytułowe, pytanie. Artykuł dotyczy tego, w jaki sposób funkcjonują dzisiejsze, polskie szkoły wyższe. Kluczowym zarzutem, jaki Bachmann formułuje pod adresem polskich uniwersytetów jest niedostosowanie programu kształcenia do aktualnych potrzeb rynku pracy. Problem w tym, że jeśli studia trwają trzy, czy pięć lat, to pomijając newralgiczną dziedzinę nauki, jaką jest medycyna – zasadniczo związaną z ludzką egzystencją, wszelkie inne dziedziny, prędzej czy później zaczną cierpieć na nadmiar kadrowy własnych adeptów.

Aby spróbować odpowiedzieć na tak sformułowany przez prof. Klausa Bachmanna zarzut, należy zadać przynajmniej dwa pomocnicze pytania: Dlaczego powstały uniwersytety ? A także, czym różnią się one od szkół zawodowych ? Uniwersytety dają studentom nie tyle, czy może nie tylko, konkretną wiedzę, ale nade wszystko narzędzia poznawcze do analizy zjawisk życia społecznego. „Po dwóch latach w Heidelbergu nie wiedziałem prawie nic – pisał Klaus Bachmann we wspomnianym artykule – ale byłem w stanie w ciągu kilku dni zdobyć informacje i napisać pracę na dowolny temat"[5]. Rolą uniwersytetu, chociaż zabrzmi to prowokacyjnie, nie jest, moim zdaniem, przekazywanie wiedzy, ale ukazywanie kierunku, do którego można dążyć.

Powróciwszy do zasadniczego wątku mojej refleksji, pragnę zauważyć, iż obecnie możemy mówić już nie tylko o „felietonomanii", nad którą tak ubolewał swego czasu Kazimierz Wyka. Dzisiaj zjawisko to bardzo rozszerzyło swój zakres znaczeniowy. Mamy więc do czynienia z różnego rodzaju maniami, czego wyrazem są treści zamieszczane w tradycyjnych oraz internetowych środkach masowej komunikacji, z których należy po prostu umieć korzystać. Jedyną receptą na zaistnienie wydaje się tam szybkie, intensywne zwrócenie uwagi na czynność, która gdyby przyjrzeć się bliżej, nie wnosi do naszego życia nic nowego. I tak mamy w Internecie mnóstwo treści z gatunku „mój jeden dzień...", gdzie teraz jestem w pubie, teraz na zabawie, a teraz pokażę wam mój dom... i tak dalej, i tak dalej... Ciekaw jestem, co powiedziałby o tym Kazimierz Wyka...?

Zmierzam do tego, że obecnie zatraciliśmy, chyba, poczucie tego, co znaczy „wyjątkowość", która z powodu coraz łatwiejszego sposobu na zaistnienie, musiała ustąpić miejsca przeciętności, wywyższanej z kolei do rangi wybitnych osiągnięć. Swoją drogą słowo „wybitny" także bardzo straciło na znaczeniu. Podobnie zdarzyło się w relacjach społecznych. Zaskoczeniem jest miłe potraktowanie kogoś w kolejce w sklepie, u lekarza – czy w samym gabinecie lekarskim –, w urzędzie, czy podczas rozmowy telefonicznej. Jeśli dzisiaj jest to dla kogoś zaskoczeniem, to z nami, tak zwyczajnie po ludzku, nie jest zbyt dobrze, ale wyłącznie od nas zależy, jaki będzie dalszy ciąg naszej – ludzkiej historii.

Michał Skrętek

1 K. Wyka, „Felietonomania", [w:] „Krytyka XX i XXI wieku", Universitas, Kraków 2014, s. 37.
2 K. Wyka, „Felietonomania"..., s.34.
3 A. Krawczuk, „Stąd do wieczności", Wydawnictwo Radia i Telewizji, Warszawa 1985, s. 24.
4 M. Heller, „Jak być uczonym", Copernicus Center Press, Kraków 2012, s. 22.
5 K. Bachman, „Co z tego, że wiedzą, jeśli nie potrafią ?" [w:] „Gazeta Wyborcza", sobota-niedziela 12-13 maja 2012, s.19.

Michał Skrętek: ur. w 1985 roku w Staszowie (woj. Świętokrzyskie), z wykształcenia politolog (2009 r.). Od 2006 roku publikuje teksty krytycznoliterackie oraz podróżnicze w „Gońcu Staszowskim", a jego eseje i szkice literackie ukazywały się również na łamach „Gońca Świętokrzyskiego". Od 2010 roku jest członkiem Staszowskiego Towarzystwa Kulturalnego, a od czerwca 2023 grupy „Literackie Światło Młodych", działającej przy Świętokrzyskim Oddziale Związku Literatów Polskich w Kielcach.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Czesław Sobkowiak

Na stole

Na stole szklanka i położone kartki
Różne słowa którym trudno dać wiarę
Są w niełądzie ale mają jakieś zadania
Na pewno nie w tym rzecz by je wykrzyczeć
W kalendarzu data zimny koniec lutego
Jeszcze tyka zegar który trzeba naprawić
Jaki świat chce wyniknąć z chaosu
Jaka ma się zacząć wspólna praca
Przelatują dzikie gęsi na pobliskie jeziora
Niepotrzebna im odpowiedź bo one wiedzą
Odzywa się telefon komórkowy więc mała przerwa
Zaraz wrócę do pisania ale w jakim celu

X X X

Wstyd jak stępiony nóż
Już stary zużyty ten przedmiot
Nic co byłoby do przyjęcia
Przywykł rozbawiony pogodny
W swoim domu za drzwiami
Kiedyś by się zapadł lub spalił
Ale już nie dotyczy ten kłopot

Chwali się brakiem pamięci
Choć plamy ma na koszuli na rękach
Zrobiło się modne to tłumaczenie
I właśnie popłaca
Wystarczy wokoło się rozglądać
Tak jeden i drugi odważnie
Wstępuje na wysokie schody
Pytanie co robić

Zjawili się nowi młodzi i śmieją się w twarz
Nie wiedzą jak to wszystko wyglądało niedawno
Gdy trzeba było na śniegu żeby żyć nocą stać
I mówiliśmy jeden do drugiego czy kawałek wystarczy

Zapłaciliśmy za każdy oddech i ślady tkwią w pamięci
Chcieliśmy wytrwać i nie dać się zdeptać ani zgnębić
Swoich sumień i przestaliśmy się bać czegoś gorszego
Nie było śmieszne to wszystko co teraz tak śmieszy

Co nam należy teraz robić by ten codzienny kształt
Obchodził gdy w każdym domu jednak już brak poezji
Czemu ktoś ma smutny głos przy powitaniu
Cały świat za jednym kliknięciem palca marny

A arkadia jest na wyciągnięcie ręki więc może wystarczy
Nic więcej i nawet śmiać się w twarz bez żadnej udręki
Nie wiem co robić żeby głos mógł być nowy
A zwyczajny dzień nie zmieniał się w czegoś brak

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Sygnowanie

Kiedyś wiedzieli jak piękno przykładać do myśli
Uzyskiwali w warsztatach indywidualne wyglądy rzeczy
Kształt człowieka który sumiennie stara się ile potrafi
Uczynić świat znośnym pośród przeciwieństw

Nie przybywało anonimowego powtarzania się
Sygnowanie było wyrazem sprawdzonych linii
Teraz przez szkło patrzymy na te odciśnięte znaki
Które podnoszą wagę i miarę dawnej codzienności

Epoka

Koła epoki przyspieszają kolorowo i groźnie
Nie nadążam więc mój krok komu potrzebny
Mniej gwiazd świeci prosto w oczy
Co ze światłami że zeszły na ziemię i mnożą ciemności
I jest wnętrze człowieka jakby owdowiałe
Które ktoś śmiało zabija ostrym narzędziem
I ludzie o tym mają bardzo różne osądy

Wyjdę na śnieg i popatrzę że biało
Przeczytam co napisała biel do mnie płatkami
Może z tego będzie nie tylko wiersz
Albo blisko czułość i poznam czyjeś ramię
Kilka słów poza tym do kogoś wyślę mailem
Chodzi o to by nie rozstawać się z samym sobą
I nie tam iść gdzie zajmują się tylko kłótniami

x x x

Rozejdziemy się rozjedziemy w różne godziny
Zawiozą rozkruszą garstkę by stało się zadość
Co mówiliśmy i jedliśmy i co boli się zapomni
Do samego zera tak jak kiedyś tutaj wszyscy inni
Którzy wypatrywali blasku a był codzienny ciężar
Więc jest że nic dla siebie tylko oddawać sekundy
I żal że komuś to życie w coraz większej biedzie
I można mu tylko o soli mówić coś ważnego
I o ptaku co na parapecie chwilę odpoczywał
Tak to jest już niczego nie chcieć i być nigdzie
I nie dowiedzieć się co jest w liściach zapisane
Że każdej wiosny nie nam tak wrócić obietnica
Umierają liście i nikt nie płacze że leżą szaro na ścieżce
I coś jeszcze chciałem powiedzieć w swojej niepewności
Wybacz wybaczcie że moje sny są takie małe

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Stanisław Nowycki

Tłumaczenie na język polski Tadej Karabowicz

Niebiańska glina

* * *

uratuj mnie
przed tą
niewiadomą
świata
gdy będę
szukał swojego głosu
prawdziwego głosu
ciepła

będę dotąd
szukał
w innym świecie
swojego
świata
by móc tylko
wymarzyć
święte
i grzeszne
bez ratunku
duszy
bez ratunku
serca

* * *

usta twoje przemawiają do nieba
usta twoje łagodnie dotykają
cudzych ust
nie moich
nawet przed pocałunkami
jestem polatuchą między niebem
i twoimi ustami

tylko jesień zdatna wybaczać
milczenie naszych pożegnań

* * *

śmierć nigdy nie będzie samotnością

w miłości świata
sen
który jest bliżej słońca
w miłości śmierci
przetacza się oddech do oddechu
i łza do łzy
samotność milczenia
wieczny ogród w cudzych oczach
wieczny sen w cudzych rękach
sen do słońca
bliżej i bliżej
do ciebie

tylko prawdziwe
pożegnanie z twoim ciałem
które urodziło się
ze snu podolskich traw
tylko palce nasze splatają się we śnie
sen coraz bliżej do słońca

z czasem
jestem coraz bliżej ciebie
do twojej twarzy
bliżej

z podolskich traw
oddech
i
sen
który jest bliżej słońca

* * *

zasiewać
oznacza
cierpieć
zasiewasz w niebie deszcz
siejesz na polu ziarno
siejesz w sercu zmęczenie
bez patrzenia w twarz
Anioła
tylko ona
z twarzą Anioła
ciągle
zasiewa w niebie deszcz
dla twojego jestestwa
bo zasiewać
oznacza
istnieć

zasiewać
świat
w człowieku

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Waldemar Jagliński

PRESBYTERIUM

{ Inspiracja: Apokalipsa św. Jana }

Dwadzieścia cztery Promienie z pierwszych dwudziestu czterech Wielkich Słońc co pokonały nieprzeniknioną Ciemność. Dwadzieścia cztery *złote pokłony brodaczy* i dwa tuziny *złotych słów* co zapalają światła nowych dróg. Oni byli *światłami otchłani*. Żyli przed prastarymi *Niebieskimi i Czerwonymi Słońcami* i przed szczególną *Żółtą Gwiazdą*. Żyli przed małym, *Błękitnym Domem* i *czerwonym człowiekiem*. Oni są *złotymi dziećmi Wiekuistej Myśli, synami Pierwszego Światła*.

Przedwieczna *Tęcza* nad Pierwszym Tronem zawiera każdy oddech. Jest pierwotnym pokarmem i kołyską dusz. A oni, pochyleni za *Czterema Postaciami,* karmią się nią jak wielobarwnym nektarem. Oni widzą w niej kolorowe uśmiechy tych, którym zapalali nowe drogi.

Dwadzieścia cztery Promienie w Drugim Kręgu. Światła pierwotnych podłóg i ścian. Latarnie pierwszych światów. Dwa tuziny królów i mędrców. Każdy z nich ma przed sobą *obrazy swoich dzieci. Wszystkie wyszły spod wielkich, złotych skrzydeł*. Obrazy te są *zielonymi bramami na rdzy pierwszego życia dzieci*.

Dwadzieścia cztery Promienie w kole, w kręgu przed pierworodnymi ze Światła. Przed *uskrzydlonymi posłańcami co zapalali Wielkie Słońca*. Każdy z *Promieni* jak jeden z nich, lecz nie dla nich.

Pierwszych Siedmiu to mądre duchy swych *niebieskich dzieci*. To ojcowie szerokich skrzydeł ich myśli, architekci tęczowych domów i animatorzy otwartych dusz. To tajemni władcy kulistych ziem oświetlanych przez *Niebieskie Gwiazdy*. Nauczyciele tych, którzy stali się *błyskawicami pierwszych nauk*. *Głosicielami wiedzy na jedenastu czerwonych światach*.

Złota Szóstka to dobre duchy swoich *złotych dzieci*. To ojcowie metalu i błyskotliwych rumaków, które wzorem strzał niosły ich potomstwo ku krańcom poznania. Aż *do świata pustki*. To niezgłębieni królowie ziem krążących wokół *Czerwonych Gwiazd*. Nauczyciele wszystkich tęczowych istot zamieszkujących skalne kule światów.

Niebieska Jedenastka to roztropne duchy swych *czerwonych dzieci*. Ojcowie ognia, odzienia i strawy. Niezbadani władcy ziem wirujących wokół *Żółtych Gwiazd*. Błękitni doradcy najmniejszych.

Dwadzieścia cztery Promienie wokół Pierwszego Tronu. *Zielone bramy* ich dzieci unoszą się w *Złotych Misach*. Misy płyną ku Pierwszemu Tronowi, na którym siedzi *Wiekuisty*. W jednej dłoni ma on wszystkie tęczowe życia i mroki śmierci, a w drugiej – wieczność. Jest wszystkim dla wszystkich.

Misy najmniejszych *czerwonych dzieci* są najpełniejsze, a ich *zielone bramy* stanowią szczyty rdzawych wydm, diun pełnych zawiłości i płaczu. Bramy te są ukoronowaniem *pierwszego życia* i końcem odwiecznej walki. Ich zielone skrzydła niczym świeże liście okrywają głębokie spękania w ramionach konarów. W ciałach najmniejszych. Skrzydła zakrywają płacz i cierpienie.

Szczególne jest istnienie *czerwonych dzieci z małego, Błękitnego Świata. Dzieci na wietrze zmian. Dzieci o podzielonych duszach mimo wielkich starań złotych Promieni. To istnienie kłów i pazurów w sercach muzyków i poetów. To niedzielne iskierki ciepła w słowach czerwonych wojowników*. Istnienia te *zalewały krwią wieki i milenia i ostrzem żelaznym torowały sobie drogę*. Pośród tych istot czerwień dusz zamieniała się w trwałą czerń. To ona któregoś dnia *na ociosanym drzewie wylała krew Niebieskiej Miłości. Tej, która niosła czerwone dzieci przez rdzę pustyni.* Ta sama czerń po kilku mileniach zrodziła Czarny Krzyż i Krwawą Gwiazdę. *Potwornego Malarza i Czerwonego Zabójcę*. Ci dwaj uwiedli miliony i miliony rzucili Aniołowi Śmierci. Istoty spod ich znaków na zawsze pozostały w mroku.

A Wiekuiste Miłosierdzie przebiło wszystkie karty życia kończąc waśnie wraz z pokonaniem Czarnego Niszczyciela. Pan Nocy, odwieczny oskarżyciel czerwonych dzieci, spadł z ognistego rumaka, a jego kości przykryła rdza piasku.

Mroczny duch oskarżyciela pozostał jednak w gotowości.

* * *

Wiekuisty górował na Pierwszym Tronie. Łączył w sobie wszystkie oddechy i barwy. Tęcze światów i serca gwiazd. Dla niego i wokół niego zieleniły się pustynie, wody zwyciężały skałę, a największe słońca kurczyły się w pokorze.

Pokłony każdego istnienia zostały oddane. *Ten, który jest wszystkim dla wszystkich po raz pierwszy otworzył jasne dłonie* – przed tęczowym Zgromadzeniem *uniosło się błękitne życie w wieczności*. Każda istota, *która szła do Światła* ujrzała swój nowy dom. A mieszkania te były jak dusze wybrańców z trzech niższych kręgów. Jak lustra ich szlachetnych myśli. *Idący do Światła* wznieśli się ponad swe koła i zawołali z radością:

- Dzięki, dzięki, dzięki!

Wiekuisty po raz drugi otworzył jasne dłonie – przed Zgromadzeniem, niczym smolisty dym, *uniosło się czarne życie w wieczności*. Każda istota, *która szła za Panem Nocy* ujrzała mrok bez końca. Cierniowy labirynt wyrastał w zatrwożonych sercach. Hamował kroki, więził myśli. *Idący w Ciemność* potępieńcy z niższych kręgów wznieśli się ponad swe koła i zawołali z rozpaczą:

- Biada, biada, biada!

Pierwszy *ze złotych Promieni* podniósł szlachetną głowę i spojrzał w panoszącą się Ciemność. W skłębione chwile i wieczność odrzuconych. Czarny tunel oddalał się już niczym smok co pochwycił swe ofiary. Niósł go Mrok i głęboki smutek.

- Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów!

Słowa *Promienia* wstrząsnęły Zgromadzeniem.

Waldemar Jagliński

Piła, wrzesień 2023

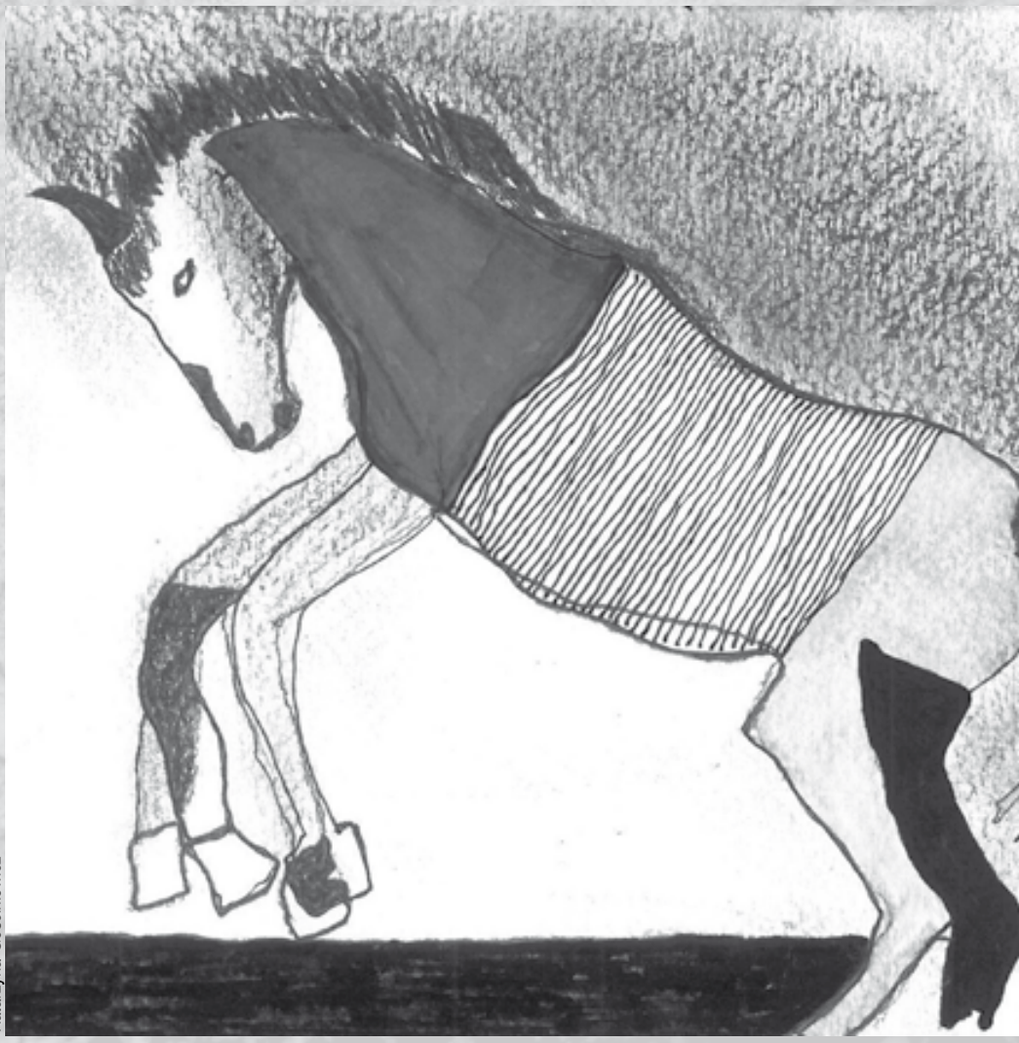

Katarzyna Gościniewicz

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Adam Bujarski

RACHUNEK

Jem tj. opukuję
bynajmniej nie do kibelnianej krwi czy
spermy których nauczono nas
bać się to okno
rozsądnie pourywaną miniaturą
wydobywam zeń niby młodociany
jaskiniowy kredkę
deszczu generyk powyższych

Rozchodzony w szpagacie melancholii
i płochliwej radochy z chryi
na drugiej części półkuli
nagarniam opadłe ze mnie we mnie
zarzewia strzępków
(mam na myśli tutaj wdech i wydech)
za jakąś formą wieczornego augustianizmu

na tę jedną wskazówkę
na brak fabuły
Mechanik za dziś zajęzyczoną poezję
na podłogę z sufitem

W MUZEUM KADYIEGO

Ta kobieta nie może być
nieprawdziwa. Tak,
na co komu Ona nie robi na nas wszelako
z przyrodzenia zenistyczna
podobnie jak ten szmelc ławkowca bokiem
(wiotko przegląda się w sobie)

z przyczyną niechciana ale wnet
wobec kompasianej zrzutki
wypindrzony szlus edwardiańskiego głupola
Gdy sugeruje perełki
jakby z płatka
garbowała mimośród podłóg i garnków

Ma siedzieć jak mysz pod miotłą
ta matka i babcia
zawiązać łapcie
i nie robić nic mądrego

„... ponieważ istnienie ptaków burzyło sposób
myślenia, w jakim nas wychowano „.

W

Tak
dobrze słyszałeś
Już czas

schować wędki błystki odhaczyć słomkowy
kapelusz bazę kufajki Trzeba wracać
i naprawiać Ziemię choć wszystko już powiedziałeś
lubo zestarzałeś się na płacz i zgrzytanie zębami
Pokrótce: na wiarę w siebie

Nikt nie był tak dobrym treserem
przejedzonych zmarszczek w hen ciupie
węgarów nikt tak dobrze nie liczył anegdotką
gnatów, pudrowanych cukierków -

Tu coś wcisnąć tam przekręcić
naraz wydrapać

Wszelako wszystko ma swoje Sezamie... z niezłą
reprodukcją formalizmów ku temu.
Wiedziałeś że nic nie jest zamknięte
dlatego krzyczałeś Obudź się
na zasadę „nie dwa”

I podpisałeś co pozostaje w mocy
nie tyle że nie da się wrócić
Co nie chcieć
To największa z przewin

Może i nie trzeba żałować, fakt
w masłełkowatych drobiazgach
za dużo wiemy i jeszcze więcej chcemy
kontrolnej karty do prawdy
repetując w chuchaniu na zimne
i mojżeszowym totolotku.

Nielekki umysłami
przeto dziedzic szczerze: nie wiem

że wiem
I nawet jeśli ogarniam
cię tedy z drogi nie znaczy że jestem tobą
może tylko zachyłkiem gibanej bandyterki -

kameralne oszczędności
na aporcie lunetki

Coraz i spektakularne Wystarczy
oddaję talent do fryzowania słów
całe to prędzej muchołapstwo
na chama tworzonego stworzyciela

niezauważalny dlatego nikt nie dokonuje cię
pytaniem Co ty możesz wiedzieć?

Robię czy raczej zwracam ci miejsce
bo spadam stąd
na pudło tułowia i cztery nogi taboretu
troszkę inaczej niż ty jak możesz zauważyć
umazany pogubionym cynkiem od rzeczy
(w) samej

Raczej Nic z czegoś
A Wszystko to to samo
Zniknąć lecz nie zaniknąć
A znaki chociaż bez szczegółów:

Nieprzejrzystość i wiele (w) poza tym

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Andrzej Talarek

Psalm Pierwszy. Idź zawsze swoją drogą, ktoś ją w ciebie wpisał

Biblia Tysiąclecia: Dwie drogi życia
Jan Kochanowski: Szczęśliwy, który nie był między złymi w radzie

Idź zawsze swoją drogą, ktoś ją w ciebie wpisał,
matka – kiedy karmiła, ojciec – gdy kołysał
lub Bóg. Lecz przyjdzie chwila, gdy będziesz wybierał,
czy los cię wesprze w drodze, czy Bóg będzie wspierał.

Jak dziś żyć Bożym prawem pośród praw wielości,
praw człowieka każdego, praw do odrębności?
Gdy trudno znaleźć kogoś, kto Twym prawem żyje
i swoim życiem Boga hańbą nie okryje.

I kto mi w drodze wskaże Ducha Twego Prawa
gdy tłum nauczycieli, abym bez obawy
przyjął go i jak drzewo nad płynącą wodą
owocował miłością i na życie zgodą?

Czy ci, co Cię nie znają lub Cię odrzucili,
kiedy doszli do końca, w plewę się zmienili
życia, które umarło nie rodząc wieczności?
Czy może miłość Twoja także w nich zagości?

Wiem, że miła jest Bogu droga sprawiedliwych,
żyjących wolą Boga, w wyborach uczciwych.
I tak chcę żyć, by nie kryć na końcu zdziwienia,
że śmierć mi nie przynosi z życia wyzwolenia.

Psalm Drugi. Ludzie współcześni, chwiejne pokolenie

Biblia Tysiąclecia: Mesjasz Królem
Jan Kochanowski: Co za przyczyna tego zamieszania

Ludzie współcześni, chwiejne pokolenie,
bez Boga życie codzienne meblują.
Wolność swym ciałem, nie rozumem, czują,
wieczność to dla nich czasu mitrężenie.

Dlaczego drogi ludzi oraz Boga,
kiedyś jak druty lin z sobą splecione,
dziś się rozchodzą, każda w swoją stronę,
a ku nicości wiedzie ludzi droga?

Także przywódcy, którzy z woli tłumu
siedzą wysoko, nie szanują Boga.
Jest im orężem, gdy przegranej trwoga.
Ludzie klaskają, jakby bez rozumu.

Wyrwać się trzeba z brei, co nas pęta,
słodząc w nadmiarze cukrem bez kalorii,
i mieć nadzieję, że powróci w glorii
Zapowiedziany. Jego imię święte.

Śmieje się w niebie Pan, który nas stworzył.
Warkocz galaktyk słowem jego dumnym.
On wie, że miłość Boga ponad trumny,
nadzieję nową przed ludźmi otworzył.

Tyś Synem moim. Ty będziesz im sędzią.
Ciebie zrodziłem ludziom przed wiekami.
Dziedzictwo Twoje - ludzie zabłąkani.
Bądź miłosierdzia dla nich zapowiedzią.

Nie pokrusz tego, co piękne w całości,
nawet jak rysa jego twarz oszpeci.
Traktuj podsądnych w łasce swojej jak dzieci,
Daj, w miejsce groźby, zwiastuny radości.

Szanujcie Pana przywódcy tej ziemi,
sędziowie patrzcie na jego przestrogi,
ludzie zgubieni odszukajcie drogi,
byście na sądzie nie byli jak niemi.

Psalm Trzeci. Dlaczego przemoc, Boże, Twym światem rządzi?

Biblia Tysiąclecia: Modlitwa prześladowanego
Jan Kochanowski: Mocny Boże, jakoż ich wiele powstało,

Dlaczego przemoc, Boże, Twym światem rządzi?
Silny wojny zaczyna, w szaleństwach błądzi,
z Twym imieniem na ustach pali, morduje.
Czy twarz swą odwróciłeś, bólu nie czujesz?

Jakie nauki, Panie, z Twojego prawa?
Oko za oko - ciągła życiem zabawa.
Oba policzki spuchłe pod ręką kata.
Lecz czy czeka go za to Twoja odpłata?

Kładę się i zasypiam, znowu się budzę.
Choć pożar step ogarnia, ja się nie trudzę.
Choć świst rakiet i huk, ja wygodnie leżę
Dopóki w moje okna grom nie uderzy.

A tam się modlą: Boże, wyłam im szczęki,
rozbij ich armie, odsuń nasze udręki.
Tu się modlimy: Panie, to wszystkich wina
i ślemy na front matkę Twojego Syna.

Lecz w krwawym czasie tylko Ty jesteś tarczą,
Tyś ucieczką w nadzieję, gdy czołgi warczą.
Zrób coś, póki się żarzy kawałek lontu!
Modlą się cicho ludzie z obu stron frontu.

Odrzuć swą obojętność i strach mój zrozum.
Daj, Panie, mądrość władcom i ludziom rozum.
Ocal od hekatomby nas, nasze dzieci.
Niech duch święty pokoju do nas przyleci.

Psalm Czwarty. Sprawiedliwość wymierzasz, Boże, w swej mądrości

Biblia Tysiąclecia: Modlitwa i napomnienie
Jan Kochanowski: Wzywam Cię, Boże, świadku mojej niewinności

Sprawiedliwość wymierzasz, Boże, w swej mądrości.
Wybacz mi, że wciąż we mnie wiele wątpliwości.
I kiedy mnie nachodzą znienacka pytania,
chcę, byś mi odpowiedzi wszeptał w paru zdaniach.

Czy jesteś dla wierzących na ich zawołanie,
czy w tajemnicy swojej ukrywasz się, Panie?
Gdy kogoś ból zabija, czy wspierać wypada,
mówiąc, że z Bogiem łatwiej? Choć świat się rozpada?

Jak wykazać wątpiącym lub tym co nie wierzą,
że oni też do Ciebie, jak i ja, należą,
że możesz im dopomóc przejść ciemną doliną,
bo iść z Tobą lżej będzie i w mroku nie zginą?

I że darów nie muszą ci składać ni hołdów,
bo wystarczy westchnienie i kropelka modłów
ze słów prostych sklejona, co wprost z serca płynie.
Boga wzruszy w niebiosach, w nicości nie zginie.

Ja zaś Cię chwalić pragnę słowami najhojniej,
że moje szczęście w Tobie i sypiam spokojnie,
bo wierzę, że to z Ciebie tak wiele radości
we mnie, że mi wystarczy, by dojść do wieczności.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Jacek Jaszczyk

słońce poboczne

tłumaczysz mi drogę
na której światło Gwiazdy Polarnej
zagnieżdża się w kwiatach zasłon

mówisz że to struna
na której rozwieszony mrok
był Wielkim Wybuchem
z którego kształty galaktyk
formowały szczyty Lemurii

może w ich cieniu jesteśmy
wciąż błyskiem parhelion
który w szklane serce oceanu
rozsypał rój meteorytów

teraz słuchamy
jak w żyłach rzek
i w spojrzeniach jezior
milkną gwiazdy

jakby to cisza coraz mniej martwa
szeptała między nami
wieczność

rozziew

wszystkim -
w tobie odległym
i tym co oddech
rozpala

gdy puls ożywia
horyzont

do ostatniej z gwiazd
wysyłam wstyd
może
to promień zorzy
po którym wyjdzie
z nas świt

jak ogień na skroniach
minionych światów
łapczywie sięgając powietrza

a może tylko
pukanie do ścian
które wyzwoli z nas
omylność tej chwili

***

z dźwięków tych barw
nad którymi ostrzą się żagle chmur
czas jest jak najgłębsze przeźrocze kosmosu
z którego komety sypią swój sen

a może to jasność w nas tak śni
migocząca w przedsionkach raju
i niebo które spływa jak szmer
w zagięciach anielskich sukien

a może jedynie odblask kropel
płynących przez lustra chrzcielnic
w których odbicia naszych spojrzeń
obmywają między nami kropidła wszechświata

kołysanka lasu

widzisz:
to rana drzew
którą dźwiga żuk
rysa w powietrzu
bolący szmer

jak echo powtarzające:
oni szli do lasu
do lasu.

słyszysz:
między nami wiatr
kostnieje i wyje
jak pies co we śnie
przewrócił świat
a może pod łapą
ukrył kęs
tego co zostało

albo trwa.

Meandry

Ta wiosna jest zimna,
jak zabite sękami przestrzenie,
które ważą między nami tyle,
co dziura po gwoździu,
którym do wszystkich zakamarków
śmiertelnie przybiła nas niepamięć.

Tutaj, gdzie Wisła wciąż płynie wzdłuż wierszy,
cienie ukryte w paprociach zaglądają w obłoki.
Krzyżem słonecznym zasłaniają oczy
wzgórzom żwirowym,
gdy zmartwychwstaje lato.

Rozmawiamy o sercu nieba,
przechodząc granice światła.
Wtedy, gdy w gałązkach zieleni
ścięta piłą obumierała ćma bukszpanowa.

I wszystko trwało zwyczajnie.
Kryle, przenikając lustro wody,
uciekały przed samymi sobą,
gdy my, w pośpiechu,
układaliśmy na nowo bieg rzeki.

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Ewa Song

Biedna Mała C.

Oto zapiski Ewy Łącznej. Można je nazwać pamiętnikiem czy czymś w tym rodzaju. Kartki są ułożone w przypadkowej kolejności. Być może nawet wszystko, co tam znajdziecie, nie ma znaczenia. Ale wtedy musielibyście przyjąć, że historie ludzkie nie mają znaczenia, że nasze linie papilarne nie mają znaczenia, ani myśli, ani słowa.

1.

Sierpień zawsze był dziwny. Jeżeli nie dziwny, to przecież szczególny. Szaleństwo, orgia lipca odchodziły w nieznane i pozostawał sierpień. Zapowiedź lata spełniała się w białości, żarze, namiętnym obcowaniu ze słońcem, pozostawiając spokojny sierpień. Kto nie skorzystał z lipca, z nadzieją patrzył w sierpień.

Sierpień dawał nam trochę spokoju. Cienie uliczne stawały się bardziej widoczne, głębsze, może nawet opiekuńcze. Szpalery drzew szumiały i szumiały, nawet smród spalin stawał się mniej natarczywy.

Zawsze obiecywaliśmy sobie wiele po sierpniu. Jakby to, co nie zdążyło przebić się przez gęsty upał lipca, teraz łagodnie wypływało, stawało w świetle dnia, było oczywiste. W gruncie rzeczy nikt nie wiedział, co miałoby to być. Kolejny polityczny wstrząs, płonące lasy, a może tylko nagie opalone ramię ujrzane w blasku długiej jak szyja ulicy. Może tylko smak gruszki z ulicznego straganu albo nieoczekiwany zapach kremu w białej od słońca łazience. Sierpień? Białe płócienne spodnie młodego przechodnia? Nic. W gruncie rzeczy wielkie nic. Nie ma świata. Dawno się rozpadł.

Miasto ułożyło się ze sobą. Ulice spijały bladą jasność. Kto mógł, przedostawał się na plażę i czuł się wybrańcem. W tamtych czasach plażowanie należało do zajęć ekskluzywnych. Jak sypki biały piasek, gorący i chłodny na przemian, jak kolorowe płótna parasoli, jaskrawe parawany i dziecięce piłki na tle błękitnego morza i nieba.

Byliśmy bogami, greckimi bogami w jasnej przestrzeni plaży pod baldachimem przyjaznego nieba. My, ludzie Północy, czuliśmy każdym nerwem dotyk ciepła i dotyk zimnego wiatru. Byliśmy wybrańcami. Tkwiliśmy w jakiejś plażowej nadmorskiej ekstazie, pomieszaniu zmysłów, olejków, pokrzykiwań dzieci i wszechobecnej nagości, jeśli nie liczyć kolorowych kostiumów.

Po kilku dniach odbywania plażowego rytuału wytwarzał się pewien miły rytm wakacyjnego życia. Stopy rozpychały się w piasku, skóra nabierała oliwkowego koloru, a nasze oczy głębi. Gdzie indziej był świat, w którym nawet ludzie zabijali ludzi albo więzili w mokrych bunkrach, ale my należeliśmy do innego świata. Lepszego i łagodnego, takiego, który daje Straussa, greckich bogów, w którym białe zęby zanurzają się w smaku i zapachu wedlowskiej albo wiedeńskiej czekolady. Skrzypce, ramiączko i nieskazitelny piasek – oto czego nam trzeba w ten łagodny sierpień.

Wiedzieliśmy jednak, że tuż obok, niejako pod ręką, uwijają się studenci, sezonowi pracownicy, młodzież, stare kobiety, którzy zmieniają pościele, wydają lody z automatów, a przede wszystkim sprzątają i sprzątają. Luksusowy świat musiał mieć swoją podszewkę. Tam właśnie kryli się wszyscy pomagierzy, skrzętni pracownicy, a nawet babcie klozetowe, które musiały być dla nas miłe. Płaciliśmy im za to. Ale poczuć oddech lata, poczuć boskość, to było tak ważne i olśniewające odczucie, że każdy z nas oddałby za nie wiele godzin wysiłku, pośpiechu, a nawet udręki. Boskość kosztuje.

Wiedzieliśmy co prawda, że w tym boskim świecie gromadzą się łysole, napakowani kibole, żłopiący piwo ojcowie rodzin, pożerające kiełbasę kobiety o obfitych łydkach. A nawet regularni gangsterzy. Ale szybko pozbywaliśmy się ich widoku, przechodząc na drugą stronę placu, plaży, ulicy.

No to ja. Właśnie schodziłam z plaży. Pięć dni słonecznego udaru, słonecznej wysypki i spacerujących brzegiem półbogów. Bałam się, że to za mało. Że nasłonecznienie będzie zbyt krótkie, że nastąpią po nim długie korytarze depresji.

2.

Biuro. Ulica ryczała samochodami, rozślizgiwała się w słonecznych blaskach. Było trochę wiatru i drzew. To nudne biuro mieściło się przy ulicy Pięknej, w gruncie rzeczy nie- Pięknej, jak umysł miejscowego samorządowca. Kto rozumiał ten pokomunistyczny kapitalizm, zakładał firmę. Firmy zmieniały się bezustannie. Na ulicy Pięknej pod numerem dwudziestym salon meblowy zmienił się w komputerowy, by niedługo potem przeistoczyć się w salon masażu, a jeszcze później – w sklep z konfekcją chińską z tym samym właścicielem.

W poniedziałek ulica dławiła się nerwowo ruchem. Świat dawno się rozpadł, ale każdy z przechodniów zmierzał w określonym kierunku. Nie było gapiów, nie było leniwych kafejek. Średnie miasto, średnia uroda, średni kraj. Stanęłam pod szyldem z jakąś angielską nazwą. Budynek był kilkukondygnacyjny z plątaniną biur, instytucji, szyldów. Peerelowski porządek pozostał już tylko w niechlujnej architekturze.

Domofon znowu nie działał. Nuda, irytacja. Zadzwoniłam z komórki. Ten głos, kompletnie dziwny i nieznany. Była w nim energia i ta kapitalistyczna, a w gruncie rzeczy pokomunistyczna brutalność, pozwalająca załatwić sprawę. Krótko i rzeczowo. Właścicielka biura zbiegła po schodach i otworzyła drzwi wejściowe. Starała się. Zbiegła jakoś rzeczowo, chłodno i szybko. Byłam jej potrzebna, to znaczy byłam potrzebnym pracownikiem. W gruncie rzeczy musiałam wykrzesać z siebie jakieś strzępki zapału do pracy, która przecież nie mogła być przyjemna. Dodatkowe lekcje mogły być tylko udręką. W dodatku płatne tak parszywie, że należało o tym zapomnieć. Czego się spodziewać w tej części świata, gdzie w większości ma się tylko PESEL i pewną ilość przeżyć przetwarzanych w ciągle nienasyconym mózgu. Dobrze, że było lato. Ale samochód stanął. Brakowało pieniędzy na mechanika. Byłam samotna, a świat się rozpadł. Co prawda stał za mną mąż i dziecko, wianuszek cioć i wujków, ale pokryta byłam szczelną impregnacją odgradzającą mnie od nich, a właściwie od świata, nieprzepuszczającą dobrych emocji. Nie wiedziałam, dlaczego tak jest, dlaczego ona istniała i jak się jej pozbyć. Może trzeba było mieć miłość i słońce. Bardziej słońce. Ono rodziło miłość. Ale plaża się skończyła. Nieodwołalnie. Należało w coś uwierzyć. Uwierzyć za wszelką cenę. Choćby w to, że świat naprawdę istnieje, że nie jest wyłącznie moim wymysłem.

Była miła. Biały łepek podnosił się, to opadał, pomiędzy mną a papierami. Była uważająca i staranna. Była ładna. Popatrzyłam na jej ręce i przypomniałam sobie dłonie wczorajszego kochanka. Naprawdę duże i owłosione. Przerażające zwierzę o nieuchwytnym, miękkim wdzięku. Przekonany o swojej męskiej atrakcyjności w końcu dopiął swego. Ale ja chyba też, przynajmniej na moment.

Miała delikatną urodę jednej z tych amerykańskich aktorek. Wszystkie te kapelusze, cienie rzęs, śniadania u Tiffany'ego, rzymskie fontanny. Nic ze zmysłowej radości chodzenia po plaży albo fartucha urodziwej prząśnej chłopki. Raczej kapelusz, futro i tak dalej. Takie tam.

Trzymała mnie u siebie zbyt długo. O kilkanaście minut za długo, a może ułamek sekundy za długo jak na formalności, które należało załatwić. Jej skrupulatność była zadziwiająca. Zanurzała się w ponure rubryki papierów z ciekawością i przejęciem. Kochała to nudne zajęcie, ale dlaczego? Czyż chodziło tylko o pieniądze? Wydawało się, że zależały one od kontroli jakiegoś urzędnika, który weźmie papiery i zanurzy wzrok w zapełnione nerwowym pismem rubryki. Który bezdusznie je przeczyta i odłoży na półkę. W tym czasie dyrektorzy szkół prywatnych byli gangsterami. Wydawali cenzurki w zamian za opłaty słuchaczy. Ich fortuny rosły proporcjonalnie do ignorancji uczniów. W miasteczku powstawały szkoły średnie, a ich dyrektorzy, rozbijający się mercedesami, mieli dusze handlarzy niewolników. Słynne lata dziewięćdziesiąte. Kto mógł, łapał koniunkturę, chwalił czasy i Boga.

Była naprawdę przejęta. Poruszona od stóp do głów. Stopy wparte w podłogę, gra myśli i wrażeń na twarzy. Twarz nie powinna być tak wyrazista, tak prosta i łatwa do rozszyfrowania. Ale była. Może kobieta pozwoliła sobie na odrobinę luzu. Najwyraźniej podobałam się jej. Dłonie, pewnie spoczywające na blacie, wyrażały otwartość. Śmiała się. Schyliła głowę, wpatrując się w kolejny absurd linijki, ale płomień jakiegoś wzruszenia przebiegł szybko od ust ku czołu. Płomień ożywienia i ciekawości. Ulica wlewała pogodę sierpnia i coś z tego przeniknęło do niej, zaśmiała się, prawie klasnęła w dłonie i wybiegła do drugiego pokoju. Była szczęśliwa.

Nie podzielałam tego ożywienia. Śpieszyłam się. Chciałam wyjechać z miasta. Ale wrażenie lekkości i jasności pozostało.

No to ja. Też byłam świetlista. Idąc na rozmowę o pracę, choćby ostatnią z możliwych, trzeba się starać. Także z ubiorem. Biało i nieskazitelnie, z przyzwoitą twarzą i włosami. No, prawie anioł.

Sierpień był piękny, choć samochód stał unieruchomiony. Śpieszyłam się. Nazajutrz trzeba było wejść do pociągu, prawie podmiejskiego, zanurzonego przez cztery godziny w stukot szyn, zieleni i powietrza. Byłam zgnębiona, ale nie ostatecznie. Brak kasy, choroba syna. Świat rozpadał się, wybiegał gdzieś naprzód jak rozbiegające się tory. Całe to gówno świata wisiało nade mną, ale nie rozpryskiwało się. Miasteczko przeżarte korupcją i głupotą leżało jak śli→

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

mak u moich stóp. W końcu można było wznieść się ponad to. Najważniejszy był sierpień i światło.

Andrzej wyjechał do pracy. Nie było go już od roku. Ani jego, ani pieniędzy. Czułam żal, czułam irytację. Ale ciągle żyłam, żyłam jak zagonione zwierzę, w takt pociągu, słońca, stów obcej i w jakiś sposób wygodnej kobiety. Jeżeli cieszyłam się, to światłem.

Choroba syna była faktem. Miał mnie powitać nieco nerwowy, miły i stęskniony. Specjaliści, tak, ale w tych klinikach wszystko wlokło się, ciągnęło się, wisiało na włosku. Czy badania będą drogie, czy lekarze zdecydują się, czy dadzą środki znieczulające? Ile trzeba czekać na decyzję? Jaka diagnoza i jakie leki? Całe szczęście, że były znajomości, nieco szczątkowe, ale zawsze. Znowu światłość, jak u Faulknera.

3.

Znowu dziennik. Pochylałyśmy się nad siatką gęsto wypisanych rubryk jak nad rzadkim zjawiskiem, polem pełnym lawendy, oryginalnym rozchylonym kwiatem. Dziennik z jego chłodem, nienawistnym rytmem dnia, tygodnia, miesiąca, roku. Był dokumentem czegoś zupełnie niewiarygodnego. Pracy uporczywej, nerwowej i w końcu mało płatnej. Dziennik, który w zasadzie niczego nie dokumentował. Czym innym jest bowiem umieć, wiedzieć, a czym innym – zaznaczać. Dziennik, który jest przedmiotem marzeń pensjonarek albo analiz przeróżnych inspektorów, posiadających zbyt mało polotu, by robić co innego.

Jakimże to zbiegiem okoliczności owa istota – niemłoda i nieco zmęczona – miała w nim widzieć sedno, dziesiątkę, coś, co warte jest zabiegów. Patrzyłam na nią zdumiona. Czyste, roziskrzone życie, żywioł nauki zamknięty w tym chłodnym, uporządkowanym przedmiocie, stał się obiektem jej fascynacji. Owe renesansy chłodno przepływające w barok, by potem jednym tchnieniem stać się całą epoką zwaną oświeceniem? Owe starożytności zaklęte w kohorty, śpiewające pieśni Spartakusa, zatrzymane w trzy, cztery rubryki dziennika, małe i niewydarzone. Owe tabelki wzdłużne, posłuszne i niewykoślawione, raz na zawsze zatrzymane dla średniowiecza. Dziennik notował Karolingów, rzezie, pochody, schizmy, wojny i dżumy. Ciągle był tym jednym – klasowym dziennikiem, którego uczniowie raczej nienawidzili, a w najlepszym wypadku uważali za świętość.

Jakaś książka introligatorska kupiona w sklepie z akcydensami, która nagle stawała się świętą księgą. Jakże jej nienawidziłam. Jakże nienawidziłam dyrektorów szkół, szkolnych korytarzy, tępych inspektorów. Jakże nienawidziłam szkoły, która mumifikuje życie, rozkłada je na czynniki, niszczy, a pulsujące życie przemienia w groźną bakterię, stającą się przedmiotem polowań nauczycieli.

No to ja, śledząca poczynania poprzedniej nauczycielki. Pani dyrektor siedząca naprzeciw, o czym myślała? O nudzie rubryk i pulsującej historii? Niechby robiła co innego. Ale kochała szkołę, jej pulsujące życiem korytarze, wystających pod ścianami uczniów. Kochała szkołę, nie wiedzieć dlaczego. Jej młodość pozostała w klasach i na szkolnych korytarzach. Jej porcelanowa, lekka i trudna młodość.

4.

Andrzej przyjechał. Po roku nieobecności, bez dzwonienia, bez kontaktu. Stanął w drzwiach, duży, prawie obcy. Mąż. Po roku.

– Tak się cieszę – powiedziałam.

– Tak się cieszę – powiedział.

Był w tym chłód. Co robić z chłodem w mieszkaniu, kiedy człowiek zawadza jeden o drugiego i nie ma dokąd z tym uciec. Kiedy nie ma go jak wynieść, wystawić za drzwi. I kiedy chłód stygmatyzuje czoło i dłonie. Paraliżuje, dopada, dokręca jak mróz w pierwszym dniu chłodu.

Kąpał się. Nie weszłam, choć cały rytuał należał do mnie. Należały do mnie jego włosy, zęby. Wyszedł z wanny z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Jego piękne duże stopy dotykały podłogi. Zapytał o syna i samochód. Przytulił mnie mocno, ale nie poczułam ulgi. Przygarnął moje włosy, moje palce. Poczułam się lepiej.

– Dobrze – powiedziałam.

Milczał. Pomyślałam, że coś się stało, znowu coś się stało.

– Co? – powiedziałam.

Milczał.

Pomyślałam, że przestanę, że dowiem się później. Wziął mnie. Był czuły jak poeta i teraz to było ważne. Znowu byłam dzieckiem zanurzonym w nim. Zanurzonym w muszli jego ciała. Dzieckiem ogłuszonym jego ciemną radością. Zamknął mi oczy, zamknął mi usta, zatrzymał myśli. Scalił mnie.

Przygarnął mnie raz jeszcze, odwrócił na brzuch, dotknął kręgosłupa. Teraz studiował każdą kostkę. Pomyślałam, że będzie się mnie uczył, aż wymażę z pamięci ten rok, rok jego nieobecności. Dotknął stopy. Każdy mój palec jak gwiazda lśnił jego czułością. Dotknął jabłka pięty. Byłam naga. Potem wziął mnie już szybko, ostro, bez ceregieli. Do ostatniego spazmu. Leżeliśmy. Padał deszcz.

Na drugi dzień wyjechał. Nie powiedział, co robił, gdzie był. Zostawił trochę pieniędzy, nie zapytał o dziecko. Nic nie rozumiałam, jak zwykle. Miał kłopoty z osobowością. Pomyślałam, że można z tym walczyć, leczyć go, wysłać na terapię. Potem znowu, że nie powinnam go wpuścić, a przynajmniej nie iść do łóżka. Powiedzieć, że byłam zła na siebie, to za mało. Byłam w rozsypce. Musiałam iść do pracy. Syn czekał na mnie w szpitalu. No tak. Bardzo chciałam uczepić się jakiejś myśli, czegoś stałego i jasnego. Nawet dzieciństwa, nawet plamy na ścianie. Słońca. Padał deszcz.

Myślałam o niej. O jej porcelanowej urodzie, o jej wesołości. Pomyślałam, że gdy słońce jutro wzejdzie na niebie, będzie miało jej lekką jasną twarz.

5.

Spowolniony rytm wieczoru. Ciemność oplatająca budynek, ciężka i nieprzeniknionа. Punkt światła, pulsująca lampa, okno. Tkwiłam na schodach tego socjalistycznego budynku w tak ciężkim pomieszaniu, jak ciężki może być sen o nieziszczalnym, lepszym życiu. Jak wygasła zimna pochodnia. Pokonywałam stopień po stopniu, jakbym wchodziła do piekła.

Czy piekłem był jej wzrok, który odprowadzał mnie na górę, który zatrzymywał się na mojej wąskiej sukni, rajstopach i butach? Patrzyła na mnie ciężko, bezwiednie, aż pokryła mnie szczelnie ciemność. Być może byłam jej ofiarą. Ofiarą zagnaną w kąt budynku, w głąb brudnego korytarza.

Ona była jasna i racjonalna. Stały za nią rzędy przepisów, stosy papierów, a przede wszystkim – jej własna pewność. Wiedziała, do czego zmierza. Ja tkwiłam szczelnie okryta jej wzrokiem, ciemnym i aksamitnym, który był czystą palącą nicością.

Przecież mnie uwodziła, czułam to. Swoimi leniwymi zmysłami i, na chwilę tylko ożywionymi, radością czoła, głupio skaczącą grzywką i bóg wie, czym jeszcze. Kim była? Tłukłam się w piekle jej wzroku. Była zapewne matką dwóch dorosłych córek. Kobietą, o której nie powinnam myśleć. Ale myślałam. Była piękna i spragniona. Spragniona uwagi wszystkich i wszystkiego.

Znowu korytarz. Jej irracjonalny, wybujały erotyzm. Bałam się jej, bałam się jej piersi, jej bioder, jej pędu i zachłanności. Zachłanności na świat, na ludzi, na powietrze, na smak, na dotyk, na politykę, na informację, na wiatr, trawę i piasek. Na wszystko. Wpadłam w jej orbitę niezauważenie, przypadkowo. Jak ćma, która może się przykleić, rozbić o krawędź lampy. Byłam bezwolna, jakbym dała się jej prowadzić za rękę. Ćwierkała, ćwierkała nade mną, jaka sukienka, jaki dekolt, ale w gruncie rzeczy chodziło o mój umysł. Mogłaby go rozgryźć, wyssać i wypluć jak pestkę. Byłam u kresu wytrzymałości, a ona śmiała się, śmiała...

Przechodziła obok mnie, a raczej przesuwała się płynnie i zwodniczo. Czułam jej gwałtowne piersi w staniku. Nie rozumiałam, co mówiła, coś zupełnie nieważnego. Coś niewybaczalnego. Jakże znałam tę słodką mowę wszystkich kochanków. Miękki, spokojny ton, głęboką aksamitną czeluść, promienną radość w oczach, słodkie oczekiwanie na sygnał. Jeden mały znak. Przyzwolenie, że tak, że się zgadzam, że oto wchodzę w tajemne porozumienie. I tak, cały świat i tylko my z naszym tajemnym porozumieniem, niewidoczną więzią.

I jedno słowo, ostry ton. Nie, nie mam czasu. Odejdź.

Jakże znałam to natychmiastowe osunięcie się twarzy, ową nicość odmowy. I oto teraz jej rysy rozpadły się, zniweczyły tajemne porozumienie, niezwykłą więź. Odeszłam i zostawiłam ją samą, porażoną moim chłodem, moją odmową. Gdy po dwóch godzinach zeszłam na dół, oddając dokumenty, chciała mi je rzucić pod nogi, podeptać, a mnie wyrzucić.

Czyżby chodziło o nasze krótkie spotkanie na piętrze? Może w istocie nic nie zaszło. Nie było odmowy, nie było energii, nie było słodyczy. Któż wie?

Już zaraz pochłonie mnie ciemność. Dotknie głos kogoś miłego, kto zejdzie ze mną do samochodu. Zostawię ją na pastwę rozszalałej emocji, na pastwę jej zrujnowanej twarzy.

Jakież to demony buszowały w tej małej osóbce o anielskim czole. Jakież przeloty zasnuły to istnienie, zdolne zatopić każdego w swojej pogardzie. Już wkrótce pochłonie mnie ciemność i spokój mojego domu. Gruby mur ciszy odgradzał mnie od niej.

6.

Świat wirował i nie był przyjemny. Odwieczne dęby na wzgórzach, odwieczne narodziny, odwieczny wiatr i śmierć. Bałtyk stał nieruchomo, wypluwając lodowaty jęzor. Skwir mew. Odbywaliśmy wędrówki brzegiem niegościnnego morza. Czapa mrozu na falochronach, czapa mrozu na falach. I wszechogarniająca jasność.

Świat był mały i nieustannie krążył. Trzęsienie ziemi na Haiti. Zwały trupów, naszych pobratymców. Byliśmy powiązani niewidzialnym węzłem z tymi istnieniami, którym teraz brakowało wody i pożywienia. Z ekranu telewizora wylewały się newsy. Patrzyliśmy w wielkie zrozpaczone oczy naszych braci. Należało nieść pomoc. Należało oderwać się od własnych przyzwyczajeń. Tłumy potrzebujących atakowały nasze zmysły. Tłumy Afryki, Haiti, Afganistanu. Ale mało kto przekuwał ten imperatyw w czyn. Tłumy bezbronnych, osamotnionych istnień w Polsce ginęły bez leków, bez pieniędzy, bez lekarzy. Ludzie umierali w domu, cicho i bez nadziei. Od czasu do czasu ktoś przynosił wieść o powolnym dogorywaniu sąsiada czy sąsiadki. Nie mogło być inaczej z ich skromnymi dochodami, ze słabymi służbami medycznymi i społecznymi.

Po ulicach szybko chodzili ludzie. Prawie truchtem. Kłęby pary wzbijały się z ich

X

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

nozdrzy. Takie zimy pamiętam z dzieciństwa. Wtedy widywało się konia zaprzęgniętego do wozu. Kłęby pary z nozdrzy, kłęby pary z boków. Zmierzwiona, mokra sierść i śnieg, wszechobecny śnieg.

Tej zimy mało kto wierzył w ocieplenie klimatu. Spacerowałam nad morzem. Z drzazgą słońca w głowie. Słońce oblewało mnie pomarańczową mazią, mosiądzem zastygającym na głowie i na ramionach. Byłam świecącym lodowatym posągiem.

Wyszłam z rozgrzanego, napiętego emocjami domu. Dziecko, skończywszy poranny etap, wychynęło ze swojej integralności intelektualnej, duchowej i materialnej. Ta ostatnia oznaczała skłębioną kołdrę, naciągnięte spodnie, a zazwyczaj gacie. Gacie były wszechobecne i wszechwładne.

Nikt nie jest w stanie powiedzieć czegoś ostatecznego, czegoś rozsądnego o tak zwanym życiu. Jedni dotykają go czynnie, przekraczając granice kontynentów, pędząc gdzieś z rozmysłem lub na oślep, stawiając nogę jak Cortez na nieznanym lądzie. Inni, gnani mniejszym zarobkiem, spędzają życie za kontuarem lub biurkiem. Jeszcze inni, gnani strachem, rozpaczą, wiecznym niepokojem, szukają wytchnienia w rozkoszy. Kobieta lub mężczyzna są ich lądem i ostatecznością. Przemierzają wzdłuż i wszerz ich południki i równoleżniki, wędrują, poszukując oazy i cienia. Wieczni wędrowcy. Ożywiają się na ich widok, by już bez nich popaść w długotrwałe odrętwienie.

Przepastna nuda i wegetacja jest udziałem najliczniejszych. Nie strajki, nie rewolucje, nie wielkie odkrycia i nieznane przestrzenie. Tylko nuda i wegetacja jest ich wszechogarniającym żywiołem. Nuda, z której nie potrafią, nie mogą się wyrwać. Z jej nędzą, cierpieniem, z jej chorobami. Jeśli życie gdzieś lśni, tętni, wzbija się ponętnie, przynosi rozkosz liści, pagórków, wiecznie żywych dolin, to pod tą cudowną materią rozpościera się obraz wiecznej wegetacji. I tylko płomień nadziei, idei, miłości może ich na chwilę stamtąd wyrwać.

7.

L. był cudowny. Tej zimy, gdy prezenter TVN-u, napuszony i sztywny, był śmieszny do ostateczności, L. przechodził samego siebie. Wystarczył mi jego oddech za plecami. Pewność, że istniał. Był. Czy pornografia jest wskazana, czy warto opisywać lot nad kukułczym gniazdem? Czy warto opisywać marmury mięśni i pleców ? Czy warto opisywać białe przestrzenie wielkich antycznych ciał męskich i drobnych, słodkich jak migdał kobiet? Dopadał mnie często, a potem marzył. Wiedziałam, że ten wspaniały i wielki mężczyzna chciałby zasnąć, odpocząć. Jak Indianin w reklamie, w śniegu, opierając policzek o moje plecy. No właśnie.

Ale ja odchodziłam. Mentalnie i fizycznie. Wbrew swoim postanowieniom. Albowiem miałam ustanowiony przez siebie zakaz widywania jej. Jednak tam szłam, przez ulicę ruchliwą, wybujałą, z samochodami, pośpiechem, interesami i bezładem. Podjeżdżałam pod biuro i okno. Niechby tam stała. Niechby stała i patrzyła, oderwana od codzienności. Niechby patrzyła na mnie.

– Ach, to ty – powiedziałam.

– Tak – głos miała niski i czuły, zbyt niski i czuły. Patrzyłam na tę jasną, bardzo umęczoną twarz, umęczoną całym dniem, umęczoną trwaniem.

– Tak, to ja. – Wiedziałam, że muszę odkleić wzrok, przenieść go na ściany, korytarz, ale nie mogłam.

– Usiądź.

Patrzyła na mnie uważnie. Patrzyła na moje włosy i ręce. Bardziej na ręce i pierścionki. Wiedziałam, że byłam ładna, gdy tak patrzyła. Znieruchomiałam. Chciałam, by siedziała i patrzyła na mnie w nieskończoność. Żeby nie odrywała wzroku, żeby studiowała mnie jak żywy obraz. Nie mogłam nic zrobić. Zastygałam. Nie mogłam jej dotknąć. Mogłam tylko trwać.

Znałam na pamięć jej włosy, jej skórę, jej ręce. Znałam na pamięć jej stopy. Znałam na pamięć jej sukienkę, jej buty i szminkę. Każdą zmarszczkę na dłoni. Istniała tak namacalnie, tak dokładnie. A co istniało, mieściło się w moim wzroku. Wstała, żeby zrobić herbatę. Powietrze wykrawało jej sylwetkę. Opierała się o nie.

– Nie będę pić herbaty – powiedziałam. Muszę iść, zapomniałam czegoś.

Wybiegłam z biura i rozpłakałam się. Płakałam długo, ale płacz nie przyniósł ulgi. Został płacz i ulica, obojętna i obca.

8.

Pozostawały minuty, godziny bez niej. Pomyślałam, że muszę coś zrobić, znaleźć jakiś pretekst, jakieś ocalenie, żeby tu przyszła. Żeby gdzieś przyszła. Żeby cokolwiek. Żeby razem. Pomyślałam, że dość tego harlekina bez happy endu. Tej nienormalności, tego nieszczęścia. Widywałam ją dwa razy w miesiącu i każde z tych spotkań poprzedzone było bezsenną nocą. Pomyślałam, że trzeba gdzieś wyjechać, skończyć z tą pracą, cokolwiek. Pomyślałam, że skoro jest słodka, to jest i gorzka. Bardziej gorzka niż słodka. Pomyślałam, że jest nudna. I jedyne, co ją interesuje, to trochę pieniędzy, luksusowy facet i ciuchy. Piękno. Ten wspaniały żagiel, pod którym dryfowała i który był jej bliski.

Nie wiedziałam, jaka jest, co lubi, czego nie cierpi. Wiedziałam, że jesteśmy różne. Wiedziałam, że łączy nas podskórna namiętność, która mnie zabije.

Katolicyzm. Słowo zbyt żywe, zbyt żarliwe, zbyt jasne, zbyt pojemne. Tu w kraju szczególnie. Słowo otwierające tak wielkie przestrzenie. Wyjść na nie, rozgościć się, uznać za swoje. Lub przeciwnie. Uciec, salwować się ucieczką. Jak je pojąć, jak odrzucić? Kiedy w Polsce wszystko dyszy katolicyzmem, jest z jego ducha. Kiedy kamień z kamienia, krew z krwi, anioł z anioła, barok z baroku, ksiądz z księdza. I jakikolwiek by był barok, kościół, jakikolwiek by był ksiądz, to katolicyzm i tak zostanie jako przedmurze, jako niedzielny rosół, niedzielne dzwony i wykrochmalona serweta. I jak piosenka gejowska:

Szedł gej przez wieś,
dobrze mu się działo,
tu piesek, tam pień
pod siekierę ciało.

Kochałam katolicyzm, kochałam opokę, bo kochałam dzieciństwo. Kościół dawał rozgrzeszenie, więc dawał świętość. Świętość dawała dobro. A cóż innego było ważne? Wielka księga życia, zachwyt nad kształtem chmury i liścia. A Pan Bóg tłumaczył wszystko miłością, a księga życia była piękna. Mój ogród dzieciństwa był jasny i pełen ciepła.

No to teraz Biedna Mała C. w kościele. W którąś niedzielę. Idzie z dzieckiem do kościoła. Jest śnieg. Jest pątniczką zmierzającą do Boga. A obok główka dziecka. Czyż to nie rozkoszne, czyż może być rzecz bardziej niewinna? Zanurzyć dziecko w tradycję jak w wodę święconą. W polski mistycyzm. Czyż ona nie stara się o odrobinę schludności duchowej, o odrobinę skupienia? Urząd Skarbowy pozostał za nią, a teraz Bóg w rozległej wielkiej skali małego miasteczka.

Ewa Song

Katarzyna Gościniewicz

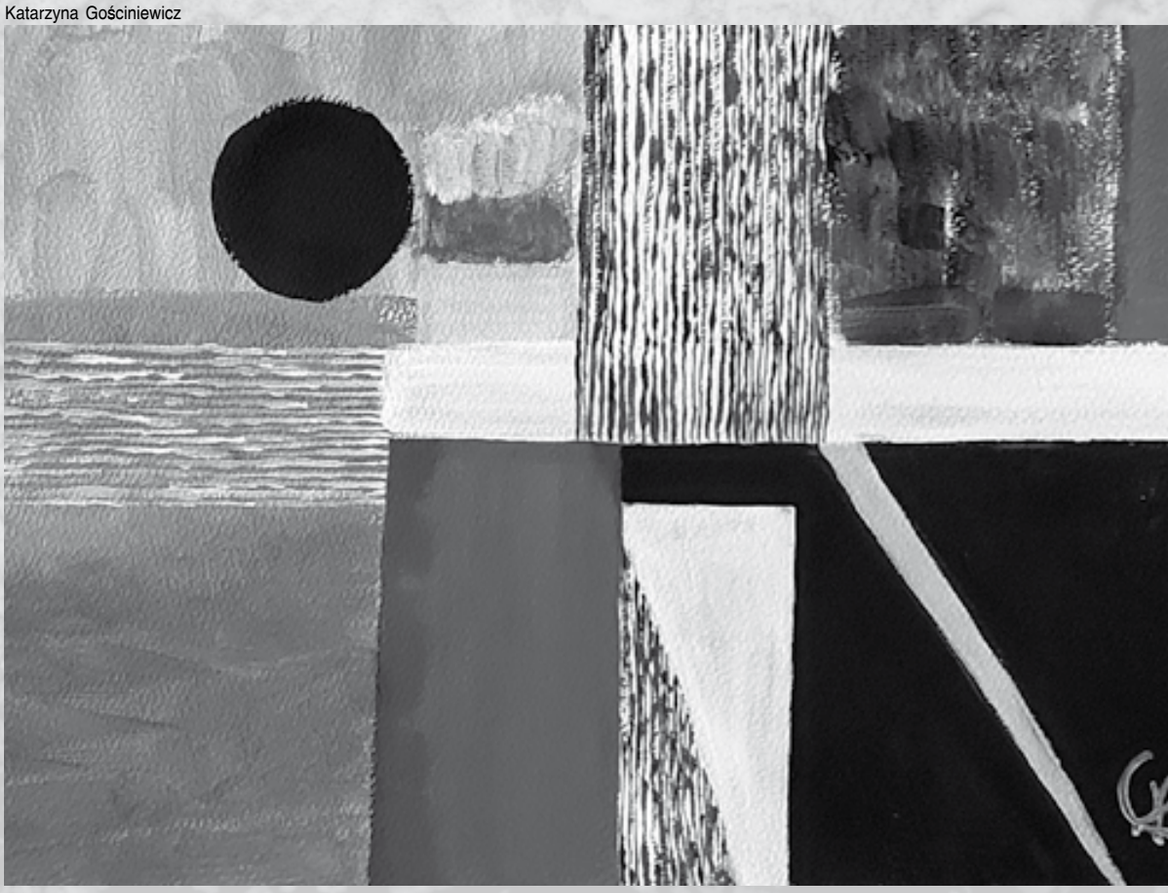

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Migotania polecają

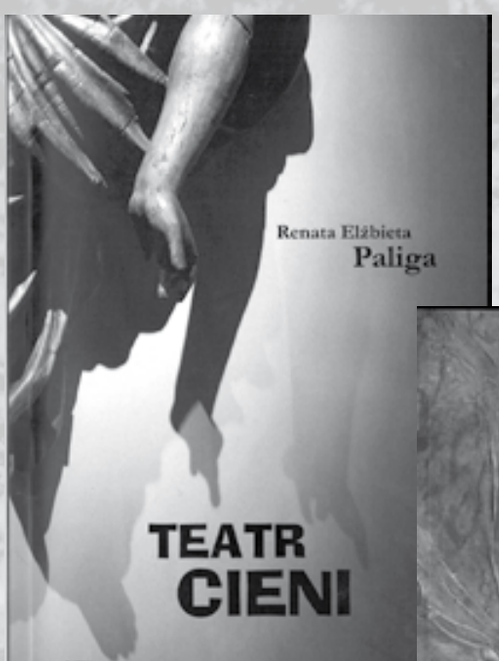

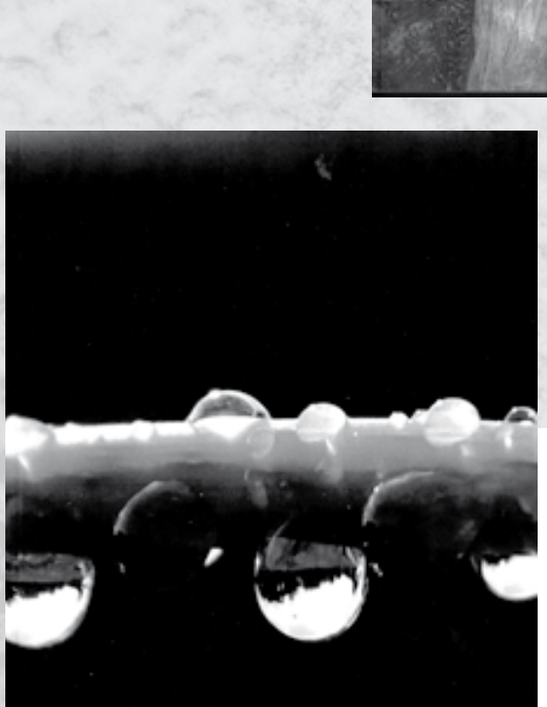

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Katarzyna Gościniewicz

PLAKAT ARTYSTYCZNY

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania

ZBIGNIEW JOACHIMIAK

Miałem sen

Miałem sen.
Śniła mi się Polska. Śnił mi się mój Kraj.
Po ulicach chodzili uśmiechnięci ludzie.
Na skwerze na ławce siedział stary Żyd, a obok
Selim Chazbijewicz, prowadzili dyskurs na
tematy biblijne.

Trochę dalej szła grupa dziennikarzy z gazety Dobry Dzień
i młodzież z ugrupowania Słońce i Moc.
Obchodziliśmy rocznicę Wygranego Powstania
a parki i ulice były kolorowe od wszelkiego
rodzaju marszów i parad.
Policja stała dyskretnie w kluczowych punktach miasta
z koszami chłodnych orzeźwiających napojów i owoców.

W gazetach sensacja: ogłoszono Listę!
Czekano na nią od kilku dni, przecieki informacyjne zrobiły swoje.
Wreszcie ustalono, kto i kiedy wpłacał na konta chorych dzieci.
Instytut Pamięci Nieustającej obiecywał dalsze rewelacje, między innymi
listę najwybitniejszych celników, zasłużonych dla likwidacji opłat granicznych.

Miałem sen.
Śniła mi się moja ojczyzna.
Kraj bez krzykliwych i bezmyślnych gazet. Widziałem tysiące uczestników
Parady Radości - w zgodnym szeregu szli prezydenci miast, homoseksualiści, kobiety
w ciąży, partyjni przywódcy, chorzy wypuszczeni na tę okazję ze szpitali.
Śnili mi się nasi ojcowie, którzy zmartwychwstali by dołączyć
do świątecznych korowodów wolności i życzliwości.

W telewizji wystąpił Adzik Zawistowski z Anią Czekanowicz oraz
Jasiem Sochoniem i Kazimierzem Brakonieckim, bo wspólnie napisali manifest Pokolenia, które pokonało nienawiść.
Na ulicach stały setki szeroko otwartych samochodów, kierowcy pozostawili
swoje auta, by pomagać pieszym na przejściach.
Kościelne dzwony kołysały się w rytmie a to rockandrolla, a to gospel, a to reggae.

Śniły mi się tysiące urzędników skarbowych zwolnionych z pracy i przydzielonych
do prac wspomagających w małych sklepikach i przedsiębiorstwach.
Śniły mi się więzienia z opustoszałymi celami po więźniach skazanych
na wszelki wypadek. Śniły mi się sierocińce, w których osadzono
rodziców opuszczających swe dzieci.

Miałem sen.
Śniło mi się moje państwo.
Śniło mi się moje państwo, Polska.
Państwo w którym historia jest do nauczania a nie ścigania.
W którym obywatele chodzą bez metek i stempli. W którym litera „w”
należy do słowa „wolność” a nie „więzienie”.

Śnił mi się kraj, gdzie ludzie lustrują się w lustrach, spowiadają się
w swoich sumieniach i umysłach, gdzie nie pobiera się podatków od
pluszaków, gdzie nie reguluje się dni, kiedy mogę chodzić do sklepu.

Widziałem kraj wykształconych do szacunku ludzi,
szczęśliwych dzieci - dom pogodny, dom wolny i radosny.
Widziałem mojego ojca i matkę, którzy powtarzali mi,
tobie synu ten dom zbudowaliśmy.
Śnił mi się kraj wyśniony.

Miałem sen. Ale kimże ja jestem,
aby mieć takie sny.

PLAKAT POETYCKI

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania